

Goldsmith Olivia

Wielka mistyfikacja

Sylwia Schiffer ma wszystko, o czym może marzyć kobieta: wspaniały dom w ekskluzywnej dzielnicy, dwójkę udanych dzieci i zamożnego męża, współwłaściciela firmy dealerskiej. A jednak pragnie czegoś więcej: namiętności i odrobiny romantyzmu.

"Wraz ze ślubem kończą się prawdziwe pociągnięcia" - wzdycha.

W przededniu swoich czterdziestych urodzin Sylwia przekonuje się, że jej obawy były słuszne - mąż ma romans. Na nic się zdaje apel do sumienia kochanki. Sylwia wpada więc na szatański pomysł.

Część pierwsza
Przyjęta

1

Sylwia przystanąła w chłodnym, ciemnym korytarzu, jedynym pomieszczeniu, które tonęło w półmroku. Uwielbiała światło i właśnie dlatego pokochała ten jasny dom. Ale prawem kontrastu podobał się jej również ciemny korytarz. Czy jednak naprawdę nie miała nic lepszego do roboty, jak stać tu z ręką opartą na mahoniowej poręczy? Położyła dłoń w miejscu, gdzie rzeźbione drewno starte zostało dotykiem innych dłoni. Nie masz czasu tak sterczeć! - skarciła się. Ale mimo to jeszcze przez chwilę chłoneła panujący wokół spokój. Zasłuchana w cichutkie poskrzypywanie starego domu, w pokrzepiające tykanie ściennego zegara, zmusiła się wreszcie do sięgnięcia po odstawioną na kredens filiżankę herbaty. Rozszedł się zapach jaśminu.

Ruszyła przed siebie. Najpierw, jak zwykle, zajrzała do jadalni, następnie do salonu po przeciwnej stronie, aż doszła do pokoju muzycznego. Kochała swój dom. Jak na obowiązujące w Shaker Heights standardy nie był duży - ot, typowy kolonialny dom z usytuowanym centralnie hallem i tylko trzema sypialniami. Ale ktokolwiek się tu znalazł, zdumiony był dużą przestrzenią i majestatycznym charakterem tego miejsca. Wszystkie cztery położone na parterze pokoje miały te same rozmiary; były przestronne, słoneczne, wysokie na blisko trzy i pół metra, ze strzelistymi oknami. Gdy Bob rzucił kiedyś propozycję, żeby sprzedać dom i kupić większy, oburzona Sylwia sprzeciwiła się stanowczo. Nie potrzebowała przecież gościnnego pokoju — goście zatrzymywali się w sąsiednim domu, u jej matki, albo biwakowali na sofie

w pokoju muzycznym. Nie potrzebowała też pokoju ogólnego -w s z y s t k i e pokoje na dole służyły rodzinie. Zdawała sobie sprawę, że spotkało ją wielkie szczęście, nie traktowała jednak przychylności losu jak czegoś, co jej się należy. Bob czasami podśmiewał się z jej nawyku sprawdzania kolejnych pokoi. „Myślisz, że się rozpląną?” - pytał. Albo: „Szukasz czegoś?” „Nie s z u k a m, a l e p r z y g l ą d a m s i ę” - odpowiadała. Przyglądała się swojemu domowi, miejscu, które tworzyła powoli, razem z Bobem i z dziećmi. Teraz nie miała wątpliwości, że postąpiła słusznie, nie biorąc nawet pod uwagę możliwości sprzedania domu. Może rodzina była kiedyś stłoczona, ale czemu obecnie miałyby służyć większa przestrzeń? Od wyjazdu bliźniąt obie sypialnie na piętrze stały puste, lecz Sylwia miała wrażenie, że dom ją otula i zapewnia bezpieczeństwo. Nie był za duży dla nich obojga, może więc, kiedy oswoi się z nieobecnością dzieci, zamieni jedną z ich sypialni na pokój gościnny. Niewykluczone, że w drugiej urządzi pokój Boba. Nie będzie już musiał rozkładać swoich papierów na biurku w kącie jadalni, czego, prawdę mówiąc, nie robił ostatnio.

Trzymając przed sobą filiżankę herbaty, tak jakby połyskująca biel porcelany mogła niczym lampa oświetlić jej drogę, udała się do pokoju muzycznego. Brakowało zaledwie kilku minut do pierwszej lekcji, chciała więc jeszcze zerknąć na starannie ułożony plik nut - *Wybór dla początkujących pianistów*, leżący obok *Stu łatwych melodii na fortepian* i *Sonat* Szopena. Na taborecie obok steinwaya leżał jej szary sweter, natomiast nic - nigdy! - nie stało na pięknym hebanowym fortepianie. Poczowała miły dreszczyk. W powietrzu czuło się już powiew jesieni, zamknęła więc jedno z wysokich okien. Za wcześnie jeszcze na kominiek, ale zbliżała się pora, którą najbardziej lubiła, pora kiedy podczas lekcji czy gry dla siebie samej, trzaskało w palenisku drewno jabłoni. Chociaż tęskniła za bliźniętami, jesień była dla niej zawsze dobrym okresem; we wrześniu, kiedy dzieci zaczynały szkołę, powracała do regularnych zajęć gry na fortepianie. To było jak początek roku. Uczniowie wracali do szkół. Pamiętała, że w tym czasie Żydzi obchodzili swój Nowy Rok. Wszystko układało się w logiczną całość.

Nie ma powodu do zalu. Nie czas na syndrom pustego gniazda, tylko dlatego, że dzieci wyfrunęły z Shaker Heights. Irena - dla

rodziny Reenie - zainstalowała się w Bennington, a jej bliźniak Kenny wydawał się doskonale zadomowiony i szczęśliwy w Northwestern. Zatem i ona będzie szczęśliwa, powiedziała sobie Sylwia. Zbliżały się jej czterdzieste urodziny, na które planowała wielkie przyjęcie. Bob już ją podpytywał, co chciałaby dostać. Wreszcie się zdecydowała. Najbardziej pragnęła romansu. Resztę już miała.

Przystanąła na chwilkę, wypła łyk herbaty i pomyślała o licznych małżeństwach z sąsiedztwa. Ona z Bobem należeli do nielicznych par, którym się powiodło. Byli szczęśliwi. Kochali się. Choć musi przyznać, że niekiedy czuje się... No cóż, Bob zawsze jest taki zajęty. Liczyła, że po wyjeździe dzieci będzie miał więcej czasu, a tymczasem tylko ona miała mniej zajęć. Notes męża wypełniały rozliczne spotkania w męskim klubie, a także obowiązki związane z biznesem. Postara się jednak, żeby Bob zwolnił tempo, zrobi, co będzie mogła, by jak dawniej odnaleźli się jako para. Poświęci mu więcej uwagi. Mężczyźni to lubią, nawet tak bardzo zajęci jak Bob. Zamówiła już trochę ładnej nocnej bielizny w Victoria's Secret. Będzie przygotowywała romantyczne kolacje. Kupiła trzy butelki szampana, które schowała w starej lodówce w garażu w oczekiwaniu na okazję, kiedy to wyjmie jedną z nich i pozwoli Bobowi wystrzelić korek.

Uśmiechnęła się do swoich myśli. Pragnęła leżeć rano z Bobem w łóżku, rozmawiać z nim i figlować, zamiast oglądać go podrywającego się o wpół do ósmej, biorącego prysznic i golącego się w pośpiechu. Pragnęła siedzieć w ogrodzie na tyłach domu w chłodne październikowe wieczory i owinięta w pled oglądać z Bobem gwiazdy. Pragnęła w niedzielne poranki tłoczyć się wraz z Bobem na pchlim targu, popijając kawę z plastikowych kubków. Rozejrzała się po swoim ślicznym pokoju i znów uśmiechnęła się do tych myśli.

Współczuła kobietom zmuszonym do pracy poza domem. Ależ z niej szczęściara! Wcześniej poznała Boba, który wróciwszy do Shaker Heights, stał się częścią jej rodziny. Bliźniaki są zdrowe i bystre, nie przysparzały nigdy poważnych kłopotów. Nie dotknęły ich także problemy finansowe. Bob zrezygnował z muzyki; został partnerem teścia w dealerskiej firmie BMW, przynoszącej niezłe dochody. Choć Bob zrobił to bez oporów, Sylwia trochę nad tym ubolewała. Nie miała wątpliwości, że z nich dwojga był bardziej utalentowany muzycznie. Kto wie, czy to właśnie talent

nie ułatwił mu rezygnacji z zawodowego uprawiania muzyki. Sylwia nie miała nic przeciwko dawaniu lekcji, nie przejęła się także faktem, iż nie bardzo nadawała się do odbywania tournée. Jej talent został wyolbrzymiony przez kochającą rodzinę. Czas spędzony na nauce u Julliarda, który już na początku dał jej srogą nauczkę, okazał się jedną wielką przyjemnością, gdy w końcu zdała sobie sprawę, iż brak jej tego czegoś niezbędnego, by zostać koncertującą pianistką.

Została natomiast dobrą nauczycielką, a nauczanie sprawiało jej radość. Nie traktowała go jak zła koniecznego, uciążliwego jarzma, które z taką niechęcią brali na siebie poważani muzycy. Lubiła wnosić muzykę w życie ludzi, stwierdziła też, że z chęcią obserwuje ich życie i że lekcje stwarzają jej taką okazję. Była kobietą, którą radował postęp, i za to także odczuwała wdzięczność wobec losu. Uczenie gam cieszyło ją w równym stopniu, co ich granie. Lubiła systematyczność następujących po sobie lekcji i powolne, stopniowe formowanie pianisty, tydzień za tygodniem, kiedy to uczniowie doskonalili biegłość palców, uczyli się utrzymywać tempo i czytać nuty, aż dochodzili do tego fascynującego momentu, w którym muzyka eksplodowała z wyraźną sprawnością. Sylwia ceniła te chwile, kiedy — niemal niezmiennie — uczniowie podnosili wzrok znad klawiatury Steinwaya, oszołomieni własną umiejętnością wydobywania kaskady dźwięków, odtwarzania uporządkowanego brzmienia, skomponowanego przez Haendla, Szopena czy Beethovena.

Och, to prawda, że miała szczęście. Szczęście do dóbr materialnych, do rodziny, szczęściem też była jej umiejętność cieszenia się. Wieczne nieukontentowanie jej brata czy też niecierpliwość Boba, którą, jak się wydaje, odziedziczyła Reenie, nie stały się, dzięki Bogu, jej udziałem. Pod tym względem Kenny wdał się w matkę. Ale też ona, w przeciwieństwie do Boba, nie musiała nigdy z niczego rezygnować, niczego poświęcać. Mogła się oddać muzyce i rodzinie. Miała wszystko — udane małżeństwo, dobre dzieci, dom, który kochała, ulubiony zawód. A jeśli Bob wydawał się czasami troszeczkę nieobecny, jeśli ją nieco zaniedbywał, naprawią to teraz; czeka ich luksus wspólnego spędzania czasu.

Spojrzała na zegarek. Honey Blank, jej kolejna uczennica, spóźniła się. Jak zwykle. Sylwia usłyszała charakterystyczny dźwięk w hallu, udała się więc tam. Przez szparę drzwi frontowych wsunięto pocztę. Może przyszedł list od któregoś z dzieci? Kenny

nie jest mocny w pisaniu, ale kto wie, czy Reenie nie znalazła czasu na napisanie liściku? Sylwia pochyliła się, by pozbiierać korespondencję. Rachunki, trochę katalogów — wkrótce rozpocznie się ich przedgwiazdkowy zalew — i kartka od siostry. Ellen zawsze z wyprzedzeniem składała życzenia urodzinowe. Otworzyła kopertę.

„Czterdziestoletnia, ale wciąż fantastyczna” — przeczytała podpis pod fotografią pomarszczonej starej kobiety w przerażającym makijażu. Dziękuję ci, Ellen — pomyślała. Widzę, że nic się nie zmieniło, jesteś wprawdzie starsza, ale jak zawsze pasywnie agresywna. Wzruszyła ramionami. Była też kartka od Reenie. Przeczytała ją szybko.

Dobrze. Wygląda na to, że Reenie zadomowiła się w nowym miejscu. Podpisała się „wasza córka Irena”, wywołując tą oficjalnie brzmiącą formułą uśmiech matki.

Sylwia rozpromieniła się na widok broszury agencji podróży Sun Holidays. Na to właśnie czekała. Czowała, że muszą z Bobem podsyć ten płomień, który stanowił istotę ich związku. A teraz, po odejździe dzieci, nadszedł na to czas. Oto trzyma w ręku bilet na nowy romans. Od niej zależy wszystko. To ona zawsze kreowała małżeńskie przygody. Kiedy zadzwonił telefon, podeszła do stolika.

— Trafiłam w środek lekcji? — Mildred, matka Sylwii, prawie każdą rozmowę telefoniczną zaczynała w ten sposób.

— Nie. Ale Harriet Blank powinna być* lada moment.

— Szczęściara z ciebie. Jedyne kobiety na terenie Greater Shaker Heights-Cleveland bez żadnych towarzyskich ograniczeń. Nie wpadlibyście z Bobem na kolację?

— Nie, dzięki. Odmroziłam kurczaka. - Bob przepadał za Mildred, ale miał dość Jima, ojca Sylwii, z którym prawie codziennie spotykał się na gruncie zawodowym. Słuchając matki, Sylwia porządkowała pocztę.

— Twój ojciec przyrządza barbecue — oznajmiła Mildred.

— No cóż, to brzmi zachęcająco. Nie jadłam węgla drzewnego od Święta Niepodległości. Wiesz, że Kenny uważa burgery dziadka za rakotwórcze? Mówił coś na temat wolnych rodników.

— Jakich znowu Wodników? — nie dosłyszała Mildred. — Wam też odbiło na punkcie New Age?

Sylwia zachichotała, otwierając jednocześnie kopertę biura podróży. Tkwiła tam błyszcząca broszura, którą zamówiła. Kiedy ją rozłożyła, poczuła przyśpieszone bicie serca. Zdjęcia były jak

szlachetne kamienie, połyskujące w półmroku ciemnym szafirem i szmaragdem.

— Pomyślałam, że urządzę twoją urodzinową kolację we wtorek — ciągnęła Mildred. - Na wypadek, gdyby Bob zabrał cię w piątek w jakieś wytworne miejsce.

Jedynym miejscem, w którym chciałabym się znaleźć z Bobem, są Hawaje — pomyślała Sylwia.

— O niczym takim nie wspominał. Zapytam go.

— Może to niespodzianka... Och nie!

— Żadnych przyjęć niespodzianek, mamó! Mówię serio! — ostrzegła Sylwia. — Wystarczy, że kończę czterdziestkę. Nie chcę robić widowiska na oczach wszystkich sąsiadów. Nie mówiąc już o Rosalie. — Na samą myśl o byłej szwagierce dostała gęziej skórki. Podniosła broszurę. Zdjęcie przedstawiało pokój gościnny z łóżem pod białym baldachimem. Ona i Bob, opaleni, leżący pod takim baldachimem... No cóż, nie mogłaby się opalić, ale może by się zaróżowiła i obejmowała go ramieniem...

— Sylwio, czy ty masz chandrę? Nie byłoby w tym nic dziwnego po wyjeździe bliźniąt! Ciężko, kiedy dzieci opuszczają dom. Jeśli o mnie chodzi, potrzebowałam sześciu lat, żeby przyzwyczaić, że Ellen, Phil, a potem ty...

— Nie mam chandry. Jestem szczęśliwa. — Sylwia zatrzymała broszurę, resztę zaś poczty wrzuciła do kosza. — Muszę się przygotować do lekcji.

— W porządku, kochanie. Zadzwoń, jeżeli zmienisz zdanie. Rozległo się pukanie do drzwi balkonowych. Przy tylnym

wejściu stała panna Harriet Blank, Honey dla przyjaciół, o ile ich miała.

— Masz dużo liści w basenie - powiedziała, wchodząc do pokoju. — Powinnaś sobie zafundować automat do czyszczenia.

— Mnie również miło cię widzieć — powiedziała oględnie Sylwia. — To było długie lato.

— Ćwiczyłam codziennie — zaperzyła się Honey.

Sylwia mogła się spodziewać po niej tego tonu. Leniwi uczniowie zawsze zapewniają, że bardzo ciężko pracują. Honey zdjęła sweter i odłożyła torebkę na fotel. Ruszyła w stronę taboretu, zatrzymała się jednak i badawczo przyjrzała się Sylwii.

— Widziałam was z Bobem w L'Etoile nad jeziorem, w ubiegłym

tygodniu. Zrobiłaś coś fantastycznego z twarzą... — Jeszcze uważniej przyjrzała się Sylwii. — W każdym razie tamtego wieczoru. Pomyślałam, że może w lecie zrobiłaś lifting. Wiesz, że Carol Meyers też sobie zrobiła? Wygląda okropnie. Jak naciągnięta. Słyszałam, że udała się w tym celu aż do Los Angeles. Ty w każdym razie wyglądałaś fantastycznie w LTtoile...

- Od miesiący nie byliśmy z Bobem na kolacji - wyjaśniła Sylwia. - Ani razu od czasu, kiedy Bob rozpoczął kampanię dla wielkiego wezyra masonów, czy jak tam oni nazywają swojego szefa.

Honey zrobiła niedowierzającą minę.

- Kłamiesz czy zapomniałaś? - zapytała.

- Nie wypierałabym się, że byłam z własnym mężem — zaśmiała się Sylwia. - Ani też liftingu. - Dotknęła szyi w miejscu, które zaczynało się marszczyć. Ostatnio, kiedy przeglądała się w lustrze, dostrzegała w nim czasami odbicie twarzy swojej matki. Boże! Czym prędzej odegnała od siebie tę myśl. Pozwoliła Honey na zbyt dużą poufałość. A Honey jest taka nieodpowiedzialna. Zbyt próżna, żeby nosić okulary, nawet kiedy prowadzi samochód. Ale... - Kiedy to było? — nie omieszkała zapytać.

- We wtorek.

- Byliśmy w domu — odpowiedziała Sylwia, po czym przypomniała sobie, że Bob wrócił wtedy dość późno. - Oboje byliśmy w domu — zaznaczyła dobitnie.

- Daj spokój! Byłaś tam - upierała się Honey. - Flirtowaliście zawzięcie. Wołałam wam nie przeszkadzać i nie przywitałam się. - Rozmarzyła się. - Wyglądaliście tak romantycznie - wyszeptwała.

- To właśnie dowód, że mnie tam nie było — powiedziała z ulgą Sylwia. - W Shaker Heights mężowie nie flirtują z żonami, w każdym razie nie z własnymi.

- To byłaś ty! - Honey zawahała się. - Tylko twarz miałaś jakby... podniesioną. I tylko jeden podbródek. - Znowu uważnie przyjrzała się Sylwii. — Nie dostrzegłam żadnej zmarszczki. I byłaś opalona.

- Honey, ja nigdy się nie opalam. Od urodzenia. Spiekam się na raka, skóra mi pęka i schodzi. Moja matka może to potwierdzić.

Honey wyglądała na zakłopotaną.

- Możemy już? - zapytała Sylwia, wskazując na klawiaturę.

Honey przysunęła się bliżej, nadal wpatrzona w twarz Sylwii.

- No cóż, dwa tygodnie temu byłaś opalona. Kupiłaś ten reklamowany na kanale QVC środek z taśmą i plastrami? Taki chwilowy lifting?

- Nie, ale kupiłam kiedyś aparat wyszczuplający uda. Dotąd leży pod moim łóżkiem. Chcesz go? — Sylwia klepnęła się po prawej nodze i skinęła na Honey, żeby zajęła miejsce na taborecie. — Oczywiście, nie używałam go ani razu. Honey nie zdawała się usatysfakcjonowana odpowiedzią Sylwii. Zasiadły do palcówek. Od razu wyszło na jaw, że Honey n i e ćwiczyła. Brnęły z mudnie przez lekcję. Gdzieś pod koniec męczącej godziny wydało się Sylwii, że słyszy samochód Boba. Chciałyby jak najszybciej zakończyć lekcję i zaprezentować mężowi swój nowy pomysł, była jednak profesjonalistką i nie mogła sobie pozwolić na skrócenie przepisowej godziny. Zerknęła tylko na broszurę z widokiem Hawajów i uśmiechnęła się.

Wreszcie skończyły. Sylwia zadała Honey nową lekcję i odprowadziła ją do drzwi. Co za dzień! Jesienne powietrze było orzeźwiające, nasycone świeżym zapachem jabłek i więdnących liści. Sylwia wzięła głęboki oddech, pogładziła zeszyt z nutami, wręczyła go Honey i uniosła brwi, dokładnie tak samo, jak postępowała w wypadku dorosłych uczniów. Ale przy Honey można było sobie darować subtelności. Pożegnały się. Honey wzięła nuty, spojrzała na Sylwię i dotknęła palcami własnego łuku brwiowego, wygładzając skórę.

- Ktoś, kto może wyglądać t a k dobrze choćby przez jeden wieczór, nie musi się dzielić swoją tajemnicą nawet z przyjaciółką -wypaliła.

- Dzielę się z tobą wszystkimi moimi tajemnicami muzycznymi, Honey - powiedziała Sylwia. - Oto najlepsza z nich: ćwiczenia. — Zamknęła cicho drzwi i odwróciła się, żeby powitać męża.

2

Nie zastała Boba ani przy biurku, ani w salonie. Zajrzała do kuchni, przewróciła kurczaka w marynacie i westchnęła. Widocznie Bob przemknął się już na górę.

W połowie schodów zorientowała się, że zostawiła broszurę w pokoju muzycznym. Trzeba przyznać, że Honey namieszała jej w głowie. Zawróciła, zbiegła ze schodów i z broszurą pod pachą odbyła z powrotem tę samą drogę. Usłyszała odgłosy prysznica w dużej łazience. Tego się właśnie obawiała. Kąpiel oznacza, że Bob prawdopodobnie znowu wychodzi wieczorem. Niepotrzebnie odmrażała kurczaka! Niech to szlag trafi! Nie chciała odkładać tej rozmowy, nie chciała też odbywać jej między ablucjami i wyjściem Boba z domu.

Od czasu, kiedy Bob ją powiadomił, że stał się zausznikiem bardzo tajemniczego masona, wciąż był zajęty. Dlaczego przyjął tę propozycję?! Nie przynosiła żadnych dochodów i nie było w niej chyba nic zabawnego. Przechadzanie się w fartuszku czy w czymś, co oni noszą, albo śpiewanie tajemniczych pieśni zupełnie nie pasowało do Boba. A fakt, że się goli i zakłada wieczorowy garnitur, udając się do zadymionego pomieszczenia, był dla niej kompletnie niezrozumiały. W ogóle Bob ostatnio stał się bardziej próżny - Sylwia nie przypomina sobie, żeby dawniej zadawał sobie trud brania prysznica i golenia się przed wyjściem do klubu rotariańskiego, nawet w dni, w które przewodniczył zebraniu! Może tego wymaga reguła masońska, czy jak to się nazywa. Podeszła do drzwi sypialni, przystanęła i nerwowo przyglądała włosy. Teraz to się zmieni! Musi tylko

odpowiednio zaprezentować Bobowi broszurę reklamową. Wdzięczne, zabawne sztuczki działały na jej męża. Zatrzymała się na chwilę przy nocnym stoliku i wyjęła rolkę taśmy klejącej. Przemierzając sypialnię, uśmiechała się do siebie. Przyciągnie jego uwagę.

Energicznie wkroczyła do łazienki. Buchnęła na nią ciepła para. Nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć w miejsce, w którym już od miesiący łuszczyła się farba. Setny raz, choć teraz tylko w myślach, wyraziła życzenie, żeby Bob nie puszczał tak wysoko strumienia gorącej wody. Zawsze o tym zapominał. Wzruszyła ramionami i podeszła do szklanej kabiny.

Wprawdzie szyba zmieniała Boba w coś, co wyglądało jak żywe, barwne plamy, coś na podobieństwo elektronicznie przetworzonych twarzy osób indagowanych wbrew ich woli przez telewizję, widziała jednak przez pocętkowaną fakturę szkła ciało męża. Przyjrzała mu się uważnie. Pointylistyczny Bob. Wzięła nieduży ręcznik i przetarła szybę. Postąpi sprytnie i dowcipnie. Bob to lubi. Przytknęła broszurę do szklanej ścianki i pomimo wilgotnej powierzchni umocowała ją taśmą.

— Hej, kochanie. Mam dla ciebie niespodziankę!

— Skończyłaś lekcję?

Dostrzegła, jak białe plamy, widoczne na łysinie Boba, znikają z animowanej postaci, którą był jej mąż. Oznaczało to, że spłukał szampon i że może bezpiecznie otworzyć oczy. Zapukała w szybę.

— Zobacz, co przyniosłam! — powiedziała.

Widziała, jak zbliża się do szyby. Schylił się i nagle z rozczłonkowanej faktury wyłoniła się jego twarz. Bardzo mokra, ale nietrudna do zidentyfikowania sympatyczna twarz Boba. W pobliżu szyby załamujące się kształty stawały się rozpoznawalne. Sylwia wiedziała, że mąż znajduje się na tyle blisko, by widzieć broszurę.

— Obejrzeć i pogadać? — zapytał zdawkowo.

— Obejrzeć i pojechać — odparła.

Ku jej rozczerowaniu, pomysł spalił na panewce. Upodobił się do obrazu Seurata: Wtorkowy prysznic z Bobem. Entuzjazm Sylwii opadł jak zwiędły liść z drzewa. Nie! Musi koniecznie przyciągnąć jego uwagę. Jeszcze raz zapukała w szybę.

— Bob! Popatrz! Za naszych czasów nie było takich kolorów. Szukał czegoś na półce.

— Piękne. Co to jest? Tak jakby Hawaje?

— Brawo, Bob! To są Hawaje. — Po krótkim radosnym przypływie nadziei uświadomiła sobie, że nawet nie spojrział w tę stronę. Musi zatem ponowić próbę. — Widzisz tych dwoje pod wodą? Czy nie wydaje ci się dziwne, że są do nas podobni? To moglibyśmy być my, Bob. - Zamilkła, czekając na jego reakcję, po czym, skonsternowana, ujrzała białe, poruszające się plamy na czubku załamującej się w szybie postaci męża. Drugi raz szampon! To naprawdę niezwykle! Odkąd go znała, Bob nigdy nie czytał zaleceń dotyczących używania jakiegokolwiek produktu. Czyżby więc raptem przeczytał instrukcję na tubie szamponu? Od kiedy to namydła się dwukrotnie?! Szyby kabiny zaparowały. Sylwia oderwała broszurę. Jej szeleszczący papier zdążył już nasiąknąć wilgocią. Obrazki na rozkładówce wybrzuszyły się. Przez chwilę wybrzuszenie nałożyło się na lekko zaokrąglony brzuch Boba wychodzącego z kabiny. Szybko zawinął się w swoje ulubione prześcieradło kąpielowe. Następnie, wyciągnął ramię w kierunku prysznicza i zakręcił wreszcie wodę. Sylwią zaskoczyła ta nagła cisza. Czuła się bardziej niż niepokieszona. Być może Bob to dostrzegł, ponieważ odwrócił się i objął ją niedźwiedzim uściskiem, z którego słynał. Już zaczynała odprężać się w jego ramionach, kiedy ją puścił, odwrócił się i sięgnął do umywalki po maszynkę do golenia i tubę z pianką.

— Miałaś coś od dzieci?

— Nic od Kenny'ego, ale Reenie przysłała kartkę. Pisze, że nadal nie może się zdecydować na wybór głównego przedmiotu.

— Czyżby miała dość poezji francuskiej? — zapytał, pokrywając prawy policzek pianką i wyciągając szyję, tak jak to czynią mężczyźni, gdy przystępują do rozprowadzania kremu wokół żuchwy.

Sylwia zastanowiła się, czy golenie ma jakieś właściwości zapobiegające starzeniu — szyja Boba wydawała się bardziej sprężysta niż jej, choć on miał już czterdzieści cztery lata.

— Uważa, że musi się zająć postkomunistyczną Rosją.

— Musi? Skąd ten przymus? — Przeciągnął brzytwą po policzku.

Jak zawsze w podobnych sytuacjach Sylwia poczuła, że powinna ująć się za swoją błyskotliwą córką. Pod względem temperamentu Reenie i Bob byli tak do siebie podobni, że czasami musiała wkraczać między nich.

— Wiele o tym myślała, ale mimo to nie bardzo wie, na co się zdecydować.

— Najlepiej niech zdecyduje się na piątki albo co najmniej czwórki z plusem - wysilił się na żart Bob. Rzucił jej krótki uśmiech. Na tle idealnej bieli pokrytej pianką brody jego zęby wydały się żółte. Wyglądał niemal tak nieprzyjemnie jak stara morska ryba. Sylwii nasunęło się skojarzenie z określeniem „nadgryziony zębem czasu”. — Ma dostać w przyszłym roku stypendium i o to powinna się starać - ciągnął Bob. Brzytwa wyorała kolejny tunel w pianie. — Najpierw musi ała wybrać najdroższą szkołę w Ameryce, a teraz musi studiować nieprzydatną historię najnowsza, a nawet z dyplomu nieprzydatnej historii starożytnej nie można wyżyć.

— Oboje czuliśmy, że musimy wybrać muzykę — przypomniała Sylwia.

— Taa. I cholernie mi to pomogło w karierze! — powiedział Bob, a w jego głosie zabrzmiał gorzki sarkazm. —

Ilekcję testuję samochód, rozpoznałem wszystkie stacje radiowe z muzyką klasyczną.

Sylwii nie podobał się ton konwersacji. Bob zdawał się roztargniony i rozdrażniony. Zwykle był wyrozumiałym ojcem, kochającym mężem. Nieco rozgoryczona, pochyliła się i przytknęła powyginaną broszurę do lustra obok odbicia jego ogolonej twarzy. Trudno byłoby przykleić taśmę do mokrego szkła.

Bob zignorował jej gest, wypłukał maszynkę.

— To już nie są lata siedemdziesiąte ani nawet osiemdziesiąte - powiedział. - Reenie musi zacząć myśleć odpowiedzialnie. Realistycznie. Czy zdajesz sobie sprawę, że dzieci są teraz starsze niż my, kiedy poznaliśmy się?

— Och, przecież nie mogą być aż tak stare! - odpowiedziała Sylwia.

Zaśmiał się i wolną ręką uścisnął ją za kark, przygotowując ją

o przyjemne wzruszenie. Uśmiechnęła się do odbicia męża w lustrze i zaczęła pokazywać broszurę, ale on odjął już rękę i pochylił się, szukając czegoś w szafce pod umywalką.

— Bob, kiedy kończyliśmy naukę u Julliarda, mieliśmy podróżować po całym kraju w pomalowanym pstrakato autokarze.

i grać wszędzie, gdzie przyjdzie nam ochota. Dlaczego tego nie

zrobiliśmy? - zapytała Sylwia, stwierdzając, że jej głos brzmi żałośnie płacząco. A miało być śmiesznie i z wdziękiem! Bob wklepywał płyn po goleniu.

- Z dwóch powodów — odparł. — Byliśmy o dziesięć lat spóźnieni i musieliśmy z czegoś żyć.

- A Hawaje? Tak bardzo chciałabym na moje urodziny...

- Och nie! Wycieczka? Teraz? - Odwrócił się od lustra. - Daj spokój, dziecinko. To nie wchodzi w rachubę. Jesteśmy zawaleni nowymi modelami aut. Twój ojciec właśnie dogaduje kampanię reklamową, a ja akurat przymierzam się do tej politycznej sprawy. Pamiętaj też, że opłacamy chesne dzieci... Nie stać nas na Hawaje.

- To nie są wysokie koszty — zaprotestowała Sylwia. — Nie o tej porze roku. Nie ma jeszcze sezonu; to oferta specjalna. Mam zresztą zaoszczędzone pieniądze z lekcji.

- No wiesz! Miałabyś płacić za własny prezent urodzinowy?! To nie w porządku. - Pochylił się i pocałował ją w policzek. Płyn po goleniu miał obcy limonowy zapach. - Poza tym mam już dla ciebie prezent. Właśnie go dzisiaj przywiozłem. Chcesz zobaczyć? - Rzucił ręcznik, wciągnął gatki, wsunął nogi w spodnie i rozglądał się za paskiem. Podała mu. Kiedy go przeciągał przez szlufki, widziała, jak broszura zsuwa się powoli z mokrego lustra i ląduje w kałuży wody.

Już ubrany, Bob znów objął żonę niedźwiedzim uściskiem.

- Hej! Zejdź na dół. Nie myśl, że zapomniałem o twoim wielkim dniu. Cztery dziesiątki, a nie wyglądasz nawet o jeden dzień więcej! - Uśmiechnęła się smętnie. Wzięła ją za rękę. - No, chodź i obejrzyj prezent.

Bez pośpiechu ruszyła za nim po schodach. Minęli kuchnię, wyszli tylnymi drzwiami, przeszli obok klombu róż i rzędu podwójnych cynii przy podjeździe. Zaczynało się ściemniać. Samochód Boba - jego obsesja — zaparkowany był przed garażem.

- Ofiarujesz mi Śliczne Maleństwo na urodziny? — zażartowała. Gdyby Bob miał wybierać między pozbyciem się swojego samochodu albo swojej prostaty, najprawdopodobniej zatrzymałby ten dwuosobowy pojazd. Było to doskonale zakonserwowane i utrzymane BMW XS200, rocznik 1971. Ale co przywiózł dla niej?! Z emocji zadrżała jej serce. Samochód Boba jest malutki, jednak w przegródce na rękawiczki z powodzeniem mogłoby się zmieścić pudełko z biżuterią.

- Urodziny mam dopiero w piątek. Moglibyśmy z tym poczekać - powiedziała. Czowała się winna z powodu niewdzięcznych myśli na temat Boba. Był naprawdę troskliwym mężem.

- No chodź! Wydajesz się odrobinę zadowolona. Chcę ci jak najszybciej sprawić radość. Skorzystasz z tego na urodziny. - Bob nacisnął przycisk drzwi garażowych. Kiedy się otworzyły, zapalił światło. Oświetlony od góry fluorescencyjną lampą, stał nowy kabriolet BMW. Maskę przewiązywała ogromna czerwona kokarda. Bob objął Sylwię ramieniem.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, skarbie - powiedział. - Dzieci się rozjechały, pora więc na inny samochód. Niechaj ci służy!

Sylwia przyglądała się błyszczącemu srebrzyście, chromowanemu pojazdowi.

- Zabrałeś mojego sedana? - zapytała słabym głosem.

- Nie przejmuj się. Jest już po przeglądzie i odstawiony tam gdzie należy. - Wykonał ruch w kierunku kabrioletu. - Czyż to nie piękność? Czy to nie lepsze niż wycieczka na Hawaje?

Machinalnie pokiwała głową. Przecież powinna być wdzięczna i uradowana, nawet jeżeli rodzina ma własne przedstawicielstwo BMW, a ona sama co dwa lata otrzymuje nowy samochód. Ten jeden jest specjalny. Wiedziała, że Bob nie trzyma nowych kabrioletów na placu. Dlaczego więc czuje się taka... rozczarowana? Podniosła wzrok.

- Dziękuję... - Próbowała wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu. Bez powodzenia. - Naprawdę jest ekstra.

Wspaniały - powiedziała bezbarwnym głosem. Boże, oby on tylko tego nie usłyszał. Nie chciała ranić uczuć męża. Ale Bob niczego nie zauważył. Gładził skórę siedzenia.

- Pokochasz go tak jak ja Śliczne Maleństwo - powiedział. Uśmiechnęła się bez przekonania. - Słuchaj, muszę już lecieć — ciągnął. - Wyprowadzimy samochód w dniu twoich urodzin, zgoda? Możemy pojechać nad jezioro. Zjemy kolację w UEtoile. Dawno tam nie byliśmy.

- Okay. W porządku. - Zawahała się. - To zabawne, bo właśnie dzisiaj Honey Blank...

Bob wyjął samochodowe kluczyki.

- Honey Blank? Ten kawał drewna? Możesz mi streścić w czte-

rech słowach, nie więcej? - zapytał. — Albo odłożyć to na później? Naprawdę muszę już jechać.

- To nic ważnego. Opowiem, kiedy wrócisz do domu — zgodziła się Sylwia. Czy w ogóle warto mówić o takim zbiegu okoliczności? Chyba że potraktuje go jak punkt wyjścia do rozmowy.

- Mogę wrócić późno. Nie będę cię budził. — Bob wsiadł do Ślicznego Maleństwa i uruchomił silnik.

Przez chwilę patrzyła na niego jak na obcego: mężczyzna w średnim wieku, z niewielkim brzuszkiem, siedzący w bardzo młodzieżowym samochodzie sportowym.

- Możesz mnie obudzić. - Miała nadzieję, że Bob chwyci aluzję, ale on już wyjeżdżał tyłem z podjazdu. Kiedy dojechał do krawężnika, pomachał jej, następnie dodał gazu i ruszył przed siebie. Patrzyła, jak znika. Stała jeszcze przez jakiś czas w półmroku, mając za sobą brzydkie fluorescencyjne oświetlenie garażu, które sprawiało, że nawierzchnia pod jej nogami wyglądała jak polana olejem.

- No, no...

Sylwia podniosła wzrok. Boże! Jej była bratowa, zgorzkniała Rozalia. Nie teraz! - pomyślała. Nie żeby nie lubiła Rozalii i nie współczuła jej. Brała nawet jej stronę w konfliktach z bratem, ale Rozalia była trudna.

- Nowy samochód? - upewniła się Rozalia. - Nie mogę się doprosić Phila, żeby mi naprawił przekładnię, a przecież podlega mu dział napraw.

Sylwia wiedziała od dawna, że nie ma metody na rozmowę z Rozalią. Wszystko sprowadzało się do narzekania bądź atakowania. Choć otrzymała dom i alimenty na siebie oraz na dzieci, Rozalia wciąż czuła się oszukana. Phil był bratem Sylwii, musiała jednak uczciwie przyznać, że zdradzał żonę. Oddałaby wszystko, żeby tylko Rozalia nie mieszkała z nią drzwi w drzwi.

- Uprawiałaś jogging? - zapytała, żeby zmienić temat.

Rozalia była w szortach i w czymś w rodzaju roboczych nike ow, których cena była trzycyfrowa. Chuda jak patyk Rozalia zignorowała pytanie. Sylwia miała wrażenie, że bratowa większość energii, jaką dotąd zużywała na łajanie Phila, ulokowała obecnie w ćwiczeniach fizycznych. Uprawiała jogging, podnosiła ciężary, ćwiczyła aerobik, a nawet jeździła na zajęcia jogi do centrum

Cleveland. Sylwia pomyślała, że może powinna jej oddać swój aparat do masażu ud.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jakie masz szczęście? - pytała Rozalia. - Zdajesz sobie? - Popatrzyła na klomby, na trawnik, na dom. - Nowy samochód w garażu, dwoje udanych dzieci w college' u i mąż we własnym łóżku. — Potrzęsnęła swoją ciemną głową.

Sylwia odwróciła się i ruszyła w stronę tylnych drzwi. Było jej żal Rozalii - jej troje dzieci kłóciło się z nią i miało ją za nic; dwoje porozjeżdżało się do szkół, trzecie znalazło pracę z dala od domu. Ale Rozalia nigdy nie przestawała narzekać. Teraz szła za nią przez patio. Nieustępliwa Rozalia.

- Czterdziestka nie jest łatwa dla kobiety. Ale jeśli komuś jest z nią łatwo, to na pewno tobie - nie przestawała mówić. - Jesteś szczęściarą. Zawsze byłaś.

Sylwia dotarła do zewnętrznych drzwi, otworzyła je, po czym od środka przekręciła powoli gałkę.

- Masz rację, Rozalio - powiedziała przez ochronną siatkę. - Jestem szczęściarą. Moje życie to prawdziwy raj. Następnie zamknęła drzwi wewnętrzne.

3

Choć w powietrzu czuło się lekki chłód, Sylwia opuściła dach nowego samochodu. Jazda z włączonym ogrzewaniem i z otwartym dachem była czystym marnotrawstwem, ale czy musi się tym przejmować? Do diabła! Będzie sobie pobrała. Ma prawie czterdziestkę. Poszaleje trochę!

Zrobiła właśnie zakupy i starannie ustawiła cztery torby na tylnym siedzeniu. Kiedy więc wzięła ostry zakręt, spojrzała na nie we wstecznym lusterku. Przesunęły się, ale nie rozsypały. Jeszcze niedawno, przed wyjazdem dzieci z domu, zakupy zajmowały całe tylne siedzenie i bagażnik sedana - Kenny i jego przyjaciele mieli wilcze apetyty. Obecnie cztery torby, zapakowane za dolara przez pakowacza, wystarczyły, żeby zapełnić domową spiżarnię. Szybciej niż zwykle wzięła zakręt. Wiatr targał jej włosy. To dziwne, tyle powietrza, a ona ma trudności z oddychaniem. Udawało jej się łapać tylko płytkie oddechy. Może powinna zapisać się na kurs jogi?

Wczoraj wieczorem, po wmuszeniu w siebie przypalonego kurczaka, do późna czekała na Boba. Zjawił się po północy i nie miał ochoty na rozmowę. Sylwia nie nalegała. Przeleżała jednak bezsennie prawie całą noc; czuła się nieswojo. Chciała...

Jakby spod ziemi, z prawie niewidocznej ulicy po prawej stronie, wyskoczył jakiś samochód. Skreśliła kierownicę, a kabriolet czujnie zareagował. Z przeciwka nadjeżdżała furgonetka. Leciutko i płynnie, nim furgonetka mogła jej zagrozić, Sylwia wycofała wóz. Niemniej była poruszona. Podobnie jak jej zakupy. Musiała

przyznać, że kabriolet prowadzi się świetnie, nie chciała go jednak. Coś było nie tak. Wszystko wydawało się nie takie, jak powinno.

Pomyślała, że coś jest z nią nie w porządku. Dla takiego samochodu większość kobiet gotowa była porzucić swoich mężów. Albo, w tym konkretnym wypadku, zrezygnować ze swoich samochodów dla takiego męża jak Bob. A ona ma jedno i drugie. Rozalia ma rację. Jestem cholerną szczęściarą. Powinnam być wdzięczna za wszystko.

Rozpoczęła swoją litanię: Jestem zdrowa. Kocham Boba, on kocha mnie, dzieci są świetne. Jest piękny słoneczny dzień, a liście właśnie zaczynają zmieniać barwy. Niepokój, który odczuwa, to niepojęte uczucie niezadowolenia, było jej obce dotychczas. Sylwia czuła się zawstydzona tym swoim poczuciem nieszczęścia, niemniej ono w niej tkwiło, tuż za mostkiem. Wyhamowała przed czerwonymi światłami, samochód potoczył się płynnie i bez najmniejszego wysiłku stanął w miejscu.

Pod palcami kierownica zrobiła się mokra od potu. Narastające uczucie dyskomfortu, tkwiące w klatce piersiowej, przeniosło się teraz go gardła i utknęło. Starła się przełknąć, ale nie mogła. I tak nic by z tego nie wyszło - czuła w ustach wielką suchość. Albo wariuję, albo coś jest naprawdę źle - pomyślała, kiedy światło zmieniło się na zielone. Roztrąbił się za nią klakson. Przyśpieszyła. Nieoczekiwanie ogarnęła ją wściekłość tak okropna, że z trudem widziała szosę. Ujrzała we wstecznym lusterku starego faceta w wielkim buicku, przycisnęła gaz do dechy i wykonała nieprzyzwoity gest.

Na Boga! Przecież nigdy tak nie postępowała! Nie kontrolowane emocje na drodze? Co się dzieje?

Stwierdziła, że nie chce tego samochodu. To był przypadkowy, nie przemyślany prezent. Bob nie myślał o niej. Nie zastanawiał się nawet przez chwilę, czegoż ona może pragnąć. Nie chciał nawet słuchać o Hawajach. A właściwie to kiedy ostatnio w ogóle jej słuchał? Sylwia nie chciała przypadkowych prezentów, nawet najbardziej luksusowych. Nie chciała też być traktowana jak coś oczywistego. Nie chciała, by Bob ją lekceważył. Było wiele rzeczy, których nie chciała. Była tym tak zaskoczona, że omal nie przegapiła skrętu w lewo. Tak gwałtownie szarpnęła kierownicą, że nowe opony zapisały na zakręcie. Powoli wjechała na Harris Place, uliczkę, przy której mieszkała, przy której mieszkała również

matka w dużym domu z białymi kolumnami, przy której mieszkał również jej brat, zanim rozwiódł się z Rozalią. Nieliczne stojące przy tej uliczce domy były klasyczne w formie, dobrze zaprojektowane i starannie utrzymane. Sylwia minęła kępy barwinka przed siedzibą Williamsonów i rząd złocistych chryzantem, rosnących równo jak pod sznurek wzdłuż ogrodzenia domu zajmowanego przez Rozalię. Wszystko zdawało się w największym porządku, lecz przecucie czegoś niedobrego, wrażenie, że coś jest nie tak, stało się nieznośne. Wciąż nie mogła oddychać, jakby przez otwarty dach właczał się do wnętrza ciężar wszechświata, żeby ją zmiażdżyć. A także jej dom. Dom, który ukochała, gniazdo, które uwiła.

Skręciła ostro w prawo i koła BMW łatwo pokonały krawężnik. Spokojnie przejechała wzdłuż trawnika, minęła rabatę kwiatów i dojechała do kępy cynii. Z kamiennym spokojem skierowała samochód na trawnik za domem, po czym, ostrożnie manewrując, minęła wyłożone łupkiem, ocienione patio. Przed nią znajdował się już tylko prostokątny basen. Nie zwalniając, jakby zdalnie sterowana, dojechała nad betonową krawędź dwuipółmetrowego zbiornika. Kiedy tuż przed zanurzeniem w turkusowej wodzie przednie koła zawisły w próżni, Sylwii udało się wziąć głęboki oddech.

- Sylwio! Sylwio, dziecinko! Nic ci nie jest?

Mildred wieszła w sypialni zasłony. Akurat w momencie, kiedy jej córka, skręcając prosto na trawnik, popełniła to dziwactwo, zerknęła w dół. Teraz Mildred stała na brzegu basenu. Nie umiała pływać - nigdy się nie nauczyła - wskoczyłaby jednak, żeby ratować córkę. Poczowała ulgę, kiedy spod zasypanej liśćmi tafli wody wyłoniła się głowa. Sylwia była dobrą pływaczką, z wdziękiem opłynęła żabką kadłub samochodu i nie wypuszczając z ręki torebki, pruć basen. Zgubiła w wodzie pantofle, a szorty i bluzka zrobiły się zadziwiająco ciężkie i ściągały ją do dołu. Płynęła jednak niestrudzenie w kierunku drabinki.

Trzymając się jedną ręką poręczy, drugą przyciskając do falującej piersi, Mildred z trudem łapała oddech.

- Przeraziłaś mnie! - powiedziała.

Po drugiej stronie posiadłości rozległ się krzyk. Mildred wzdrygnęła się i odwróciła głowę. Znajdująca się jeszcze w basenie Sylwia nie mogła się obejrzeć, ale wiedziała, do kogo należy głos.

— O, Boże — jęknęła Mildred. - Wiem, że ona nigdy nie pierze zasłon, jaki więc wymyśli pretekst, że cię zobaczyła?

— Przykucnęła, by znaleźć się bliżej Sylwii i wyciągnęła rękę, żeby jej pomóc. - Twoja była bratowa macha do ciebie — oznajmiła.

Wdrapując się po drabince, Sylwia odwróciła się i zobaczyła ciemną głowę nad palikami północnego ogrodzenia.

— Jakies kłopoty w raju? — wrzasnęła Rozalia.

Nie zwracając na nią uwagi, Mildred troskliwie pomogła wyjść córce z basenu.

— Dlaczegoś to zrobiła? — zapytała.

— Może w ten sposób zapamiętam, gdzie zaparkowałam?

— Kpisz z własnej matki?

Sylwia otworzyła torebkę i nie zwracając uwagi na fakt, iż leje się z niej woda, wrzuciła kluczyki samochodowe.

Zatrzasnęła ją. Dźwięk, jaki usłyszała, przypominający zamykanie drzwi małego sedana, nie brzmiał tak solidnie jak zwykle.

— Kpie? — spytała z roztargnieniem. Była lekko oszołomiona, ale nareszcie mogła oddychać.

— Sylwio, czy zdajesz sobie sprawę, że zrobiłaś właśnie coś bardzo dziwnego? Jeśli nie, tym bardziej jest to dziwne.

Sylwia odwróciła się. Na tafli wody unosiły się trzy nektarynki i główka sałaty. Bok samochodu srebrzył się jak ryba w galarecie. Co ona zrobiła? I dla czego to zrobiła? Podniosła rękę do oczu, by wytrzeć ociekającą z włosów wodę, i uświadomiła sobie, że na dolnej powiece zebrały się łzy. Co najlepszego zrobiła?! Czyżby oszalała?

— Chcę tylko, żeby Bob mnie zauważał — wyznała szeptem. Potakując głową, Mildred otworzyła drzwi kabiny, którą Bob

dla żartu nazywał szaląsem. Zgrywus! Dygocząc w chłodzie jesiennego powietrza, Sylwia przyglądała się, jak matka wyjmując dwa wyblakłe ręczniki kąpielowe.

— Sylwio, kochanie — powiedziała — mężczyźni nie zauważają swoich żon. Nową blondynkę w sąsiedztwie, tak! Sportowy samochód, jeszcze jak! Ale żonę po latach małżeństwa? Zapytaj ojca

o kolor moich oczu! — Mildred zajrzała głęboko w oczy córki. — Odpuść to sobie. — Jednym ręcznikiem owinęła ramiona Sylwii

i podała jej drugi. — Do włosów — dyrygowała.

Rozalia przekładała już nogę przez płot.

— W czym mogę pomóc? — ryknęła.

Wyprowadzona z równowagi, Mildred także podniosła głos.

- Może wyniosłabyś się z tej dzielnicy, Rozalio. Zmieniła sąsiadów. Jesteś rozwiedziona z moim synem od trzech lat! Rozalia przesadzała płot. Sylwia wiedziała, że od czasu rozwodu i odejścia dzieci była bratowa czuje się samotna. Starła się być do niej dobrze usposobiona, ale wścibianie nosa przez Rozalię we wszystkie rodzinne sprawy stawało się nieznośne. Po podziale majątkowym i puszczeniu Phila z torbami uparcie twierdziła, że ukrywa on przed nią jakieś zasoby. I że wszyscy są w lepszej sytuacji i mają większe dochody niż ona.

Teraz zaradna Rozalia przełożyła drugą nogę przez płot i wskoczyła na podwórko. Szła prosto do basenu.

Wytrzeszczyła oczy.

- Ale draka! Usłyszałam coś, ale czegoś takiego nigdy jeszcze nie widziałam! - Kucnęła, popatrzyła na samochód i uśmiechnęła się szeroko. - Czy ubezpieczenie pokrywa tego rodzaju straty? - spytała. Wyciągnęła rękę, wyłowiła pływającą blisko krawędzi basenu sałatę i zaniosiła ją Sylwii. - Boże, wyglądasz jak upiór - powiedziała, patrząc na szwagierkę, z której, jak z rozmrożonej zamrażarki, spływała woda. Rozalia wyciągnęła rękę z sałatą. - Komu ją dać? - Mildred skorzystała skwapliwie z propozycji. - Co ci odbiło, Sylwio? - dopytywała się Rozalia. - To znaczy przed tym topieniem? Niezbyt dokładnie przyglądałam ci się wczoraj wieczorem, ponieważ było ciemno, ale wyglądałaś okropnie. Znacznie lepsze wrażenie sprawiałaś dzień wcześniej, kiedy widziałam cię z Bobem. Szybko jechał, ale mogłabym przysiąc, że schudłaś. Myślałam, że zrzuciłaś parę kilogramów - powiedziała Rozalia z powątpiewaniem, spoglądając na oblepiającą szwagierkę przemoczone ubranie.

- Nie byłam tamtego dnia w samochodzie z Bobem - oznajmiła Sylwia. - Jeździ za szybko.

- Dobrze, niech ci będzie, ale przecież was widziałam...

- Wracaj do domu, wariatko - warknęła Mildred, odciągając córkę od basenu.

Sylwia wiedziała, że matka także współczuje Rozalii, ale ta kobieta jest tak agresywna i gruboskórna! Dlatego właśnie doskonale pasowali z Philem do siebie i Mildred omal nie pękło serce, kiedy się rozstali.

- Nie jechałam Ślicznym Maleństwem! - zawołała Sylwia przez ramię. Czy wszyscy mieszkańcy Cleveland przysięgli się, żeby

widywać ją w miejscach, w których jej nie było? Następnym razem zobaczą ją z Elvisem.

- Będiesz musiała odłożyć pogawędkę na później. - Mildred odwróciła się plecami do Rozalii i łagodnie, lecz stanowczo popchnęła Sylwię do pokoju muzycznego. Zamknęła duże podwójne drzwi i posadziła córkę na taborecie.

Pozostawiona na zewnątrz Rozalia majstrowała przy klamce

- Od lat nie jechałam samochodem Boba. Jeszcze nie zwariowałam — oświadczyła Sylwia.

- Wszystko wskazuje na to, że jest inaczej - powiedziała Mildred i zdjęła ręcznik z głowy Sylwii. - Powinnaś pomalować odrosty - dodała.

- Niech sobie rosną siwe i długie.

- A zatem oszalałaś — zawyrokowała matka.

- Dlaczego? Bob nawet nie zauważył, kiedy zmieniłam kolor.

- No cóż, ale to na pewno zauważy — przepowiedziała Mildred, spoglądając na basen.

- Dobry Boże! Jak ja mu to powiem? - Sylwia poczuła skurcz w żołądku.

Rozległo się walenie w szybę. Rozalia pokazywała na zamknięte drzwi.

- Akurat! - prychnęła Mildred.

Sylwia spojrzała na biedną kobietę pozostawioną na dworze. Nie było rady. Potrzebowała teraz odrobiny spokoju i pociechy, a Rozalia była za bardzo przejęta sobą, żeby móc coś ofiarować innej osobie. Nagle, kiedy wyobraziła ją sobie żyjącą samotnie w sąsiednim domu, poczuła się równie samotna. No cóż, Bogiem a prawdą, jest samotna, nawet mając u boku matkę. Dała znak Rozalii, żeby sobie poszła. Rozalia nie zareagowała.

- Może jestem głupia - powiedziała Sylwia z płaczem. - To żalosne, żeby się czuć aż tak zranioną z powodu braku zainteresowania ze strony męża. Nie mogę nawet dojść, czy zawsze tak było, a ja tego nie zauważałam, bo wszędzie kręciły się dzieci, czy też lekceważy mnie teraz jeszcze bardziej.

- Och, Sylwio - westchnęła Mildred. - Jakie to wszystko normalne. Ja także wycinałam numery z samochodem w czasach, kiedy twój ojciec rozkręcał interes. Może nie aż tak dramatyczne, ale po każdej większej sprzeczce rozwalalam komuś bagażnik.

- Ty?! I co mu mówiłaś?

- Że zawiodły hamulce. A było to wtedy, kiedy na każdym BMW i na wszystkich reklamach widniały jeszcze napisy głoszące, że jest to „najwyższej klasy poruszający się pojazd”.

- Więc to wariactwo jest dziedziczne? - dopytywała się Sylwia.

- Ze strony twojego ojca.

Rozalia wciąż dobijała się do drzwi. Mildred spojrzała w jej stronę.

- Czy to normalne? Ona jest przekonana, że zamknęłyśmy się przed nią przez nieuwagę - podzieliła się spostrzeżeniem z Sylwią. - Tylko nie zapominaj, że nie lubiłam jej nawet wówczas, kiedy wychodziła za Phila. - Odwróciła się i całą uwagę skierowała na córkę. - Faktem jest jednak, że mój syn pomieszał jej w głowie. Biedactwo. Zwariowała przez to małżeństwo. - Mildred westchnęła. - Przy Philu zresztą każda kobieta dostałaby świra. To nie to co Bob.

Sylwia czuła, że ręcznik między nią a taboretami przesiąkł na wylot. Podniosła się.

- Chodźmy na górę - zaproponowała Mildred. - Kiedy znikniemy jej z oczu, zmęczy się i pójdzie do domu. Sąsiedzi przestaną słyszeć to jej dobijanie się. W przeciwnym razie do kolacji wiadomość o twoim wypadku rozniesie się po całej dzielnicy.

Sylwia przytaknęła skinieniem głowy, choć było wiadomo, że wiadomość i tak zaraz rozniesie się po okolicy. Matka i córka przeszły z jasnego pokoju muzycznego do pogrążonego w półmroku hallu. Pilotując Sylwią po schodach, Mildred westchnęła głęboko:

- Może to rodzinny interes sprawił, że wszyscy powariowaliśmy. Sądziłam jednak, że ty i Bob jesteście na to odporni.

Dotarły na podest, gdzie wisiała fotografia zrobiona z okazji dziesiątych urodzin Reenie i Kenny'ego. Bob był przebrany za obwarzanek, ulubiony przysmak bliźniąt.

- Pamiętasz, jak bardzo zabawny potrafił być Bob? - zapytała Sylwia.

- Nie. Uczuciowy — owszem. Zabawny nie.

- Na pewno pamiętasz — upierała się Sylwia. — Był wspaniałym tancerzem! Grał też na fortepianie. - Ściszyła głos.

- Teraz muzyka w nim umarła.

Mildred szturchnęła ją lekko, popychając po schodach, wciąż z sałatą w ręku.

- Och, daj spokój, Sylwio! Marzenia artystyczne na ogół umierają. W Shaker Heights znam na przykład wielu ludzi, którzy kiedyś byli przekonani, że tkwi w nich materiał na powieściopi-sarzy.

Sylwia z niewymownym smutkiem pokiwała głową. Weszły do sypialni. Wszystko tu było ładne i przyjemne - łóżko miało antyczne wezglowie, które kupili z Bobem i razem odnowili. Szyfonierkę znalazła w Cleveland, w sklepie z tanimi rzeczami, pomalowała ją i ozdobiła. Pikowana narzuta należała jeszcze do jej babki. Ten pokój miał długą historię. Dlaczego więc i tu czuje się taka wyjałowiona? Stała, ociekając wodą. Mildred rozpięła jej na plecach guziki bluzki i zaczęła ściągać mokre ubranie. Sylwia czuła się kompletnie wypompowana z sił.

- Myślałam, że po wyjeździe dzieci do college'u... oboje będziecie... Tak, tak, spędzać wakacje na morskich podróżach, tańczyć do białego rana. — Podciągnęła mokrą bluzkę, zdjęła ją przez głowę, po czym pogłaskała córkę po mokrych włosach. - Podobnie było z twoim ojcem i ze mną. - Potrząsnęła głową. Ten gest zasmucił Sylwię. - Nie pojmuję, skąd ci przyszło do głowy, że małżeństwo musi być romantyczne. Na pewno nie wyniosłaś takiego przekonania z domu.

Sylwia domyśliła się, że matka próbuje ją rozweselić, ale żarty nie przynosiły pociechy, o ile Mildred istotnie żartowała. Matka spojrzała Sylwii w oczy.

- Posłuchaj, pragniesz ożywienia i podnieć? Pragniesz uwielbienia i oddania, i wieczorów w świetle reflektorów? Sylwia pokiwała głową.

Mildred pogłaskała czule jej policzek.

- Posłuchaj więc mojej rady: zajmij się hodowlą rasowych psów.

4

Sylwia przekroiła główkę uratowanej sałaty lodowej na cztery części, po czym każdą część jeszcze na połowę. Zastanawiała się, czy po kąpieli w basenie sałata nie jest skażona. Usunęła zewnętrzne liście, a następnie płukała ją przez dziesięć minut. Czy to wystarczy? Wzruszyła ramionami. Do licha! Jeżeli nabierany w usta razem z wodą chlor z basenu nie zabił jej, nie powinien też zabić Boba, jeśli nawet osiadł w liściach sałaty!

Brała prysznic, kiedy Bob wrócił do domu. Zeszła z góry, starannie ubrana, ze świeżo wysuszonymi włosami, ale on rozmawiał już przez telefon w stołowym pokoju. Była mu nawet za to wdzięczna, bo zyskiwała w ten sposób parę chwil, by przygotować się do wyznania. Kiedy „chwile” wydłużyły się do pełnych napięcia trzydziestu minut, wyszła mu naprzeciw do korytarza, po to jednak tylko, by usłyszeć szum prysznica na górze. Wzruszyła ramionami i zaczęła szykować kolację, przepowiadając sobie w pamięci, co powie.

Spojrzała na sałatę. Nie przywiązywała do tego większego znaczenia, ale Bob nigdy nie dał się przekonać, że oprócz lodowej sałaty można jeść bardziej urozmaicone surówki, choćby chińską kapustę. Sięgnęła do kredensu po vinegrette. Ponieważ się kończył, dopisała go do listy planowanych zakupów. Następnie spojrzała 'przez okno na basen. Jako że kuchnia była położona znacznie powyżej poziomu ziemi, widziała go z góry, mogła nawet dostrzec prawy zderzak auta, a także fragment maski. Boże! Co jej odbiło? No i dobrze! Stało się! Prawdopodobnie Bob ją zabije i będzie miał rację. Jest rozgrymaszoną, zepsutą, niewdzięczną kobietą. On natomiast jest bez skazy.

W końcu usłyszała kroki na schodach. Odruchowo zapaliła światła wokół basenu. Bob wszedł do kuchni, usiadł na swoim miejscu przy stole i sięgnął po kieliszek białego wina.

To zabawne - pomyślała Sylwia, jak bardzo zautomatyzowane są niektóre nasze czynności. Jak to jest, że mając świadomość, iż wszystko idzie na opak, udaje się jej zdejmować płyty łososia z grilla i kłaść je zgrabnie na talerzach obok brokułów? Spojrzała na Boba. Jaki on czysty i wyświeżony, z jakim spokojem i zadowoleniem popija wino i przegląda pocztę. Poczula dumę, że mąż wciąż jest taki przystojny. O co jej chodzi? Może jej nie zauważa, może traktuje ją jak coś niezmiennego, jest jednak dobrym mężem, wspaniałym ojcem, świetnie utrzymuje dom. Ponownie wyjrzała przez okno na oświetlony basen. Opanowując drzenie, postawiła przed mężem talerz i usiadła naprzeciwko niego.

- Mama chciałaby wiedzieć, czy przyjdziemy do nich na urodzinową kolację.

Bob podniósł widelec i nadział kawałek łososia. Spojrzał na Sylwię.

- To zależy od ciebie - odparł z ustami pełnymi ryby. Powrócił do przeglądania poczty.

Patrzyła na czubek jego pochylonej głowy. Można z kimś przeżyć dwadzieścia lat, spać z nim, prac jego rzeczy, wychowywać jego dzieci, i nagle, pewnego dnia ujrzeć go w zupełnie nowym świetle, nie jako kogoś obcego, lecz bardzo, bardzo niedoskonałego. Przez chwilę przestała żałować zatopienia samochodu, uznała nawet, że lepszym wyjściem byłoby rozjechanie męża. Znowu ogarnęła ją złość. Dlaczego?

No coż — pomyślała — jak widać, urodziny mają dla mnie szczególne znaczenie. Są dniem radości. Na urodziny Boba przygotowywała zawsze jego ulubioną kolację: pieczeń wołową, kartofle i czerwoną kapustę, choć zapach kapusty niezmiennie przyprawiał ją o mdłości i przez kilka dni unosił się w powietrzu. Bob lubił bezy, a zatem nigdy nie omieszkała ich zrobić. Zawsze miała co najmniej jeden zabawny prezent i jeden, którego mąż pragnął. Co roku na urodziny bliźniąt przygotowywała ich ulubione potrawy, a ponieważ Kenny uwielbiał paluszki rybne, Reenie zaś szynkę w galarecie, musiała podawać dwie kolacje. Piekła też bezy, które były jej specjalnością. Martwiła się o prezenty, starannie je wyszukiwała. Co roku sporządzała urodzinowe laurki, ob-

fotografowała każdą uroczystość i wkładała zdjęcia do specjalnego albumu. Fotografie ich wszystkich, ze wszystkich urodzin, przez dziewiętnaście lat! Dlaczego dopiero teraz dotarło do niej, że w albumie brakuje zdjęć z jej urodzin?!

Ale przecież mężczyźni nie mają pojęcia o świętowaniu, o prezentach, choć próbowała Boba tego nauczyć. Na pierwsze urodziny, które z nim spędziła, w niecałe pięć miesięcy po ślubie, ofiarował jej toster. Rozpakowała paczkę, roześmiała się i czekała na prawdziwy prezent. Okazało się jednak, że prawdziwym prezentem był właśnie toster. Nie odzywała się do Boba przez dwa dni, po czym we łzach i w złości musiała mu wytłumaczyć, że oczekiwała na coś osobistego, romantycznego i ważnego. Nigdy już nie popełnił tak rażącego błędu, choć też nigdy nie zrozumiał w pełni prawdziwego znaczenia prezentów i obchodów urodzin. Choć Sylwia czuła się źle w roli osoby niewdzięcznej, uważała, że po dwudziestu latach treningu można by się zdobyć na coś subtelniej szego i bardziej fantazyjnego niż samochód, którego nie chciała, i na wzruszenie przez Boba ramionami w dniu czterdziestych urodzin żony.

Może się myli? Może Bob pragnął ją uszczęśliwić i zrobił to najlepiej, jak umie? Może kabriolet - na którym jej nie zależało, którego nie potrzebowała i nie chciała - dla Boba był równie drogocenny jak pierścionek ze szmaragdem z wygrawerowaną sentencją miłosną. Może...

Popatrzyła na niego.

— Bob, zrobiłam coś strasznego.

Nie odłożył ulotki z reklamą sprzętu elektronicznego, którą czytał.

— Strasznego? Daleka jesteś od zrobienia czegoś choćby tylko złego. O co chodzi? Grałaś *Dla Elizy* nie w takt? No, słucham, opowiedz mi o tym. — Odłożył ulotkę i popatrzył na żonę. — Ponieważ muszę już lecieć, streszczaj się. Cztery słowa, nie więcej.

Sylwia ponownie wyjrzała przez okno. Nie mogła oderwać wzroku od samochodu w basenie. Ten widok działał jak magnes. Lśniący kadłub tkwił w wodzie jak, grejpfrut w galaretkę. Na Boga, chyba jestem niespełna rozumu! — pomyślała. Może to te urodziny dobiły mnie bardziej, niż przypuszczałam. Milczała przez chwilę.

— Nie cierpię, kiedy wydajesz mi polecenie ujęcia czegoś

w czterech słowach — powiedziała, po czym wzięła głęboki oddech. — Pozwól, że cię o coś zapytam: po jakim czasie zanurzony w wodzie samochód pokrywa się rdzą?

— Hmm? — Z ustami pełnymi brokułów Bob przerwał na chwilę żucie i zmarszczył czoło.

Nareszcie zwróciła na siebie jego uwagę!

— Okay — powiedziała. — W czterech słowach: wjechałam samochodem do basenu.

Bob z trudem przełknął. Sylwia daremnie próbowała sobie przypomnieć zasady sztucznego oddychania na wypadek, gdyby brokuły utknęły mu w gardle.

— Co... dlaczego, do diabła?! Żartujesz...? — wykrztusił. Wreszcie s ł u c h a ł. Nie mówiła bowiem ani o Hawajach, ani

o urodzinach, ale o samochodzie. Tyle że teraz ona nie chciała mówić. Czy nadal sobie życzy, żeby zmieściła się w czterech słowach? Policzyła na palcach.

— Złe samopoczucie. Pomyliłam zakręt.

Bob odłożył widelec i powoli podniósł się z miejsca. Sylwia zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od miesiący widzi jego powolne ruchy. Ostatnio stale był w biegu, stale w drodze do wyjścia.

— Twój samochód? Nasz basen? — zapytał. Wydawało się, że odtąd i on będzie posługiwał się czterema słowami.

W milczeniu pokiwała głową. Obserwowała go. Jak lunatyk podszedł do kuchennego okna i wyrżał. Zapadł już zmierzch. Niebieskawy basen z wystającym z niego samochodem wyróżniał się w tle połyskującą powierzchnią.

Bob zamarł w bezruchu przy oknie. Stał tyłem do Sylwii, z rozłożonymi szeroko rękami, które przypominały jej dwie leżące na ladzie płastugi. W kuchni panowała cisza. Sylwia słyszała cichy pomruk zamrażarki. Bob stał przez chwilę ze wzrokiem wbitym w basen.

— Dlaczego, na Boga, to zrobiłaś? — zapytał pełnym zdumienia głosem. — To wariactwo!

Sylwia zwiesiła głowę. Nagle opuściła ją złość. Poczula się jak przedszkolak — niedobry i nieszczęśliwy — jak Kenny w swoich najgorszych chwilach.

— Może po prostu chciałam, żebyśmy mieli o czym rozmawiać? -wyszeptala z trudem.

Bob na ułamek sekundy odwrócił się od okna. Po czym, nie

mogąc widać oderwać oczu od niecodziennego widoku, skierował wzrok na samochód.

- Mamy wiele tematów do rozmów: Kenny, Reenie... - rzekł wyraźnie zaskoczony. - Foldery z Hawajów... - dodał bez przekonania.

Sylwia uniosła głowę. Bob wyglądał jak zahipnotyzowany; widziała, z jakim wysiłkiem oderwał oczy od okna. Jego głos był chrapliwy. Od brokułów albo z emocji.

- BMW pód wodą. To jest... to jest nie w porządku - powiedział. W świetle kuchennej lampy dostrzegła jego zaszokowaną twarz. - Nie wyobrażam sobie, co bym czuł, gdyby to było moje Śliczne Małeństwo.

- Nie czuję się aż tak związana z samochodem jak ty. Nie dotarł do niego jej sarkazm.

- Ale dlaczego, Sylwio?! Dlaczego? Wiem, że jesteś... spontaniczna. No wiesz taka... w stylu Lucy Ricardo*. Może czasami trochę zbyt... no, narwana. Ale przecież nam nie zdarzało się dotąd nic takiego....

Popatrzyła na niego ze łzami w oczach.

- Bob, w ogóle nie czuję, że istnieje jakieś „my”.

- Nie bądź niemądra. Jesteśmy małżeństwem; nie może już być bardziej „my”. - Odszedł od okna i od porażającego widoku. Jeszcze raz objął ją swym niedźwiedzim uściskiem. Następnie ujął za rękę i wyprowadził tylnymi drzwiami na dwór. Zastanawiała się, kiedy ostatni raz trzymali się za ręce. Nie mogła sobie przypomnieć. Poprowadził ją przez patio na trawnik.

Niebo nie było jeszcze atramentowociemne, w przeciwieństwie do krzewów i zarośli, a ogród na tyłach domu sprawiał wrażenie pomalowanego wieloma odcieniami indygo. Kiedy kupili tę posesję, dziedziniec za domem był wielkim zapuszczonym terenem, na którym rosła jedynie wątła araukaria, a wokół ogrodzenia pojedynczy rząd brzydkich chryzantem. Od tamtego czasu wiele jednak dokonali. Krzewy i wiecznie zielone rośliny, które posadzili z Bobem, utworzyły w ciągu piętnastu lat przytulne zakątki, a kwiaty, o które ona dbała, miały się doskonale. Sylwia podniosła głowę.

* Postać ze słynnej telewizyjnej komedii amerykańskiej z lat pięćdziesiątych (przyp. tłum.).

Na niebie jaśniała tylko jedna gwiazda, która wraz z poświatą księżyca na białych bratkach stanowiła jasną plamę w ciemności. Pośrodku ogrodu połyskiwała błękitnawo woda basenu oraz srebrzysty kształt samochodu.

Stojąc obok żony, Bob wpatrywał się w kabriolet. Lśniąca metaliczna szarość podwozia skojarzyła się Sylwii z tułowiem rekina.

- Nie straciłaś panowania nad kierownicą? — zapytał. — Nic nie nawaliło?

- Nie - odpowiedziała. Nic poza mną - pomyślała.

- Nie pojmuję, jak mógł ci się zdarzyć taki wypadek?!

- Bob, to nie był wypadek. - Zamierzała opowiedzieć o swoich odczuciach, o prezentach i o braku jego zainteresowania, kiedy odezwał się.

- Rozumiem — powiedział.

- Naprawdę? - Nie wierzyła własnym uszom. Nieoczekiwanie jej desperacki gest dotarł do niego. - Naprawdę rozumiesz? - spytała.

- Oczywiście.

Sylwia poczuła błogą ulgę. Wtedy Bob odezwał się znowu:

- No cóż, Sylwio, w ostatnim okresie musiałaś zmierzyć się z nową sytuacją: czterdziestymi urodzinami, wyjazdem obojga dzieci. Sądzę, że powinnaś pomyśleć o pomocy lekarskiej.

- Pomocy lekarskiej? - powtórzyła jak echo. - Co masz na myśli? Psychiatrę?

- Nie, nie. To znaczy jeszcze nie. Dopóki sama do tego nie dojrzejesz. Uważam po prostu, że zanadto ulegasz nastrojom, jesteś przybita. Może powinnaś porozmawiać z Johnem. Zrobić podstawowe badania.

- Czyżbyś znowu oglądał ukradkiem program poświęcony zdrowiu? - warknęła Sylwia. - Bob, tutaj nie chodzi o poziom moich estrogenów. Chodzi o nasze wzajemne porozumienie, a raczej jego brak.

Bob wciąż wpatrywał się w basen.

- Chryste! Czy Rozalia to widziała? Czy twój tata już wie? No cóż, rano przy musli i soku śliwkowym całe Shaker Heights będzie o tym mówić.

- I co z tego? - zapytała Sylwia. - Ważne jest tylko to, o czym my rozmawiamy. Albo nie rozmawiamy. Bo przecież nie rozmawiamy.

Odwrócił się ku niej, położył ręce na jej ramionach. Zadrżała. Były takie ciepłe w porównaniu z chłodnym jesiennym powietrzem.

- Posłuchaj. Będę z tobą rozmawiał o wszystkim, o czym tylko zechcesz - obiecał łagodnym głosem.

Sylwia wzięła głęboki oddech, nie zdążyła się jednak odezwać, ponieważ Bob ciągnął swą myśl:

- Teraz nie mam czasu. Muszę być na tym spotkaniu, ale jutro wieczorem, podczas kolacji, porozmawiamy o wszystkim. Obiecuję. To twoje urodziny, nasz wieczór. - Ujął Sylwię pod ramię i oddalił się od krawędzi basenu. - Zajmę się autem. Nie przejmuj się tym. Zaraz będzie weekend, a wtedy porozmawiamy. Tylko... -Zawiesił głos. - Umów się z lekarzem. To nie boli. - Szybkim krokiem przemierzył patio, otworzył siatkowe drzwi. Pomógł żonie wejść po schodach, jakby była inwalidką, po czym zamknął drzwi od zewnątrz. - Muszę lecieć - powiedział. - Ale nie przejmuj się. Porozmawiamy.

Sylwia oparła rękę o siatkę drzwi, które dzieliły ją od męża. Wiedziała już, jak musiała czuć się Rozalia, gdy odcięto jej drogę do pokoju. Zaczęła mówić do Boba... No właśnie, mówiła coś do niego, ale on zniknął w ciemnościach. Już nigdy nie będzie z nim rozmawiać. Przyrzekła to sobie. Opuściła rękę, odwróciła się od drzwi i zaczęła zbierać ze stołu swoją nietkniętą kolację.

Bob Schiffer przebył Longworth Avenue i wjechał na teren firmy Crandall BMW. Samochody lśniły w słońcu i choć dzień był wspaniały, Bob czuł się nieswojo, a nawet jeszcze gorzej. Jak długo będzie mu się udawało? Sylwia jest rozstrojona, a jego przyjaciółka, no cóż, naciska... Roger z działu konserwacji nakierował go na specjalne miejsce, zarezerwowane dla jego samochodu. Wóz zatrzymał się bezszmerowo, Bob wyłączył zapłon i poklepał tablicę rozdzielczą.

- Śliczne Maleństwo — powiedział, używając przyzwiska nadanego autu przez Sylwię. Wysiadł i ostrożnie zamknął drzwi. Zostawiając na dłużej samochód w słońcu, zwykle przykrywał go, ale tutaj kazał postawić specjalny daszek, nie było więc obawy, że lakier wypłowieje.

Firma dealerska Crandall BMW położona była na obrzeżach Shaker Heights. Jim Crandall, ojciec Sylwii, rozpoczął biznes prawie trzydzieści lat temu, w czasach gdy samochody marki „Beemer” były na głowę mercedesa, zarówno pod względem prestiżu, jak i sprzedaży. Walczył całymi latami, najpierw z Detroit, a później z importem japońskim. Wreszcie, kiedy zaprosił do interesu syna i zięcia, nastały dla niego dobre dni. Obecnie teren firmy zajmował sporą parcelę przy Longworth Avenue, a Jim był równie dumny ze starannie utrzymanego obiektu, soczystej trawy i postawionego na początku działalności budynku, jak i z nieliczych dochodów. Bob wiedział, jakim rozczarowaniem dla teścia stał się Phil, jego własny syn. Wiedział i to, że obecnie Jim traktuje go

raczej jak syna niż zięcia. Bob zaś, który stracił ojca w wieku dwunastu lat, traktował Jima jak ojca. Nic dziwnego! W końcu spędzał z nim więcej czasu niż Sylwia. Niemniej zdarzało się w przeszłości, że starszy pan potrafił nieźle zaleźć mu za skórę.

Właśnie w tej chwili Jim przemierzał plac. Jego siwe włosy połyskiwały złowieszczo w jesiennym słońcu. Perorował zawzięcie, zanim jeszcze do Boba mogły dotrzeć jego słowa.

- Pozwól, że przejdę od razu do rzeczy - mówił. - Wjechała samochodem prosto do basenu? - upewniał się.

Wielokrotnie zadał to pytanie przez telefon poprzedniego wieczoru i tego ranka.

Bob pokiwał głową.

- Prosto do basenu, Jim.

- Gdzie ona miała oczy?! I dlaczego pojechała za dom?

- Słuszne pytanie, na które nie znam odpowiedzi.

- Wariactwo! - warknął Jim. - Choć, prawdę mówiąc, twoja teściowa też nie umie prowadzić. Miała więcej stłuczek, niż bywa podczas zawodów rozbijania samochodów. No cóż, Sylwia nie odziedziczyła tego antytalentu po mojej rodzinie. Wszyscy Cran-dallowie potrafią prowadzić. - Bob zachował dla siebie uwagę, że Jim uczestniczył w wielu wypadkach. - Poczyniłeś odpowiednie przygotowania?

- Taa. Pracuję nad tym. Chyba odwołamy dzisiejszą sesję zdjęć reklamowych?

- Nie. Mam właśnie w związku z tym pomysł. Wykorzystamy samochód w basenie jako część kampanii reklamowej.

Bob spojrzał uważnie na teścia.

- Czy mokry beemer zachęcał do kupna? - zapytał. - Pamiętaj, że to już nie będzie jak ze starym volkswagenem. Ten samochód nie fruwa w powietrzu.

- No i co? Nie będziemy fotografowali w wodzie. Sfotografujemy go w powietrzu. Podczas wyciągania! Do licha!

Phil może nawet sklecić pod to jakiś dowcipny tekst. Dobry jest w tym! - Jim odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku biura. - Jeśli

'chodzi o mnie, gram po południu w golfa. Gdybyś mnie potrzebował, złapiesz mnie w klubie.

Dzień zapowiadał się wyjątkowo paskudnie. Rzecz w tym, że Jim był na tak zwanej półemeryturze i nigdy nie było wiadomo, kiedy pracuje, a kiedy ma wolne. Bob wzruszył ramionami. Wygląda na to, że tego ranka pracuje, co może oznaczać, że da się

wszystkim we znaki, zwłaszcza że przeprowadzana jest inwentaryzacja; przygotowują też promocję, sesję zdjęć reklamowych, a teraz jeszcze, jakby tego wszystkiego było mało, musi uważać, żeby nie podpaść Jimowi, a w dodatku zając się wypadkiem Sylwii. Jeszcze raz wzruszył ramionami i z kieszeni sportowej marynarki wyjął telefon. Wybrał numer. Zajęty. Nie znosił tego. Prawie dwutysięczny rok! Kto to słyszał, żeby trzeba było czekać na połączenie telefoniczne? Westchnął i zaczął wybierać inny numer. Należy do ludzi, którzy mają masę spraw na głowie.

Dźwig. Tak jest, dźwig... Ponieważ jest w basenie. Proszę mnie nie zmuszać, żeby musiał powtarzać dwa razy. W końcu dodzwonił się do firmy holującej wraki. Znajdował się w tej chwili w oddalonej części parkingu i doglądał Sama Grangera i Phila, którzy przeprowadzali inwentaryzację. To był pracowity poranek i tylko w dziale sprzedaży panował względny spokój. Między lśniącymi samochodami przechadzała się nieśpiesznie atrakcyjna kobieta w średnim wieku. Normalnie podszedłby do niej, ale kobieta nie wyglądała na osobę zainteresowaną kupnem. Skinął jednak na Phila.

— Dlaczego się nią nie zajmiesz? - zapytał. Phil pokiwał głową i ruszył w kierunku kobiety. Odkąd powierzono mu obsługę klientów, Phil zasmakował w nadarzających się podczas sprzedaży okazjach. Bob miał nadzieję, że nie potraktuje dosłownie jego sugestii.

Od czasu rozwodu Phil obarczał kobiety winą za całe zło świata. Nie przyjął do wiadomości faktu, że to on, zdradzając żonę, był przyczyną rozpadu małżeństwa. Ostatnio ubrdał sobie, że wszystkie kobiety lecą na niego. Bob spojrzął na szwagra. „Pomimo wyraźnych zatoczek na głowie, wydatnego brzuszka i marnego gustu w doborze strojów prezentował się wciąż nie najgorzej. Był facetem, który zamawiając na lunch hamburgera, na pytanie kelnerki, jak chce, żeby go przyrządzić, wpatrywał się w nią lubieżnie i upierał się, że jest to dwuznaczne pytanie. „Jak chce?” - powtarzał, trącąc zakłopotanego Boba, podczas gdy znudzona kelnerka spoglądała na parking. I za każdym razem po odejściu dziewczyny szeptał podekscytowany: - „Sam słyszałeś. Nie ja zacząłem. Jak ja chce? Dlaczego od razu nie wręczy mi klucza do swojego mieszkania? Mówię ci, one wprost nie dają mi spokoju”.

Kobieta oglądała naklejkę z ceną sedana. Z powodu słońca patrzyła na nią z ukosa. Phil przyjrzał się jej uważnie.

- Widziałeś? - zapytał Boba.

- Co?

- Jak na mnie spojrzała? Sprawdzała, co tam noszę! - zawołał chrapliwie.

Sam Granger parsknął śmiechem. Bob wzruszył ramionami. Phil stanowił zagrożenie dla siebie i dla innych. Może Potworna Rozalia jest wiedźmą, nie ulega jednak wątpliwości, że miała pełne ręce roboty z Philem.

- Phil, opanuj się - ostrzegł. - Pohamuj się, bo będę musiał powiedzieć ojcu.

- Też mi! Lepiej niech ona się pohamuje. Przepisy z zakresu molestowania seksualnego działają w obie strony, wiesz chyba o tym.

- Opanuj się, Phil. Postaraj się sprzedać samochód. Zadzwoił telefon komórkowy Boba. Wyciągnął go. Oddalił się od Sama Grangera i przyłożył słuchawkę do ucha.

- Halo, Bob Schiffer. Och! - Ściszył głos. - Witaj, Ptysiu. Nie mogę teraz rozmawiać. Naprawdę nie mogę. -

Rozejrzał się na boki. Phil opierał się o sedana, zagadując nieszczęsną kobietę, podczas gdy Sam wsunął się na przednie siedzenie innego auta. -Daj spokój, skarbie. Wiesz przecież, jak trudno mi stąd rozmawiać - mruczał Bob do słuchawki. Roześmiał się. - Zaśpiewać? Skoro nie mogę mówić, to jak mogę śpiewać? - Stale go rozśmieszała, ale po czterech miesiącach znajomości nadal nie był pewien, czy robiła to świadomie. I tak zresztą stanowiło to część jej wdzięku. - Ale to ty zadzwoniłaś. Piosenka nie będzie miała sensu, jeżeli ja ją zaśpiewam. Nie. Oczywiście, że to zrobię. W porządku, ale zaraz potem będę musiał już iść. - Bob zanucił do telefonu, po chwili zdobył się na odwagę i zaczął naśladować głos Steviego Wondera: „Właśnie dzwonię, żeby ci powiedzieć, że cię kocham... Właśnie dzwonię, żeby...”

Poklepany po ramieniu, podskoczył chyba ze ćwierć metra do góry. Za nim stał John Spencer, najlepszy przyjaciel Schifferów.

- Muszę iść... - syknął Bob do słuchawki. - Nie. Nie teraz. Proszę podstawić dźwig nie później niż o pierwszej - dodał swoim normalnym, rozkazującym tonem, po czym złożył aparat

i wsunął go do kieszeni. Odwrócił się do Johna najnaturalniej, jak tylko mógł i uściskał go serdecznie.

- Witaj. Jak się miewasz? John nie dał się nabrać.

- Co ci do tego, ty podstępny, obleśny skurczybyku. Święty Bob...

Bob zrobił zdziwioną minę, udając, że nie wie, o co chodzi. Kiedy John uniósł brwi, poczuł nagły skurcz żołądka.

- O co chodzi? To była Sylwia - oznajmił. John pokiwał głową.

- To, że jestem internistą, nie oznacza, że jestem idiotą. No więc jak, Bob? Gadaj. Nie umiesz udawać. Co tu jest grane, do licha?!

- Nic - odparł Bob, lecz wypowiedział to w taki sposób jak jedno z bliźniąt, kiedy miały po osiem lat. Spojrzał na niedowierzającą minę Johna. — Okay — poddał się. — Ale to nic poważnego. — Przygryzł wargę. - Nie chcę zranić Sylwii. Ty także, prawda?

John popatrzył mu prosto w oczy.

- Nie powiem jej, jeśli to masz na myśli, ale też nie będę kłamał. Ona także jest moim przyjacielem. Była moja dziewczyną, nim ciebie spotkała.

- Wiem, wiem. Ciągłe mi to wypominasz. Ale to tylko... przelotna sprawa.

- Rozumiem. Przelotna, ale niewybaczalna. Strapiony Bob wiedział, że nie ma nic na swoją obronę.

- I cóż? Phil podobnie robił. - Teraz mówił jak jedno z bliźniąt, kiedy miały po dziesięć lat.

- Też mi argument! - parsknął John. - Nie zapominajmy, że Phil jest sfrustrowanym, maniackalnym penisem przytrocznym do człowieka. I nie był mężem Sylwii.

Zawstydzony Bob odwrócił wzrok. Nora, żona Johna, umarła ponad trzy lata temu, i małżeństwo, nawet jeśli nie było idealne, pozostawało świętością w pamięci przyjaciela. Po śmierci Nory John poświęcił się bez reszty swojej praktyce lekarskiej, a także zajęciu ubocznemu - był trenerem drużyny sportowej. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że wdowieństwo pasuje do niego. Zdaniem Boba pławienie się żałobie sprawiało Johnowi pewną przyjemność. W Shaker Heights nie brakowało kobiet przygotowujących dla niego różne potrawy i zapiekanki, jak też zaprasza-

jących go w charakterze ekstrameżczyzny na przyjęcia; w rezultacie jego życie nie miało nic wspólnego z piekłem, jak je przedstawiał.

Natomiast ja jestem tego bliski - pomyślał Bob. Gdyby utracił Sylwię... Zamierzał zerwać z dziewczyną, nie wiedział jednak jak. Nigdy dotąd nie miał romansu na boku. Najlepiej uczciwie przyznać się do wszystkiego.

- Masz rację. Nakryłeś mnie - wyznał. - Nie wiem, co się dzieje. Jednego dnia jestem przyzwoitym facetem, a następnego zamieniam się w zdradzającego męża. - Przerwał. John przybrał sceptyczny wyraz twarzy, jakby nie wierzył w szczerść Boba. -Poczekaj. Jestem jeszcze gorszy. Jestem ścierwem. - John uniósł brwi. - Nie - poprawił się Bob. - Jestem ścierwem przeżartym przez robactwo. - John przytaknął kiwnięciem głowy. - Może moglibyśmy o tym porozmawiać, kiedy będziesz mnie odwoził do domu? - zapytał Bob. - Nie zasługuję na to, żeby siedzieć za kierownicą Ślicznego Maleństwa.

- Nie uważałbym lojalności wobec samochodu za sprawę najważniejszą.

- Proszę. Odwieziesz mnie?

- Nie ma sprawy. Nie sądzę, żeby mój samochód tak szybko przesiąknął zgnilizną.

Wsiadli do trzyletniego sedana Johna, sprzedanego mu przez Boba po zdjęciu auta z wystawy salonu samochodowego, co było prawdziwą okazją dla Johna. Wyjechali z parkingu. Bob chciał się odegrać. W końcu John jest tylko lekarzem, a nie sędzią.

- Nie powiesz, że tobie nigdy się to nie zdarzyło. Przy takim tłumie pacjentek! Nie mówię o tych wszystkich kobietach, które cię bałwochwalczo wielbią. Przysięgnij na pamięć Nory, że nigdy nic nie łączyło cię z inną kobietą.

- Nigdy z pacjentką. - John zjechał na pas do wyprzedzania.

- Ale jednak! No, no. Wyłóż kawę na ławę. Ty również nie jesteś bez winy.

John zawahał się.

- Tylko jeden raz - wyznał.

- Wyszło na moje! No widzisz? Nikt nie jest doskonały!

- Okay, ale byłem na rauszu. To zresztą żadne usprawiedliwienie. Odbywałem podróż służbową, a ta kobieta była farmaceutką, nie pacjentką. Pożałowałem zresztą, natychmiast.

- Nic trudnego! Ja także zawsze żałuję po fakcie.
 - Tak, ale to było dziesięć lat temu. Nora nie żyje od prawie czterech lat, a ja naprawdę ciągle źle się z tym czuję. - Bob poklepał go po ramieniu. - Przyjrzyj się własnemu szwagrowi -dodał John.
 - Na Boga! Czy muszę?
 - Chodzi mi o to, że zmarnował życie. Była żona go nienawidzi, dzieci odwróciły się od niego, a jego nie stać nawet na sandwicza z mięsem.
 - Ale ma coś na swoje usprawiedliwienie: był żonaty z Rozalią.
 - I co z tego?
 - Rozalia popchnęła go do zdrady. Natomiast ja po prostu wpadłem. Nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego mi się przydarzy - rzekł Bob. - Ta dziewczyna po prostu tam była, różowa i goła.
 - Różowa i goła w chwili, kiedy ją poznałeś?
 - No nie, ale chciała być... Do licha! Daj spokój. Myślisz, że chcę okłamywać własną żonę?
 - Nie, chłopie, nie myślę - John przemówił wreszcie życzliwym tonem.
 - W pewnym sensie moja sytuacja jest piekłem - powiedział ponurym głosem Bob.
- John pokiwał głową.
- Znam to.
- Uwagę Johna przyciągnęło mijające ich z prawej strony zielone BMW 530i.
- Ładny model - orzekł.
 - Zapomnij o nim - powiedział Bob. - To nie dla ciebie. Ma wnętrze z winylu. Jeśli chcesz zmienić wóz, wybierz coś lepszego.
- John przyznał mu rację skinieniem głowy. Wycofał się na prawy pas. Przed nimi jechała ciężarówka, którą John powinien wyprzedzić. Bob nie znosił siedzieć na miejscu pasażera.
- Wiesz, że Sylwia jest za dobra, żebyś ryzykował jej utratę.
 - Wiem - westchnął Bob. - Spójrzmy prawdzie w oczy: mężczyźni to świnię.
 - Najniższa forma ludzkości - zgodził się John.
 - Zgnilizna. - Bob postanowił zmienić temat. - Więc nie spotykasz się z nikim?
- John potrząsnął głową.

- Wiesz, że po odejściu Nory nie byłem w stanie nikogo widywać. Może to kara za tamten... epizod. - Z utkwionym w dal wzrokiem zastanawiał się przez chwilę. - W tym miesiącu obchodzilibyśmy dwudziestą rocznicę ślubu. W czasie trwania małżeństwa nie poświęcałem Norze wiele uwagi. Byłem zajęty studiami, specjalizacją, a potem praktyką. Chryste, ależ mężczyźni są durni.

- Owszem - przyznał Bob. - Ale kobiety są szalone.

John zahamował przed żółtymi światłami, przez które Bob przeskoczyłby bez wahania. Boże, jaki z niego ostrożny kierowca! Prawdę mówiąc, ostrożny we wszystkim. Bob zerknął na swojego kumpla, który zdawał się w tej chwili przybity.

- Nie wiedziałem, że już niebawem rocznica... Musi ci być ciężko — powiedział.

John pokiwał głową.

- Nielekko. Niełatwo żyć z poczuciem winy. - Spojrzał na Boba. - Wiesz, co mam na myśli?

Zmieniły się światła. John wciąż siedział zapatrzony przed siebie, wpatrywał się w coś, co tylko on widział, w jakąś migawkę z dawnych czasów. Bob pokazał palcem zielone światła, John ocknął się i ruszył.

- Wiem, że powinienem z tym skończyć - zwierzał się Bob. - Przy najbliższej okazji.

- Takie okazje to tylko wybieg - orzekł oschle John. Bob dał przyjacielowi kuksańca w ramię.

- Skończ już z tym! Znam twój punkt widzenia. Moim zadaniem na dzisiaj jest rozweselenie cię. Pora na zmiany.

Zmienisz samochód na nowszy, bardziej błyszczący model. To właśnie to, czego potrzebuje mężczyzna, który medytuje nad swoją naturą. Chcę ci zaproponować niewiarygodnie korzystny interes. W hołdzie dla Nory. - Przerwał na chwilę. - Ale wyświadczyć mi drobną uprzejmość.

John wzruszył ramionami. '- Jestem do twoich usług.

- Czy znalazłbyś czas, by spotkać się z Sylwią? Nic poważnego, ale pogadaj z nią. Dobrze?

- W jakim celu?

- Żeby przepisać jej hormony czy coś innego. Ona nie jest sobą. Szczerze mówiąc, jestem zaniepokojony.

— Hormony? Dlaczego? Nie jestem ginekologiem. A oni muszą najpierw zrobić badania krwi. Nie jestem zwolennikiem mocnych środków. To nie cukierki.

— Stary, nie chciałem cię urazić...

— A poza tym, co ci się nie podoba w Sylwii? Jediną chorą osobą jesteś ty. Z Sylwią wszystko w porządku. Obaj o tym wiemy.

— W porządku? Powtórzyłyś to, gdybym ci powiedział, że wjechała wczoraj swoim nowym samochodem do basenu?

Zadzwoił komórkowy telefon Boba. Wyjął go i otworzył, podczas gdy John wytrzeszczał ze zdumienia oczy. Bob wolałby, żeby patrzył na szosę, a nie na niego.

— Tak? — warknął do słuchawki. - Uff. W porządku. Dźwig jest w drodze. Tak. Niech jedzie prosto na dziedziniec na tyłach domu. Inaczej nie mógłby dotrzeć do basenu! — Westchnął głęboko. — Proszę, tylko nie każcie mi tego tłumaczyć jeszcze raz. — Kiedy schował słuchawkę, popatrzył na Johna, który nie przestawał kręcić głową.

— Wjechała samochodem do basenu? — zapytał. Przez chwilę, kiedy John jechał powoli, zbyt powoli, przez

Highland Heights, obaj milczeli. — Czy nie sądzisz, że twoja przygoda może mieć wpływ na samopoczucie Sylwii?

— Sylwia nic o tym nie wie! — wybuchnął Bob.

— Nie żartuj, Bob. Jeśli to nawet jeszcze do niej nie dotarło, to i tak wkrótce się dowie! Shaker Heights jest małym miasteczkiem. Nie słyszałeś nigdy o podświadomości? Sylwia musi wiedzieć, że coś jest nie w porządku. Że nie wspomnę o dziewczynie. Mogła zadzwonić do niej. Skąd wiesz, że nie zrobiła tego?

Bob poczuł skurcz w żołądku, ohydny smak żółci podszedł mu do gardła.

— Powiedziałem jej, żeby nawet nie śmiała rozmawiać o Sylwii, a co dopiero z nią!

— No cóż, mam nadzieję, że jest posłuszna — powiedział John. — Przypominam ci jednak, że jeżeli dotrze to do masonów, zostaniesz wydalony z loży, czy co tam oni robią z okrytym niesławą współbratem.

— Kto by się tym przejmował? Historia z lożą to tylko kamuflaż. Ułatwia mi wieczorne wyjścia. Boże, ale ze mnie palant! Nie,, jestem największym kutasem na świecie! — Bob wyjrzał przez

okno. - Pomyśl o największym kutasie świata i podnieś to do potęgi dziesiątej. To ja. Jestem tysiącrotnym kutasem!
- Nie bądź taki zarozumiały - poradził John. - Jesteś po prostu pospolitym cudzołożnikiem. Widuję takich codziennie. Akurat twój palant przejął teraz dowodzenie nad twoim życiem. Równie dobrze mógłbym mówić do niego.

Bob ponuro pokiwał głową.

- Masz rację. On jest głównodowodzącym. - Westchnął. -Wiesz, co bym chciał? Żebym go mógł zdjąć ze stanowiska. Albo zwyczajnie uciąć. Albo jeszcze lepiej, żeby mi odpadł. Rujnuje mi życie!

John parsknął śmiechem.

- Bob, eunuchy nie są szczęśliwymi facetami. - Skręcił w bok, a Bob odruchowo wcisnął stopę w miejsce, gdzie po przeciwnej stronie znajdował się pedał hamulca.

- Chciałbym zobaczyć, jak postępują prace - powiedział, gdy John skręcił w stronę podjazdu.

Kiedy podjechali pod dom, zaułek przypominał raczej wykolejony pociąg cyrkowy aniżeli spokojną podmiejską uliczkę.

- Wygląda na to, że mój szwagier już się wszystkim zajął -stwierdził Bob.

Phil gestykulował szaleńczo, jak gdyby udzielał lekcji równoległego parkowania albo kierowania dźwigiem.

- Zostawmy go lepiej w spokoju. A ty, Bob, pomyśl o tym, co ci powiedziałem. Twoje życie staje się nie do zniesienia.

- No, nie jest tak źle, ale biorę Boga na świadka, że kończę z tą... No wiesz - przyrzekł Bob. - Sylwia zasługuje na lepszy los. - Popatrzył na kumpla. - Jak myślisz, czy kiedykolwiek wybaczę sobie ten skok?

- Myślę, że jakoś ci się to uda - powiedział John i roześmiał się. - Ucałuj ode mnie Sylwię. Bo jeśli nie, to sam to zrobię.

Bob wysiadł z samochodu. Zarówno podjazd, jak i trawnik zastawione były przyczepami, dwiema furgonetkami i dźwigiem. Wokół kręciło się mnóstwo ludzi. Udał się na tył domu, ściskając każdego po drodze. Phil był już w pobliżu basenu i gapił się na wyciągany kabriolet. Bob bez zainteresowania popatrzył na wiszący na wysięgniku samochód. Może rzeczywiście jego życie jest nie do zniesienia.

6

Tego dnia Sylwia miała pełne ręce roboty. Lekcje następowały jedna za drugą, chciała także — co było dla niej znacznie ważniejsze — nakłonić Boba do rozmowy i wyjaśnić mu przyczynę przeobrażenia swojego samochodu w amfibię. Ale z tym będzie musiała poczekać do wieczoru. Na razie próbowała skoncentrować się na Lou, swoim najstarszym uczniu. Siedział przy fortepianie i nieudolnie, jakby to była jego piąta, a nie pięćdziesiąta piąta lekcja, brnął przez melodię *Już nie przynosisz mi kwiatów*. Lou od wielu miesięcy przychodził na lekcje dwa razy w tygodniu, nie dlatego, że palił się do gry. Lekcje przepisał mu lekarz. A ponieważ był to John Spencer, Sylwia nie mogła odmówić. Po przejściu na emeryturę Lou przeżywał trudny okres. Słuchanie go było z kolei trudne dla Sylwii, zawsze jednak próbowała mu dodać otuchy.

Lou opuścił dwie nuty, potknął się na krzyżyku, przerwał grę i spojrzał bezradnie na swą nauczycielkę.

- Nie potrafię — oznajmił i opuścił ręce.

- Ależ potrafisz - zapewniła go Sylwia i podeszła do fortepianu.

- Nie. Nie potrafię. I to była moja ostatnia próba. W życiu już nie siądę do instrumentu.

- Nie zapomniałeś wziąć dzisiaj lekarstwa, Lou? - zapytała Sylwia.

- Nie. Ale jaki z niego pożytek, jeśli mimo leków antydepresyjnych nadal cierpię na depresję? - odpowiedział, wzruszając ramionami.

Kątem oka Sylwia dostrzegła ruch za podwójnym dużym ok-

nem. Litości, byle nie Rozalia! - pomyślała. Położyła rękę na ramieniu Lou, chcąc podtrzymać go na duchu. Wtedy znowu coś mignęło. Tym razem spojrzała w porę. Na dziedzińcu za domem strategicznie rozstawiona ekipa usiłowała kierować jakąś wielką maszyną wzdłuż ogrodzenia. Maszyna maszyną, ale Sylwia musi się skoncentrować na Lou, wykrzesać z siebie maksimum entuzjazmu.

- Posłuchaj, Lou. Wszyscy mają trudności w okresie przejściowym: począwszy od ludzi samotnych po małżeństwa, od bezdzietnych par po wielkie rodziny. Ciężko jest, kiedy dzieci opuszczają dom, ciężko po przejściu na emeryturę. Ale zmiany są solą życia.

- Taak? To dlaczego nie ma radosnych piosenek na temat klimakterium? Poczekaj trochę. Inaczej jeszcze zaśpiewasz. - Lou westchnął, po czym, jak gdyby grał, zaczął poruszać palcami nad klawiaturą. Sylwia była przekonana, że chce jeszcze spróbować, tymczasem on zacisnął naraz dłonie i kciukami zaczął walić w klawisze. Delikatnym, ale stanowczym ruchem oderwała jego ręce od cennego Steinwaya i zamknęła instrument.

- Lou, czy nie myślałeś o jakiejś wycieczce? - zapytała, poklepując go serdecznie po ramieniu.

- Jestem na to za stary - odparł. - A poza tym kto miałby ochotę umierać na jakimś obcym materacu? - Siedział nieruchomo.

Sylwia wróciła do okna. Nie próbowała już wydobyć Lou z ponurego nastroju, przyglądała się gorączkowemu ożywieniu na podwórzu. Po chwili Lou otworzył fortepian, zaczął grać i na krótko złapał melodię. Sylwia pomyślała o Bobie. Już nie przynosił jej kwiatów... Zamyśliła się i oparła o framugę drzwi.

Klasyczny utwór - sonata Schuberta - był grany stanowczo za szybko. Sylwia skrzywiła się, ale nadal spoglądała przez okno. Teraz na brzegu basenu stał dźwig. Wokół uwijał się jak w ukropie tłum operatorów filmowych, przygotowujących się do czegoś w rodzaju sesji zdjęciowej. Czyżby jej samochód miał się pojawić w wiadomościach lokalnych? Odwróciła się i przeniosła spojrzenie na swoją grającą z zapamiętaniem dwunastoletnią uczennicę. Czy to aby nie nadmiar witamin?

- Zwolnij. To nie wyścig, Jennifer.

Dziewczynka podniosła głowę. Choć starała się nie dać tego po sobie poznać, widać było, że nawet tak powściągliwa krytyka działa na nią deprymująco. Jennifer celowała już w gimnastyce, w tenisie, przewodziła też w dziewczęcej drużynie pływackiej. Nic dziwnego, że tak pędzi. Ma masę zajęć, a we wszystkim chce być doskonała.

Sylwia skoncentrowała się na uczennicy. Odeszła od okna, położyła dłoń na jej ramieniu i przemówiła, by jej nie urazić.

- Zagraj to tak, jakbyś była po raz pierwszy zakochana - poradziła i usiadła do fortepianu. Grała Schuberta subtelnie, wydobywając z sonaty całą jej tęsknotę i romantyzm. Poddała się urokowi utworu. - Wczuj się w to, Jennifer.

- Nie mam pojęcia, o co w tym całym uniesieniu miłosnym chodzi. - Jennifer opadła na taboret ciężko, niczym worek pełen bielizny do prania.

- Dowiesz się - zapewniła ją Sylwia. Patrząc na sceptyczną minę dziewczynki, ciągnęła: - Miłość rozbudza zmysły i sprawia, że robisz rzeczy, które cię zadziwiają. - Zniżyła głos. - Czujesz się tak... dobrze. Będziesz zdumiona. Ale nie wolno się śpieszyć. - Po czym, jak gdyby przebudzona ze snu, uświadomiła sobie, jak bardzo niestosowne są jej słowa. Aby naprawić błąd, uśmiechnęła się promiennie i przybrała godną, stosowną dla nauczycielki, minę. - Nie ma zmartwienia, Jennifer, poczujesz wszystko przy pierwszym pocałunku. - Odeszła od fortepianu i znowu wyjrzała przez okno. — Spróbuj jeszcze raz — poleciła.

- Byłam już ze trzy razy całowana - oświadczyła Jennifer, wciąż broniąc swojej pozycji, po czym ponownie zaczęła grać jak automat.

Sylwia odwróciła się ku niej.

- Może przydałby ci się lepszy pocałunek? - zapytała. Jennifer zachichotała, ożywiła się i zwolniła tempo. Dobrze. Biedne dziecko. Sylwia pragnęła, aby jej lekcje sprawiały uczniom radość, a Jennifer niewątpliwie miała talent. Nie umiała tylko go wykorzystać. Kiedy dziewczynka skończyła sonatę, nic omieszkała jej pochwalić. Tymczasem ogród przypominał już cyrk.

- Podejdź tu i popatrz — powiedziała.

Obie wyjrzały przez okno. Dźwig, który zrył już dokumentnie trawnik, stał obok basenu. Mężczyźni w kaskach wykonywali jakieś gesty, z czego jeden z nich sprośne.

- Jakim cudem pani samochód tam się znalazł? - spytała Jennifer.

- Nie wiem. Może miał ochotę popływać?

Jennifer chichotała, dopóki na ścieżce nie pojawiła się jej matka. Pani Miller wkroczyła przez duże balkonowe drzwi i stanęła obok Jennifer i Sylwii. Była typową reprezentantką zamożnej dzielnicy willowej; musiała mieć nie tylko wszechstronnie uzdolnione dzieci, musiała także być we wszystkim dokładnie zorientowana.

- Przepraszam, trochę się spóźniłam - oznajmiła, ale w jej głosie nie słychać było skruchy. - Na podjeździe panuje ogromne zamieszanie. Jak poszła lekcja? - zapytała z ożywieniem.

Jennifer oderwała oczy od dźwigu i spojrzała na matkę.

- Pani powiedziała mi, że muszę się lepiej całować. A więc może z językiem?

Kobieta zrobiła wielkie oczy i zgorziona spojrzała na Sylwii. Wyśmienicie - pomyślała Sylwia. Potrząsnęła głową.

- Nie, Jennifer, ja tego nie powiedziałam. Nie rozmawialiśmy o szczegółach - zapewniała panią Miller. -

Rozmawialiśmy natomiast o tempie. - Uniosła brwi i zniżyła głos. - Sądzę, że powinna pani zwrócić uwagę, co córka ogląda w telewizji.

Spacyfikowana matka ujęła Jennifer za ramię i wyszła.

Sylwia udała się na tył domu, gdzie roiło się od ludzi. Phil wrzeszczał na chłopaka z wideokamerą. Sylwia miała wrażenie, że znalazła się na planie jakiegoś zwariowanego filmu.

- Co to wszystko znaczy? - zwróciła się do brata.

- Robimy sesję zdjęć reklamowych.

- Tutaj? W moim ogrodzie?

- Tak. Przerzuciłem ekipę. Mieliśmy to robić na parkingu firmy, ale tu będzie lepiej. Czekamy tylko na Boba. - Phil roześmiał się i spojrzał w stronę garażu, skąd, ku zdumieniu Sylwii, wyłonił się jej mąż, starannie uczesany przez fryzjerkę. - Istny Harrison Ford reklamy samochodów. - Phil uśmiechnął się głupawo. Następnie odwrócił się do siostry. - Nieźle załatwiłaś kabriolet - oznajmił. - Papić uważa, że miałaś wyjątkowe szczęście. Baba za kierownicą!

- Potrząsnął ironicznie głową.

Nadszedł Bob. Sylwia łypnęła na jego starannie uczesane włosy. Zakłopotany, uśmiechnął się.

- Hej, Bob! Masz... - zaczął Phil, ale, jak przystało na dumnia, zaplątał się w kablu, po czym rozejrzał się w poszukiwaniu ofiary,

na którą mógłby to zwalić. Oczywiście, zauważyła Sylwia, wypatrzył ładną, piegowatą, o kasztanowych włosach jedyną kobietę w zespole. — Hej! Ruda! Czy w ten sposób podrywa się przystojnego faceta? — krzyknął. - Daj lepiej ogłoszenie towarzyskie! -Zerknął na Boba. — Makijaż! Potrzebny jest makijaż! — Kobieta, którą przed chwilą zrugął, podniosła pudło z zestawem do makijażu i ruszyła w ich stronę.

— No, jestem pewien, że wykona teraz świetną robotę — powiedział Bob do szwagra, uśmiechając się znowu do Sylwii.

Nie odezwała się. Kiedy przygotowywano Boba do nagrania, odeszła.

— Okay, okay, słuchajcie, narodziła się gwiazda! — krzyknął Phil do załogi.

Mój brat to palant - pomyślała Sylwia.

Phil przysiadł na piętach, by porozmawiać z Bobem.

— Wiesz, o co nam chodzi. O zwykłe picerstwo. - Phil zamarł w niewygodnej pozycji. Musiał zobaczyć to samo co Sylwia -wystającą znad żywoplotu twarz Rozalii. — Zabieraj głowę i nie pokazuj się w kadrze, bo powędrujemy znowu do sądu! — ryknął.

Rozalia zniknęła. Biedna Rozalia. Zawsze była gruboskórna i jazgotliwa, ale żadna kobieta nie zasłużyła na Phila. Sylwia ponownie spojrzała na męża, którego, upudrowanego, doprowadzono teraz na wyznaczone miejsce. Phil podał mu scenariusz. Choć Bob był z tym wszystkim obyty, wyglądał na zdenerwowanego. Przyjrzała mu się uważniej. Naprawdę wygląda jakby trochę inaczej... Nie tylko za sprawą makijażu. Podeszła bliżej.

— Sylwio, wiem, że jesteś... - zaczął Bob. Z tyłu nadszedł Phil.

— Opanowałeś swoją kwestię? - zapytał. Bob wykonał ruch zniecierpliwienia.

— Nie sądzę, żeby trzeba to...

Phil, pokurczowaty Quentin Tarantino, był w swoim żywiole. Kiedy kręcili spoty reklamowe, tracił dystans i niemal identyfikował się z autorem.

— No, żywo, Bob, z temperamentem! — powiedział. — Hej, ludzie! Robimy to za pierwszym ujęciem albo będzie krewa - zawołał.

Sylwia ujrzała, jak jeden z członków ekipy przewraca oczami. Zrobiło jej się wstyd za brata. Bob odwrócił się do kamery.

To wszystko? Czy poświęcił jej dość uwagi, po tym, co zrobiła, po czymś tak szalonym, tak skandalicznym jak utopienie samochodu w basenie? Czy odebrał to tak, jakby wrzuciła paczek w olej? Czy już pogodził się z jej zuchwałym czynem? Przetworzył go na swój sposób i poszedł dalej, pozostawiając ją odrętwiałą, niezdolną do normalnego funkcjonowania?.

Nie wiadomo jak, dosłownie w ciągu nocy, obrócił całe jej zmartwienie, rozterkę, ból na własną korzyść, a w każdym razie -reklamę! Nic dziwnego, że został przewodniczącym Klubu Rota-riańskiego i stanął na czele Izby Handlowej!

Stała jak sparaliżowana, kiedy „szef” Phil dał znak Bobowi, że zaczynają. Ocknęła się z transu i ruszyła w kierunku męża. Rozalia, wraz z inną sąsiadką i kilkorgiem dzieci, oderwała się od swojego ogrodzenia i przyłączyła do tłumu zgromadzonego wokół ekipy.

- Kręcimy! - zawołał operator. - Akcja! Bob zaczął swój tekst.

- Dlaczego umieściłem BMW w basenie? Zeby wam udowodnić...

- Bob...?

- Brawo, Sylwio! Schrzaniałś ujęcie! - wrzasnął Phil. - Chyba widzisz, że pracujemy!

- Bob... - powtórzyła Sylwia, nie zwracając uwagi na brata. -Nie umieściłeś samochodu w basenie.

- Wiem o tym, Sylwio, ale tak jest w scenariuszu. Phil wpadł między nich.

- Moja własna siostra zachowuje się jak typowa kobieta! - Dał znak ekipie, żeby zaczęli od nowa. - Sylwio, usuń się z kadru. Okay, zaczynamy od nowa. Rozalio, cofnij się! Nikt nie będzie miał ochoty oglądać twojej twarzy.

Rozalia wykonała nieprzyzwoity gest i odeszła dumnym krokiem. Solidaryzując się w myśli z bratową, Sylwia zignorowała Phila. Spoglądała jedynie na swojego męża.

- Bob, czy sądzisz, że zrobiłam to w celach reklamowych? ' - Nie.

- Och, daj spokój! - Phil trzepnął się ręką po biodrze. Gdyby był von Sternbergiem, użyłby bata. - Pozwolisz, że nakręcimy ten program, Sylwio!?

Sylwia nie ruszyła się z miejsca.

Nie przejmując się szwagrem, Bob patrzył żonie w oczy.

- Sądzę, że byłaś z jakiegoś powodu przygnębiona - rzekł.

- Nie domyślasz się z jakiego?

Phil puknął się w czoło, nie na tyle jednak mocno, jakby tego pragnęła Sylwia. Pokazał na zegarek.

- Nie pora teraz na małżeńskie czułości. Sylwia przeszła wzrokiem Boba.

- No więc, Bob? — nie ustępowała. Nie obchodził jej Phil ani też cała, zamarła obecnie w milczeniu, ekipa, jak i tłoczący się na podwórzu sąsiedzi.

Phil nieprzytomnym wzrokiem spojrzał na ekipę obserwującą scenę. Złapał siostrę za rękę.

- Czekaj! A może byś wystąpiła razem z Bobem? - zapytał nienaturalnie ożywionym głosem zrozpaczonego kłowna, któremu nie udało się rozbawić dzieci na przyjęciu urodzinowym. Ponownie zebrał grupę, po czym, przepraszającym tonem, ciągnął: - Kobiety też kupują samochody.

- Nie. Nie chcę... - Sylwia próbowała mu się wyrwać. Bob złapał ją za drugą rękę.

- No, chodź! Sama nas zawsze zachęcasz do spontanicznych reakcji. Zrzuć tylko buty, żebyś ich nie zamoczyła - poradził. - Robimy ujęcia od kolan. - Pociągnął ją w stronę kadru, objął mocno, po czym ujął ją za kark, chcąc ustawić przodem do kamery. Szamocząc się, spojrzała w dół i ujrzała podwinięte spodnie Boba i jego białe stopy. To nie do wiary! Nie mogła oderwać oczu. Zesztywniała i po raz kolejny stwierdziła, że nie może złapać tchu. Ręka Boba na jej ramieniu zdawała się nieznośnie ciężka.

- Przepraszam. Nie mogę - powiedziała przerażona i wyrwała się.

- N i e m o ż e s z ? Daj spokój, Sylwio. Od kiedy to masz tremę przed występem? - żartował Phil. Złapał ją za rękę.

- Nie o to chodzi. Zapomniałam o czymś, muszę iść.

- Dokąd? - dopytywał się Bob. Jak gdyby miał do tego prawo.

- Po prostu muszę. Muszę... - Czują wzbierające łzy. Nie mogła nic innego wymyślić, nie mogła kłamać, nie mogła tu zostać! Nie zniosłaby dotyku Boba. Poczwała się bezbronna i poniżona. - Muszę... zrobić pedikiur... albo cokolwiek - powiedziała i pobięła przed siebie.

7

Jim, ojciec Sylwii, siedział w swoim wysokim fotelu, z nogami na otomanie, i oglądał telewizję. Mildred, przestawiająca właśnie doniczki z fiołkami, dostrzegła, iż jedna z nich jest pęknięta. Zanotowała sobie w pamięci, by pokryć inną szkliwem. Miała przecież własny sklep z ceramiką. Spojrzała na męża, chcąc się przekonać, jak widzą go obcy. Jim nadal miał dobry wygląd, ale przybrał trochę na wadze i był już typem dziadka; facetem, który by mógł reklamować płatki owsiane w telewizji. Teraz jednak miał telewizor przed sobą, w ręku zaś pilota. Oglądał dokumentalny film stacji PBS o Dunkierce, a może to było Anzio - jeden z tych, który widział już chyba setki razy.

- Mildred. Spójrz na to!

- Proszę, zmień kanał. Denerwujesz mnie - odparła. - Nie cierpię, kiedy mówisz: „Kochanie, naziści wkroczyli do akcji”. Tak jakby mnie to mogło obchodzić!

- Sądziłem, że chętnie popatrzysz, jak obrywają.

- Jim, mnie to nie interesuje. Kobiety nie pragną oglądać drugiej wojny światowej, jeśli Gary Cooper nie gra roli oficera. Mógłbyś mi oddać pilota. Wznowili Angelę Lansbury.

Zanim połapał się, że się z nim droczy, odprawił ją machnięciem ręki.

- Kłóćmy się o telewizję od czasu jej wynalezienia - skomentował.

Mildred roześmiała się. Jim wyciągnął do niej rękę, nie zdążył jej jednak dotknąć, ponieważ na ekranie rozpętała się strzelanina. Odwrócił się w stronę telewizora i tylko poklepał Mildred po

plecach. Liczyła na więcej, tym bardziej że nie lubiła poklepywania. Nigdy nie lubiła. To było tak protekcyjne... „No już dobrze, staruszek”. Wróciła do swoich fiołków, ale rozległ się dzwonek u drzwi. Jim nie drgnął nawet. Otworzyła. W progu stała Sylwia; była w opłakanym stanie, nie mogła złapać tchu.

— Na Boga! Sylwio! Co się stało? Kolejny wypadek samochodowy?

Sylwia potrząsnęła głową, chciała coś powiedzieć, ale nie mogła dobyć z siebie głosu. Zerkając na boki, Mildred wciągnęła ją do środka. Nie było potrzeby demonstrowania dziwactw rodziny przed całą okolicą, nie mówiąc już o Rozalii Plotkarce.

— Oddychaj głęboko. O tak. Jeszcze raz - dyrygowała. — W porządku. Mów.

— Bob ma romans — wydusiła wreszcie Sylwia.

Przez parę chwil spoglądały na siebie w milczeniu, po czym matka potrząsnęła głową.

— Nie Bob. Przyznaję, że mam zwariowanego syna, ale nie zięcia. Jest w naszej firmie, a to ślepa uliczka. Skąd te podejrzenia? — spytała po krótkiej przerwie.

— Nigdy nie ma go w domu. Zbyt łatwo wybaczył mi sprawę z samochodem. Widziałaś ten dźwig, który sprowadził na dziedziniec? Korzystają z Philem z okazji i kręcą reklamę. Tatuś im podsunął ten pomysł.

— Co w tym dziwnego? — zapytała Mildred.

— Mamo, czy ty nie rozumiesz? Jeszcze trochę, a pozwoli mi prowadzić Śliczne Maleństwo. Coś jest zdecydowanie nie w porządku. W dodatku ludzie mówią mi, że widzieli nas ostatnio razem. Tyle że wymieniają miejsca, w których mnie nie było.

Czując zbliżające się palpitacje serca i kierując się przykładem Angeli Lansbury z *Morderstwa*, Mildred postanowiła odwołać się do praktycznych argumentów.

— To jeszcze o niczym nie świadczy, zbieg okoliczności — stwierdziła stanowczo. — Nie przedstawiłaś żadnego konkretnego.

— On sobie zrobił pedikiur! — wybuchnęła płaczem Sylwia.

— Pedikiur! Na Boga! - Mildred objęła córkę. A zatem to nie są urojenia. — Czy jest zrobiony fachowo? — zapytała, nie chcąc pozbawić zięcia ostatniej szansy.

Sylwia skinęła głową i wytarła nos w rękaw.

— Przez dwadzieścia jeden lat dźgał mnie tymi szponiastymi,

zagrzybionymi pazurami. A teraz, właśnie kiedy przestał na mnie zwracać uwagę, są krótkie i różowe.

- Ma fachowy pedikur? - powtórzyła oburzona Mildred. - Przecież śmiertelnie bał się skaleczenia... - mruknęła.

Sylwia rozplakała się na jej ramieniu.

- Wiem, że śpi z młodszą!

Mildred kołysała Sylwię w ramionach, nie powstrzymała się jednak przed wzruszeniem nimi.

- Oczywiście, że z młodszą! Nie sądzisz chyba, że mężczyzna zdradza żonę z tęsknoty za własną babcią?! - Rzuciła spojrzenie w kierunku męża.

Jim nadal tkwił w salonie, ze wzrokiem wbitym w ekran, na którym żołnierze amerykańscy padali na jakiejś plaży.

Był jak w transie. Gdyby w drzwiach pojawił się psychopata z puszką kwasu i nożem rzeźnickim, Mildred zostałaaby oślepią i zabita, podczas gdy Jim przeskakiwałby kanały w oczekiwaniu na koniec bloku reklamowego. Oto mężczyźni! Jaki z nich pożytek?

- To twoja córka - zawołała Mildred.

- Witaj, kochanie. Chcesz popatrzeć na nazistów?! - odkrzyknął, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Nie, skarbie. Musimy odbyć małą rozmowę - odpowiedziała Mildred. Nie była pewna, czy mąż ją słyszy, ale skoro nie drgnął nawet, ujęła córkę za ramię i poprowadziła ją na górę.

- Dokąd idziemy? - zapytała Sylwia, ocierając oczy rękami, tak jak to robiła, kiedy była mała.

- Wypłacz się solidnie. Położysz się do łóżka, a ja ci przyniosę poduszkę elektryczną. Potem porozmawiamy. -

Wprowadziła córkę do sypialni, posadziła na łóżku, następnie uklękła i zdjęła jej pantofle. - Połóż się - poleciła, co też Sylwia posłusznie uczyniła. Mildred podciągnęła kordonkową narzutę i opatuliła ramiona Sylwii w jej ulubiony sposób.

Obudziła się w swoim dawnym łóżku z baldachimem. Cały pokój zresztą nosił znamiona tamtych lat; nastolatka z lat sześćdziesiątych. Dom był duży i Mildred pozostawiła pokoje dzieci w nietkniętym stanie. Była więc półka z lalkami Barbie, a także błękitny telefon. Na dworze zmierzchało. Matka siedziała w półmroku na łóżku obok Sylwii, która powoli podniosła się i przeciągnęła.

— Która godzina? - zapytała.

— W sam raz, żeby skończyć z domysłami i spojrzeć prawdzie w oczy — odpowiedziała Mildred.

— Czy dźwig już odjechał?

— I dźwig, i twój samochód, a także twój brat i Bob. Wszystko było mokre i wszystko zniknęło - poinformowała Mildred. — Droga wolna.

Sylwia odrzuciła plecy i wstała.

— Dokąd się wybierasz? — zapytała matka.

— Do sąsiednich drzwi. Wracam do domu. Muszę przeprowadzić dochodzenie.

Siedziała w półmroku jadalni, przy biurku Boba. Dotychczas nie zdarzyło się, żeby otwierała jego szuflady. Teraz opróżnione były wszystkie przegródki i szuflady. Uniosła nawet wyściółkę, by pod nią zajrzeć. Wszędzie, na wierzchu biurka, na dywanie i na stole, leżały papiery, karteluski i kwity. Na dworze zrobiło się ciemno, ale Sylwia nie troszczyła się o włączenie światła. Nie musiała już niczego więcej przeglądać. To, co miała przed sobą, było nie tylko dowodem zdrady, ale swojego rodzaju samouczkiem popełniania cudzołóstwa. Drżały jej ręce, miała jednak nadzieję, że znalazłaby dość siły, by trafić Boba, kiedy pojawi się w drzwiach. Gdyby tylko miała kulę albo rewolwer, z którego mogłaby strzelić.

Nie wyceluje w serce ani w głowę - jest wściekła, ale nie szalona. Nie zamierza iść do więzienia. Postrzeli go tylko w nogi, w o b i e nogi. Będzie więc zraniony, ale nie tak jak ona. Kiedy się nieco wykrwawi i wykrzyczy, będzie się mógł na niej wesprzeć i dowlec do swojego pieprzonego samochodu, a kiedy będzie prowadziła, on zakrwawi całą tapicerkę. Pojadą do Johna, który ostrożnie wyjmie kule. Potem ona odejdzie od Boba. Może rozpocznie nowe życie w Vermont, razem z Reenie, a może sama, w Nowym Meksyku. Zawsze chciała zobaczyć pustynię. Ładny dom z wysuszonej na słońcu cegły, komosa i pies. Nie, dwa psy. Golden retrievery, suki. Postąpi jak Georgia O'Keefe* i może,

* Georgia O'Keefe, amerykańska malarka, słynna m.in. z ekstrawaganckiego życia w późnej starości (przyp. tłum.).

kiedy będzie miała dziewięćdziesiąt lat, u niej także zjawi się jakiś młody człowiek, a ona będzie gotowa, by spróbować jeszcze raz. Ale nie wcześniej.

Wstała i przeszła mrocznym korytarzem do pokoju muzycznego -jedyne miejsce, gdzie mogła znaleźć ukojenie. Usiadła w ciemnościach przy fortepianie. Rozległo się płynne glissando siedemnastego Mozartowskiego koncertu fortepianowego. Grała ten utwór na recitalu u Julliarda. Bob też tam był. Pamięta jego twarz, kiedy składał jej później gratulacje. Tego wieczora kochali się po raz pierwszy. Uwielbiał ją wtedy. Grała dobrze, ale teraz - samotna, w ciemnościach - wiedziała, że gra lepiej. Kilka razy zawiodły ją palce, ale uderzenie, tempo i włożone w muzykę serce były lepsze, prawdziwsze.

Kiedy usłyszała otwieranie drzwi, otrząsnęła się, opuściła ręce. Szok, wywołany nagłą ciszą, dodał jej energii, by stawić czoło mężowi. Czowała bolesne bicie serca w okolicy mostka. Ale w drzwiach stała matka z talerzem kanapek. - Nic nie jadłaś - przypomniała. - Musisz się wzmocnić. Sylwia zapaliła lampę, wstała bez słowa, wzięła matkę za rękę

i poprowadziła ją korytarzem. Po wejściu do jadalni Mildred potoczyła wkoło wzrokiem, wciągnęła głośno powietrze i postawiła kanapki po drugiej stronie założonego papierami stołu.

- O! - powiedziała tylko.

- Chcesz mieć dowód? - zapytała Sylwia. - Mam go. W nadmiarze.

- Gdzie jest Bob? - zapytała Mildred, wyciągając jedną z karteczek z dowodu rzeczowego oznaczonego literą A.

- Zostawił wiadomość. Rzekomo pracuje do późna, a następnie udaje się na specjalne spotkanie masońskie. Nie ma jednak żadnego „specjalnego spotkania”. Sprawdziłam u żony Burta Silvera. Podobnie jak nie było wczoraj. - Sylwia z powrotem usiadła za biurkiem. -Wiedziałam, że coś jest nie tak. To nie było zwykłe traktowanie mnie przez Boba.

To nowa, udoskonalona, ośmieszająca mnie zdrada. - Uniosła zmięty świstek papieru. - Popatrz na to - dodała.

Mildred przeszła przez pokój. Podniosła papier do oczu, lekko odsunęła, ale bez okularów nie mogła nic odczytać.

- Co to takiego? - zapytała.

- Kwit American Express z salonu jubilerskiego Weinera.

- To złodziej. Kupujesz u niego?

- Nie. Ja nie kupuję biżuterii. Ale k t o ś tam kupił naszyjnik -powiedziała ostrym, pełnym sarkazmu głosem. - Kto to mógł być? Zaczekaj! Spójrz! Kwit jest podpisany przez Boba. - Odwróciła się od matki.

- Może kupił spinki do mankietów? Wiesz, jak je lubi. Bez słowa wręczyła jej rachunek.

- Nie figurują tu żadne spinki do mankietów - wyjaśniła. -Naszyjnik. A możesz mi wierzyć, że od czasu collegeu Bob nie nosi żadnych paciorków.

Mildred spojrzała najpierw na paragon, a następnie na córkę. Usiadła ciężko u szczytu stołu na miejscu Boba.

- Może ten naszyjnik przeznaczony jest dla ciebie? Na urodziny?

- Dostałam już prezent. Zapomniałaś?

- No więc może dla Reenie. Na jej przyjazd do domu z okazji Święta Dziękczynienia?

- Nie wysilaj się i nie szukaj usprawiedliwienia dla niegodziwych postępów mojego męża! - oburzyła się Sylwia. - To zostało odesłane do panny Molensky.

- Panna Molensky? Czy to nazwisko jego przyjaciółki? -zapytała Mildred. - Brzmi, jakby chodziło o księgową.

Sylwia bez słowa wręczyła matce kolejny kwit.

- Oszczędź sobie domysłów. Czytaj i płacz.

- Od Szwajcarii?

Sylwia pokiwała głową i zakryła ręką usta, tłumiąc szloch. Ściskając w ręku koronny dowód wiarygodności zięcia, Mildred podeszła do córki.

- Och, skarbie. Tak mi przykro. - Popatrzyła uważniej i gwizdnęła na widok widniejącej na rachunku kwoty. - Mamy tu do czynienia z nie byle jaką bielizną!

Sylwia płakała już głośno.

- A ja noszę bawełniane majtki, które sobie sama kupiłam -szlochała.

Mildred westchnęła.

- Czy oni nie wiedzą, że w dużych domach towarowych udzielają rabatów? - zapytała. Poglaskała córkę do włosów.

- Jedną z różnic między mężczyzną a kobietą polega na tym, że my szcycimy się tanimi zakupami. Oni natomiast chełpią się drogimi.

- To nie jest jedyna z różnic - burknęła Sylwia. Wskazała ręką

na kartki i karteluszek. - Kobieta nie byłaby tak głupia, żeby telefonować do kochanka w Cleveland z własnego domu. A to jeszcze nie wszystko, mam. Kiedy przeglądałam papierki American Express, były wśród nich rachunki za kolacje, i to dużo. Nic dziwnego, że ludzie widują mnie w lokalach. Kwoty były wysokie. I dawał dwudziestoprocentowe napiwki. Mildred pokiwała głową.

- Bezsensowna ostentacja. Mężczyźni dają słone napiwki, by opłacić coś, czemu nie mogą sprostać. - Uniosła dwa kolejne rachunki. - A więc nie byłeś u Vica?

- Nie, ale Rozalia uważa, że widziała mnie tam.

- A cóż o n a tam robiła? - zainteresowała się Mildred.

- Umawia się na randki z facetem, który ma dziewięć palców u nóg. Pewnie on ją tam zaprosił. Tak czy owak, przekonałam cię? -zapytała Sylwia.

- O, tak - odparła Mildred. - Jestem optymistką, ale nie idiotką. - Potrząsnęła głową. - Bardzo zawiodłam się na Bobie. I co teraz?

Sylwia zastanawiała się nad tym samym. Wertując stertę dowodów zdrady męża, przeszła od stanu niedowierzania przez strach aż po rezygnację. Przebrnęła też przez wszystkie fazy, które Elizabeth Kubler-Ross opisała jako stadia akceptacji śmierci, ponieważ to, przez co przechodziła, było nie tylko poczuciem zdrady, ale i świadomości śmierci małżeństwa, i końca marzeń

o przyszłości. A przecież w głębi serca, pod warstwą optymizmu

i niewiary, tkwiło przeczucie, którego nie chciała dopuścić do siebie, a które ostrzegało, że coś jest nie w porządku. Tutaj, za biurkiem Boba, musiała nie tylko stanąć twarzą w twarz z brutalną rzeczywistością, musiała także podjąć decyzję, co dalej. Wiedziała na pewno, że nie potrafi udawać, że nie potrafi tego wybaczyć ani zwątpić, że to się wydarzyło.

- Sylwio? - Mildred mówiła łagodnym głosem. - I co teraz?

- No cóż, zanim coś postanowię, chcę ci pokazać jeszcze jedną rzecz - powiedziała Sylwia, a w jej głosie slychać było gorzyc. Z dolnej części biurka wyjęła małą paczuszkę i wręczyła ją matce. Mildred spojrzęła na trzymaną rękę prezerwatywy.

- Cóż.... Przynajmniej wiemy, że uprawia bezpieczny seks.

- Jedyne bezpieczny seks, jaki może mieć, to seks z e m n ą - powiedziała Sylwia. - A to się nie zdarzyło od pięćdziesięciu sześciu dni.

- Liczyłaś? - zapytała matka. - To zły znak. - Westchnęła. — Mój Boże, gdybym zaczęła liczyć, kiedy ostatni raz z twoim ojcem...

- Mamo, przestań! - Sylwia wstała, zgarnęła wszystkie dowody i wrzuciła do dużej koperty. Następnie ruszyła przez pokój.

- Dokąd idziesz? - zapytała Mildred.

- Na górę, spakować się.

- Spakować się? — powtórzyła jak echo Mildred, podczas gdy jej córka zniknęła w hallu. — Och, nie, Sylwio! Nie rób tego! -Pobiegła po schodach za córką. - Wystarczy, że mam jedną byłą synową w sąsiedztwie. Nie wolno ci opuścić domu. — Sylwia była już w sypialni i nim Mildred tam dotarła, zdążyła położyć na łóżku torbę podróżną. Wrzuciła nawet do środka kilka par bawełnianych majtek. — Sylwio, popełniasz błąd! Twoje życie jest tutaj! Sylwia otworzyła szafę, wyjęła bluzkę i kostium od Karen Kahn, którego nie nosiła od czasu ukończenia przez bliźnięta szkoły podstawowej, i wrzuciła do torby.

- Jakie życie? To nie jest życie. To hańba i wstyd! Muszę odejść. Poślubiłam mężczyznę, który nie tylko zdradza mnie i kłamie, ale w dodatku zaczął dbać o paznokcie u nóg! — Wiedziała, że jest równie wściekła na siebie jak na Boba, ponieważ tylko jakaś jej część coś podejrzewała, podczas gdy inna — ta głupia! — nie przyjmowała zagrożenia do wiadomości. Sylwia porwała z toaletki lampkę, wyjęła ją z kontaktu i również wrzuciła do torby. Mildred wyjęła lampkę.

- Nie sądzę, żebyś teraz miała dużo czytać, ale gdybyś chciała zapakować jakąś książkę, proponowałabym *Tydzień we Florencji*. Camilla Clapfish jest dobrą pisarką. Wie wszystko na temat wieku średniego.

- Nie! Będę zbyt zajęta wydzwanianiem do adwokatów - odparła z goryczą. — Wiesz, że chyba nawet cieszę się z mojego odkrycia? Jestem silna. Przeżyję. Zostanę adwokatem albo psychologiem sądowym, albo wyjdę za mąż za senatora. Nie! Sama zostanę senatorem, tyle że szczupłym. Zwiększę trzykrotnie cło na zagraniczne samochody. Ale dopiekę Bobowi!

- Ojcu także.

Sylwia nie zwracała na matkę uwagi.

- To mężczyzna, któremu ufałam. Żałuję tylko, że przed opuszczeniem go zrobiłam pranie!

Mildred przemierzyła pokój, otworzyła skórzane pudełko z kosztownościami Boba i potrząsnęła nim jak shakerem do koktajlu.

- To mężczyzna, który lubi mieć porządek w spinkach do mankietów - powiedziała, po czym otworzyła pudełko, wyjęła po jednej spince z każdej pary i przełożyła je do swojej kieszeni. - To go doprowadzi do szału. Posłuchaj, Sylwio. Jesteś rozgniewana, jesteś zraniona. Posłuchaj mojej rady: odegraj się. Wydawaj pieniądze, wrzeszcz, miej romans, jeśli musisz. Każ mu cierpieć, ale utrzymaj małżeństwo. - Spojrzała wymownie na córkę. - Znam Boba. Lubi ład i porządek, podobnie jak większość mężczyzn. A ty mu to zapewniasz. Nie jakaś tam kurewka - panna Molensky. Może traktuje to, co mu dajesz, jak coś oczywistego, ale potrzebuje tego. Po prostu przeczekaj.

Sylwia odwróciła się plecami do matki, dorzuciła do torby parę staników, a następnie fotografię bliźniąt.

Przyglądająca się temu Mildred potrząsnęła głową i otworzyła szufladę z koszulami Boba. Wszystkie jego świeżo uprane, wykrochmalone koszule były złożone i poukładane według kolorów. Miał fioła na punkcie koszul. Mildred wzięła kartonowe pudło, wyciągnęła usztywniacze z kołnierzyków i wymieszała wszystko, jak gulasz.

- Sylwio, schowaj swoje ubrania! - zarządziła.

- Mamo, nie masz pojęcia, jak ja się czuję. Nie mogłabym już zbliżyć się do tego łóżka i spać z Bobem.

- Och, bądźże realistką! - warknęła Mildred. - I tak nie sypiasz z nim od tygodni! Posłuchaj. Wiem, że przeżyłaś wstrząs. Przyznaję, że to okropne, ale nie wierzę, żeby mogło się zdarzać wcześniej. Znam Boba. I ty także. Nie ma więc podstaw, by przypuszczać, że powtórzy skok. Nie jesteś jedyną osobą, która musi borykać się z takimi kłopotami, wiesz chyba o tym. - Otworzyła szufladę nocnej szafki Boba, zaczęła wyjmować starannie zwinięte skarpety i mieszać je. Następnie zwinęła je ponownie, lecz nie do pary i położyła na poprzednie miejsce. W tym czasie Sylwia dorzuciła do swoich łupów album z fotografiami i przymierzała się do zapakowania doniczki z bożonarodzeniowym kaktusem. Mildred przysiadła na brzegu łóżka. - Sylwio, dokąd zamierzasz się udać?

- Czasy się zmieniły. Kobiety nie tolerują już takiego zachowania mężów. Nie zostają z nimi. Chcę spojrzeć mu w oczy, chcę go ukarać, a potem się wynieść.

- Posłuchaj, ten nastrój minie. Nie uciekaj. A poza tym nie oskarżaj Boba.
 - Chcę mu spojrzeć w oczy! I chcę go zranić, jak on zranił mnie. — Podniosła słuchawkę.
 - Co robisz? - dopytywała się matka.
 - Umawiam się. - Mildred usiłowała odebrać jej telefon. Sylwia nie ustępowała. - Znalazłam się w piekle. Niech i on ma za swoje! - upierała się. Odezwała się recepcjonistka. Sylwia z największym wysiłkiem zdobyła się na słodki głos.
 - Z panem Schifferem proszę... Och, świetnie. Nie ma go? Nie ma go na placu?... Nie. Nie mam mu nic do przekazania. — Odłożyła z trzaskiem słuchawkę, porwała swoje rzeczy i skierowała się do wyjścia.
 - A więc powiesz mu to prosto w oczy?! - zapytała Mildred.
 - Tak! Nie chcę zmarnować takiej okazji! Mogę pożyczyć twój samochód?
 - Łączą was wspólne przeżycia. To się liczy. Jeśli go oskarżysz, wścieknie się, a potem zobojętnieje.
- Sylwia złapała torbę.
- Masz bardzo staroświecki sposób myślenia.
 - Staroświecki? Nie pieprz! Zastanów się, Sylwio. Zastanów poważnie. Czy wiesz, czego chcesz? Przyszłości podobnej do zgorzkniałej Rozalii?
- Sylwia potrząsnęła głową, złapała torebkę i opuściła pokój.
- Dokąd się wybierasz? - zawołała Mildred i ruszyła za nią.
 - Wezwałam taksówkę. Jadę do firmy, zobaczę się z Bobem, a potem go rzucę. - Sylwia zeszła po schodach do hallu.
 - I zabieram mój stary samochód.
 - Och, nie! - jęknęła Mildred.
- Na dźwięk klasonu Sylwia otworzyła drzwi i pomachała do kierowcy. Podniosła torbę.
- Proszę... - zaczęła Mildred, ale córka wyszła już z domu i wsiadła do taksówki.

8

Sylwia rzadko korzystała z taksówek. Nawet wybierając się w dalszą podróż, woleli z Bobem dojechać na lotnisko własnym samochodem i zostawić go na parkingu. Taksówka, do której teraz wsiadła, była niebieska, z poobijaną karoserią, z winylową tapicerką, brudnymi dywanikami na podłodze i z nieskutecznym odświeżaczem powietrza w kształcie sosny, zawieszonym na przedniej szybie. Niebieski kolor idealnie pasuje do mojego nastroju - pomyślała, wsiadając. Ponieważ kierowca nie zaproponował pomocy przy bagażu, sama wrzuciła walizkę na tylne siedzenie. Ostatecznie mogę się obejść bez cudzej łaski - pomyślała.

- Dokąd? - zapytał.

- Longworth Avenue. Firma Crandalla.

- Nie ma sprawy - powiedział kierowca.

Widziała tylko jego kark i dziwne, nasunięte nisko, nakrycie głowy. Także niebieskie, w kształcie pofałdowanego grzyba. Taksówka ruszyła, a Sylwia wychyliła się do przodu.

- Chciałabym pana o coś zapytać - odezwała się. Widziała jego wzrok we wstecznym lusterku. - Czy zdradził pan kiedyś żonę?

- Nie przypominam sobie - odparł. Sylwia uniosła brwi.

- Gdyby pan zdradził, chyba by pan pamiętał! - zachnęła się.

- Niekoniecznie, jeżeli byłbym akurat bardzo pijany - odrzekł kierowca. - Nie, żebym pił. Aktualnie. Oczywiście, aktualnie nie jestem także żonaty.

Kazała minąć główny wjazd do firmy i wjechać w boczną ulicę od Longworth. Poprosiła kierowcę - którego ochrzaniała przez większą część drogi — żeby spróbował podjechać, nie rzucając się w oczy. Wysiadła, a on, może zawstydzony, podał jej torbę podróżną, nie kryjąc ulgi, że pozbywa się uciążliwej pasażerki. Szperała w portmonetce. Nie wiedziała, ile mu dać napiwku. Jazda była okropna, ale takie też było jej zachowanie, w końcu jednak ją dowiózł, a także zniósł jej agresję. Wręczyła mu tyle, ile wybił licznik i wyłowiła jeszcze dwa dolary.

— A to za nazwanie pana draniem — wyjaśniła. — Przepraszam. -Sięgnęła do torebki i wyjęła kolejne dwa dolary.

— A to za „beznadziejnego kutasa”. Jestem przekonana, że nie jest pan beznadziejny. — Coś sobie przypomniała i wręczyła mu jeszcze piątkę. — A to za to, że powiedział pan, iż nadal jestem ładna.

Kierowca uśmiechnął się. Brakowało mu dolnej trójki, a pozostałe zęby wymagały wizyty u dentysty.

— Ojej, dziękuję pani.

Kiedy odjechał, pozostawiając Sylwię na środku pustej ulicy, obok zatrzymał się samochód matki.

— Nie dyskutuj. Połóż torbę na tylne siedzenie i wsiadaj -rozkazała Mildred.

Ostatni raz Sylwia słyszała taki ton, kiedy była w siódmej klasie. Ku własnemu zdumieniu zareagowała automatycznie, robiąc to, co kazała matka. Kiedy już wsiadła, Mildred podniosła szybę i upewniła się:

— Okay. Pragniesz konfrontacji z Bobem?

Sylwia kiwnęła głową i wręczyła matce kopertę pełną dowodów zdrady męża.

— Głupie dziewczynisko! Jeśli potrzebna ci konfrontacja, to z jego przyjaciółką. Wyrzuć ją z miasta.

— Mamo, nie chodzi o dwie kobiety walczące o mężczyznę. Chodzi o zakłamanie Boba i robienie ze mnie idiotki.

Mildred westchnęła, potrząsnęła głową, po czym trzema ruchami kierownicy zawróciła. Kiedy zahamowała przed znakiem stopu przy wyjeździe na ulicę Longworth, obie jednocześnie dostrzegły Śliczne Maleństwo.

— O mój Boże! — krzyknęła Sylwia. — Założę się, że t a m jedzie. Do niej.

Mildred wcisnęła gaz i ruszyła za zięciem.

- Nie możemy jechać za blisko - powiedziała. - Wiesz, gdzie ona mieszka?

- Za mostem. W Cleveland. 1411 Green Bay Road. Pod tym adresem wysłano bieliznę.

Mildred prychnęła pogardliwie.

- Założę się, że tam nie ma zieleni ani żadnej zatoki* - powiedziała. - To pewnie to osiedle za lotniskiem. Kolonia! - prychnęła, jakby to było wulgarnie słowo.

Przez chwilę jechały w milczeniu. Mildred z zawziętą miną ścisnęła kierownicę, nie spuszczać z oczu tylnych świateł samochodu Boba. Od Ślicznego Maleństwa dzielił je jeden samochód. W tej okolicy domy były mniejsze, a na jezdni panował duży ruch, lecz Mildred nawet na moment nie straciła z pola widzenia Ślicznego Maleństwa.

- Hej! Jesteś w tym dobra - zdumiała się Sylwia.

- Jest wiele rzeczy, w których mam wprawę. Przed następną przecznicą Bob zatrzymał wóz.

- Patrz! - zawołała Sylwia. - Jakież kłopoty z samochodem? Czyżby się zastanowił i zmienił zdanie? - Zwolniły. - To pobocze do parkowania. Czego on szuka?

- Trochę późna pora jak na kupowanie warzyw - stwierdziła Mildred. - Komu aż tak pilnie potrzebne są oberżyny? - zapytała, a kiedy Bob wysiadł, zjechała na bok i także stanęła.

Sylwia otworzyła okno.

- Co też ten facet mógł kupować? - zastanawiała się.

- Dwa tuziny róż, jeśli cię to interesuje.

Sylwia jęknęła, zamknęła okno, a Mildred z piskiem opon ruszyła za Bobem. Szybko go doganiała.

- Kiosk z kwiatami dla cudzołożników. Nic dziwnego, że jest otwarty do późna.

- Kwiaty! Ja nie dostaję kwiatów! - zawołała Sylwia.

- *Deja vu!* - powiedziała Mildred, jakby do siebie.

- Bob nigdy mnie przedtem nie zdradzał.

Mildred milczała. Zaciskała ręce na kierownicy i z uwagą patrzyła przed siebie.

- * Green Bay Road znaczy dosłownie ulica Zielonej Zatoki (przyp. tłum.).

- Nie miałam na myśli Boba - odezwała się w końcu. Sylwia popatrzyła na matkę. Coś w układzie jej ust, w sztywno wyprostowanych ramionach naprowadziło ją na trop.

- Tatuś? Tatuś cię zdradzał? - Nie mogła uwierzyć. - Tylko nie tatuś!

- Nie on. Jedno z jego wcieleń. — Mildred urwała, zakłopotana. Zebrała się jednak na odwagę i zaczęła mówić: — Pamiętasz, co się działo, kiedy twój brat wszedł w okres dojrzewania?

Sylwia wzruszyła ramionami.

- No dobrze, może Phil nie jest dobrym przykładem. Nigdy nie wyszedł z tego okresu. Ale u większości chłopców... Oni mają głowy i penisy... osobno. To naturalne. Tylko że to mija, z wyjątkiem twojego brata. Kiedy chłopak się zakochuje, obie części łączą się. Pragnie używać tej rzeczy do założenia rodziny. Tak było z twoim ojcem i ze mną.

- Proszę cię, mamciu. Są pewne granice. Nie mów mi o „tej rzeczy” tatusia.

- Nic nie rozumiesz! To jest n a s z a rzecz. Freud miał rację: kobiety pragną penisa, tyle że przytroczonego do swego mężczyzny. Kiedy wy, dzieci, byliście mali, kiedy rośliście, mieliśmy z ojcem tę... rzecz wspólnie.

Sylwia skrzywiła się; za nic nie chciała słuchać o pożyciu seksualnym rodziców. Kiedy jednak spojrzała na matkę, zauważyła, że Mildred uśmiecha się do siebie.

- Tak czy owak, kiedy tatuś był mniej więcej w wieku Boba, jego penis i mózg znowu się rozdzieliły. Ni z tego, ni z owego penis tatusia przestał się mną interesować i rzucił go w ramiona księgowej.

- Och, mamciu. Tak mi przykro.

Zapadł zmrok. Sylwia wlepiła wzrok w tylne światła auta Boba. Tatuś zdradzał mamę! Nie wiedziała o tym, nawet jej to do głowy nie przyszło! W jakiś dziwny sposób fakt ten ukazał jej ojca w zupełnie nowym świetle. Należał teraz do opozycji, był po prostu jeszcze jednym mężczyzną. Zalała ją fala tak dojmującego smutku, że musiała wbić paznokcie w dłonie, by odwrócić uwagę od nowo usłyszanej wiadomości. Oderwała wzrok od jezdni i od samochodu Boba. Spojrzała na profil matki. Sądziła dotąd, że wie wszystko - lub prawie wszystko - o jej życiu. Ilu jeszcze tajemnic matka nie wyjawiała? Jak wiele zadano jej bólu? A ona nigdy nie dała niczego po sobie poznać, nigdy nie zdradziła się z niczym przed swoimi dziećmi!

- To musiało być straszne dla ciebie — powiedziała szeptem. Mildred pokiwała głową.
- To był koszmarny rok, ale miałam tylko dwa wyjścia: przeczekać albo odejść. Nie zapominaj, że nie byliśmy wtedy zamożni, a ja miałam trójkę dzieci. Co miałam zrobić? Zostać kelnerką? Pozostając, zachowałam godność. Sylwia przygryzła wargę. Pomyślała, że może nie powinna była pochopnie osądzać matki ani odrzucać jej rad. Zawstydziała się. Znowu zerknęła na matkę. Ona jest silną kobietą. Przeszła wiele, ale potrafiła utrzymać rodzinę, męża i dom, rozkręciła własny biznes. Kim jestem, by osądzać jej życie? Ponownie skupiła uwagę na drodze, dostrzegła włączony migacz Boba.
- Skreca! Skreca! - wrzasnęła, pokazując palcem jego samochód.
- Widzę - odpowiedziała ponuro Mildred.
- Sylwia nie mogła się oprzeć wrażeniu, że przed laty matka śledziła ojca, ale nie chciała się dopytywać, nie chciała nawet wiedzieć. Potrzebna jej była natomiast znajomość strategii matki.
- Więc jak postąpiłaś? - zapytała, kiedy skręciły. - Po prostu przeczekałaś?
- Na Boga, skądże znowu! - oburzyła się Mildred i po raz pierwszy oderwała wzrok od szosy. Rzuciła córce krótkie, surowe spojrzenie.
- Mamo, tolerowanie takiego zachowanie jest niemożliwe. Jest staroświeckie.
- Uważasz, że jestem staroświecka? Wyobraź sobie, że zawsze wolałam działać z wyprzedzeniem. - Zrobiła krótką przerwę. - Załatwiłam sprawę z księgową za pomocą gotówki. Jak sądzisz, dlaczego przez całe dwa lata nie było mnie stać na wizytę w salonie kosmetycznym i na oczyszczenie nóg woskiem? Transakcja w gotówce! Czy według ciebie to dziewiętnastowieczne zachowanie?
- Nie zamierzam nikogo przekupywać, mamciu.
- Ejże, a bardzo go kochasz?
- Kogo? Boba? Już ani trochę.
- Czyżby? Przemyśl to. Wyobraź sobie, że jesteś na moim pogrzebie...
- Sylwia wzdrygnęła się.
- Daruj sobie te okropności. Nie chcę nawet o tym myśleć. - Była wstrząśnięta słowami matki. Co by bez niej zrobiła?

- Okay - zgodziła się Mildred. - Jesteś na pogrzebie ojca. Na czym ramieniu płaczesz?

- Boba - odparła Sylwia bez zastanowienia.

- A zatem obstaruję przy swoim.

Oba samochody wjechały w ulicę zabudowaną domami tworzącymi kolonię. Była to jedna z nowości budowlanych sprzed piętnastu lat - zbudowane szybko i tanim kosztem „miejskie rezydencje” o cienkich, jakby papierowych murach i podrabianych na palladiańskie oknach, z pretensjonalnymi listwami. Całość -w niewłaściwie pojętym zamiarze nadania miejscu włoskiego charakteru - pomalowana została na kolor ochry, ale farba wyblakła i poodpryskiwała, a pseudotoskański styl nie pasował do Cleveland. Sylwia wyobraziła sobie żyjące samotnie w każdym ze strzeżonych mieszkań stewardesy, asystentki stomatologiczne i fryzjerki. I rozwiedzione nauczycielki gry na fortepianie. Właśnie Bob zajeżdżał na zarezerwowane miejsce na parkingu.

- Ma tu własne miejsce? - oburzyła się Mildred.

- Wielka rzecz, własne miejsce - powiedziała Sylwia dość obojętnie. - Ważniejsze, że to miejsce na dworze. Dla niej trzyma Śliczne Małeństwo pod gołym niebem! Dla mnie by tego nie zrobił. - Nagle zobaczyła samochód, obok którego parkował Bob -identyczny jak jej własne świeżo wyłowione BMW. Kolejny srebrny kabriolet! Zduszonym szeptem wysyczała: - Ona ma identyczny samochód! Kupił jej ten sam model! Nic dziwnego, że swój utopiłam. Wyglądająca na zdeterminowaną, Mildred minęła oba pojazdy i zaparkowała trochę dalej.

- Teraz tylko... - zaczęła, ale Sylwia nie dosłyszała reszty, ponieważ natychmiast opuściła auto, by śledzić Boba, upewniwszy się, że jej nie widzi.

Bob doszedł do drogi dla pieszych i skręcił w nią. Sylwia podeszła tak blisko, jak tylko pozwalała jej ostrożność, starając się nie płakać ani nie potknąć się w ciemności. Bob skręcił w miejscu, w którym stała ukryta za drzewem. Udał się w kierunku numeru 1411. Zobaczyła, jak naciska dzwonek mieszkania na parterze. Wpuściła go kobieta. Wprawdzie Sylwia niewiele widziała z powodu padającego z mieszkania ostrego światła, zdołała jednak dostrzec, że obejmują się i że Bob wchodzi do środka. Dała znak siedzącej w samochodzie matce, która podjechała i stanęła tuż

obok. Sylwia wsiadła. Mildred pojechała następnie do miejsca, gdzie Bob parkował Śliczne Maleństwo. Sylwia wysiadła, a Mildred tuż za nią. Spojrzała na srebrny kabriolet, zajrzała do środka. Stały tak z nosami przyklejonymi do szyb.

- Powinam go rozwalić! - warknęła Sylwia.

- Opanuj się. Rozwiedziona kobieta to żalosny widok - oznajmiła matka.

- Czasy się zmieniły.

- Bez przesady. Popatrz na Rozalię. Umawia się z facetem, który ma dziewięć palców u nóg. Potwornie boi się lata i pokazywania z adoratorem na plaży.

- Nie jestem Rozalią - odburknęła Sylwia. - Nienawidzę Boba. Nie powinien był tak postąpić. Zrobię wszystko, żeby tego gorzko pożałował.

Jak należy się ubrać na konfrontację z metresą męża? - zastanawiała się Sylwia. Czy w ogóle nazywa się jeszcze takie kobiety metresami? A może przyjaciółkami? Kochankami? Inne przychodzące jej do głowy słowa nie wchodziły w grę, w każdym razie nie przeszłyby przez gardło. Choć niewykluczone, że kiedy spojrzy na pannę Molensky, nie będzie z tym miała trudności.

Sylwia siedziała w swoim kabrioletcie. Wyglądał jak nowy, gdyby tylko nie ten zapach... Było jej wszystko jedno. Zapach pleśni był wprawdzie przykry, lecz czekająca ją misja zapowiadała się jeszcze bardziej przykro. Sylwia miała dwa dni na przemyślenie wszystkiego; dusiła się z żalu i ze złości, uspokajała się i znowu walczyła z atakami duszności. Zatrzymawszy samochód tuż obok 1411 Green Bay Road, wysiadła, wygładziła czarne spodnie i niebieski wełniany bliźniak. Następnie, wtykając pod pachę torebkę, pomaszerowała w stronę wejścia do domu zajmowanego przez rywalkę. Znalazłszy się przy drzwiach, uniosła rękę, gotowa w nie walić. Nagle opuściła ją odwaga. Co ona wyprawia? To nie jest sprawa między nią i panną Molensky, kimkolwiek ona jest. Rzecz dotyczy Boba i jej. Na przekór radom matki i własnemu obrzydzeniu do stosowania przemocy, powinna zawrócić do firmy, znaleźć męża i powyrywać mu te jego różowe paznokcie u stóp! Poczula kolejny przyływ złości, zawróciła i zaczęła iść z powrotem do samochodu. Ale to, co zobaczyła już po raz drugi, sprawiło, że zatrzymała się, nie mogąc złapać tchu. Był to kabriolet, taki sam jak jej urodzinowy prezent. Gotowa była zabić Boba. Ale najpierw, nim przyjdzie jej spędzić

resztę życia w stanowym więzieniu Ohio, może równie dobrze, choćby przez ciekawość, stanąć oko w oko z panną Molensky. Zawróciła na pięcie i pomaszerowała w kierunku domu. Po raz drugi podeszła do drzwi i już zamierzała w nie wałnąć, z nadzieją, że rozsypią się pod jej ciosami, choćby miała poranić sobie ręce, kiedy nagle, w ostatniej chwili, delikatnie zapukała.

Trochę to trwało. Słyszała w środku szuranie nogami i trzaskanie drzwiami. Jeszcze raz zapukała.

- Kto tam? - odezwał się wreszcie jakiś głos.

- Tępicieł szkodników - odpowiedziała niskim, ochryplym głosem, bez poczucia winy z powodu kłamstwa. Nie było to zresztą kłamstwo. Gotowa była ukręcić łeb temu robactwu.

Otworzyły się drzwi. Stała w nich kobieta. Ponieważ nie wyszła na próg, jej rysów nie było widać wyraźnie.

- Nikogo nie wzywałam - oświadczyła panna Molensky, o ile to była panna Molensky. - Życie jest świętym darem. Nie chcę wyrządzać krzywdy żadnym żywym istotom. To znaczy od czasu, kiedy umarł mój ojczym. Mógłby być pluskwą. Życze mu, żeby żył jako pluskwa.

Sylwia odsunęła ją na bok i weszła do ciemnego wnętrza.

- W rzeczywistości jestem panią Schiffer i rozglądam się za szczurem. Czy to nazwisko coś pani mówi?

Musiało coś mówić, skoro panna Molensky ukryła się za drzwiami.

- Jest pani żoną Boba? - zapytała. - I zajmuje się pani tępieniem szkodników?

Czy ona sobie kpi? - pomyślała Sylwia.

- I tak, i nie - odparła. Ponieważ panna Molensky trzymała klamkę, Sylwia nie mogła się do niej dostać. - To był wybieg, żebyśmy mogły porozmawiać i żeby potem mogła cię zabić. Albo jego.

- Nie wiedziałam, że jest żonaty - jęknęła dziewczyna. - Z niewiedzy bierze się dziewięć dziesiątych wszystkich spraw sądowych.

- Nie! To dotyczy wejścia w posiadanie.

- Nie mam żadnych narkotyków. Nawet trawy! - zaprotestowała dziewczyna. Wychyliła się zza drzwi, ale nadal pozostawała w cieniu. Sylwia dostrzegła jedynie kusy szlafrok z taniego błyszczącego materiału. Był biały w różyczki i odsłaniał nogi. Choć na

stopach panna Molensky miała wielkie aksamitne pantofle, Sylwia zdążyła zauważyć, że dziewczyna ma niezłe nogi. Panna Molensky zrobiła najpierw jeden, potem drugi krok i wyłoniła się z półmroku. Wtedy po raz pierwszy podniosła głowę i spojrzała na Sylwię. Przyglądały się sobie przez długą chwilę.

- Na Boga! - Sylwia z trudem złapała powietrze. Z niedowierzaniem wpatrywała się w swoją własną twarz... Choć nie! To była jej twarz sprzed dziesięciu lat. To samo szerokie czoło, takie same brwi, te same niebieskie oczy, choć oczy panny Molensky były może nieco ciemniejsze. Ale kształt ten sam. Jediną istotną różnicę stanowił brak zmarszczek na twarzy dziewczyny. Sylwia uważnie przyjrzała się nosowi rywalki. To był j e j nos: prosty i długi, zwięzający się odrobinę tuż nad nozdrzami. I choć nos był repliką jej nosa, nie istniały bruzdy, biegnące od zewnętrznej strony nozdrzy do kącików ust.

A usta! Sylwia ułożyła je w duże, wyrażające zdumienie „O”, dziewczyna zrobiła to samo. Oglądanie swego lustrzanego odbicia sprzed dziesięciu lat było najbardziej niesamowitym uczuciem, jakiego Sylwia doświadczyła w życiu. Przerażone, wpatrywały się w siebie, milcząc. Panna Molensky mogła się w ten sposób przekonać, jak będzie wyglądać w przyszłości, Sylwia zaś widziała, jaka była kiedyś. Przyjrzała się uważnie podbródkowi dziewczyny. Tak, miała kiedyś taki podniesiony, gładki podbródek. Upływ czasu i ciąża sprawiły, że rysy jej zwiotczały. Podniosła odruchowo dłonie i przykładając je do policzków i skroni, podciągnęła skórę w prowizorycznym liftingu. Stojący przed nią sobowtór także podniósł dłonie i ściągnął skórę w dół. Ten zdrajca Bob i cała złość wyleciały Sylwii z głowy. Miała przed oczyma dzieło Czasu... Jasno widziała, co utraciła.

Oczy młodszej kobiety odzwierciedlały jej własne przerażenie. Ich ciemny błękit wyrażał strach tak paniczny jak ten, którego doświadczała Sylwia. Dlaczego?! Dziewczyna ma przecież młodość i urodę! Ma również mojego męża - przypomniała sobie. Przynajmniej w niepełnym wymiarze godzin. Widziała wyraźnie, że panna Molensky jest równie zdumiona i przerażona jak ona.

- Kiedyś tak właśnie wyglądałam - wyszeptała. - Dokładnie jak ty.

- A ja będę wyglądała w przyszłości jak ty - odparła szeptem dziewczyna i odejmując ręce od twarzy, wybuchnęła płaczem.

Rzuciła się na krzesło, a po chwili ruchem ręki dała znak, żeby gość również usiadł. Ponieważ pod Sylwią uginały się nogi, uznała to za całkiem dobry pomysł.

- Mamusia zawsze mówiła, że każdy człowiek ma swojego sobowtóra - szlochała dziewczyna. - Mawiała też, iż mój ma na pewno więcej rozumu ode mnie. - Podniosła wzrok, otarła oczy. - Założę się, że chodziłaś do collegeu - powiedziała z pretensją w głosie.

Sylwia przytaknęła ruchem głowy.

- A widzisz? Wyczuwam takie rzeczy. Założę się nawet, że go ukończyłaś. I że jesteś Rybą.

- Co do pierwszego, masz rację, pomyliłaś się co do drugiego - odparła odruchowo Sylwia, nadal wpatrując się we własne widmo. - Jestem Panną.

- Odgadłabym to zaraz - zapewniła dziewczyna, potrząsając grzywą blond włosów. - Niemniej masz prawdopodobnie Ryby w ascendencie.

Miała gęstsze włosy i znacznie jaśniejsze. Czy są naturalne? - zastanawiała się Sylwia. Ale ta twarz... To po prostu niewiarygodne.

Dziewczyna również nie odrywała od niej wzroku. Sylwia nie musiała być psychologiem, żeby wiedzieć, co tamta czuje, ani też jaka tragedia jest udziałem wszystkich kobiet. Doszła do wniosku, że jej własne poczucie straty zmalało dziesięciokrotnie, podczas gdy przerażenie dziewczyny sięgało szczytu. Nie mamy żadnych szans w rywalizacji z ojczulkiem Czasem. I nie przez przypadek jest on mężczyzną. Matka by nie potraktowała swoich córek tak okrutnie.

W końcu dziewczyna wstała, odwróciła się plecami do Sylwii i przemaszerowała przez pokój. Sylwia szła za nią, przyglądając się po drodze mieszkaniu. Było w nim za wiele różowości, za wiele ozdóbek i figurek, a za mało prawdziwych mebli - brązowy karton przy sofie służył za stolik. Za to w wazonie stały dwa tuziny róż na długich łądogach. Sylwia skrzywiła się na ich widok. Tymczasem dziewczyna zniknęła w korytarzyku. Sylwia udała się za nią przez sypialnię - sypialnię, w której zdradza ją mąż! - do łazienki. Panna Molensky wpatrywała się w lustro.

Znowu miała rysy postarzałe za sprawą własnych dłoni.

Sylwia stanęła obok niej.

- Zmarszczki pojawiły się zniecka, jak za dotknięciem nie-

widzialnej ręki, która starła moją prawdziwą twarz - powiedziała. - Pewnego dnia, kiedy przejrzałam się w lustrze i zobaczyłam, co w nim widzę, przestałam w nie zerkać. - Popatrzyła na świeżą skórę młodej kobiety. - Czym nawilżasz twarz?

- Kremem Quince'a i maseczką z alg. - Sięgnęła po dwa słoiki stojące na półce.

- Przyzwyczaiałam się... przyzwyczaiałam się do twojego widoku w lustrze - powiedziała spokojnie Sylwia.

- Przyjdzie dzień... przyjdzie dzień, kiedy będę wyglądała jak... -kontynuowała nietaktownie dziewczyna, dopóki nie zerknęła w bok. Nie dokończyła zdania.

Sylwia odwróciła się od lustra i patrzyła wprost na rywalkę. Światło w łazience było ostre i bezlitosne, eksponowało każdy szczegół twarzy. Kobiety stanęły naprzeciwko siebie. Jedna wnikliwie badała twarz drugiej: oczy, zmarszczki, cerę, włosy. W s z y s t-k o. Najbardziej godne uwagi było to niewiarygodne, bliźniacze wręcz podobieństwo.

- Czy mówił ci, że jesteśmy sobowótami? - zapytała.

- Nie. Powiedział, że jestem jedyna w swoim rodzaju - jęknęła dziewczyna. - To mnie przeraża.

- Założę się, że on nawet tego nie dostrzega.

- Na pewno masz rację. Wiem coś o tym, ponieważ to mnie prześladowe w snach. Wiesz, sny często mogą zapowiadać przyszłość. Tak jak było w wypadku mojego kuzyna Raya, któremu śniła się mechaniczna piła. Niemal co noc. I we śnie uciął sobie tą piłą nogę.

- I tak się stało w rzeczywistości? - zapytała zafascynowana, choć wstrząśnięta Sylwia.

- Nie - odparła panna Molensky. - Nie mógł się nawet zbliżyć do piły. Myślę, że to przez ten sen. To był wręcz rodzaj fobii. Ale założyłam się, że gdyby wziął piłę do ręki, byłoby po nodze. Sama zresztą miałam podobną fobię.

- Bałaś się mechanicznej piły?

- Nie ja. Mój kuzyn. J a boję się zawsze, że mężczyzna porzuci mnie dla innej i bardziej olśniewającej. Nazywam to syndromem Johna Dereka.

Sylwii zakręciło się w głowie, zarówno z powodu doznanego wstrząsu, jak i logiki tej dziewczyny, a raczej jej braku.

- Myślałam, że to stary aktor, a nie syndrom - powiedziała.

- Jedno i drugie. Pamiętam, jak zaczynał z Ursulą Andress, a potem zamienił ją na tę... No wiesz, tę z wywatowanymi ramionami... tę, co to miała greckiego przyjaciela, który się z nią nie ożenił. No, Crystal!

- Linda Evans? — odpowiedziała Sylwia.

- Tak! W każdym razie wyglądała jak Ursula. A potem związał się z tą... Warkoczyki afro. No wiesz, Bo. Wszystkie są takie same, tyle że za każdym razem młodsze. Kobiety Clinta Eastwooda też są do siebie podobne: takie piegowate, rudoblond sztuki. Nawet nie są ładne. Podobnie Johnny Carson. Zwróć uwagę, że wszystkie jego kobiety mają to samo imię: Joanna, Joanne, Joan, Joanna. - Urwała, zniżyła głos. - Mam na ten temat własną teorię: po prostu boi się, żeby w środku nocy nie wykrzyknąć niewłaściwego imienia.

- Nie jesteśmy przecież w Hollywood. Tu jest Shaker Heights -zaprotestowała Sylwia.

- Daj spokój, ta epidemia ogarnęła cały kraj! Donald Trump zrobił to w Nowym Jorku. Marłę zamienił na Ivanę. A teraz słyszę, że ma jakąś młodszą, która wygląda identycznie.

Sylwia była już kompletnie skołowana. Wygląd dziewczyny, jej nieprzerwany potok słów, otaczająca ją dziwna aura, wszystko to sprawiało surrealistyczne wrażenie, jak z obrazu Magritte'a.

- Skąd się wzięłaś? - zapytała Sylwia.

- Z nieba. Jestem stewardesą. Poznałam Bobbiego podczas lotu.

- Bobbiego! Pozwala ci mówić do siebie Bobbie? - oburzyła się Sylwia. Przypomniała sobie, że ma być wściekła.

Dziewczyna zignorowała pytanie.

- Naprawdę nie wiedziałam, że jest żonaty.

- Tak jakbyś go o to pytała! - odparowała złośliwie Sylwia.

- Nie miał jaśniejszego śladu po obrączce - tłumaczyła się panna Molensky. - „Nie zadawać pytań, nie udzielać odpowiedzi” -takie było moje motto, zanim jeszcze ukradło mi je wojsko.

Sylwia nie mogła się powstrzymać, by nie przyjrzeć się uważnie, jak ta mała jest zbudowana. Była nieco wyższa od niej, a może tylko sprawiała takie wrażenie, ponieważ była szczupła jak trzcina. I te włosy!

- Założę się, że byłaś cheerleaderką - powiedziała z zazdrością i jakby oskarżycielsko.

- Czyżbyś była jasnowidzem? - zapytała panna Molensky.

- Słucham...?

- No cóż, jesteś blisko. Uderzałam w bębenek.

- Co za różnica?! - warknęła Sylwia.

- No wiesz! Ogromna, zwłaszcza jeśli chodzi o mundurek. Czasami lubię ubierać się w mundurek — wyznała panna Molensky.

- Och, nie wątpię. A poza tym czym się zajmujesz? Zabawiasz się z moim mężem? No wiesz, może w pilota i stewardesę...

- Na razie on woli...

Sylwia wyciągnęła rękę, powstrzymując tym gestem dziewczynę przed dalszymi zwierzeniami.

- Mów sobie do pięści - powiedziała zaciskając dłoń. Nie chciała znać szczegółów. — Więc nie po raz pierwszy zadajesz się z cudzym mężem? - zapytała z goryczą w głosie. - Nie zdajesz sobie sprawy, jak niegodziwe jest cudzołóstwo?

- Nie popełniam cudzołóstwa! - broniła się panna Molensky. - Nie jestem zameżna.

- A nie myślisz nigdy o żonach tych mężczyzn? - naciskała Sylwia. — O tym, że przez ciebie cierpią?

- Nie.

- Nie przyszło ci nigdy do głowy, że zadajesz innej kobiecie ból? — dopytywała się Sylwia z niedowierzaniem.

- Myślisz, że ja nie cierpię? Że nie spędzam samotnie Bożego Narodzenia czy Walentynek? Że nie dostaję z opóźnieniem prezentów od Boba?

- Prezentów?! - krzyknęła Sylwia.

Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała się od spoliczkowania rywalki. Zamiast tego sięgnęła na półkę, zdjęła słoik i w rozpaczliwej potrzebie wyładowania furii wysmarowała twarz Marli garścią kremu Quince'a. Marla wytrzeszczyła oczy, a Sylwia mogła stwierdzić przy okazji, że kompletnie brakuje jej kurzych łapek pod oczami. W odwecie panna Molensky zasmarowała odbicie Sylwii w lustrze. Zwróciły się ku sobie.

- Sama wiesz najlepiej, jaką jesteś szczęściarą — powiedziała. - Obcy mi ten komfort czy poczucie bezpieczeństwa, jakie zapewnia legalny związek. A to dlatego, że na całym świecie, jak ziemia długa i szeroka, nie ma nikogo, na kogo mogłabym liczyć.

- A twoja rodzina?

Dziewczyna cofnęła się.

- Jaka rodzina? Podczas zakupów świątecznych matka zostawiła mnie na kolanach świętego Mikołaja, kiedy miałam cztery lata. -Wzruszyła ramionami. - No tak, pisuję czasami do brata, ale on nie jest mocny w pisaniu listów. Może rzeczywiście zajęty jest rehabilitacją? - Jej głos zabrzmiał radośniej, kiedy się wyzaliła, po czym dodała: - A zatem, jak widzisz, jestem ofiarą karmy.

- Nie, to ja jestem ofiarą. Jak możesz mówić o karmie?! Po prostu kradniesz mi męża.

Zapanowała cisza, podczas której obie mierzyły się wzrokiem.

- Musiałaś uczynić coś złego w poprzednim życiu. Ja też pewnie dlatego wychowywałam się w marnej dzielnicy, że w poprzednim życiu byłam chyba chińską cesarzową.

- Boże! Ta dziewczyna mówi od rzeczy!

- Jesteś pewna, że nie konkubina? - zapytała złośliwie Sylwia.

- Nie sędzę, żebyś się miała odrodzić jako roślina — powiedziała ta idiotka. — Posłuchaj, nie zamierzam z tobą walczyć. Może byśmy uzgodniły coś rozsądnego? Na przykład w sprawie dzieci. Mogłybyśmy wspólnie sprawować nad nimi opiekę. Mogę zostawać z nimi na noc parę razy w tygodniu i podczas wakacji.

- Wakacje! - zawyła Sylwia i pomyślała o Hawajach. - Nie wybierzesz się n i g d z i e na urlop z moim mężem. Ani... ani ja — wyznała.

- Czyżby? No cóż, Bob mnie poprosił, żebym pojechała z nim do Meksyku.

Sylwię zamurowało. Jeśli to prawda, matka jest w błędzie. Dziewczyna nie jest jakąś tam kurewką, którą można przekupić. Skoro Bob pragnie z nią podróżować, w grę wchodzi coś więcej niż seks.

- Chciał cię zabrać do Meksyku? - zapytała, po czym odwróciła się i podeszła do okna. Stała tyłem do dziewczyny, nie chcąc, by dostrzegła jej rozpacz. Stała w milczeniu, zraniona do głębi. Czuła, że gdyby wykonała jakiś ruch, rozsypałaby się na kawałki.

Poczuła na ramieniu rękę.

- Może dlatego, że poszliśmy do restauracji Flaming Faji-tas - pocieszała ją dziewczyna. Współczucie było jeszcze gorsze. - To był tylko odruch - ciągnęła. - Nie sędzę, żeby mówił poważnie. Nie widziałam biletów ani nawet rezerwacji. A poza tym komu by się chciało wylegiwać na słońcu i niszczyć sobie skórę?

Sylwia podeszła do lustra. Chciała dokładniej obejrzeć swoją twarz, ale odbicie było niewyraźne z powodu kremu Quince'a. Wyglądała jak za mgłą, jak Katharine Hepburn fotografowana w 1960 roku przez warstwę wazeliny.

Wysmarowana kremem dziewczyna obok niej także wyglądała niewyraźnie, tyle że ona nie potrzebowała przesłony.

— Mam nadzieję, że w twoim wieku wyglądałam równie dobrze — powiedziała Sylwia.

— Na pewno! Nie mogę uwierzyć, że jesteś taka miła! Kiedyś, gdy przypadkiem byłam z mężem pewnej kobiety, ona wdarła się do domu i potłukła wszystkie moje lampy.

Odwróciły się od lustra i popatrzyły na siebie. Dziewczyna wyciągnęła rękę.

— A tak przy okazji: jestem Marla.

— Marla? Jak była żona Donalda Trumpa?

— Tak, polubiłam to imię. Ale później zrobiła się pokraczna — westchnęła Marla.

— Mam na imię Sylwia.

Podąła rękę. Wymieniły uścisk. To była chwila prawdziwego zbliżenia, dopóki wzrok Sylwii nie padł na wazon z różami.

— To też od...?

— Wolałabym nie mówić — wyznała Marla. Nagle przelała się czara goryczy.

— Chcę być jedyną kobietą, która dostaje od niego róże! — zawołała Sylwia. — Chcę, żeby on ze mną romansował. Chcę, żeby mnie traktował jak... - Urwała. - Jak ciebie!

— No cóż, a ja chcę być tobą! — odpowiedziała Marla. — Myślisz, że łatwo jest wciągać bez przerwy brzuch? Od urodzenia pragnęłam zostać z o n ą .

— Czyżby? Chciałabyś być żoną? Czyżby żony sprawiały na tobie wrażenie szczęśliwych?

— Nie — przyznała Marla.

— Kiedy jest się żoną, nie dostaje się nawet pocałunku w usta.

— Kiedy jest się osobą samotną, musi się ładnie pachnieć przez dwadzieścia cztery godziny na dobę — odbiła piłeczkę Marla.

Sylwia była coraz bardziej wściekła. Uświadomiła sobie nagle cel swojej wizyty.

— Chcę, żebyś przestała się z nim spotykać.

— Spróbuj mnie do tego zmusić - odparła Marla, a jej głos zabrzmiał tak dziecinnie, jakby miała jeszcze o połowę lat mniej.

Sylwia zastanawiała się przez chwilę, ile by to było. Czternaście? Szesnaście?

— Nie będziesz mi rozkazywać — dodała dziewczyna.

— Nie, ale mogę kazać mu, by zerwał z tobą. — Sylwia ujrzała przerażone oczy rywalki. Postanowiła wykorzystać swą chwilową przewagę. — Czy sądzisz, że on zostawi dzieci? Czy sądzisz, że zostawi dom? Swoją pracę? -

Zmrużyła oczy. - Mój ojciec jest właścicielem firmy. Gdyby go wyrzucił... No cóż, mężczyźni w wieku Boba muszą się zadowolić pracą w niepełnym wymiarze godzin w dziale części zamiennych Wal-Marta. Bez ubezpieczenia. A wierz mi, że przy jego poziomie cholesterolu wkrótce będzie musiał często korzystać z pomocy lekarskiej.

— Zostanie ze mną - oświadczyła Marla, która nie tylko wyglądała na przerażoną, ale także drżał jej głos. — On mnie kocha. Dla mnie zostawi wszystko. Po prostu zapomniałaś, ile może działać takie uczucie.

Sylwia czuła pod powiekami łzy. Cios był wyjątkowo nieczysty. Już zamierzała odwrócić się plecami, kiedy znów poniosła ją wściekłość. W takim razie i ona zagra nieczysto.

— Tak uważasz? Dobrze sobie! Powtórzę mu twoje słowa. Skłamię, że do mnie zadzwoniłaś, że powiedziałaś, iż muszę od niego odejść. - Sylwia przybrała przesadnie smutny wyraz twarzy. - A ja będę szalała z bólu, będę taka krucha i tak bardzo, bardzo zraniona. Wyjdiesz na natrętną dziwkę!

Marla wytrzeszczyła oczy.

— Przecież to ty do mnie przyszłaś... — wybąkała.

— To ty tak twierdzisz - kpiła Sylwia. - Jak sądzisz, której z nas uwierzy? Swojej niewinnej żonie, z którą spędził prawie dwadzieścia jeden lat, czy też kobiecie, która sypia z wieloma facetami?

— Jestem jak pierwiosnek, a ty jak jesienny kwiat. Mam nad tobą podwójną przewagę - powiedziała Marla, a Sylwii zrobiło się jej nagle żal.

Nie o to chodziło.

Wyczerpane, przysiadły na brzegu wanny. Spoglądając w lustro, Sylwia zastanawiała się, w jaki sposób obie mogłyby wyjść z tej sytuacji bez szwanku.

Sylwia odjechała spod 1411 Green Bay Road i udała się prosto do domu towarowego, gdzie matka miała swoje stoisko. Podczas krótkiej jazdy tak bardzo trzęsły się jej ręce, że dwukrotnie musiała przystawać na poboczu. Obok niej śmigały samochody; nie dostrzegła ich.

Prześladowała ją myśl, że Bob czy ktokolwiek inny może jej już nigdy nie pożądać. Romans, miłość, a może i całe życie seksualne skończyły się dla niej jakiś czas temu, a ona nawet o tym nie wiedziała. Ależ z niej idiotka! Nadal jestem idiotką — pomyślała na wspomnienie hawajskiej broszury. Co myślał Bob, kiedy zebrała o wyjazd? Choć była sama w samochodzie, zaczerwieniła się ze wstydu. Jakże żalosna musiała mu się wydać! O czym naprawdę myślał, kiedy z takim zapałem namawiała go na romantyczną przygodę? O wyjeździe z panną Molensky?

Znowu zabrakło jej tchu. Była wstrząśnięta. Zamieniono ją na inną osobę, a co najgorsze - bez jej wiedzy. Ponad dwadzieścia lat wiernej służby przekreślone za jednym zamachem! Praca na etacie ma przynajmniej tę zaletę, że po jej zakończeniu otrzymuje człowiek wymówienie i zegarek. Czowała się wyrzucona za burtę. Wizja oba dotykającego jej młodszej „bliźniaczki”, tej doskonalszej Sylwii, była tak bolesna, że aż nie do zniesienia. A co na ten temat wiedzieli sąsiedzi, przyjaciele, uczniowie? Przypomniała sobie słowa Honey, widującej ją rzekomo w różnych punktach miasta. Sama myśl o tym była nie do zniesienia. Jeszcze trochę, a zwariuje!

Najbardziej jednak raniła ją nielojalność Boba. Ufała mu jak nikomu innemu na świecie - z wyjątkiem matki. A on tymczasem

oszukał ją, zawiódł, zrobił ją w balona. Niezależnie od tego, jak postrzelona jest ta dziewczyna, Sylwia musiała pogodzić się z faktem, iż ona sama jest od niej bez porównania głupsza.

Kiedy dotarła do centrum handlowego, zaparkowała automatycznie, wpychając się przed niebieską toyotę i egoistycznie ustawiając się tak, by już nikt nie mógł obok zaparkować, o ile nie zamierzał pourywać klamek w jej cholernym aucie. A zresztą, niech urywają! Mogą też zabrać sobie opony i dekle, a nawet całe to cholerne auto.

Kobieta w toyocie spojrzała na nią z niesmakiem, ale Sylwia, wrażliwa zwykle na reakcje otoczenia, nawet nie mrugnęła okiem. Nie przyjechała tutaj powodowana nagłą koniecznością kupienia kolejnej pary butów.

Potrzebowała matki. Przemierzyła dużymi krokami parking i weszła do jej sklepu Potz Bayou. Sklep z ceramiką miał wystrój z kutego żelaza, w nowoor-leańskim stylu. Z sufitu zwisały sztuczne rośliny z rodziny ana-nasowców. Na półkach stały w równych rzędach najprzeróżniejsze nie malowane wyroby ceramiczne, od malutkich filiżanek do kawy po ogromne dzbany na poncz.

Zgromadzone przy długich stołach panie domu z okolicznych dzielnic willowych z zapamiętaniem zdobiły szklivem kubki i czarki. Dwie pracownice, Cindy i jakaś nowa, stały pochylone nad klientkami i pomagały im.

— Cześć, Sylwio! - zawołała Sandie Thomas.

Przez krótką, lecz jakże nerwową chwilę Sylwia zastanawiała się, czy nie powinna się zatrzymać i pogadać. Nie była jednak w stanie. Wpadła w panikę. Co będzie, jeżeli nie zostanie matki? Rozplacze się na oczach tych wszystkich kobiet. Och, pieprzę je! -pomyślała. To nie ich sprawa. Dzięki Bogu z pomieszczenia służącego do wypalania wyrobów ceramicznych wyłoniła się Mildred wycierająca ręce w fartuch. Sylwia sztywnym krokiem przemierzyła pomieszczenie.

- Czy masz drugą córkę, którą oddałeś do adopcji? - zapytała. Kilka kobiet odwróciło się. Obserwowały scenę; rozmowy

nagle ucichły. Zanosilo się na niezłe widowisko. Mildred zrobiła wielkie oczy i ruchem głowy wskazała na zaplecze. Ale Sylwia nie dbała o to, czy ktoś ją słyszy, czy nie! W ogóle o nic w tej chwili nie dbała! Do diabła z tym wszystkim! Gdyby piec ceramiczny znajdował się tutaj i płonąłby w nim ogień, Sylwia najchętniej wsadziłaby głowę do środka.

Mildred ujęła córkę za łokieć i poprowadziła ją do kantorka na tyłach warsztatu.

— Co to ma znaczyć? — zapytała.

— Widziałam ją, mamó! Wygląda dokładnie jak ja, tyle że młodziej.

Mildred wzruszyła ramionami.

— Nie sądziłaś chyba, że będzie taka jak ty, tyle że starsza? — Objęła ją. - Tak mi przykro, dziecinko. - Uchyliła drzwi i krzyknęła: - Cindy, czy mogłabyś podać mojej córce tę wielką patereę z trzeciej półki?

Sylwia cofnęła się, podejrzewając matkę o utratę zmysłów.

— Mamciu, wiem, że szkliwienie jest twoim żywiołem, ale nie czas na zabawę. Nie mogę teraz malować.

Pojawiła się Cindy taszcząca ogromną patereę. Podała ją Mildred, z wyraźnym zainteresowaniem przyglądając się Sylwii.

— Dziękuję, Cindy. Sądzę, że pani Burns potrzebuje twojej pomocy — powiedziała Mildred, pozbywając się dziewczyny i zwracając do córki: - Miłe dziecko, ale wścibskie. - Podała Sylwii naczynie.

— Mamó, nie mam zamiaru zajmować się ceramiką!

— Nie proponuję, żebyś się nią zajmowała, ale rzuć ją. - Mildred wskazała ruchem głowy kamienną ścianę.

Sylwia przeniosła wzrok na matkę. — To ci trochę pomoże. Nie należy tłumić złości; to nie wychodzi na zdrowie.

Sylwia zamrużyła powiekami, po czym z nie znaną sobie dotychczas furią cisnęła naczyniem o ścianę. Rozbiło się na tysiące kawałków, które rozsypały się na wszystkie strony. Przez krótką chwilę czuła ulgę.

— Naprawdę czuję się trochę lepiej — przyznała. Ale już po sekundzie znów w niej zawrzało. — Cindy, poproszę jeszcze

o trzy patery — zawołała.

— I przynieś miotłę — dorzuciła matka, po czym zniżyła głos: — Sądzisz, że pierwsza stosujesz tę terapię? Kiedy odkryłam historię ojca z księgową... No cóż, właśnie wtedy na dobre zajęłam się ceramiką. Tłuczenie wszystkiego i przedkładanie ojcu rachunku za zniszczenia działało na mnie niewiarygodnie kojąco. Pytał mnie, co z tym robię, skoro nigdy niczego nie przynoszę do domu — zaśmiała się Mildred. — Powiedziałam, że posyłam ciotce Irenie. i popatrz: jestem teraz w biznesie! Kocham to. Mam personel

i nieźle zarabiam. - Uniosła brwi. - Zanoszę do banku każdego centa. Obecnie mogłabym przekupić nawet sto księgowych! Spojrzała na córkę.

- Wiem, że to szok dla ciebie i dla mnie, ale musisz się wziąć w garść. Nie jesteś jedyną zdradzoną żoną. - Wskazała ręką sklep pełen zajętych pracą kobiet. - Widzisz Sandie? Zanim zaczęła malować, potłukła w ubiegłym roku osiem kompletów zastawy stołowej! - Wręczyła jej kolejne naczynie, wazę, poklepując Sylwię po plecach. - Nie naderwij sobie ramienia - powiedziała. -Przyłóż się do tego porządnie. - Przerwała. - Ile jej zaproponowałeś? - spytała po chwili.

Sylwia potrząsnęła głową.

- Mamciu, jej się nie da przekupić. Nie chodzi jej o pieniądze. Niosąc ostrożnie trzy wielkie wazy, pojawiła się Cindy.

- Obawiam się, że jedna z nich ma skazę, pani Crandall - powiedziała.

Mildred uśmiechnęła się do niej.

- Wszystko w porządku, kochanie. Zajmiemy się tym. - Poczekała, aż ociągająca się Cindy przejdzie do frontowej części sklepu. Pokręciła głową. - Ta dziewczyna zawsze wyczuwa domowe tragedie - powiedziała, po czym wróciła do swego pytania: -Za mało zaproponowałeś!

- Mamo, nie rozumiesz! Ona nie jest księgową. Jest kimś w rodzaju wyznawczyni New Age'u. Jest też moim sobowtórem, tyle że znacznie młodszym. - Na wspomnienie gładkiej twarzy rywalki złapała wazę i z całej siły grzmotnęła nią o ścianę. Naczynie rozprysnęło się na srebrzyste kawałki, wydając przyjemny dla ucha, ale nie w pełni satysfakcjonujący dźwięk. Chwyciła następną i cisnęła. Była zadowolona z dzieła zniszczenia, ale wciąż odczuwała duszności. - Nie mogę oddychać -poskarżyła się.

- Możesz, możesz - zapewniła matka. - Możesz i będziesz. Podejdź do tego jak Lamaze*. Oddychając świadomie, łatwiej przez to przejdiesz.

Sylwia potrząsnęła głową i przeniosła wzrok z rozbitych skorup na Mildred.

* Lamaze - twórca terapeutycznego treningu oddechowego.

— Nie zamierzam przez to przechodzić. Zamierzam się z tego wydobyć. Tylko najpierw sprawię, że Bob poczuje się tak zgruchotany jak to... - Wskazała na rumowisko. - Zgruchotany jak ja.

— Zamierzasz więc rozbić swoje małżeństwo? Nie mogłabyś poprzestać na tych naczyniach? I wszystko z powodu durnej pomyłki Boba?

— To nie jest pomyłka. A ta dziewczyna wcale nie jest durna. Jest postrzelona, jest dziwaczna i pewnie amoralna, ale nie jest głupia. Rozgląda się po prostu za mężem i padło akurat na Boba. Ona dobrze wie, co robi.

— No cóż, może powinnaś ją podziwiać? Ktoś, kto wie, czego chce, znajduje się na dobrej drodze do zdobycia tego

— powiedziała Mildred. — A założę się, że ty jeszcze nie wiesz, czego chcesz.

Sylwia znowu zaczęła płakać.

— Och, wiem! Chcę, żeby Bob cierpiał z mojego powodu. Chcę, żeby się czuł odrzucony. Chcę, żeby się czuł zrobiony w balona. Chcę też oddychać swobodnie.

Mildred podała córce kolejne naczynie.

— Wystarczy? To już ostatnie, jakie odłożyłam. Sylwia potrząsnęła głową i odstawiła wazę na stół.

— Nie — powiedziała. - Ma skazę. Czy stare albo uszkodzone, albo w ogóle niedoskonałe rzeczy do niczego innego się nie nadają?

— Czuję się teraz ofiarą twojego sarkazmu — zachnęła się Mildred. — Sylwio, masz dopiero czterdzieści lat. Nie prenumerujesz nawet *New Choices*, nie mówiąc o *Modern Maturity*. Jesteś śliczna, nie żadna tam stara skorupa.

Chciałabym, żebyś się postarała uspokoić.

— A wiesz, czego ja bym chciała? Móc znowu oddychać i móc myśleć — powiedziała Sylwia. — Muszę się więc uspokoić. Prawdę mówiąc, nie mam już ochoty zabijać Boba, ale nie mam też zamiaru oglądać go w towarzystwie tej mojej kopii. Gdyby mogło się spełnić tylko jedno moje pragnienie, chciałabym, żeby Bob bez pamięci zakochał się we mnie. Ale nie chcę go takim, jaki jest obecnie. Nie chodzi mi wcale o to, że wyhodował sobie brzuch, że ma zatoczki na głowie. Chcę po prostu dawnego Boba. Boba, który był namiętny, który mnie adorował. Pamiętam to wspaniałe uczucie! Chcę go z powrotem i chcę, żeby mnie kochał bardziej niż kiedykolwiek.

- O czym ty mówisz, Sylwio?! - zaperzyła się Mildred. -Chcesz być kochanką Boba, a nie jego żoną?

- Tak. To znaczy niezupełnie... - Sylwia zamilkła na chwilę. Wstyd się przyznać, ale tego właśnie pragnęła. Oczywiście, pragnęła także ujrzeć Boba na rzeźniczym haku. No dobrze, ukarze go, i co dalej? - Tamta zgarnia całe jego uczucie. To Marla dostaje kwiaty i prezenty, podczas gdy ja przyrządzam łososa na grillu, odmrażam kurczaka i pisuję do dzieci.

- To zajęcia żony i matki.

- A zatem żądam awansu!

- Ale na razie potrzebujesz przede wszystkim spokoju. Sylwio, każda z przebywających tu kobiet ma jakiś problem z mężem. O ile ma męża. Jeżeli nie, to ma problemy z przyjacielem albo jest samotna. Połowa z tych, które mają mężów, czuje się nimi znudzona albo nie może ich znieść, albo nie zwraca na nich uwagi. Druga połowa szaleje, ponieważ o n i nie zwracają na nie uwagi. Nikomu nie jest lekko. - Mildred popatrzyła zza uchylonych drzwi na kobiety w warsztacie. - Można na tym zrobić świetny interes. Możesz sobie nie radzić z małżeństwem, ale za to wymalować piekło na wazie do zupy. Czuję się tak, jakbym spełniała ważne posłannictwo.

Mildred zaczęła zmiatać skorupy.

- Czas szybko leci, Sylwio - westchnęła. - Dorastamy i zmieniamy się. Coś tracimy, coś zyskujemy w zamian. Możesz mi wierzyć, że nie odczuwam braku dolegliwości menstruacyjnych, ale czasami... - urwała i odłożyła miotłę.

- Na Boga! O czym ja truję? Wracaj do domu, kochanie. Zdrzemnij się, poczujesz się lepiej. A potem do mnie zadzwoń, to sobie porozmawiamy.

W drodze powrotnej Sylwię prześladowały natrętne myśli. Rozmowa z matką niewiele jej dała. Nie zrozumiała nic z tego, co usłyszała o Marli i ich bliźniaczym podobieństwie. Ale czy ktokolwiek byłby to w stanie pojąć? Żeby uwierzyć, trzeba zobaczyć tę dziewczynę. W pokrętny, bardzo pokrętny sposób Sylwia wykombinowała sobie, że na dobrą sprawę powinno jej to pochlebiać. Bob nie poderwał jakiejś hiszpańskiej señority o kruczoczarnych, sięgających bioder włosach. Gdybym rozjaśniła włosy, rozważała Sylwia, i zrzuciła parę kilogramów... Gdybym

się pozbyła worków pod oczami... Co jest?!... Nie będzie się przecież starać o zdobycie na nowo Boba. Wolałaby go raczej otruć. Gdyby tylko jadał w domu!

Pomysł matki, by pozostała z nim, napawał ją zgrozą. Jak ma go nie zabić albo chociaż nie wykrzyknąć żalu, kiedy będzie wracał od metresy? A jednak, pomimo zadanej rany, zniewagi, pomimo zażenowania, Sylwia czuła w głębi duszy, że nie chwyta czegoś najważniejszego, znacznie ważniejszego od zranionej dumy i haniebnej zdrady. Czegoś, do czego musi dojść, a wokół czego po omacku krążą jej myśli...

Czego naprawdę chcesz? — zapytała matka. Jeszcze kilka dni temu Sylwia myślała, że niczego nie brak jej do szczęścia. A przecież łudziła się tylko. Życie jest zbyt cenne, by je marnować na marzenia czy na uganianie się za czymś, co nie istnieje. Czego naprawdę chce? I czy potrafi to osiągnąć, kiedy już zorientuje się, o co jej naprawdę chodzi?

Sylwia leżała płasko - na tyle oczywiście, na ile pozwalały wypukłości brzucha i piersi - na wąskim, panińskim łóżku Reenie. Myśl o udaniu się do własnej sypialni, o skorzystaniu z własnego łóżka, łóżka, w którym przez tyle lat sypiała z Bobem, wydawała się jej nieznośna. A musiała się położyć, ponieważ najzwyczajniej w świecie nie mogła już dłużej utrzymać się na nogach. Wpatrywała się w sufit, czując upływ czasu. Oto, co się wydarzyło: czas mijał i nieustannie, po troszeczkę, dzień po dniu zabierał jej młodość i świeżość, ograniczał możliwości i hart ducha, aż w końcu uczynił ją taką, jaka jest obecnie. Przesunęła ręką po biodrze - wysiłek, który pochłonął całą jej energię - i poczuła jego mięsistość. Kupując ostatnio spodnie, zmuszona była wziąć duży rozmiar. Sprzedawczyni zapewniała, że to tylko „europejski krój”, jednakże Sylwia wiedziała, że utyla.

W końcu to przecież naturalne, pocieszała się. Starzeje się jak każdy mieszkaniec tej planety, jak i ta... ta zapatrzona w New Age kurewka. Kiedyś wreszcie, za jakieś jedenaście lat, ten biedny wycirus również utyje i nabierze opływowych kształtów. Zwiotczeją jej pośladki...

Ale zanim to nastąpi, Bob będzie wolał raczej ją niż własną żonę. Oczy Sylwii zaszkliły się od łez. Powstrzymała je szybkim mruganiem powiek. Nie pozwoli sobie na płacz! Wszystko stało się jasne. Nie jest wariatką ani też osoba przewrażliwioną. Nawet matka jest w błędzie. Bob po prostu i g n o r u j e ją. Nic dziwnego, że nie zauważał, kiedy zmieniała perfumy czy nakładała nową bieliznę nocną. Nic dziwnego, że nie czynił wymówek o wpakowanie samochodu do basenu. Sam wpakował się w coś niestosownego. Nic też dziwnego, że podarował jej ten samochód.

Kiedy handluje się samochodami, nic prostszego, jak ofiarować jeden. Drugi dał swojej metresie. Komu jeszcze mógł dać samochód? Właścicielowi pralni chemicznej?

Kiedy ostatnio Bob myślał o niej naprawdę? Zacisnęła pięści. Taki koszmar zdarza się przecież tylko innym ludziom, innym kobietom, mającym mniej szczęścia. Zdarzył się Rozalii, ale ona zawsze była... co tu dużo mówić, jędzowata. Zdarza się kobietom, które wybierają na mężów uwodzicieli. Zdarzyło się Sandie Thomas. Ale jakim cudem jej, Sylwii? Była przecież dobrą żoną. Nie lekceważyła Boba, nie koncentrowała się wyłącznie na dzieciach. Nie wszczyła kłótni, nie sprzeczała się. Interesowała się jego hobby. Nie ulegała własnym zachciankom. Na miłość boską! Czy przez trzy lata z rzędu nie łowiła z nim ryb na muszkę?! Nie tylko prowadziła mu dom, nie zaniedbywała również wspólnych zainteresowań muzycznych. Chodziła z nim na koncerty, grywali na cztery ręce. Nie była głupia, nie była ślepa, nie była też oferwą. A jednak to się zdarzyło...

Zdarzyło się również matce.

Zdawało się jej, że zapada się w materac Reenie, jakby do jej normalnej wagi doszło nie pięć, lecz tysiąc albo i milion kilogramów. Czuła, że mogłaby przebić materac, sprężyny, podłogę, że mogłaby wpaść do piwnicy, a potem znaleźć się w samym środku ziemi. Była pewna, że nigdy nie podniesie się o własnych siłach, a już na pewno nie będzie mogła chodzić.

Kiedy przypominała sobie szok spowodowany widokiem własnej, choć młodszej, wpatrującej się w nią twarzy, musiała przyznać, że nie jest to przypadek. Nawet teraz, kiedy jej serce i brzuch, dłonie i uda zdawały się nieznośnie ciążyć, musiała przyznać, że wybierając Marłę Molensky, młodszego sobowtóra żony, Bob w zasadzie nie odrzucił jej definitywnie. To prawda, odrzucił ją, Sylwię Schiffer, ale i tak ją wybrał, taką, jaka była kiedyś.

Ta myśl nie brała się bynajmniej z próby usprawiedliwienia męża. Podobieństwo obu kobiet rzucało się w oczy.

Pomimo ciężaru w sercu Sylwia czuła, że Bob nawiązał romans, mając przed oczami ją, Sylwię. Być może nie taką, jaka jest obecnie, ale Sylwię. Tak. Pragnął jej. Po prostu pragnął Sylwii sprzed lat.

Ten pomysł przeraził ją, ale i pobudził do działania. Podniosła się z wąskiego łóżka Reenie i jak lunatyczka, jak żona Frankensteina, przebyła drogę do dużego lustra na wewnętrznej stronie drzwi szafy. Utkwiła wzrok w swoim odbiciu.

Oczywiście, miała czerwone oczy, była rozczochrana i blada - poza plamami na policzkach, których dostawała, kiedy ogarniała ją złość. Powoli zaczęła rozpinąć bluzkę. Rzuciła ją na podłogę i mocowała się z ciasnym zapięciem spodni. Pozwoliła im opaść do kostek, wyszła z nich i zrzuciła pantofle. Następnie zdjęła stanik, który spadł na podłogę, podobnie jak opadły piersi. W końcu ściągnęła majtki. Został tylko złoty krzyżyk na szyi. Przypomniała sobie, że dostała go od Boba na piątą rocznicę ślubu, zdjęła go więc i dorzuciła do ubrań. Opuściła ją odwaga, zebrała się jednak w sobie i spojrzała do lustra.

Wpadające przez okno światło nie było ostre, gdyż pokój Reenie wychodził na północ. Sylwia wpatrywała się w lustro. Od kiedy worki pod oczami wypełniły się tłuszczem? Od kiedy policzki zaczęły wiotczeć? Przyłożyła dłoń do szyi. Od kiedy w ogóle skóra stała się taka wiotka? Spojrzała na klatkę piersiową. Była pokryta drobnymi piegami i plamkami wzdłuż mostka. Nigdy nie miała dużych piersi i naprawdę je lubiła. Teraz zaś wpatrywała się w nie i zachodziła w głowę, od kiedy sterczące niegdyś sutki zaczęły opadać w dół. Przypomniała sobie głupi test z ołówkiem -dziewczynki w szkole mówiły, że jeśli pod piersiami utrzyma się ołówek, pora na stanik. Mój Boże! Mogłaby tam ukryć nawet najgrubsze cygaro! Kontynuowała oględziny. Urósł jej brzuch. Przyzwyczaiła się do niewielkiego zaokrąglenia, ale teraz było to coś więcej. Kiedy była młodsza, krągłość miała nawet pewien powab, podczas gdy obecna kluchowatość ciała była po prostu nieatrakcyjna. A uda?! Spojrzała na kalafiorowaty cellulitis. Od kiedy to stała się żywą reklamą wyrobów piekarniczych Pillsbury? Pomijając uda, nogi nie były jeszcze najgorsze, ale przy bliższych oględzinach okazało się, iż żyły znajdują się tuż pod skórą. Gzy to żylaki? Spojrzała w dół. Pomimo wypukłego brzucha mogła dojrzeć włosy na łonie. Czyżby się przerzedziły? O Boże, a to? Czy to nie siwy włos?

Jak mogła niczego nie zauważyć? Czy była aż tak zaaferowana dziećmi, muzyką, lekcjami, domem i ogrodem, że nie zwracała uwagi na siebie? Stała się kobietą w średnim wieku!

To było nieuniknione, rzecz jasna. Nie przypuszczała jednak, że nastąpi tak szybko. Czterdziestka to jeszcze nie starość. Nie przejmowałaby się tym faktem, gdyby wiedziała, że jest kochana. Ale ' teraz, mając świadomość, że Bob jest nią tak mało zainteresowany,

gardziła tym, co zobaczyła. Dziesięć lat temu - a nawet pięć - mogłaby się jeszcze wziąć w garść. Mając trzydziestkę, mogła przecież bez trudu uchodzić za dwudziestodwuletnią kobietę. Gdy miała trzydzieści jeden lat, a w barze panował półmrok, została nawet wylegitymowana. Jeszcze gdy miała trzydzieści siedem, nie wyglądała na swój wiek. Aż w końcu ją dopadło! Dziesięć lat czy jedenaście, czy jaka tam różnica wieku dzieli ją od tej kobiety, to okres, w którym nastąpiła nieodwracalna zmiana. Stało się to tak, jakby siadła opona. Zmiany dosięgną także tę wywłokę! Któregoś dnia też stanie przed lustrem. Ale na razie Marla jest bez skazy.

Kiedy ponownie odwróciła się do lustra, zaczerwieniła się. Czuła, jak uderzenie krwi schodzi po szyi i rozgrzewa jej klatkę piersiową. Ilekroć Bob w ciągu ostatnich miesięcy spoglądał na nią, musiał ją porównywać z tą drugą, która nadal ma elastyczną skórę i gładkie ręce. Jakież to poniżające! Odwróciła się od lustra. Zdjęła z wieszaka szlafrok Reenie i owinęła się miękką flanelą.

Kiedy ostatnio kochali się z Bobem? Żartowała, mówiąc matce, że pięćdziesiąt sześć dni temu. Ale kiedy to właściwie było? Próbowала sobie przypomnieć. Na pewno jeszcze przed wyjazdem dzieci. I wcale nie jest pewna, czy próbowali podczas wakacji. Aż tak dawno?! Prawie przed czterema miesiącami? Zdarzały się im wcześniej okresy postu, ale nigdy nie trwały tak długo. Wyciągnęła rękę, by oprzeć się o ścianę. Kiedy będzie się znowu kochać? Może nigdy. Czy w ogóle istnieje jeszcze szansa na kochanie się z Bobem? Nie dopuszczała nawet myśli o innym mężczyźnie.

Prawdę mówiąc, nigdy nie oczekiwała wiele od życia. Uważała, że sama tworzy swój świat i że jest odpowiedzialna za własne szczęście. Nie była jednak przygotowana na nokaut. Nie była przygotowana na rezygnację z uciechy cielesnej ani też na odstawienie na bocznicę.

Nie tracąc nic z poczucia rodzinnego bezpieczeństwa, Bob znalazł sobie kogoś nowego. Kochał się z inną kobietą, kobietą, która wygląda jak młoda Sylwia. Cofnął wskazówki zegara.

Jak miała na to zareagować?

Znajdowała się w gabinecie Johna Spencera. Nie mogła usiedzieć na miejscu, zaczęła więc chodzić. Na ścianach wisiały w ramkach normalne w takich miejscach rzeczy: dyplomy medyczne, wyróżnienia za działalność społeczną itp. Było także duże zdjęcie Nory, zmarłej żony Johna, oraz dziesiątki ich wspólnych fotografii.

Źle się stało, że nie mieli dzieci - pomyślała. Nora nie mogła zajść w ciążę. John byłby dobrym ojcem i nie czułby teraz samotności. Sylwia krążyła w tę i z powrotem. Gdy w drzwiach pojawiła się głowa Johna, rzuciła się ku niemu.

- Sylwio, jak się czujesz? Pielęgniarka powiedziała... Przerwała mu ruchem ręki. Potrząsnęła głową. Całym wysiłkiem

woli powstrzymywała się od płaczu. Ostatnio zresztą nic innego nie robiła. Dał jej znak, żeby poszła za nim.

- Potrzebne mi EKG - powiedziała, kiedy znaleźli się w jego gabinecie.

Popatrzył na nią zatroskany.

- Masz bóle w klatce piersiowej? Czy to coś nagłego?

- Tak. Muszę na gwałt zrobić lifting. I odchudzić się metodą odsysania tłuszczu.

- Lifting? Dlaczego? - Ujął ją za rękę. - Sylwio, o co chodzi?

- Bob mnie zdradza. Widziałam ją. Wygląda dokładnie jak ja, tyle że młodziej. Dokładnie jak ja, tyle że bez kurzych łapek. Dokładnie jak ja, tyle że bez drugiego podbródka.

John usiadł ciężko na krześle za biurkiem i złączył czubki palców.

- Tak mi przykro, Sylwio. Pokiwała głową.

- Nie zamierzam cię nawet pytać, czy wiedziałeś, w jaki sposób Bob spędza wolny czas. Jesteś za dobrym przyjacielem nas obojga, żebyś miał brać czyjaś stronę. - Opadła na krzesło naprzeciwko Johna i pozwoliła sobie uronić łzę.

John wstał zza biurka, podszedł i już chciał ją wziąć w ramiona, ale poczuła, że się zawahał. Była świadoma jego głębokich uczuć do siebie i to wystarczało za pocieszenie. Zwyciężył w nim lekarz. Jego ramiona były jak mur obronny; przynajmniej w nich nie czuła potrzeby bycia osobą seksowną.

- Dopadł mnie wiek, John. Nie przyglądałam się sobie i nie wiedziałam, że wyglądam tak paskudnie.

- Czyś ty zwariowała?! Potrzebny ci psychiatra, a nie chirurg plastyczny. Obarczasz siebie winą za postępowanie Boba? Jesteś atrakcyjną, pełną życia kobietą...

- Kiedy tu byłam ostatnio, powiedziałeś, że muszę zrzucić pięć kilo — przypomniała.

- Daj spokój, nie mówiłem tego na podstawie oglądu, lecz karty - zaprotestował John. - Dla mnie pozostaniesz na zawsze moją sympatią. Tak, tak, wciąż żałuję, że odrzuciłaś moją propozycję.

Sylwia podeszła do okna. Wyrzała na cichą uliczkę.

— Nie mogłam jej przyjąć. Byłeś naukowcem. Bob był muzykiem, a ja chciałam grać. Sądziłam, że razem będziemy grali. -Urwała. — I co z tego wyszło? - Powróciła do Johna, oparła głowę na jego ramieniu i zaczęła płakać. Objął ją.

— Sylwio, pozwól, że porozmawiam z tobą, jak przystało na lekarza. Zdarza się, że mężczyźni postępują jak palanty.

— Ale nie ty!

— O, tak. Ja również. Kiedy Nora umarła, rozmyślałem o komplementach, których jej nie powiedziałem. Czasami mężczyźni zapominają o ważnych sprawach.

— Och, John, tak mi cię żal... I Nory...

— Rozmawiamy o tobie, Sylwio. A właściwie nie o t o b i e , lecz o Bobie. Spotykam się z tym problemem codziennie. Daj sobie spokój z chirurgią. Kobieta cierpi, ponieważ zranione zostało jej ego, ponieważ traci poczucie bezpieczeństwa. Uważasz, że gdybyś wyglądała młodziej, gdybyś zmieniła wygląd... Ależ to nie ma nic wspólnego z wyglądem!

Sylwia nie słuchała. Machnęła ręką.

— Nic nie rozumiesz. To nie jest normalna sytuacja. Ona wygląda d o k ł a d n i e jak ja, John. To m a wiele wspólnego z wyglądem. Z młodością. Ze śmiertelnością.

— Nie. Nie...

— Nic nie rozumiesz... Mogłabym być nią. Ona mogłaby być mną. Mogłybyśmy się zamienić...

— Sylwio, większość mężczyzn uważa, że u żony winni szukać komfortu i pocieszenia, podniety zaś w przygodzie. Taka jest ludzka natura, rozdarcie między potrzebą bezpieczeństwa a nieznanym, ale w końcu...

Sylwia nie słuchała albo słuchała tylko jednym uchem. Powoli w tym ślepym zaułku zaczęło błyskać światło.

— Żadna z nas nie jest szczęśliwa. Ona pragnie małżeństwa. Ja zaś... romansu.

— To nie da się pogodzić.

Zamglony obraz jej i Marli na nowo odżył w świadomości Sylwii. Widziała, jak stoją, przyglądają się sobie w zamazanym lustrze — takie identyczne.

— Nic nie rozumiesz - powiedziała. - Mogłabym być nią. M o g ł a b y m być nią. J a mogłabym być nią - powtarzała w kółko Sylwia jak aktorka, która uczy się roli.

Sylwia spała - a raczej udawała, że śpi - na najwęższym skrawku łóżka, odwrócona plecami do pustego miejsca. Kiedy Bob wrócił po północy, ułożył się cicho obok. Nie dotykał jej, ale jego ciało tuż obok napawało ją przerażeniem. Odnosiła wrażenie, że zamiast pleców ma radar; rejestrowała każde jego poruszenie i trzymała się najdalej, jak tylko mogła. Przesunęła się niemal na krawędź łóżka. To był odruch, na który nic nie mogła poradzić. Gdyby nawet Bob wrócił tak późno, ponieważ istotnie miał to cholerne masońskie spotkanie, nie byłaby w stanie opanować tego uczucia. Ciało miała napięte do granic wytrzymałości. Gdyby Bob wyciągnął teraz rękę i dotknął jej, prawdopodobnie wrzasnęłyby i zaczęła go okładać po twarzy. Zamiast tego spędziła ciężką noc, podczas gdy on zapadł w głęboki sen.

Ilekcroć zamykała oczy, prześladowały ją wyraziste i niespokojne sny. Jakaś zgnieciona, płonąca kartka papieru, od której zapalił się jej ukochany dom. Budziła się mokra, po jakimś czasie zasypiała i znów śniła. Tym razem było to coś o wprowadzającej się do jej domu dziewczynie, podczas gdy ona sama stała na ulicy i wpatrywała się w okno. Dokonywały transakcji. W każdym razie dziewczyna zajęła miejsce Sylwii. Po obudzeniu jej myśli gubiły się w gąszczu przeróżnych ewentualności.

W chwilę potem - a było to jak wstrząs, który biorąc początek w głowie, ogarnął całe ciało - doznała olśnienia. Pomysł, który świtał gdzieś w zakamarkach jej mózgu, objawił się w całej swej jaskrawości. Przez chwilę myślała, że to łóżko się trzęsie, gdy tymczasem ruszał się tylko jej mózg. Dlaczego n i e zamienić się

miejscami?! Nie chciała, by Marla zajęła jej miejsce; pragnęła natomiast przejąć jej rolę! Czy to się da zrobić? Już teraz ludzie myślą je na odległość, a odbicia w lustrze są niemal identyczne. W ostatnim roku Bob w końcu ustąpił i sprawił sobie okulary do czytania. Jak wyraźnie widzi z bliska? Znowu ją olśniło; nie tylko rozpracowała Boba, dotarła do niej w końcu rada matki i słowa Johna. Wszystko ząbębiało się w śmiały i twórczy sposób. A co! -powiedziała sobie. Przecież stać mnie na śmiałość i na twórcze podejście!

Podniecona świeżo zrodzonym pomysłem, wstała z łóżka i popijając herbatę za herbatą przemierzała wzdłuż i wszerz hall, dopóki wszystkiego starannie nie przemyślała. Pomysł był szalony i karkołomny, może nawet niewykonalny, ale jeśli się uda, będzie miała wszystko, czego chce!

Drobny zabieg chirurgiczny, pozbycie się kilku kilogramów, które i tak zamierzała zrzucić, a także rozjaśnienie włosów i dużo tego czegoś, co jest prawdopodobnie ziołowym podkładem na twarz, a będzie mogła zająć miejsce Marli! W ten sposób nie tylko przyłapie Boba na zdradzie, ale także zrobi z niego balona, podobnie jak on z niej. A jeśli zechce, pozwoli mu zakochać się w sobie jak kiedyś. Albo wzbudzi w nim pożądanie, a następnie wystawi go do wiatru. Niech poczuje się odrzucony, jak ona teraz.

Żeby wszystko mogło się udać, potrzebna będzie, oczywiście, odrobina szczęścia, odrobina chirurgii i pełna współpraca panny Molensky. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej plan wydawał się wykonalny. Przypomniała sobie jeden z flimów wojennych, które ogląda tata, a w którym ktoś podobny do Gregory'ego Pecka musi przejść na stronę nieprzyjaciela, wcielając się w rolę nazistowskiego generała, do którego podobny był zewnętrznie.

Funkcjonariusze wywiadu armii zaczynają uczyć go niemieckiego, dorabiają mu bliznę wyniesioną z pojedynku, a także wbijają mu do głowy wszystkie, najdrobniejsze nawet nawyki generała. W końcu ubrany w nieskazitelny mundur Peck udaje się z misją, która jest prawie niewykonalna. Ale on wychodzi z niej zwycięsko.

Dlaczego więc jej miałyby się nie udać? Poduczy się i będzie mówić w stylu New Age. Oczywiście, Marla z kolei nauczy się piec kurczaki i pogodzi się z faktem, że będzie ignorowana. Sytuacja jak z Twainowskiego „Królewicza i żebraka” - nie wiedziała jeszcze tylko, jaka rola jej przypadnie.

Im dłużej rozmyślała, tym bardziej była podekscytowana. Najtrudniej będzie przekonać Marłę. Ale przecież dziewczyna gotowa jest umrzeć, byle tylko wystąpić w roli żony. Namówi ją zatem do próby generalnej. Warto w każdym razie spróbować. Nie mam nic do stracenia - pomyślała. Gdyby Bob się połapał, byłby wściekły, doceniłby jednak uczciwość intencji i poczułby się zawstydzony. Niewykluczone także, iż współudział Marli w mistyfikacji potraktowałby jako zdradę. Sylwia uśmiechnęła się. Już choćby z tego powodu warto zaryzykować. Nie wiedziała, czy potrafi uratować swoje małżeństwo i czy pragnie tego, była jednak pewna, że chce przerwać ten romans. Gdyby teraz wybaczyła Bobowi, pozostałaby nadal tylko żoną - niezawodną, gwarantującą spokój, traktowaną jako coś podrzędnego. Pod tym względem matka ma rację - nie życzy sobie, by Marla Molensky na zawsze została panią Schiffer. Sylwia dobrze wiedziała, ile pomyj wylewa się na głowy rozwódek w Shaker Heights. A duma nie pozwalała jej uznać, że może zostać zastąpiona, potraktowana jak przepalona żarówka!

O świcie Sylwia odstawiła filiżankę herbaty, ubrała się, napisała kilka słów do Boba i ruszyła wyludnionymi ulicami Shaker Heights. Liście mieniły się bogactwem barw. Było tu pięknie w różowawym świetle poranka. Kochała swoje rodzinne miasto. Chciała w nim pozostać, ale nie za taką cenę, jaką zapłaciła Rozalia. Chciała tu pozostać na swoich warunkach.

Trzeba więc tylko urobić Marłę. Sylwia zdawała sobie sprawę, iż nie obejdzie się bez oszustwa, ale była na nie przygotowana, zwłaszcza wobec oszustwa, jakiego sama padła ofiarą. Żeby przekonać Marłę, niezbędny jest odpowiedni bodziec. Mimo sugestii matki wiedziała, że w grę nie wchodzi pieniądze; wiedziała też jednak, że ma sposób na tę dziewczynę.

Minęła most North Woodland, wypatrzyła przydrożne centrum handlowe z barem szybkiej obsługi, które właśnie otwarto, i zamówiła filiżankę kawy. Omal nie kupiła pączka z lukrem. Nic z tego - pomyślała - najpierw doprowadzisz plan do końca! Popijając kawę, spoglądała przez okno na rzekę. Dziś nie były to wody Shaker Lakes, lecz niemal Rubikonu. Wzmocniona kofeiną, wróciła do samochodu i po raz drugi podjechała pod 1411 Green Bay Road.

- Mam dla ciebie propozycję. Czy mogę wejść?

- Lepiej nie. Działyśmy na siebie przygnębiająco - odparła tamta.

- Czyżby? — zapytała opanowanym tonem Sylwia. - Nie rozumiem dlaczego.

Marla nie dopatrzyła się w jej słowach sarkazmu.

- Nie masz przypadkiem Skorpiona w ascendencie? — spytała.

- Nie mam pojęcia, ale obiecuję, że się dowiem - odpowiedziała słodko Sylwia. - A jeżeli pozwolisz mi wejść, dobrze na tym wyjdiesz. Mam coś, co cię na pewno zainteresuje.

Marla wpuściła ją do środka.

Sylwia musiała dwa razy powtarzać jej swój plan. Może pora była za wczesna, a dziewczyna nie była orłem.

- To nie ma sensu! - powiedziała wreszcie.

Ubrana w kusy nylonowy szlafroczek, przecierała zaspane oczy. Ponieważ Sylwia przyniosła ze sobą dwa kartonowe kubki z kawą, podała jej jeden, ale Marla odmówiła. Ułożyła się po prostu na sofie, słuchając, ziewając i przeciągając się jak kot. Sylwia wyłożyła jej wszystko dokładnie. Teraz nie pozostawało jej nic innego jak stać nad Marlą i czekać na odpowiedź.

- To nie ma sensu — powtórzyła Marla.

- Podejź do tego jak do tymczasowej zmiany zawodu - zaproponowała Sylwia. — Mogłabyś na jakiś czas zaprzestać bujania w przestworzach.

Marla podniosła wzrok.

- Obecnie i tak się tym nie zajmuję. Sylwia zawahała się.

- Czy nie mówiłaś, że jesteś stewardesą?

- Nie. To znaczy tak. Tak mówiłam. Chciałam przez to powiedzieć, że byłam stewardesą. Prawie. Zostałam zatrudniona i zaczęłam chodzić na kursy, ale... Co tu dużo mówić, nic z tego nie wyszło. Mam teraz znacznie poważniejsze zajęcia. - Potrząsnęła głową.

Sylwia była zachwycona świeżością jej cery, połyskiem włosów, umiejętnością stosowania wybiegów. Kim jest ta dziewczyna? Fascynowała ją! Tak jakby oglądała siebie na starej taśmie. Tylko dlaczego w ciągu parunastu lat zrabowano jej tak wiele?

- Więc czym się w końcu zajmujesz? To znaczy zawodowo? -zapytała.

Marla usiadła, wygładziła koronkę taniego szlafrocza.

- Mam stanowe uprawnienia refleksologa. To świetna terapia. Nadaję się do tego, ponieważ nie stawiam oporu - powiedziała, jakby na swoją obronę.
- To taki masaż palców u nóg? - zapytała Sylwia. No tak, to wyjaśnia obecny stan stóp Boba. Próbowала się wczuć w rolę osoby masującej przez cały boży dzień cudze stopy. O rany! To gorsze niż dłubanie w cudzych ustach! Zrobiło się jej niedobrze, ale złożyła to na karb pustego żołądka, kawy i braku snu.
- Stopa jest zwierciadłem duszy. I sędzę, że mam dar uzdrawiania — oznajmiła Marla.
- Interesujesz się kalamburami? - zapytała Sylwia.
- Kalamburami? - powtórzyła obojętnie rywalka. Zmęczona już Sylwia uświadomiła sobie, że nieprędko stąd wyjdzie. Ponieważ u Marli było krucho z meblami do siedzenia -tylko sofa w salonie - wyciągnęła składane krzesło spod ławy w kuchence i postawiła je blisko łóżka.
- Posłuchaj, Marla! Podejdz do tego jak do zmiany zajęcia. Sprawdźmy, czy w nowych rolach nie będziemy szczęśliwsze. Przekonasz się, czym jest poczucie bezpieczeństwa, a poza tym przymierzysz się do roli dobrej żony. Pomogę ci znaleźć dobrego męża. Poinstruuje cię. Tymczasem ja poczuje, co znaczy dobry seks z mężczyzną, z którym zwykle jedynie sypiam. - Sylwia wstrzymała oddech; dziewczyna nie powiedziała „nie”. Czy powie „tak”?
- Nie połapie się, żeśmy go wyrolowały?
- Na m n i e prawie nie patrzy - wyznała z goryczą Sylwia. Marla zastanawiała się.
- Prawdę mówiąc, on chyba krępuje się patrzeć mi w oko... oczy. Mówi się „w oko” czy „w oczy”? - spytała. - Nigdy nie wiem. Bo tak naprawdę nie można patrzeć w oba naraz. No, niektórzy to potrafią, na przykład mój kuzyn Dean, najmłodszy syn siostry mamy. On i Sharleen mieszkają teraz w Montanie albo w Wyoming. W każdym razie on ma zeza. Można o nim powiedzieć, że kiedy na ciebie patrzy, naprawdę patrzy ci w oczy. Sylwia nie podjęła tematu. Z tą dziewczyną można oszaleć! I Bob to l u b i?
- Słuchaj - powiedziała. - Oto moja propozycja: zamieniamy się domami, życiem, ubraniami, wszystkim. Tylko na chwilę. Powiedzmy na dwa tygodnie.
- No cóż, ubraniami może nie. No wiesz... - powiedziała

Marla, taksując Sylwię wzrokiem. - Nie uważam, żebyś miała cokolwiek z Jesieni.

- Z jesieni? - zapytała Sylwia ze ściśniętym sercem. Czyżby ta mała wiedźma znowu robiła aluzję do jej wieku?

- Nie sądzę, żebyś była Jesienią, a więc wszystkie kolory, które nosisz, są nieodpowiednie dla ciebie. Nawet przy tych mysich włosach. To znaczy, nie dziwię się, że Bob... no wiesz. -Wzruszyła ramionami. - Wyglądasz, jakbyś była ubrana w nieodpowiednią porę roku, co kompletnie zakłóca twoją aurę.

Iloma jeszcze bzdurami fascynuje się ta dziewczyna, zastanawiała się Sylwia.

- Masz może na myśli tę brednię z dobieraniem kolorów na każdą porę roku i odpowiednio do cech charakteru, którą pasjonowano się przed laty? - zapytała. Kiedy nie wypalił pomysł z dystrybucją kosmetyków Mary Kay, Rozalia próbowała się tym zajmować.

- To wcale nie jest brednia! - zachnęła się Marla Molensky. -Uważam to za coś absolutnie wyrafinowanego, tyle że parały się tym osoby, które nie miały zielonego pojęcia na ten temat. Moją przyjaciółką na przykład zajmowała się właśnie taka niepowołana kobieta. Powiedziała jej, że jest Wiosną. Kiedy więc Lynette od niej wyszła, pokupowała sobie nowe ubrania, nie licząc się z kosztami. Wiem, że przekroczyła swój limit u Ann Taylor. A zaraz potem uciekł jej pies. Zwierzęta wiedzą więcej, niż nam się wydaje.

- Marla... - powiedziała Sylwia. - Psy nie rozróżniają kolorów.

- Och! Naprawdę? No cóż, może masz rację. Ale są b a r d z o wrażliwe na aurę. Lynette stwierdziła, że n i e j e s t Wiosną. Ufarbowanie włosów i brwi nie uczyniło z niej Wiosny! Była przecież Zimą, nawet przy tych rozjaśnionych włosach. Sama więc widzisz, że musisz być bardzo, ale to bardzo ostrożna.

- Zgadza się z tobą - powiedziała Sylwia. Musi zachować powagę, jeśli chce sprowadzić tę dziewczynę na ziemię.

- Powinnyśmy być bardzo, ale to bardzo ostrożne, jeżeli ma się nam powieść. - Nie usłyszała wprawdzie „tak”, nie padło jednak i „nie”. Ta dziewczyna jest zbyt... nieprzytomna, żeby...

- Uuuh! Byłabym zapomniała. - Marla Molensky wzruszyła ramionami, podniosła się i weszła do malutkiej kuchni. Sylwia udała się za nią. Marla zaczęła otwierać butelki i wyjmować z nich pigułki, które układała parami, następnie grupami, a w końcu dziesiątkami. Kiedy zaczęła je połykać, Sylwia nie wytrzymała.

- Co robisz? - zapytała. Czy ta dziewczyna to narkomanka? Nic dziwnego, że jest taka nieprzytomna.
- Biorę środki uzupełniające. Ty nie? - Połknęła jeszcze kilka pigułek, po czym spojrzała uważnie na Sylwię, najwyraźniej przestraszona wizją własnej przyszłości. - To b a r d z o ważne, żeby uzupełniać codzienną dietę. Ale musisz uważać i zażywać tylko naturalne środki. Inne mogą być dla ciebie bardzo szkodliwe. Potrzebna ci tylko naturalna witamina C.
- Nie wystarczy świeża pomarańcza? - zniecierpliwiła się Sylwia.
- Chodzi o kalorie. Poza tym to jest o wiele bardziej skondensowane. Pod warunkiem, że nie jest syntetyczne.
- Marla, Linus Paulus zażywał syntetyczną witaminę C. Marla oparła ręce na biodrach.
- Uważasz, że moje informacje dotyczące zdrowia pochodzą z opakowania fistaszków?! - oburzyła się. Sylwia westchnęła.
- Chcę tylko powiedzieć, że większość ludzi nie potrzebuje żadnych środków uzupełniających i że nie ma między nimi różnicy. John, mój lekarz, mówi, że wszystko to jest wypłukiwane z organizmu. Fundujesz sobie kosztowny mocz.
- Jesteś w błędzie - powiedziała Marla. - A lekarze nie mają pojęcia o wielu sprawach. Zachodnia medycyna jest bardzo zacofana. - Pomimo grymasu Sylwii, kontynuowała: - To prawda. Znam dziewczynę, której przyjaciel... Ściśle mówiąc, był kiedyś jej kochankiem, ale teraz wróciła do męża. No więc ten facet pracuje w takiej spółce... farmaceutycznej czy coś w tym rodzaju. I ona mówi, że on jej powiedział, że do produkcji witamin syntetycznych używają całej masy różnych paskudztw.
- Na przykład jakich? - zapytała Sylwia.
- Jaj pająka - odparła bez zmużenia oka Marla.
- Jaj pająka? Po co?
- Rozgniecionymi jajami pająka powlekają pigułki, które stają się gładkie i łatwiej je połknąć. - Żeby to zademonstrować, łyknęła ostatnie pigułki.
- Ależ Marla! - odezwała się Sylwia. - Skąd weźmiesz tyle jaj pająka, żeby nimi powlec tysiące pigułek? A poza tym, czy jaja pająka nie są produktem naturalnym?
- No tak, ale są obrzydliwe. Poza tym istnieją pewnie jakieś

farmy, gdzie zmuszają pająki do znoszenia jajek. Tak, jak to robią z tymi nieszczęsnymi prażonymi kurczakami!

- R a ż o n y m i , rażonymi prądem, nie prażonymi - poprawiła ją Sylwia. Uznała, że najlepiej będzie wrócić do sprawy. - Jestem pewna, że jeśli zrobię zabieg chirurgiczny, ty zaś... nie będziesz tak dużo mówiła, możemy przechytryć Boba. - Trzymając ręce w kieszeniach, zacisnęła palce na szczęście.

- A jeśli nas nakryje?

- Co z tego? To on jest winny - powiedziała Sylwia, pomijając milczeniem winę Marli. Nadal zaciskała kciuki. - Okłamał nas. Powiedział ci, że jesteś jedyna w swoim rodzaju.

- To prawda - przyznała Marla. - To znaczy tak powiedział, ale to nie była prawda. Obie jesteśmy jedyne w swoim rodzaju. - Zamilkła, zamyśliła się, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie.

Sylwia wstrzymała oddech. Czy to łatwo przejdzie?

- Dobrze sobie! A co ja będę z tego miała? - zawołała Marla. - Kochasz tego mężczyznę, wy szalejesz się z nim w łóżku, podczas gdy ja będę u d a w a ł a , że jestem jego żoną. I to ma być poczucie bezpieczeństwa?! Jak tak dalej pójdzie, zostanie mi tylko to mieszkanie.

- On ci je kupił? - Sylwia była wstrząśnięta, brakowało jej oddechu. Samochód to co innego...

- Jest tylko wynajęte, jak całe moje życie - wyznała Marla. Odstawiła witaminy, wróciła do salonu i opadła na sofę. Podciągnęła pod brodę kolana i Sylwia, chcąc nie chcąc, ujrzała jej skąpe majteczki, tworzące komplet z kusym szlafroczkim. - Mam dwadzieścia dziewięć lat. Od chwili skończenia podstawówki na niczym mi tak nie zależało jak na wyjściu za mąż. Moje przyjaciółki mają już dzieci... - Westchnęła boleśnie - Dlaczego mi to robisz? Akurat teraz, kiedy znalazłam naprawdę miłego mężczyznę? Chcę za niego wyjść. Chcę mieć dom z ogrodem i dzieci. Chcę mieć ludzi, których będę kochała. - Zaczęła pociągać nosem. - Zbliżają się święta. Nie jestem pewna, czy dam radę przebrnąć przez nie samotnie.

Sylwia wzięła głęboki oddech: jej umysł pracował na wysokich obrotach. Poklepała Marłę po ręku.

- Zamień się ze mną, a będziesz miała rodzinę już na Święto Dziękczynienia. Zrobisz świąteczny obiad, zaprosisz gości. Będziesz panią dużego domu. Nie zgrozi ci samotność.

Marla usiadła.

- Naprawdę będę mogła to wszystko zrobić? Nakryć do stołu? Położyć serwetki przy każdym nakryciu?

Przygotować dekorację?

— Ależ tak! I ugotować świąteczne potrawy, poczynając od zupy, a kończąc na masie orzechowej. Zapewniam cię także, że będzie dużo ludzi przy stole.

Marla wahała się, zastanawiała. Sylwia zaciskała kciuki aż do bólu. I wtedy padło:

— Kuisz mnie, ale odpowiem „nie”.

— Proszę! — błagała Sylwia, zaciskając jednocześnie pętlę. — Pozwól, że zadam ci pytanie. Czy pragniesz wyjść za mąż za takiego mężczyznę jak Bob?

— Nie pragnę niczego innego.

- Ale nie wiesz, jak wygląda życie żony u boku takiego mężczyzny jak Bob, prawda? - Przerwała, odczekała, by sens słów dotarł do Marli. - Skorzystaj z szansy. Będiesz się mogła przekonać, co to znaczy być żoną Bobbiego. A jeśli ci się spodoba i sprostasz wymaganiom... to kto wie...

- Co?! Mogę go mieć? Czy to aby nie za piękne? - zapytała podejrzliwie Marla

— Nie, ponieważ oczekuję czegoś w zamian. — Sylwia zamilkła, by zebrać siły i odwagę na dalszy ciąg rozmowy. -

W zamian za moje dobre serce proszę cię tylko, żebyś mi pozwoliła przekonać się, jak wygląda życie w charakterze flamy Boba. Możesz zamieszkać w moim domu, możesz siedzieć na moim krześle, możesz spać w moim łóżku, ale nie wolno ci się kochać z Bobem! Taki jest warunek układu. A potem wznowimy negocjacje.

Marla zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

— Czy naprawdę sądzisz, że masz to, co trzeba, żeby go uszczęśliwić w łóżku?

- A jak myślisz? Kto, u licha, nauczył go gry wstępnej?! - zawołała Sylwia, z trudem panując nad sobą.

- Przepraszam. I dziękuję. Jest bardzo pojętym uczniem. Sylwia złapała oddech.

- Zastanów się. Proponuję, by każda z nas, zamieniając się rolami, zrobiła Bobowi kilkutygodniowy egzamin, jeśli tak można powiedzieć.

Marla nie zareagowała, zmieniła tylko pozycję. Boże, ależ ona ma doskonałe ciało! Sylwia próbowała sobie przypomnieć,

czy wyglądała równie dobrze. Chyba tak, ale wtedy nie doceniała tego.

- Posłuchaj uważnie - powiedziała. - Powiem Bobowi, że jadę odwiedzić siostrę i że poddam się drobnemu zabiegowi plastycznemu. Ty też coś wykombinuj. Wyjedziemy na parę tygodni. Razem. Ja funduję.

Marla wzdrygnęła się.

- Chyba nie jesteś lesbijką?

Sylwia spiorunowała ją wzrokiem. Dziewczyna wbiła się w kąt sofy, jakby się chciała bronić.

- Okay! Tak tylko zapytałam. - Wpatrzyła się w sufit. - No cóż, może... Ale... ale ja nie potrafię prowadzić dużego domu. Czy jest tam strefowe ogrzewanie? Nigdy nie miałam do czynienia z ogrzewaniem strefowym. Nie umiem prasować. Nie wiem, co on lubi jeść. Ani jak to przygotować. Nie wiem, na co jest uczulony. Niczego zresztą nie wiem.

- Tak przypuszczałam. W ramach naszego programu zamiany zorganizuję ci przyśpieszony kurs pod tytułem: „Bob—mąż”. Ty zaś nauczysz mnie być uwodzicielską i uległą.

- Nic prostszego! — wykrzyknęła Marla.

- Wspaniale! Udamy się więc gdzieś, gdzie podniosę sobie wszystko, co wymaga podniesienia, schudnę trochę i zrobię się na blondynkę - powiedziała Sylwia. Rozprostowała zaciśnięte palce. Zwycięstwo! — W tym samym czasie ty upodobnisz się do mnie. Załatwione? Przeprowadzisz się do mojego pięknego domu na jakiś czas. I przekonasz się, jak wygląda życie w charakterze żony Boba. Może zgarniesz główną wygraną, a może tylko nagrodę pocieszenia.

Marla znów zdawała się wahać.

- Jeszcze nie wiem — powiedziała. — Byłoby może lepiej, żebym go wykradała powoli. - Uniosła do góry kciuk i wskazujący palec, rozstawiając je na odległość dwóch i pół centymetra. — Pani Schiffer, brakuje mi tylko tyle, żeby dostać pani męża. Czy muszę ryzykować? A jeśli pani zniweczy moje plany? Jak pani wiadomo, mam już pewną reputację.

- Nie wątpię - odparła Sylwia z lekkim sarkazmem. - Posłuchaj, nie zniweczę żadnych twoich planów. Nauczę się refleksologii. Będę robiła wszystko, co ty robisz. Będę nawet zażywała witaminy. Przyłożę się do tego całym sercem. - Znowu zacisnęła kciuki. - Daj się namówić. Tylko na dwa tygodnie. To będzie

zabawne. Nie zapominaj poza tym, że zbliża się Święto Dziękczynienia.

- Masz cienką porcelanę? I zastawę stołową?

- Panno Molensky, mam w domu dwadzieścia cztery krzesła z prawdziwego zdarzenia.

Dla kobiety, która nie miała ani jednego, nie mówiąc już o jadalni, był to argument decydujący.

- Zgoda! - powiedziała Marla. - Załatwione. Dobiwszy targu, wymieniły serdeczny uścisk dłoni.

Sylwia znowu się pakowała. Tym razem była skupiona i zorganizowana. Kiedy wszedł Bob z pocztą, spojrzała na niego spokojnie, siląc się na uśmiech. Bała się, że może go przestraszyć, nie mogła bowiem przywołać na usta nic poza grymasem. Typowe! Nawet nie zauważył. Pocieszyła ją świadomość, że brak spostrzegawczości Boba ułatwi realizację jej planów. Miała już przygotowany tekst. Zrobiła, co mogła, by jej głos brzmiał naturalnie.

- Witaj - powiedziała, chociaż w jej uszach nawet najprostsze pojedyncze słowo dźwięczało jak nagana. Ale przecież nie w uszach Boba!

- Cześć, Brzdącu. - Opadł na krzesło przy oknie i kartkował najnowszy numer *Sports Illustrated*. - Brakowało mi ciebie dziś rano.

- Tak - zgodziła się chłodno. - Postanowiłam powrócić do porannych lekcji jogi.

- Hej, coś sobie przypomniałem. Czy mamy jeszcze zamrożony jogurt? Ten o niskiej zawartości tłuszczu?

Na jakiej podstawie mężczyźni uważają, że żony mają zakodowany w głowie spis wszystkich potraw, i to na każde zawołanie?

- Zaglądałeś do zamrażarki? — zapytała nad wyraz cierpliwie. Gdzież bowiem mógł się znajdować mrożony jogurt?

- Nie — odrzekł beztrosko Bob. — Kiedy wróciłem do domu, sądziłem, że zastanę cię w kuchni.

- Naprawdę? Dlaczego?

Sylwia kontynuowała pakowanie, upychając szampon i odżywkę do plastikowej torby. Bob nawet nie zauważał, co ona robi. Bez reszty zatopił się w lekturze. Gdybym teraz odeszła, ciekawe

po jakim czasie by zauważył — zastanawiała się Sylwia. Po pięciu minutach? Po godzinie? Po dwóch tygodniach? Prawdopodobnie wtedy, kiedy skończyłaby mu się świeża bielizna — pomyślała z goryczą.

Był wciąż zatopiony w lekturze.

— Ponieważ, ilekroć wracam, zawsze jesteś w kuchni — odezwał się wreszcie.

— A więc spotkała cię jedna z małych niespodzianek życiowych — stwierdziła Sylwia, kończąc pakowanie i domykając podróżną torbę. — Żadnych nowości w poczcie? Nie wygraliśmy romantycznej wycieczki do Meksyku dla dwojga? — Sylwia przygryzła język. Opanuj się! — strofowała się w myślach.

Bob nie złapał przynęty.

— Ani słowa od dzieci. Telefonowały? - Zachowywał się jak automat.

— Tylko Kenny. Powiedział, że jeśli zapłacę połowę za instrument, on pokryje resztę. Wysłałam mu czek.

Bob wreszcie podniósł głowę.

— Otrzymałem identyczny telefon! I też mu posłałem! W ten sposób będzie miał gitarę za darmo! — Potrząsnął głową i roześmiał się. - Zapowiada się na fantastycznego sprzedawcę samochodów. — Wrócił do swojego magazynu.

— Możemy się tylko o to modlić - powiedziała Sylwia. — W każdym razie, kiedy mnie nie będzie, porządnie natrzyj mu uszu za to wyłudzenie.

Bob ponownie spojrzął znad magazynu. Wreszcie zauważył spakowaną walizkę.

— Co ty robisz?

— Nie zauważyłeś? A więc w dwóch słowach: pakuję walizkę.

— Pomyślałem, że zwijasz skarpety lub coś w tym rodzaju. — Przerwał, na jego twarzy pojawił się przestach, spojrzął na swoje stopy wygodnie oparte o brzeg krzesła. - Wiesz, rano tego nie zauważyłem, połapałem się dopiero w pracy, że przez cały dzień noszę skarpetki nie do pary. Czarną i niebieską. Czuję się, jakbym okulał..

— Naprawdę? — zapytała obojętnym tonem. Nie ma co! Przejął się jej wyjazdem!

— Tak. Czarna noga była cięższa od niebieskiej — odrzekł. Ściągnął skarpetki i rzucił je na podłogę.

Sylwia spojrzała przelotnie na jego paznokcie u nóg, po czym odwróciła się szybko, by nie złapać za walizkę i nie dopuścić się gwałtownego czynu.

— Wprawdzie uwielbiam związać po praniu skarpety - powiedziała — ale moja siostra zamierza się poddać chemicznemu pee-lingowi i potrzebuje mnie.

— Twoja siostra? Ellen? Co to jest peeling?

— Coś, czego mnie najwyraźniej brak — mruknęła i zatrzasnęła walizkę. Gdyby tak przytrzasnąć mu palce! Opanuj się - wydała sobie polecenie. Nie niszczy tego, czego jeszcze nie zaczęłaś.

— Hmm...? - mruknął Bob.

Popatrzyła na niego z obłudnie promiennym uśmiechem.

— Nic. W każdym razie peeling to coś takiego jak odświeżanie starego samochodu: najpierw pokrywasz go jakimś środkiem chemicznym, który usuwa wierzchnią warstwę farby, następnie zdejmujesz ją papierem ściernym i masz nadzieję, że auto będzie wyglądało lepiej. - Przerwała. - Chodzi o to, że Ellen chce, żebym przy niej była, dopóki nie odpadną strupy. - Sylwia spojrzała w lustro. — Może i ja coś zrobię ze sobą — dodała na wszelki wypadek. — Skoro już tam będę...

Bob podniósł się z krzesła i poklepał ją po plecach. Sylwia użyła całej siły woli, by nie wymknąć się spod jego ręki.

— Nie musisz niczego robić. Wyglądasz wspaniale — powiedział, po czym, z nosem utkwionym w *Spoons Illustrated*, pomaszzerował w kierunku łazienki.

— Och, czyżby? - zapytała napiętym głosem Sylwia. - Odnoszę wrażenie, że nie odczuwasz ciężaru, który zawisł nad tym domem. — Wskazała na lustro nad jego biurkiem.

Bob rzucił na nie okiem. Sylwia stanęła obok niego. Wpatrywała się w ich odbicie i pomyślała o sobie i Marli, stojących razem, wpatrujących się w lustro w identyczny sposób. Teraz Bob także patrzył.

— Policzki — powiedziała Sylwia z dziwną satysfakcją.

— Popatrz na to! — W jego głosie pobrzmiwało zdumienie.

— Tak. A spójrz na to. Obojgu nam zwiotczała skóra. Młodzi ludzie muszą się chyba z obrzydzeniem odwracać na nasz widok. — Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Bob dotknął własnego podbródka. Z najwyższą uwagą przyglądał się swojemu odbiciu. Sylwia nie miała wątpliwości, że jej

wygląd go nie interesuje. Będzie miał się nad czym zastanawiać po jej wyjeździe.

— Dobra, na mnie już czas - oświadczyła. Po raz pierwszy tego poranka poweselała. — Nie chcę się spóźnić na dermabrazję*. -Bob nadal oglądał swoją twarz, delikatnie poklepując zwiotczałe miejsca. - Przykro mi, że zostawiam cię samego. Obiecuj, że nie będziesz spędzał wszystkich wieczorów w domu.

— Znajdę sobie jakieś zajęcie — odpowiedział z roztargnieniem. Sylwia powstrzymała się od złośliwej uwagi. Wiedziała, co on

ma na myśli, mówiąc, że znajdzie zajęcie. Nic nie podejrzewał.

— Może spotkałbyś się z Johnem lub z Philem...

— Daj mi odetchnąć od nich - poprosił. - Od wzniosłości jednego i śmieszności drugiego.

— Więc pewnie będziesz musiał znaleźć sobie przyjaciółkę. -Wysiliła się na uśmiech.

Spojrzał na nią niepewnie.

— Kto by mnie zechciał? — zapytał.

Sylwia wzruszyła ramionami. Bob odwrócił się do lustra. Sylwia omal się nie roześmiała. Dźwignęła swój bagaż.

Podczas gdy Bob nadal wpatrywał się w lustro, zawołała przez ramię:

— Będę w domu na Święto Dziękczynienia!

Wyszła z sypialni, wiedząc, że jeśli wszystko się powiedzie, w czasie święta znajdzie się tu Marla. Była już w połowie schodów, kiedy ją dopędził.

— Zadzwoń — prosił. Położył rękę na jej ramieniu. — Już się cieszę na przyjazd dzieci, znowu rodzina będzie w komplecie.

Nerwy jej puściły. Na szczęście szła przodem po schodach, nie mógł więc zobaczyć jej łez.

Marla wrzucała do płóciennej torby majtki i parę krótkich legginsów z lycry, kiedy usłyszała pukanie do drzwi.

Szybko kopnęła torbę pod łóżko. Zerknęła przez wizjer i otworzyła drzwi. Z szerokim uśmiechem na twarzy i z butelką szampana w ręku stał w nich Bob. Tak jakby nie miał w domu ładnej żony! Kiedy ją wziął w ramiona, zeszywniała.

* Usuwanie zewnętrznych warstw skóry - (przyp. tłum.).

— Zgadnij, co mam ci do powiedzenia? — zapytał, wchodząc za nią do salonu i zamykając za sobą drzwi. Marla zauważyła, że niechętnie się z nią pokazywał. — Moja żona wyjeżdża na dwa tygodnie! A wiesz, co to oznacza? - Przywarł ustami do jej szyi.

— Że wie o nas? — zapytała Marla.

— Nie, nie! — Całował ją czule. Marla nie rozluźniła warg. — Jedzie odwiedzić siostrę. Ale dla nas to oznacza, że nie będę musiał pędzić wieczorem do domu. — Przyniósł z kuchni dwie szklanki do soku; innych nie miała. — Zawsze prosiłaś, żebym dłużej zostawał. No więc... jestem.

Nigdy przedtem nie zauważyła, że jest arogancki. Zawsze kazał jej czekać, zawsze wyglądało to tak, jakby poświęcał jej swój drogocenny czas. Uśmiechnęła się.

— O rany! — wykrzyknęła. — Nie żartuj! Chyba Wenus jest w odwrocie, ponieważ ja także muszę wyjechać.

— Co?! - zapytał Bob, majstrując przy korku szampana, który w tym momencie wystrzelił. Bąbelki prysnęły mu na rękę.

— Właśnie telefonowała mama, że babcia ma atak lumbago. To przez tę wilgoć od rzeki, która przepływa pod domem. Mówiłam, że nie powinni budować domu dla starych ludzi w Lowood. Tak czy owak, muszę pojechać, żeby robić jej masaż.

Bob spuścił nos na kwintę. Marla starała się zachować powagę, co nie było łatwe, ponieważ babcia mieszkała w Vegas i pracowała w kasynie w charakterze obstawy.

Bob stał wciąż z butelką szampana w dłoni.

— Kiedy wrócisz? — zapytał żałośnie, jak mały chłopiec. Marla wzruszyła ramionami.

— Gdy tylko babcia poczuje się lepiej. Może nawet szybko, ale muszę jechać zaraz. Jeszcze dzisiaj wieczorem.

— Chyba żartujesz! — Próbował się uśmiechać. Objął ją ramieniem. — Daj spokój! Chyba nie chcesz zmarnować butelki Dom Perignon? Może zdążymy wypić?

— Och, nie — odparła Marla. — Nigdy nie piję, kiedy prowadzę.

Sylwię obudziło dławienie w gardle. Dotarło do niej, że nie umarła pod nożem i że znajduje się w sterylnie białym pomieszczeniu pooperacyjnym. A zatem już po wszystkim! Coś jednak pachniało, i nie były to bandaże owijające jej głowę ani też zimny kompres na oczach. To zresztą Viie był miły zapach. Czyżby już wdała się infekcja? Czy zamiast twarzy ma ropiejącą ranę?

Ogarnięta paniką, zdjęła kompresy z oczu. Tuż nad sobą ujrzała twarz Marli.

— No jak tam? Cześć! — ucieszyła się dziewczyna. — Wyglądasz źle. A czujesz się dobrze? - Nie czekała na odpowiedź. - Wyglądasz jak moja siostra Brianna po, jak by tu powiedzieć, po „krótkiej wymianie zdań” z Tonym. Ale już jest okay. Otrzymał ostrzeżenie z sądu.

Sylwia zauważyła, że Marla macha czymś w rodzaju gazowego tamponu nad jej twarzą. To stąd pochodzi ten odór!

— Co robisz?! — zaskrzeczała.

— Aromaterapię — odpowiedziała Marla. — Z olejków ziołowych, które przyspieszają gojenie.

— Boże! Zabierz to stąd! To cuchnie jak zgniły banan albo jak padlina - jęknęła Sylwia, z trudem łapiąc oddech. - Chyba mi niedobrze... - Użyła całej siły woli, żeby usiąść. W samą porę zdążyła złapać basen i zwymiotować. Miała nadzieję, że nie nadwerężyła żadnego szwu. Dotknęła oczu, a następnie spuchniętych policzków. W tej chwili wszystko było bez czucia. Podniosła głowę znad obrzydliwości zawartych w naczyniu.

— Świetnie! - zaczęła Marla, radosna jak ptaszek. — Działa! Wydalasz już toksyny i trucizny.

Sylwia przetarła usta zimnym kompresem. Zastanawiała się, czy ma dość sił, by udusić rywalkę.

- Marla, wyrzuć natychmiast tę szmatę - poprosiła słabym głosem. Czy ta dziewczyna pragnie jej przyjść z pomocą, czy też chce ją wykończyć? Trudno odgadnąć.

- No wiesz! Stosowałam to, kiedy mojej matce po raz drugi usunięto macicę - oznajmiła Marla. - I od razu w s z y s t k o się poprawiło.

- Po raz d r u g i usunięto jej macicę? - zapytała słabiutkim głosem Sylwia, opadając na poduszkę. Wręczyła Marli basen.

- No tak. Gdyby od razu skorzystała z aromaterapii, nie doszłoby do drugiej operacji. No i gdyby nie poszła do tego filipińskiego lekarza. Powiedział jej, że pierwszą operację może wykonać bez użycia skalpela. Wyobraź sobie! Wiesz co? Tylko niech to pozostanie między nami. Mam wrażenie, że moja matka jest nadal próżna na punkcie swojego ciała, choć ma już czterdzieści siedem lat, wprost niewiarygodne! - Właśnie Sylwia zastanawiała się, czy nie spróbować zabić dziewczyny, kiedy Marla przerwała i zadzwoniła na pielęgniarkę. - Uważam, że próżność u starych ludzi świadczy o potrzebie potwierdzenia swojej wartości.

Sylwia popatrzyła na Marłę Molensky spod przymkniętych powiek. Zaczęła powątpiewać, czy dziewczyna choć od czasu do czasu jest świadoma tego, co mówi. Sprawiała wrażenie, jakby kłamała, i to bezustannie.

- Czy nie mówiłaś, że matka zostawiła cię na kolanach świętego Mikołaja?

- Och! - zachnęła się Marla. Na jej twarzy pojawił się strach. Ale tylko na ułamek sekundy. Zdawała się porządkować myśli. -No cóż, tak było. Przez chwilę. Ale później wróciła. A ponieważ tymczasem święty Mikołaj zapytał mnie, czy nie moglibyśmy się później gdzieś spotkać, doniosła na niego strażnikom.

- Gubię się w tym wszystkim - powiedziała Sylwia, czując zawrót głowy.

- Pomyśl tylko, jak się czułam! - odrzekła Marla. - Posłuchaj, jesteś bardzo blada, lepiej odpocznij. Och! Oto i pielęgniarka.

Do pokoju weszła kobieta w zielonym stroju oddziału chirurgicznego ze stosem zimnych kompresów na tacy.

- Co to za odór?! - zapytała. - Lepiej, żeby córka wyszła z pokoju, gdy będę panią oporządzała.

Uszczęśliwiona Marla zniknęła gdzieś poza ograniczone białym bandażem pole widzenia Sylwii. Sylwia siedziała na fotelu lekarskim. Marla przemierzała pokój, a doktor Hinkle rozcinał zeszywniałe bandaże. — Nie chciałbym, żeby poczuła się pani rozczarowana. Upłynie trochę czasu, nim obrzęk zniknie — wyjaśniał. — Robiła za mało okładów z lodu. Uprzedzałam ją - wtrąciła się Marla. — Potrwa też, nim zniknie odbarwienie. - Lekarz zwracał się do Sylwii, ignorując Marłę. - Proszę pamiętać, że to, co dzisiaj zobaczymy, nie jest ostatecznym efektem zabiegu — uprzedzał. Była tak zdenerwowana, że wolałaby chyba odłożyć ten moment, którego od trzech dni nie mogła się doczekać. — Czy nie zwali mnie to z nóg? — zapytała Marla. — Mdleję na widok zranionego ptaszka, a co dopiero wielkiej twarzy z zakrzepłą krwią! — Pani siostrzyczka potrafi dodać otuchy — rzucił oschle doktor Hinkle, zdejmując ostatni bandaż. Delikatnie dotknął policzka Sylwii, po czym obejrzał nacięcia za uszami. Następnie, przez kilka sekund, podczas których Sylwia wstrzymała oddech, przyglądał się bacznie efektowi zabiegu. — Spisała się pani bardzo dobrze — powiedział. — Spuchnięcie jest niewielkie. — On kłamie! Zażądaj zwrotu pieniędzy — wtrąciła się Marla. — Wyglądasz jak krwawy befsztyk. Lekarz podsunął lusterko, lecz Sylwia odwróciła głowę. — Jeśli jest tak źle, nie chcę tego oglądać — powiedziała, robiąc unik głową. — Nerwy mogą pani zaszkodzić w czasie rekonwalescencji — powiedział lekarz. — Może siostra powinna wrócić do domu? A poza tym nie jest źle. Naprawdę dokonuję cudów. Zrobiłem na nowo moje trzy żony. Po dwóch dniach obrzęk znacznie się zmniejszył. Rany zmieniły kolor z purpurowych na niebieskawe. Sylwia wstała, a nawet chodziła, choć na początku czuła się skrepowana z powodu głowy zakutanej w coś na kształt parki z białej gazy. Ale wokół poruszało się dużo znacznie gorzej wyglądających kobiet, włącznie z takimi,

które po liftingu twarzy nosiły ochronne stożki na głowie. Parę miało na nosie plastikowe osłonki, świadczące o przebytej operacji, inne zaś - których twarze wyglądały zupełnie dobrze - poruszały się z ostrożną sztywnością, spowodowaną ranami po odsysaniu tłuszczu. A zatem Sylwia idealnie pasowała do tego miejsca.

Odkryła, że z operacją wiąże się nieoczekiwana premia - po znieczuleniu straciła apetyt. Odżywiając się galaretką i czystym bulionem, straciła już dwa kilogramy.

Pierwszy okres rekonwalescencji przeznaczyły z Marlą na to, co Sylwia określiła „szkoleniem kontrwywiadowczym”, mającym zapewnić powodzenie akcji. Zaczęły od przekazania sobie podstawowych informacji na temat własnego życia: przyjaciół, zawartości torebek, marek używanych podpasek. Siedziały teraz we wspólnej sypialni, przy otwartych drzwiach balkonowych, przez które wpadało chłodne powietrze. Na zewnątrz za wysportowaną instruktorką biegały - przynajmniej usiłowały biegać -otyłe kobiety w dresowych spodniach. Uff! Sylwii będzie wolno biegać dopiero w przyszłym tygodniu. Mogła się więc teraz do woli relaksować. Leżała oparta na łóżku, a Marla siedziała obok na krześle, z notatnikiem na kolanach i z różowym piórem w kształcie serca. Sylwia z przykrością stwierdziła, że Marla ma okropny charakter pisma osoby, która nie ukończyła więcej niż cztery klasy szkoły podstawowej. O dziwo, polubiła jednak w ciągu tego tygodnia dziewczynę. Była nierówna i nieodpowiedzialna, ale miała w sobie świeżość, która — wbrew niej samej — działała dobrze na Sylwię.

- Okay - powiedziała teraz. - Lubi, aby wszystkie wieszaki w jego szafie wisiały w jednym kierunku.

- Czy dlatego, że był w wojsku? - zapytała Marla.

- Nie. To z powodu obstrukcji.

- Sądziłam, że nie będziemy jeszcze mówiły o seksie - powiedziała Marla.

Sylwia nie zdążyła zareagować, bo zapukano do drzwi. Marla podniosła się i poszła otworzyć. Widok stojącej w drzwiach matki zaskoczył Sylwię.

- O mój Boże! Sylwia...? Jak ten doktor to zrobił?! - zdumiała się Mildred. Przyłożyła obie dłonie do swojej twarzy.

-Zastanawiam się, czy i mną nie mógłby się zająć - dodała.

Marla nie zdążyła nic wyjaśnić, ponieważ zdumiona Mildred uchwyciła się stojącego na korytarzu wózka, który zaczął nagle odjeżdżać. Mildred próbowała złapać równowagę, ale wózek

nabrał już szybkości i Mildred jakby w zwolnionym tempie zmieniła pozycję na horyzontalną. Oglądająca tę scenę w świetle drzwi Sylwia wrzasnęła z łóżka.

- Mamciu, nic ci nie jest?!

Mildred podniosła się i weszła do pokoju. Była jak zahipnotyzowana twarzą Marli i nie zdejmowała z niej oczu, nawet wtedy, kiedy osuwała się na dywan.

- Nie ma sprawy! - powiedziała do Marli, przesywając ją wciąż wzrokiem. - Od kiedy to mówisz, nie poruszając wargami? A kto zrobił ci oczy?

- Pan Bóg — odpowiedziała Marla.

- Doktor Hinkle - odparła jednocześnie Sylwia.

Na dźwięk głosu córki Mildred odwróciła wzrok od Marli.

- Na miłość boską! - wykrzyknęła, kiedy wreszcie uświadomiła sobie, co widzi. Spoglądała to na jedną, to na drugą twarz, aż jej własna stała się biała jak kartka papieru.

Wtedy opadła na krzesło Marli, siadając na jej notatniku i na piórze. Sylwia skrzywiła się, ale matka zdawała się nic nie czuć. Pamiętając swój własny szok, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Marłę, spróbowała pomóc matce w uporaniu się z tą na pozór niepojętą sytuacją.

- Mamciu, co ty tu robisz? — zapytała.

Uporządkowanie myśli zajęło Mildred kilka dobrych chwil. Spoglądała wytrzeszczonymi oczami na zabandażowaną córkę.

- Okay - powiedziała wreszcie, wskazując ruchem brody na Marłę. - O mój Boże! - zawołała, doznając olśnienia. - To ta księgowa...

- Tak, mamciu. To flama Boba.

- Czy was tu sklonowano? Nie wiedziałam, że przerzucili się już z owiec.

- Jak mnie znalazłaś? - dopytywała się Sylwia.

- Bob opowiedział mi tę absurdalną historyjkę o Ellen i o nagłym peelingu. Jak ci nie wstyd! Tylko on mógł się na to nabrać. Zadzwoiłam więc do twojej siostry, która powiedziała mi, że kryje cię przed Bobem i dopytywała się o twoje samopoczucie jako czterdziestolatki. Następnie zdobyłam wszelkie potrzebne informacje, w czym wydatnie pomógł mi komputer Boba -relacjonowała rzeczowo Mildred. - Nie na próżno przez ostatnie lata oglądałam serial *Planowane morderstwo* - dodała. Obejrzała się jeszcze raz na Marłę. - Nadzwyczajne - wyszeptała.

Sylwia uśmiechnęła się. Wreszcie matka pojęła, o co chodzi!

- Zupełnie zapomniałam o dobrych manierach! Marla, to jest moja mama. Mamciu, to Marla.

- Matka nazwała cię Marlą? - zapytała Mildred i zwróciła się do Sylwii. - Idealne imię dla... księgowej.

- Też coś, nie jestem księgową! - zaprotestowała Marla. - Jestem licencjonowaną masażystką wyspecjalizowaną w refleksologii.

- Chcesz powiedzieć, że zawodowo masujesz mężczyzn? - zapytała Mildred.

Marla założyła ręce i przybrała srogą w swoim mniemaniu minę.

- Nie rozumiem, dlaczego ludzie uważają, iż masaż nie jest w pełni profesjonalną usługą medyczną?

Mildred zlustrowała dziewczynę od czubka blondwłosej głowy, przez uroczą, krótką bluzeczkę, płaski goły brzuch, długie nogi w kusych szortach, aż po wyeksponowane różowe, zadbane palce u stóp w domowych pantoflach na wysokim obcasie.

- O rany, ja też nie rozumiem - powiedziała śmiertelnie poważnym głosem. - Sądzę, że przez jakieś głupie uprzedzenia. - Potrząsnęła głową. - A więc twoim ubocznym zajęciem jest wykradanie mężów innym kobietom - rzekła. - Z tym ci się nie uda! On nigdy nie porzuci firmy.

Marla zachnęła się.

- Po pierwsze, nie wiedziałam, że jest żonaty. Po drugie, nie jestem złodziejką. To, co się stało przy zakupie sukienki w Target, było pomyłką. Chciałam za nią zapłacić. A po czwarte, kiedy spotkałam Boba, nie wiedziałam, że pani córka jest taka ofiarna.

- To prawda, ona jest ofiarna - przyznała Mildred. - Spójrz tylko, poświęciła nawet swoje zmarszczki! - Mildred wpatrywała się w twarz córki. - To zdumiewające - orzekła. - Wyglądasz o dziesięć lat młodziej. Bardzo bolało?

- Ani trochę - uśmiechnęła się Sylwia.

- A dużo kosztowało?

- O, taak. - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Ale kosztami obciążyla Boba. Jeszcze przez miesiąc nie dostanie rachunku.

Mildred parsknęła śmiechem, znowu popatrzyła na Marłę, po czym przeniosła spojrzenie na Sylwię.

- Zdumiewające - orzekła. - Nie tylko wynik operacji, ale to podobieństwo! Nie dziwię się, że byłaś wytrącona z równowagi. - Ujęła córkę za rękę. - Dzięki Bogu umiesz sobie radzić!

Sylwia uśmiechnęła się. Także Marla uśmiechnęła się do

Mildred, choć ta nie zwracała na nią uwagi. Nie speszona tym Marla przymilnie przycupnęła u stóp krzesła zajmowanego przez Mildred.

— Jesteś szczęściarą, mając taką matkę — powiedziała do Sylwii. Mildred prychnęła.

— A twoja matka...?

Śliczna buzia dziewczyny przybrała zboląły wygląd.

— Wrobiły ją gliny. Jestem pewna, że nie przywłaszczyła sobie tych pieniędzy. Nie była dobra w liczeniu — powiedziała z przejęciem.

Mildred zrobiła wielkie oczy. Sylwia przestraszyła się, że jeśli otworzy je jeszcze szerzej, potrzebna będzie interwencja doktora Hinkla.

— Mamo, może byśmy się przeszły? - zapytała, próbując podnieść się z łóżka. Kręcąc przecząco głową, Mildred pośpieszyła jej z pomocą. - Muszę dbać o krążenie — wyjaśniła. - Tej dziewczynie nie grożą zatory.

Marla poderwała się również.

— Pomogę ci — zaproponowała.

— Lepiej przynieś trochę wody i podlej tę roślinę — zasugerowała Mildred. — Wygląda, jakby była bardzo spragniona. — Wskazała dogorywający w kącie pokoju kaktus.

— Och, nie jestem w tym zbyt dobra — wyznała Marla, nie wyczuwając intencji. — Podejrzewam, że jestem po prostu niewrażliwa na zieleń.

— Myślę, że mama chciałaby pobyć trochę ze mną — wyjaśniła Sylwia.

— Och, okay! Jasne. Postudiuję sobie moje notatki — oświadczyła Marla ponuro, spoglądając na pogięty notatnik leżący na opuszczonym przez Mildred krześle. — Przejrzę notatki i dowiem się, gdzie Bobbie...

— Bob — poprawiła ją Sylwia.

— Och. Słusznie! Wiem, gdzie znajdują się wszystkie rzeczy B o b a , z wyjątkiem tych brakujących spinek do mankietów. — Puściła oko do Mildred. — Mamciu, czy mogę się ciebie spodziewać na Święto Dziękczynienia? To moje ulubione święto. Nie mogę się już doczekać, kiedy zacznę gotować dla B o b a .

— Pozwolisz jej przygotować świąteczny obiad? - Mildred była zatrwożona, a gdy Sylwia przytaknęła głową, rzekła: - Nie przyjdziemy na ten obiad.

Wyszły na korytarz, gdzie wolnym krokiem, tam i z powrotem, przechadzały się kobiety, niektóre przytrzymując się poręczy. Wszystkie miały na głowie ochronne stożki. Kiedy się mijały, Sylwia usłyszała fragment rozmowy. - Ta nie musi się męczyć, ponieważ za pierwszym razem niewiele jej zrobił - wyjaśniała kobieta w średnim wieku drugiej, nieco starszej. - Hinkle jest w tym dobry. Ostatnim razem zdjął mi tak mało skóry, że nie starczyłoby nawet na portfel.

- Rozumiem, co ma pani na myśli - odparła druga. - Powiedziałam mu „nie chcę, do licha, wyglądać na wypoczętą, chcę wyglądać m l o d o”.

Mildred westchnęła ciężko i potrząsnęła głową.

- Nie wiem, do czego zmierzasz, ale wiem, że to nie jest dobre - oświadczyła. - Czy nie mogłabyś postępować jak Ellen? Pogodziła się z faktem, że się starzeje i że nie będzie więcej uprawiać seksu. Tak jak ja się pogodziłam.

- Przerażasz mnie, mamciu.

- Nie. To ty m n i e przerażasz. Mówię ci to prosto w oczy. Ona jest jak fatum. To wstrząsające. To... to... cię kasuje. Co chcesz przez to osiągnąć? Małżeński trójkąt? Nie wybaczyłabym sobie...

- Nic nie rozumiesz. Panuję nad wszystkim - odpowiedziała Sylwia i wyłuszczyła matce swój plan. Zwierzyła się też, co chce przez to osiągnąć: roznamiętnić Boba, a następnie ośmieszyć go. -Wtedy będę go mogła wyrzucić - oświadczyła. - A może nie, może po prostu wyrzucę Marłę.

- Sylwio, podejrzewam, że doktor Hinkle zoperował ci mózg, a nie twarz! Jak możesz wpuszczać tę kobietę do swojego domu?! Do swojego ł ó ż k a ? Jak możesz jej ufać? Podrywaczce ze sklepu, córce aferzystki? Czy kazałeś jej zbadać krew? Obawiam się, że straciłaś rozum, a teraz w dodatku zmarnujesz małżeństwo.

- Ono i tak prawie nie istnieje. Wiem, że to rodzinna tradycja, mamó, ale nie zamierzam tkwić w celibacie do końca życia.

- A jeśli Bob zakocha się w niej?

- Zakocha? Nie bądź śmieszna! Będzie myślał, że to jego ż o n a . Mildred zamilkła na chwilę, a potem potrząsnęła głową, roześmiała się i uścisnęła córkę.

Sylwia siedziała przy pianinie w sali klubowej, grając *Gdyby mogli mnie teraz zobaczyć*. Była to jedna z ulubionych melodii Lou, ale on grał ją jak marsz żałobny. Marla miała wejść w rolę

nauczycielki muzyki. Siedziała z opartym na rękę podbródkiem i kiwała głową. Wybijała także - nierytmicznie! - takt nogą. Nawet Lou, pomimo swojej depresji i braku zdolności, zauważyłby to. Sylwia potrząsnęła głową. Może panna Molensky ma jakieś talenty, ale pewne jest, że nie nauczy się grać. Nie ma pojęcia o muzyce klasycznej, nie grała na żadnym instrumencie i najwyraźniej nie umie nawet śpiewać. Jest niemuzyczna. Sylwia celowo zrobiła kilka horrendalnych kiksów, na które Marla nie zareagowała. Słowno nadepnął jej na ucho. W końcu Sylwia przerwała grę, nie omieszkując walnąć pięścią w klawiaturę.

- Przecież ci mówiłam! Ilekroć usłyszysz błąd, masz przerwać uczniowi!

- Zrobisz to! Przy pierwszej okazji - obiecała Marla. Po chwili spuściła z tonu: - Nie wypadam najlepiej w tej konkurencji.

Sylwia westchnęła. No cóż, i tak niewielu uczniów słucha jej uwag, niech zatem pofaluszają sobie przez tydzień lub dwa.

Spożywały lunch, a raczej coś, co uchodziło za lunch. Sylwii podano jedynie bogaty w proteiny napój, natomiast Marla czekała na ucztę. Miały też notatniki i pióra. Siedziały na końcu długiego wspólnego stołu, mówiły i pisały, udzielając sobie wzajemnie instrukcji. Marla spojrzała, jak Sylwia sączy swój napój i zmusza się, by go dopić.

- Sylwio, wystarczy! Nie musisz wszystkiego wypić — powiedziała.

Sylwia spojrzała żałośnie na szklanekę, w której została połowa napoju.

- Marla, ja... - Nim jednak dokończyła, coś odciągnęło uwagę Marli.

- Na Boga! - powiedziała pokazując palcem na talerz sąsiadki. - Co pani robi?!

Tęga kobieta spojrzała na swój talerz z poczuciem winy, choć na jej tacy, jak zauważyła Sylwia, znajdował się przepisowy posiłek dietetyczny: pieczony kartofel, mały kawałek kurzej piersi bez skóry i trochę sałatki z kapusty.

- Nie zamierzam zjeść całego kartofla — tłumaczyła się grubaska.

- Och, może pani zjeść ten kartofel - pocieszyła ją Marla. - Ale nie w połączeniu z białkiem zwierzęcym! Czy chce się pani zabić? Przecież skrobia i białko nie wiążą się ze sobą. Czy zdaje

sobie pani sprawę, jak długo będą zalegać w żołądku i gnić? — Kobieta potrząsnęła głową. - Czy pani nie wie, że zwierzęta jedzą tylko jeden rodzaj strawy naraz? Nie widuje się krowy jedzącej najpierw trawę, następnie owoce, a potem białko, prawda? Teraz już wszyscy przy stole słuchali jej wyводу.

- Uważa mnie pani za krowę? - Twarz grubej kobiety zapłonęła gniewem. Była trochę ociężała, jak zauważyła Sylwia. — Czy jest pani żywieniowcem? Nie wiem nawet, co pani tu robi! - Większość kobiet przy stole pokiwała solidarnie głowami. — Jest pani chuda i młoda. Prawdę mówiąc, doskonała. Jaki jest cel pani pobytu? Chce się pani doprowadzić do anoreksji?

Marla sięgnęła ręką pod stół i pogładziła dłoń rozsierdzonej kobiety.

- Staram się pani pomóc — powiedziała. — Łączeniem pokarmów rządzą bardzo nieskomplikowane reguły, i na nich polega sprawa. Może pani jeść wszystko, musi tylko pani uważać, żeby nie łączyć niewłaściwie składników.

- A pani w ogóle nie je? — zapytała tłusta brunetka w średnim wieku. Zmierzyła Marłę wzrokiem. - Jestem Brenda Cushman z Nowego Jorku i wiem coś o diecie.

- Och, ależ ja jem! Właśnie czekam na lunch - odparła Marla. Sylwia stwierdziła, że musi się włączyć, póki nie jest za późno.

- Marla, wszyscy jedzą białko ze skrobią: kurczaka z ryżem, mięso z kartoflami, zapiekanekę z tuńczykiem i z makaronem.

- No cóż, w s z y s c y popełniają błąd. I dlatego wszyscy tak źle wyglądają. Białko możesz łączyć wyłącznie z zielonymi jarzynami. — Spojrzała na kuracjuszki. — I zapamiętajcie, moje panie, że pomidor jest owocem, nie jarzyną.

Kobieta z Nowego Jorku spiorunowała ją wzrokiem.

- Jestem tu tylko dlatego, że moja córka Angela wychodzi za mąż i nie zamierzam być tłustą matką panny młodej przy moim byłym mężu Mortym. - Odwróciła się do siedzącej obok kobiety. -Co za głąb kapuściany - szepnęła, wskazując ruchem głowy na Marłę.

- To prawda — potwierdziła kobieta, którą Sylwia dostrzegła już wcześniej. Biedactwo, była szczupła od pasa do góry, ale dźwigała potężny tyłek i masywne uda.

- Och, z kapustą też trzeba bardzo uważać - ostrzegła Marla.

- Wiadomo! - zgodziła się Sylwia. Wiedziała już, że awantura wisi na włosku. Marla była za młoda, za szczupła, za ładna i zbyt irytująca, by zdobyć tu sobie popularność. I jeszcze ma tupet, by

komuś radzić - te jej wariackie rady! Trzeba więc... - Marla, nie sędzę, żeby to kogoś interesowało — upomniała dziewczynę. Marla wzruszyła ramionami.

- No cóż, ich sprawa. Szykują sobie pogrzeb - powiedziała wesoło i bez skrępowania zwróciła się do biesiadniczek:

- Kopiecie sobie grób własnymi zębami!

Nowojorczanka podniosła wzrok znad swego melona i białego sera.

- Cóż za sugestywny obrazek przy lunchu! - warknęła. Marla spojrzała w jej stronę.

- Och nie! - wykrzyknęła. - Je pani ser razem z melonem? Nie zna pani naszego powiedzenia? Melona jedz osobno albo go nie jedz w ogóle.

- Odczep się ode mnie! — warknęła nowojorczanka i z premedytacją nabrała wielką łyżkę sera, wymieszała go z kawałkiem melona i przeżuwała z otwartymi ustami.

Wreszcie ktoś z personelu przyniósł tacę dla Marli. Leżały na niej trzy grube kawałki panierowanego mięsa, wielka porcja makaronu z serem oraz ociekająca oliwą sałatka. Szczytem wszystkiego była porcja placka z bananem i bitą śmietaną. Sylwia popatrzyła tęsknie znad swojego białkowo-pszeniczno-trawiastego soku. Pozostałe kobiety wytrzeszczyły oczy. Marla przyjrzała się daniu. Wzruszyła ramionami, prosząc o przebaczenie.

- No cóż — powiedziała. — Jestem tu po to, by postarać się wyglądać jak ona. - Nim sięgnęła po pierwszy kęs, widelcem pokazała na Sylwię. Po czym jej twarz przybrała błogi wyraz. - Nawet nie sądziłam, że możesz tak jadać! — jęknęła z rozkoszą. — Cudownie być żoną.

Sylwia paradowała z długimi sztucznymi szponami, polakierowanymi na czerwono, przymocowanymi do palców przez „technika od paznokci”, podczas gdy siedząca obok Marla obcięła swoje, co okazało się dla niej poważnym przeżyciem.

- Moje ręce wyglądają okropnie! - lamentowała. - Jeżeli kiedykolwiek dostanę zaręczynowy pierścionek, nie będę go nawet mogła pokazać z tymi czerwonymi drażetkami. — Ponuro wyciągnęła ręce.

Ale Sylwia czuła się równie źle, a nawet gorzej.

- Nic dziwnego, że nie możesz grać na pianinie! - krzyknęła. - Jak można masować stopy czy robić c o k o l w i e k z takimi

paznokciami? - pytała, wyciągając rękę i oglądając z przerażeniem swój wampirowaty wygląd.

- To jest coś, z czym człowiek się rodzi - odparła z dumą Marla. - A kiedy trafiam w odpowiednie punkty, ludzie wstają i czują się jak nowo narodzeni.

- Jak mogą wstawać, gdy masujesz im stopy? - zapytała Sylwia.

- To była przenośnia - odparła Marla i podniosła się z godnością. - A teraz muszę iść się wysuszać.

Znowu jadły. Zdaniem Sylwii ich wspólne posiłki z kuracjuszkami stawały się niebezpieczne. Rozdrażnione z powodu ograniczeń jedzenia, kobiety zazdrościły Marli i traktowały ją z góry. Niektóre wcale się z tym nie kryły. I wszystkie marzyły o jej jedzeniu, a ona pałaszowała z apetytem i z zawrotną szybkością, narzekając, że odkąd obcięła paznokcie, ma trudności z posługiwaniem się widelcem. Sylwia odstawiła nareszcie napoje białkowe, które zastąpiono maleńką porcją sałatki i trzema niedużymi gotowanymi marchewkami. Grupa kobiet przy stole niezmiennie rozprawiała o potrawach, które chciałyby podać na Święto Dziękczynienia, a najlepiej mieć je już teraz na swoich talerzach. Sylwia starała się nie słuchać, bo rozmowy przyprawiały ją o burczenie w brzuchu.

- Zamierzam zrzucić jeszcze dwa kilo - oznajmiła tłusta kobieta z Nowego Jorku. - A kiedy już stąd wyjadę, zjem w drodze z piekarni do domu cały placek z dynią.

Przy drugim końcu stołu nowo przybyła kuracjuszka udzielała porad.

- Jeśli dodasz do nadzienia cukru, możesz być pewna, że wszyscy zażądadają dokładki - wtajemniczała współtowarzyszkę w przepis kulinarny.

- Nikogo nie oszukają tym papkowatym makaronem. Jeśli to ma być spaghetti, to ja jestem Kate Moss - mówiła do wszystkich siedząca obok Marli rudawa blondynka.

Zdumiewająca była obsesja tych kobiet na punkcie jedzenia. Sąsiadka Sylwii próbowała ją wciągnąć w rozmowę.

- Wiesz, co jest dobre na Święto Dziękczynienia? Kandyzowany pochrzyn, tyle że z ćwierć kilo bitej śmietany na wierzchu zamiast prawoślazu.

- Naprawdę? — udała zdziwienie Sylwia. Zjadłaby nadmuchiwaną poduszkę, gdyby na wierzchu miała bitą śmietanę

Paplając, nie odrywały wzroku od talerza Marli. Kilka nowo przybyłych poszturchiwało się łokciami. Jedynie talerz Marli był pełny. Gdy inne kobiety dziobały swoje marchewki, Marla wcinała, aż trzęsły się jej uszy. Może i miała swoje teorie na temat odżywiania, ale wrąbywała posiłek niczym kierowca ciężarówki swój ostatni solidny obiad przed wyruszeniem w daleką trasę. Nareszcie przerwała ucztę, by ruchem głowy przywołać kelnerkę.

- Czy mogę prosić o więcej masła? - zapytała.

- Jak ona to robi, że wciąż jest taka chuda?! - Udziasta, jakby była rzeczniczką całej grupy, ośmieliła się wyrazić na głos oburzenie.

Rudawa blondynka pochyliła się do przodu. Przedstawiła się wcześniej, ale, być może za sprawą pustki w głowie spowodowanej głodem, a może też z braku zainteresowania, Sylwia nie mogła sobie przypomnieć jej imienia.

- Z jakiego powodu tu jesteś? - zapytała kobieta, jakby znajdowały się w więzieniu. Ponieważ pytanie oznaczało, że po bliźnach nie zostało śladu, Sylwia dała wymijającą odpowiedź. Wtedy kobieta zwróciła się do Marli: - Jesteś tu chyba po to, żeby dotrzymywać towarzystwa swojej bliźniaczce - powiedziała. Łakomie strzygła oczami w kierunku talerza Marli. - Ale jeśli nadal będziesz jadła za dwie, ani się obejrzysz, jak tu wrócisz.

Sylwia przyjęła to za dobrą monetę. Najpierw brano ją za matkę Marli, później za starszą siostrę, a teraz za bliźniaczkę. Spojrzenie, jakie wymieniły z Marlą, zbiło nieco z tropu blondynkę. Podniosła głos.

- Słuchajcie, opowiem wam kawał - wdarła się w panującą ciszę. — Pewien milioner miał trzy przyjaciółki, wszystkie niemal jednakowe, i musiał się zdecydować, którą poślubić. - Pochyliła się nad stołem i ściszyła głos. - Dał więc każdej po milionie dolarów, pozwalając im wydać je w dowolny sposób. Kobiety niczego nie podejrzewały, za to on znalazł sposób na wybranie żony.

Sylwia i Marla nie odrywały wzroku od mówiącej.

- Pierwsza wydała wszystko na ciuchy. Druga zaniósła pieniądze do banku - zaoszczędziła je. Trzecia zainwestowała i podwoiła milion. Którą z nich wybrał?

Sylwia i Marla popatrzyły po sobie.

- Inwestorkę - spróbowała zgadnąć Sylwia.

- Nie bądź głupia - powiedziała Marla. - Tę z największymi cyckami!

Bob nie przypominał sobie, by kiedykolwiek odżywiał się w podobny sposób - ani w collegeu, ani na letnich obozach, ani nawet w akademiku. Nie pamiętał też, kiedy ostatnio jadł coś zielonego z wyjątkiem starego sandwicza z sałatką z tuńczyka, który zdążył spleśnieć, o czym przekonał się, kiedy go ugryzł poprzedniego wieczoru. W tej chwili jechał razem z Johnem na kolację do restauracji. Bob prowadził Śliczne Maleństwo i nie przejmował się katuszami Johna. John był za wysoki i zbyt kościsty na tak mały samochód, ale Bob nie zniósłby już żadnej zmiany - wyjazd z miasta Sylwii i Marli wyrzucił do góry nogami całe jego życie.

- Może do włoskiej? - zapytał John.

- Nie. Nie chcę. Jadłem już włoskie śniadanie.

- Kto jada włoskie śniadania?

- Włosi - uśmiechnął się szeroko Bob. - Wyobraź sobie, że jadam wyłącznie potrawy na wynos. Rano zjadłem dwa kawałki zimnej pizzy. Sam robię pranie. Nie potrafię jednak złożyć skarpet parami!

- Wszystko dlatego, że zdradzasz żonę.

- Nie zdradzam jej. To znaczy aktualnie. John rozpromienił się.

- Och. Zerwałeś z tą...

- Prawie.

- Co znaczy „prawie”? To brzmi dwuznacznie. Jesteś z nią czy nie?

- I tak, i nie - odparł Bob. - Wyjechała. Może do chińskiej?

zapropował, kiedy mijali Beijing Pałace. - Niece. Tylko nie to. Odkąd zmienili nazwę, pogorszyła się jakość jedzenia. John pokiwał głową.

- Stary, byłoby nieźle, gdybyś się troszczył o swoje małżeństwo tak, jak dbasz o swoje jedzenie!

- Przecież troszczę się o swoje małżeństwo.

- Zaczniemy od tego, że chodzi o małżeństwo, którego nie powinieneś być zawrzyć. Gdybyś się trzymał z daleka od naszego roku, j a byłbym mężem Sylwii.

- To byłoby straszne - orzekł Bob. - Wyjechała prawie na dwa tygodnie. Dom jest przewrócony do góry nogami. Brakuje mi jej.

- Brakuje ci jej, kiedy odwiedzasz tę swoją Różową Nagą?

- U niej nie muszę o niczym myśleć. Ona nie jest od myślenia.

- No cóż, najwyższy czas, żebym wkroczył do akcji - oznajmił John. - Myślę, że potrafię docenić to, czego ty nie doceniasz. Kiedy pomyślę o Sylwii samotnej w nocy... Mogłaby spędzać ten czas ze mną.

Bob spojrział uważnie na Johna, któremu, z powodu zbyt niskiego siedzenia, kolana sięgały pod brodę.

- Krótco mówiąc, oświadczasz, że zamierzasz mi ukraść żonę? — zapytał.

- Trafiałeś w dziesiątkę, kolego - odwarknął John. - Inaczej tego nie można ująć. Tyle że to nie kradzież. Najpierw była moja.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Hej! A co powie na stek - zaproponował Bob, zmieniając za jednym zamachem temat rozmowy i pas na jezdni.

Zatrzymał się na parkingu restauracji „Pod Wygłodzonym Byczkiem”.

- Oj, stary. Radzę ci, żebyś zbadał w tym tygodniu poziom cholesterolu - powiedział John, wylaniając się z samochodu na podobieństwo ludzkiej figury wykonanej japońską techniką *origami a rebours*. Przekraczając próg restauracji, poklepał Boba po ramieniu. - Prowadzisz naprawdę niebezpieczne życie - dodał.

Bob padł na łóżko. Posiłek ciążył mu w żołądku. Nie powinien był jeść całego steku. Z wysiłkiem zdjął spodnie, nie starczyło mu jednak sił na slipy. Nie był też w stanie zdjąć koszulki polo. Trudno, prześpi się w niej, o ile w ogóle zaśnie. Miał bowiem

kłopoty ze snem; nie przypominał sobie także, kiedy przez tak długi okres zdarzyło mu się sypiać samotnie. Chyba w collegeu. Nie lubił tego. Sypialnia - ta bezpieczna dotąd przystań - zrobiła się nieprzytulna. Od tygodnia nie słał łóżka, pościel była skotłowana i zmięta. Sterty ubrań, niczym sterty rozjeżdżonego śniegu, zalegały sypialnię. Gazety, reklamy i ogłoszenia piętrzyły się na obu nocnych stolikach, reszta zaś, której bez przeczytania nie potrafił zidentyfikować, leżała na podłodze. Sylwia zemdlałaby, gdyby to zobaczyła. Postanowił, że jutro zrobi porządek. O ile przeżyje tę noc. Stękając, przewrócił się na bok. Nie będzie spał na brzuchu.

Sięgał właśnie, żeby zgasić światło, kiedy zadzwonił telefon. Zaczął macać, ale telefonu nie było na zwykłym miejscu. Znalezienie go zajęło mu parę chwil - posuwając się za kablem, zlokalizował aparat dopiero obok nogi łóżka. Dotarł tam przy trzecim dzwonku. Kto może dzwonić o tak późnej porze? To musi być Sylwia. Podniósł słuchawkę i ponownie opadł na łóżko. By ulżyć żołądkowi, opuścił gumę slipów.

- Witaj, kochanie, jestem - powiedział.

Po drugiej stronie linii usłyszał chichot Sylwii.

- Nareszcie. Dzwoniłam wcześniej, ale cię nie było. Wypuściłeś się gdzieś z przyjaciółką? - zapytała Sylwia.

- Wypuściłem się z twoim przyjacielem - odburknął. - John kazał się zawieźć „Pod Wygłodzonego Byczka” i przez cały wieczór opowiadał, jaka jesteś doskonała.

- No, no! Wyczuwam w tym dwa kłamstwa - odparła Sylwia. - John n a m ó w i ł cię na jedzenie karkówki? Przy twoim cholesterolu? Bardzo w to wątpię. A poza tym założę się, iż o mojej doskonałości mówił nie dłużej niż dwadzieścia, trzydzieści minut.

- Masz rację w obu wypadkach. - Bob wolną ręką masował brzuch. Od razu poczuł się lepiej. - Przyłapałaś mnie.

- Czyżby? - zapytała Sylwia.

Bob zamilkł na moment. W ostatnim okresie odnosił czasami wrażenie, że Sylwia... Oddalił od siebie tę myśl.

- Jak tam Ellen?

- Ellen? Och, świetnie. Ma się wspaniale, ja zresztą też.

- Zdaje się, że mówiłaś, iż ma jakiś problem ze strupami - przypomniał Bob. - Skoro jednak jest dobrze, wracaj do domu.

- No cóż, jeszcze nie wszystko w porządku - powiedziała Sylwia. - I nie chodzi o Ellen. Miałam drobne podciągnięcie skóry i dodatkowe wygładzenie.
- Przestań żartować! - zawołał Bob. - Po co ci to? Wyglądasz wspaniale.
- Teraz obie wyglądamy wspaniale - odpowiedziała Sylwia. - Tyle że nie sądzę, by Ellen pokazała się u nas na Święto Dziękczynienia. Słuchaj, przyszły jakieś wiadomości od dzieci?
- Nie zdążył odpowiedzieć, kiedy usłyszał sygnał.
- Zaczekaj chwilę — poprosił. - Mam drugą rozmowę.
- O tej porze? - zdumiała się Sylwia.
- To pewnie któreś z dzieci - powiedział, choć bardzo w to wątpił.
- Tak późno? - zapytała Sylwia. - Nigdy nie dzwonią w nocy, chyba że mają coś bardzo pilnego.
- Nie rozłączaj się - powiedział Bob. Przełączył telefon.
- Witaj, Ptysiu - zagruchała mu do ucha Marla. - Wymknęłam się babci i na piechotę przyszedłam aż do Seven Eleven*, żeby do ciebie zadzwonić.
- Marla... - Zawahał się. - Tęskniłem za tobą. Nie mogę uwierzyć, że babcia nie ma telefonu. - Poczł kropelki potu na górnej wardze. A może od tłuszczu po steku? - Nie rozłączaj się, dziecinko - prosił. - Mam drugą rozmowę. - Przełączył się z powrotem na Sylwię. - Sylwia? - zapytał. Przez krótką przerażającą chwilę zdawało mu się, że może to wciąż Marla, lecz dzięki Bogu usłyszał głos żony.
- Tak. Czy to Reenie? Wszystko w porządku?
- Nie. To znaczy tak. To nie była Reenie.
- A więc Kenny? Nadal ma kłopoty ze współlokatorem?
- Nie. To tylko jeden z tych niestrudzonych sprzedawców przez telefon. Weteran, który chciał mi sprzedać żarówki. Uff, czy mogłabyś się jeszcze nie rozłączać? - zapytał, nie dając jej czasu na odpowiedź. Musi się jej pozbyć, żeby spokojnie porozmawiać z Marlą.
- Halo - powiedział.
- Hej, ty tam! Nie wystarczy mi monet na czekanie - usłyszał
- * Sieć całodobowych sklepów (przyp. tłum.).

głos Marli. — Wiesz przecież, że nie chciałabym dzwonić na twój rachunek.

— Posłuchaj, teraz nie mogę rozmawiać — powiedział. - Kiedy wracasz do domu? — Naprawdę zaczynał mu dokuczać żołądek, a czoło i górna część klatki piersiowej pokryły się potem.

— Przeszłam całą drogę po ciemku, ponieważ nie mają tutaj nawet latarni, a ty nie możesz ze mną rozmawiać?! Bobbie, czy nie znalazłeś sobie przypadkiem nowej przyjaciółki?

— Och, dziecinko, możesz mi wierzyć, wystarczy mi jedna! — Zorientował się, jaki przybrał ton i starał się to naprawić. — Jesteś wszystkim, czego może pragnąć mężczyzna. Posłuchaj, muszę...

— Jeżeli jestem wszystkim, czego pragnie mężczyzna, dlaczego pozostajesz wciąż z żoną? — zapytała Marla.

— Nie rozłączaj się jeszcze przez chwilę - powiedział i przełączył się na Sylwię. — Halo. — Wolał, żeby Sylwia odezwała się pierwsza. Zdarza się, że przycisk zawodzi i że rozmawia się nadal z tą samą osobą. Byłoby źle, gdyby nazwał Marłę Sylwią, byłoby zaś wprost fatalnie, gdyby zwrócił się do żony imieniem kochanki. Tak fatalnie jak z tym stekiem, który w tej chwili zdawał się tkwić nie tylko w brzuchu, ale i w klatce piersiowej.

— Bob? Kto to był? - zapytała Sylwia.

— Och, znowu ten cholerny weteran! Chciał mi koniecznie opowiedzieć o swoim wózku inwalidzkim. Może to jakieś oszustwo, ale kupiłem dwanaście żarówek. Ale Syl, kochanie, niedobrze się czuję. Myślę — no cóż, powiem wprost — to mięso mi nie posłużyło. Prawdę mówiąc, będę je chyba musiał zwrócić.

— Och, skarbie! — gruchała Sylwia. — Tak mi przykro. Gdybym była przy tobie, potrzytałabym ci głowę.

Okay. Teraz może się urwać z tej linii i dowiedzieć się wreszcie, kiedy wraca Marla.

— Hej, muszę lecieć. Serdeczności dla Ellen — powiedział i nie czekając na odpowiedź żony, przełączył się na linię, którą zajmowała przyjaciółka. Usłyszał jednak tylko ciągły sygnał.

Marla odłożyła już słuchawkę.

Następnego ranka, ssąc dwie pastylki maloxu, Bob z namaszczeniem mył Śliczne Maleństwo. Pokrywanie pianą zderzaków działało kojąco. Mycie samochodu stanowiło jedną z nielicznych

głęboko satysfakcjonujących czynności w życiu, ponieważ przy odrobinie fatygi można było osiągnąć znakomity efekt. Płukał właśnie gąbkę, kiedy dostrzegł przecinającego plac Phila. Podszedłszy bliżej, Phil od razu zaczął nawijać:

- Jest papcio?

- Dziś piątek. Gra w golfa. - Chryste, ojciec od pięciu lat grywa w piątki w golfa, a Phil nie połapał się jeszcze w jego rozkładzie zajęć! Czyżby na nic nie zwracał uwagi?

Kolejne pytanie potwierdziło podejrzenie Boba.

- Hej, a dokąd wybyła Sylwia? Zatrzymałem się po drodze koło domu, ale jej nie zastałem

- Obudź się wreszcie! - Bob podniósł głowę. - Pojechała na parę dni do siostry. Ellen ma coś do zrobienia.

- Och, ona ciągle coś przemeblowuje. Nie ma dzieci. Musi się więc czymś zająć.

- Miałem na myśli operację. No wiesz, kosmetyczną.

- Tak? A co? Wzmocnienie mięśni nosa? - Wyraźnie zainteresowany, Phil zapuszczał sondę. - Na naszą ostatnią rocznicę chciałem zafundować Rozalii pojedźnienie cycków.

- Może dlatego była to ostatnia rocznica... — skomentował Bob, potrząsając głową. Przez tego pajaca jego dobry nastrój prysnął.

- Musiałeś słyszeć o facecie, którego narzeczona była pod każdym względem doskonała. No wiesz, wystrzałowa, młoda, bogata i seksowna. Miała tylko jeden defekt: brak dużych cycków. Słyszałeś tę historię? — dopytywał się Phil.

- Nie, Phil. Nie sądzę, żebym ją słyszał - odpowiedział Bob, odwracając się do samochodu. Pucowanie go przywróci mu spokój. Nie będzie słuchał brzęczenia tego komara. - Streszczaj się, nie więcej niż cztery słowa.

Phil przytrzymał Boba, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Wahał się, czy ją poślubić. No wiesz, bez tej całej armatury?! Ale jego przyjaciel powiedział: „Czyś ty zwariował? Zrezygnujesz z takiej piękności tylko dlatego, że została trochę gorzej wyposażona przez naturę?” „Ale ja uwielbiam duże!” - odpowiedział facet. - „Wiem, co zrobić - mówi ten drugi. - Każ jej je klepać trzy razy dziennie papierem toaletowym. Ani się obejrzyysz, a zrobi się z niej Pamela Lee”. - „Chyba żartujesz? - mówi facet. — Papierem toaletowym? I to podziła?” - „Jeszcze jak! - odpowiada tamten. - Moja żona podcierała tym tyłek przez całe lata, a teraz

ma dupę wielką jak stodoła". — Phil, zanosząc się śmiechem, dodał: — Zdaje się, że Rozalia wzięła sobie ten dowcip do serca. Bob spojrział ponuro na szwagra i odparł z kamienną twarzą:

— Phil, jesteś zapóźniony. To już nieaktualne. W każdym razie Pamela Lee. Obecnie nazywa się Anderson.

Rozwiedli się.

— Ach tak? Więc mam z nią coś wspólnego. — Podszedł bliżej, ale nie zaproponował Bobowi pomocy przy myciu auta.

— Miałeś wiadomości od Sylwii?

— Codziennie, ale przez telefon nie można się nigdy nagadać.

— Nie wygłupiaj się! Kobiety potrafią nawet zabić przez telefon. Ciągle powtarzałem Rozalii, żeby mi oszczędzała tych wszystkich szczegółów. Wiem więcej na temat jej matki niż...

Bob popatrzył na szwagra. Przemawiała przez niego gorzko.

— Nie żałujesz więc...?

Phil zamilkł na chwilę i odwrócił wzrok, spoglądając na parking.

— Oczywiście, że tak. Od kiedy Mściwa Rozalia wyrzuciła mnie z domu, nie miałem solidnego wypróżnienia.

Sycylijskie dziewczyny! Żyją z myślą o wendecie, ale gotują jak marzenie!

— A Sylwia przyrządza genialną pieczeń wołową — wyznał z nostalgią Bob, jak gdyby Sylwia nie wyjechała na dwa tygodnie, ale na dwa lata. Po czym wsiadł do Ślicznego Maleństwa i odjechał z placu.

Sylwia była już po lekcji jogi, kiedy przy śniadaniu spotkała się z Marlą. Dziewczyna nałożyła sobie na talerz grzanekę i jajka, masło orzechowe, pokrojone w plastry banany, a obok stała miseczka jogurtu posypanego obficie cudownym, wysokokalorycznym mus-li. Sylwia usiadła naprzeciw niej, sącząc napój z soi i melona. Aerobik wymaga dużej ilości białka.

Marla wsuwała jogurt i chichotała.

- I co powiedział, kiedy kazał ci czekać - zapytała.

Kiedy wyznały sobie, iż obie pragną zadzwonić do Boba, postanowiły to zrobić jednocześnie.

- Powiedział, że jesteś kalekim weteranem wojny - odparła Sylwia.

- Przecież to nieprawda! Nigdy nie byłam na wojnie - oburzyła się Marla.

- Chyba że się weźmie pod uwagę walkę płci.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego poruszasz się jak chłopak - zastanawiała się Marla, kiedy jakiś czas później obie z Sylwią odbywały swój trening w długim opuszczonym kuracyjnym korytarzu.

- Może dlatego, że mam starszego brata - podsunęła jej Sylwia. - Phil to siłacz, prawdziwy byk.

- Coś ty, ja też miałam starszego brata, którego nazywano Bykiem! - ucieszyła się Marla. - Właściwie to był przyrodni brat, a może nawet półprzyrodni. Co za świnią. Dowalał się do mnie,

kiedy miałam jedenaście lat. - Siedząc na podłodze, Marla przyklejała do dywanu papierowe stopy. Przypominało to trochę Sylwii zajęcia, na które uczęszczała w szkole tańca towarzyskiego panny Walker. - Dobra. Spróbuj teraz - powiedziała Marla, podnosząc się.

Czy to tylko moja wyobraźnia, czy też ta dziewczyna ma trochę zaokrągloną twarz? - zastanawiała się Sylwia. Kiedy się pochylała, widać było wyraźnie, że przytyła w siedzeniu. Chwała Bogu, puree kartoflane i masło zrobiły swoje - pomyślała Sylwia i uśmiechnęła się lekko.

- Okay. Stąpaj po moich śladach - komenderowała Marla.

Wzruszając ramionami, Sylwią stawiała stopę po stopie w oznaczonych przez Marłę miejscach. W tym celu musiała niemal krzyżować nogi.

- O to chodzi! - wykrzyknęła Marla, obserwując Sylwię z tyłu.

- Marla, to niepoważne - powiedziała Sylwia, odwracając się. - Tak chodzą kurwy.

- Nikt mi nigdy w życiu za to nie płacił! - obruszyła się Marla.

- Chcę powiedzieć, że ty nie chodzisz w ten sposób.

- Robię tak niekiedy, gdy idzie za mną facet - wyznała Marla. - Spróbuj jeszcze raz.

Sylwia posłuchała, starając się tym razem nie kołysać się jak przewracające się drzewo.

Siedziała przy toalecie na niskim stołeczku i kręciła się niespokojnie. Miała wrażenie, że tkwi tu już od godziny, gdy tymczasem Marla wyżywa się, robiąc jej makijaż.

- Daj spokój - odezwała się. - Ciarki mi chodzą po plecach. Czuję, jakbym tam miała szpilki albo igły.

- Skoro jesteśmy przy igłach, przydałaby ci się elektroliza - orzekła Marla, biorąc kolejny pędzel i łaskocząc nim podbródek Sylwii. Dziewczyna miała więcej farb i pędzli niż sam Rembrandt. - Nakładamy warstwę po warstwie, maskujemy. Oto cały sekret nieskazitelnej twarzy - skwitowała Marla.

- Mogłabyś już przestać! - protestowała Sylwia. - Kiedyś chyba trzeba to skończyć?

- Tylko popatrz! - zaprotestowała Marla. - Fantastycznie! Nic dodać, nic ująć!

Sylwia spojrzała do lustra.

- Jezu Chryste! — To było wszystko, co udało się jej wykrztusić. — I po to tak długo musiałam czekać? - Żeby zatuszować kilka pozostałych po operacji sinawych śladów, Marla użyła grubego podkładu, a następnie na jednolitej i gładkiej powierzchni wymalowała całkiem nową twarz.

Sylwia wydeła błyszczące wiśniowe usta, które wychodziły obecnie poza linię dolnej wargi. Różowe pociągnięcia pędzla zdobiły policzki, dalej zaś, w kierunku skroni, rumieńce przechodziły w lekki brąz. Oczy — które wcale nie były j e j oczami — a raczej oczami Nathan Lane z filmu *The Birdcage* — pomalowane zostały trzema cieniami, obrysowane czarną kredką i przesłonięte rzęsami podobnymi do czarnych stonóg.

- Wyglądam jak Norma Desmond - powiedziała szeptem Sylwia.

- Tak! Nie zapominaj jednak, że Norma stała się Marilyn Monroe. - Marla przyglądała się twarzy Sylwii w krytyczny sposób. — Muszę poprawić; jest trochę za gruczna.

Tego wieczoru, wyczerpana po dwóch sesjach wodnego aerobiku, Sylwia z ulgą położyła się do łóżka. Czowała się tak, jakby wpadła pod samochód. Bolało ją wszystko, musiała jednak przyznać, iż jej ciało stało się bardziej zwarte i jędrniejsze niż w ostatnich latach. Marla oglądała telewizję.

- Co oglądasz?

- Najnowszy film z Elise Eliot. Zapomniałam tytułu.

- Czyż ona nie jest cudowna? - zapytała Sylwia.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Nigdy jej nie spotkałam. Sylwia nie miała nawet siły, żeby się uśmiechnąć.

Wszystko

ją bolało.

- Boże, jestem wykończona! - jęknęła, podciągając obolałymi rękami koc.

- A ja jestem głodna - oświadczyła Marla. - Zjadłabym coś gotowanego. Nie, wolę coś pieczonego. Kurczaka, a może smażone paluszki z mozarelli?

- Jak możesz być głodna? - zapytała Sylwia. Zjadła na kolację listek sałaty i nieduży płat ryby, podczas gdy Marla pożarła stek, pieczone kartofle i dwie kolby kukurydzy oraz olbrzymią porcję

sałatki doprawionej taką ilością oliwy i przypraw, że na ich widok wszystkie siedzące przy stole kobiety uniosły w zdumieniu brwi.

- To poważny problem - przyznała Marla. - A nie mówiłam ci? Wystarczy tylko zacząć, żeby już później nie móc przestać. Musisz jeść więcej i więcej. Marzy mi się batonik prince polo -dodała tęsknie.

Sylwia ponownie jęknęła i przewróciła się na bok. Od dwóch tygodni nie jadła nic słodkiego, ale w tej chwili nie miałyby nawet sił, żeby przełknąć kęs batonika.

Leżała w ciemności na łóżku, kiedy usłyszała chrapanie Marli. Uśmiechnęła się. Bob mógł wyprawiać z tą dziewczyną niestworzone rzeczy, ale chyba nie spędził z nią nocy, nie miał więc pojęcia, jaka gama dźwięków wybywa się z tego prześlicznego noska. Prawdę mówiąc, były dziesiątki, a może nawet setki rzeczy, które wiedziała o Marli, a o których Bob nie miał pojęcia.

O dziwo, im lepiej poznawała dziewczynę, tym bardziej ją lubiła. Och, Marla jest szurnięta, niezbyt błyskotliwa i lubi zmyślać, ale to nie jej wina. Sylwia współczuła jej. Gdyby sama urodziła się w tak fatalnie funkcjonującej rodzinie? Gdyby nie była bystra i nie miała muzycznego talentu? Dzieląca je różnica wieku w znaczący sposób wpłynęła na ich odmienny status majątkowy. W obecnych czasach, przy coraz bardziej kurczącym się rynku pracy, nie mówiąc już o braku wykształcenia, Marla nie miała wielkich szans. Gdyby nie jej uroda, musiałyby się zadowolić posadą w przydrożnej smażalni McDonalda.

Brak zaplecza materialnego jest straszny! Trudno wtedy o własne miejsce na świecie, zwłaszcza jeśli jest się kobietą. Kobiety wciąż mają mniejsze możliwości, gorzej płatną pracę, a ponadto mężczyźni utracili dawną rycerskość, stanowiącą tarczę ochronną dla żon i samotnych kobiet. Sylwia dobrze wiedziała, że jej zamożna rodzina, z ojcem, któryłożył nie tylko na naukę, ale i na odpowiednie ubrania, na lekcje muzyki, a także na wszelkiego rodzaju sporty, była ogromnym atutem. A gdyby tak nikt nie mógł zapewnić jej tego luksusu? Gdyby nie miała do kogo się zwrócić w podbramkowych sytuacjach? Pomyślała o Marli i o lęku, który dziewczyna niejednokrotnie musiała odczuwać. Sylwia była prawdziwą szczęściarą i wiedziała o tym. Ale co z Marlą? Załóżmy, że po odpowiednim przeszkoleniu mogłaby z niej być dobra matka, lecz przecież jej niepraktyczność, niezdolność do

logicznego myślenia, a ściślej mówiąc jej idiosynkrazje i zwariowany system przekonań, stawały pod znakiem zapytania możliwości odpowiedniego wychowania dziecka.

Kto zresztą mógłby się zakochać w takiej dziewczynie i wziąć za nią odpowiedzialność? Aż się prosiła, by nie brać jej na serio! Kiedy o tym myślała, czuła się rozżalona i wściekła za Marłę. Bob postąpił niegodziwie nie tylko wobec żony, ale i wobec Marli. Przecież nie zamierza opiekować się tą dziewczyną — nie w taki sposób, jaki jest jej potrzebny. Wykorzystuje ją, podobnie jak wykorzystuje Sylwię. Przypomniała sobie starą wojskową rymowaną: „To mój karabin, a to moja spluwa. Jeden do strzału, druga na ubaw”. Marla jest taką spluwą i zdaniem Sylwii Bob może spać z Marlą, dawać jej pieniądze i poświęcać jej trochę uwagi, ale nigdy nie zobowiąże się do niczego poważnego. Sylwia służyła mu za karabin, narzędzie, które zaprowadzało porządek w jego życiu. Bob lubił, żeby wszystko było na właściwym miejscu.

Gdyby jednak się zdecydował — Boże uchoj! — opuścić żonę dla tej dziewczyny, wiedziała, że nigdy, przenigdy nie chciałby mieć z nią dzieci. Do czego by to doprowadziło Marłę? Im więcej o tym myślała, tym bardziej była rozżłoszczona. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że takie oburzenie w imieniu kochanki własnego męża graniczy z szaleństwem.

Były w świetlicy. Sylwia, siedząc przy pianinie, instruowała Marłę na temat wszystkich swoich uczniów, ich osobowości

i stopnia zaawansowania. Wprawdzie Marla zapamiętała, co przerabiali teraz Lou, Honey, Samantha i Jennifer oraz ich ulubione melodie, nadal jednak nie odróżniała krzyżyka od bemola. Sylwia grała zakończenie *Gdyby mnie mogli teraz zobaczyć*, a Marla, jak zwykle, kiwała głową nie w takt.

- Tak. Tak - mruzczała.

Zdesperowana Sylwia popełniła wielki błąd. Marla podniosła wzrok i bez większego przekonania potrząsnęła głową na „nie”. Sylwia zerwała się od pianina.

— Dobrze! Dobrze! — zawołała i wyściskała dziewczynę.

— Myślę, że opanowałaś już ruch nadgarstka. Bierz się teraz do pięty, sprawdź siłę swoich dłoni. — Sylwia ze wstrętem wykonywała polecenia. Sama ta czynność wydała jej się obsceniczna i co najmniej absurdalna. Poza tym bolały ją ręce. Jak długo ma to jeszcze trwać? — Refleksologia w dziewięćdziesięciu procentach polega na sile, w trzydziestu zaś na technice - ciągnęła niezrażona Marla. Sylwia darowała sobie uwagę o braku logiki w tym wyliczeniu. — Jeżeli pracujesz prawą ręką, przytrzymuj moją nogę lewą - instruowała Marla.

Siedząc z nogą Marli na kolanach, Sylwia wprawiała się w nowym zajęciu. Miała zde gustowany wyraz twarzy, odzwierciedlający odrazę, jaką czuła. Nie spodziewała się, że cała ta procedura może być tak trudna, okazało się jednak, że jest bardziej skomplikowana i absorbująca, niż przypuszczała.

— Sama się dziwię, ale chyba nie będę w stanie dotknąć cudzej stopy — powiedziała z obrzydzeniem.

— Jezusowi to nie przeszkadzało — przypomniała z wyższością Marla. — A poza tym nie rozumiesz tego, co robisz. Stopy mają duszę. Jak sądzisz, dlaczego ludzie mówią „błogosław moją duszę”? Bolące stopy to istna męka. Mówi się, że noga jest zwierciadłem duszy.

Sylwia popatrzyła na dziewczynę jak na obłąkaną.

— Nie, wcale tak nie mówią! — zaprotestowała. — Poza tym mówiłaś, że zwierciadłem duszy jest stopa. Tego także nie mówią. To o c z y są zwierciadłem duszy.

— Wszystko jedno — powiedziała Marla, a Sylwia szarpnęła jej piętę. — Aj! Co ty wyprawiasz? W ten sposób możesz na dłuższy czas uszkodzić komuś podbicie. — Zdjęła z kolan Sylwii nogę, żeby ją pomasować. — Jeśli tylko nauczysz się szanować nogi, pozbędziesz się mdłości. O ile, oczywiście, nie będą brudne albo nie będą miały wielkich, grubych stwardnień. Och, skoro już o tym mówimy, Simon Brightman lubi ostry róż firmy „Clinique” — poinformowała Sylwię. — Nie podzielam jego wyboru. Moim zdaniem to nie pasuje do odcienia jego skóry, ale skoro chce, niech sobie ma tę swoją truciznę.

— Simon? Facet każe sobie lakierować paznokcie? — zapytała z niedowierzaniem Sylwia. Siedziała u stóp fotela Marli, z jej nogą opartą na swoim kolanie. — Zaczekaj, muszę to wszystko zapisać — powiedziała, sięgając po notatnik.

— To jeszcze nie koniec ich wymagań - powiedziała Marla. — Jeden z moich klientów *życzy* sobie, żebym nosiła pantofelki odsłaniające szparę między palcami.

— Co takiego? - zapytała Sylwia ze wstrętem.

— No wiesz... Kiedy pantofel jest głęboko wycięty i ciut za ciasny, na stopie tworzy się fałdka między palcami. Po prostu uwielbia na to patrzeć. I jeszcze coś. Niektórzy klienci chcą, żeby im ssać palce.

— Co?! Chyba sobie kpisz! — zaskowyczała Sylwia. — Czym ty się tak naprawdę zajmujesz?

— Posłuchaj! Klient otrzymuje to, czego żąda - odparła bez wahania Marla. — Jestem profesjonalistką. Sylwia nie była pewna, czy to pojęcie ma coś wspólnego z ssaniem palców. Zatkąło ją.

— Umówmy się, że sama będziesz załatwiała stałych klientów — zaprotestowała Sylwia.

— W porządku, ale jeśli to będzie nagłe wezwanie albo jeśli Bob zechce, żebym z nim gdzieś wyszła w środku nocy? Nie chcę przez ciebie stracić żadnego z klientów.

— Czym, do licha, może być nagły pedikiur?

— No cóż, powiem ci. To nie jest w y k ł y pedikiur. Jestem kimś w rodzaju terapeutki. Widzisz, moi klienci mają świadomość, że mogą mnie wezwać o każdej porze - w nocy i w dzień.

— Więc chodzi nie tylko o nogę?

— To jest noga. Jak ty mało wiesz o ludziach!

— Marla, czy ty jesteś dziwką? Marla wstała z miejsca.

— To, co mówisz, jest okrutne. Nigdy, przenigdy nie płacono mi za stosunek płciowy. Moją specjalnością jest fetyszyzowanie nogi.

— Chcesz powiedzieć, że naprawdę bierzesz je do ust?

— Nie. Zwykle pozwalam ssać swoje. Mężczyźni to uwielbiają. Nawet w rodzinie królewskiej jest na to wielu chętnych. Widziałam obrazki.

— To jest wulgarne. To jest o b r z y d l i w e . — Sylwia była roztrzęsiona. — Robiłaś to Bobowi?

— Oczywiście. On jest Strzelcem zazębiającym się z Koziorożcem. To bardzo zmysłowy znak. Chyba dlatego ma takie twarde paznokcie.

— Wiedziałam, że musi być jakiś powód! On l u b i , żeby je... s s a ć ?

Marla nie odezwała się; ostentacyjnie oblizwała wargi i z miną kota, który udusił kanarka, pokiwała głową.

— Nic mnie to nie obchodzi! — zbuntowała się Sylwia. — Nie zasługuje na to, żeby mu ssać palce. Ani jakkolwiek część ciała! Nie ma też mowy, żebym ssała palce obcych mężczyzn! — Zgasiła światło i odwróciła się tyłem do Marli.

— Świetnie. Odwołujemy więc całą sprawę, a ja twardo odbijam Boba.

W salonie panował tłok. Niezależnie od wieku i koloru, każda siedząca przed lustrem klientka rozjaśniała włosy.

Wszystkie miały albo niebieską papkę u nasady włosów, albo srebrną folię. Sylwia zdecydowała się na jedno i drugie: rozjaśniała włosy i robiła pasemka. Nic nadzwyczajnego. Ciemnowłosa grubaska robiła się na platynę.

— Czy jest pani pewna, że wyjdzie mi blond Gwyneth Paltrow? — nerwowo dopytywała się Sylwia swojej kosmetyczki Leonidy.

— Oczywiście. Moja przyjaciółka z Hollywood zebrała po ostatnim strzyżeniu kilka najnowszych próbek jej włosów. Jeśli pani chce, mogę pokazać.

Sylwia potrząsnęła głową. Pomyślała o średniowiecznych relikwiarzach, w których przechowywane były palce, piszczele czy zęby świętych. Czyżby w dzisiejszych czasach ich miejsce zajęły gwiazdy filmowe? Na przykład święta Gwyneth?

— Chyba żeby to były włosy Mozarta... W przeciwnym razie proszę się tylko postarać, żebym dobrze wyglądała — powiedziała.

— Nie ma sprawy — zapewniła ją Leonida. — Bardziej martwiłabym się o pani siostrę.

— Czy wierzysz w opatrność? — zapytała Marla.

Od rozgrzanego powietrza płynącego z suszarki Sylwię piekły uszy. Poprawiła bawełnianą osłonę. Już od ponad trzech godzin siedziała w salonie. Ile jeszcze potrwa to przeobrażenie, i jakie będą koszty jego zachowania?

— W nienawiść? Oczywiście, że wierzę. Teraz akurat nienawidzę mojego męża za to, że muszę przez niego tak cierpieć — odpowiedziała.

- Wszystkie ich nienawidzimy - wtrąciła kobieta ze świeżą patyną. Siedziała pod sąsiednią suszarką. Zignorowały ją.
- Powiedziałam „opatrność”. No wiesz, przeznaczenie. Sylwia wzruszyła ramionami. Po czole Marli płynęła brązowa strużka farby. Ułożyła się w kształcie litery „J”. Wydawała się tak ciemna, że Sylwia zastanawiała się, czy nie zostawi trwałego śladu na skórze dziewczyny.
- Nie, chyba nie wierzę — odparła.
- Och, a ja tak. Prawie na sto procent. I wiesz, uważam, że sądzono mi jest, żebym wyszła za Boba.
- Tak uważasz? - Sylwia tak gwałtownie odwróciła głowę, że omal nie urwała sobie ucha o krawędź suszarki. — Dlaczego?
- Są trzy powody. Po pierwsze dlatego, że kiedyś ta kobieta, której kuzyn ożenił się z Cyganką, przepowiedziała mojej matce los. Powiedziała, że będą ze mną kłopoty, ale że później się ustatkuję. Powiedziała też, że matce przejdzie grzybica i tak się stało, kiedy mój przyrodni dziadek zabił kota. Co za fascynująca logika! — pomyślała Sylwia.
- A inne dowody? - zapytała.
- No więc byliśmy kiedyś w Atlancie, z moją przyjaciółką Tonyą, i w hotelu „Hyatt” wrzuciłyśmy do fontanny monety. To naprawdę świetny hotel. No więc Tonya wyraziła życzenie, żeby zdobyć Buddy'ego - to był jej chłopak. A dzisiaj jest jej mężem. Właściwie od roku są w separacji, a ona wniosła pozew o rozwód, ale nie o to chodzi. Przedtem jeszcze Tonya wypowiedziała życzenie, żeby Buddy ofiarował jej bransoletkę na kostkę u nogi i jakieś cztery czy pięć miesięcy później, na Boże Narodzenie, życzenie się spełniło. Ja życzyłam sobie, żeby poślubić miłego faceta, takiego jak Bob. To znaczy nie znałam jeszcze Boba, ale wyobraziłam sobie, że go mogę spotkać pewnego dnia. Masz więc kolejny dowód. No i jeszcze mój telefon do Metapsychicznej Sieci Przyjaciół Hoshanna, pośredniczącej między ludźmi a hinduskim bóstwem, gdzie dowiedziałam się, że jestem na najlepszej drodze. Sylwia wzięła głęboki oddech. Jeśli spędzi jeszcze trochę czasu z Marlą, jedna z nich wyląduje w zakładzie dla umysłowo chorych. Pytanie tylko która. Marla przypatrywała się pedikiurzystce, malującej paznokcie kobiecie o platynowych włosach.¹
- Och nie, nie! — zawołała. — Nie! Nie należy ni g d y zaczynać

od dużego paznokcia. To blokuje energię wątroby i nerek. To naprawdę bardzo, ale to bardzo niedobrze.

Zarówno pedikiurzystka, jak i klientka spojrzały na Marłę.

- Kiedy zaczyna się od najmniejszego palca, uruchomione negatywne jony przemieszczają się do dużego palca i uwalniają się - objaśniała z powagą Marla. - W przeciwnym razie cała energia *jang* gromadzi się na śródstopiu. - Z wyrazem porozumiewawczego ostrzeżenia na twarzy potrząsnęła głową. - Przecież zdaje sobie pani sprawę z tego, jakie to jest uczucie!

Marla siedziała w fotelu obok Sylwii. Fryzjerka zakończyła właśnie suszenie jej włosów. Uzyskały kolor mysiego brązu i miały bezstylowy charakter poprzednich włosów Sylwii. Marla odwróciła wzrok od pedikiurzystki i spojrzała w lustro. Wydała przeraźliwy skowyt. Następnie zwiesiła głowę i zakryła twarz rękami. Była wyraźnie załamana. Zaciekawione kobiety podrywały się z miejsc, żeby również popatrzeć.

- Co ja zrobiłam?! - płakała Marla.

Fryzjerka, starając się ją pocieszyć, poklepywała ją po ramieniu.

- Wiem, wiem. Przejście z jasnych włosów na ciemne jest bardzo trudne. Dlaczego pani to zrobiła?

- To ona mi kazała - odpowiedziała Marla oskarżycielsko, pokazując palcem na Sylwię.

- Nie musi pani słuchać młodszej siostry - powiedziała świeżo upieczona platynowa blondynka. - Pewnie była zazdrosna.

- Już nie jest - zażartowała kobieta z Nowego Jorku. Sylwia, z grzywą rozjaśnionych pasemkami blond włosów, wcisnęła się w swój fotel.

- Wystarczyło, że zmieniłam kolor z miodowoblond na jasny brąz, a musiałam się leczyć - dodała inna. - Brałam środki antydepresyjne przez parę miesięcy.

Marla wybuchnęła płaczem.

Chcąc ją pocieszyć, platynowa poklepała ją po ramieniu.

- Winona Ryder jest brunetką - powiedziała. - A w końcu ma Johnny'ego Deppa.

- Nie na długo - wtrąciła nowojorczanka.

- Popatrz na księżną Di. Daleko zaprowadziły ją blond włosy? - westchnęła ze smutkiem trzecia. - A poza tym nie jest tak źle.

Marla jęknęła. Była coraz bardziej przerażona. Wreszcie wstała

z miejsca, podeszła energicznym krokiem do Sylwii, wyciągnęła ją z fotela i wyprowadziła z salonu.

- Koniec! Nie było żadnej umowy! Ależ ze mnie idiotka! Że też nie przyszło mi wcześniej do głowy, że tak upodobnię się do ciebie.

- Czy ja aż tak źle wyglądałam? - zapytała Sylwia, przyglądając się uważnie Marli.

Te włosy! Nie tylko brąz był chybiony. Bez makijażu i bez wyniosłości, jaką nadawała jej twarzy grzywa, Marla wyglądała jak doberman.

- Gorzej! Masz jeszcze do tego zmarszczki. Ta cała transakcja cuchnie. - Marla odwróciła się do ściany i walnęła w nią pięścią. -Boże, że też ja zawsze dam się wystrychnąć na dudka! Jakim cudem zamierzasz mi znaleźć faceta, skoro nie potrafiłaś nawet utrzymać własnego?! - Marla odwróciła się i ruszyła w kierunku pokoju. -Wynoszę się stąd! - oznajmiła.

Przerażona Sylwia szła za nią, za wszelką cenę próbując ją uspokoić.

- Marla, daj spokój. Za dwa tygodnie będziesz się znowu mogła zrobić na blond. Odzyskasz swoje kształty.

- Ale ja lubię teraz jeść. To nałóg. Śnił mi się dzisiaj makaron z serem. Wiesz, zapiekanka z masłem na wierzchu.

- Przecież jedno i drugie to skrobia. To sprzeczne z twoją teorią!

- Daj mi spokój! Ładnie na tym wszystkim wyszłam. Zamienił byka na indyka! O Boże! Znowu mówię o jedzeniu.

- No cóż, zbliża się Święto Dziękczynienia... Marla zdawała się tego nie słyszeć.

- Skończy się na tym, że zostanę samotna, tłusta, zapzyiała i niezamężna przez resztę najlepszych lat.

- Marla, uspokój się. To tylko zaskoczenie, ale przecież nie jest aż tak źle. Są też i pozytywne strony tej umowy.

Pamiętasz, jak pragnęłaś, żeby Bob zostawał u ciebie na noc? Będziesz go miała przez całe noce.

- I co z tego? Nie będziemy nic r o b i l i .

Umysł Sylwii pracował pośpiesznie. Już tak daleko zaszły! Plan nie może teraz runąć. Nie wolno do tego dopuścić.

Mijała je jedna z instruktorek gimnastyki. Uśmiechnęła się do Marli, mówiąc:

- Mogłabyś zapisać się jeszcze na parę ćwiczeń, Sylwio.

- Nie jestem Sylwią... - zaprotestowała Marla, ale kobieta poszła już dalej. - O Boże! Ona mnie wzięła za ciebie! - jęknęła Marla. - Udało się. Naprawdę się udało - zaczęła szlochać.

Rzeczywiście - pomyślała Sylwia. Objęła dziewczynę.

- Posłuchaj. Niełatwo osiąga się poczucie bezpieczeństwa. Znalezienie mężczyzny, założenie rodziny to wielkie sprawy. Potrzebujesz pomocy. Wszyscy jej potrzebują.

- Oni też? - zapytała Marla, nie przestając płakać.

- Ważne, że ty potrzebujesz. A nie jest to proste. Nauczę cię jednak, jak być dobrą żoną, żebyś sobie mogła zdobyć innego mężczyznę. Posłużę ci za wzór, jakiego nigdy dotąd nie miałaś.

- Dziękuję za dobre chęci - odpowiedziała Marla, wrywając się z jej objęć i wycierając nos. Zaczęła odchodzić. Sylwia była zrozpaczona.

- Znam wszystkich bogatych samotnych mężczyzn w okolicy. - Wyteńczyła umysł i rozpromieniła się. - A gdybym ci zagwarantowała męża?

Marla przystanąła.

- A jeśli nie opuszczę twojego domu, dopóki mi go nie znajdziesz...?

Sylwia zastanowiwszy się, postanowiła postawić wszystko na jedną kartę. Kiwnęła głową.

- Umowa stoi. Znajdę ci kogoś.

- Dobrze. W przeciwnym razie zatrzymam Boba.

- Nawet nie masz pojęcia, jakim szacunkiem cieszy się żona, bez względu na wygląd. - Sylwia pociągnęła Marłę w kierunku recepcji. - Chcę, żebyś tego zakosztowała. Przyglądaj się tylko. - Wzięła Marłę za rękę, wróciła z nią do salonu i podeszła do recepcjonistki. - Przepraszam. Pani Schiffer chciałaby teraz zapłacić rachunek.

Recepcjonistka odnalazła natychmiast druczek.

- Farbowanie, farbowanie, strzyżenie) strzyżenie, pasemka na całej głowie, suszenie, suszenie. Razem 357 dolarów. W jakiej formie życzy sobie pani uregulować należność, pani Schiffer? - Patrzyła na Marłę.

- Pani Schiffer chciałaby zapłacić kartą kredytową. - Sylwia podała Marli kartę.

Marla uśmiechnęła się na jej widok i wręczyła ją recepcjonistce.

- Dziękuję, pani Schiffer. Czy woli pani cappuccino, czy espresso, pani Schiffer?

Marla uśmiechnęła się rozkosznie. Drżało jej serce. Szeptala: „Pani Shiffer. Pani Robertowa Schiffer”. Nie mogła ukryć przepelniającego ją szczęścia.

Sylwia odetchnęła z ulgą.

Leżały na swoich łózkach. Sylwia, ponieważ nie mogła się pozbierać po ostatniej uciążliwej sesji ćwiczeń mięśni brzucha, Marla, ponieważ była ociężała z powodu nadmiernej ilości tłuszczu, jaki pakowała w siebie w ostatnich dniach pobytu w lecznicy. Nie była nawet w stanie unieść nogi.

Sylwia trzymała w ręce notatnik. Zawierał już prawie wszystkie dane dotyczące życia Marli, tyle że - co stwierdziła ze smutkiem — było ich raczej niewiele: parę znajomych dziewczyn ze szkoły, sąsiad z kotem oraz rodzina, o której rzadko wspominała.

- A jeśli zadzwoni ktoś z twojej rodziny? — zapytała.

- Och, oni nigdy nie dzwonią, a jeśli już, to na koszt odbiorcy. Po prostu nie zgadzaj się na to. - Marla nie sprawiała wrażenia zmartwionej, choć musiało to być dla niej kłopotliwe. - Och, i nie obiecuj im żadnych pieniędzy. Dzwonią, kiedy potrzebują forsy.

- Tak mi przykro - powiedziała Sylwia, chcąc dodać dziewczynie otuchy.

- T o b i e jest przykro? - zapytała Marla. —] a już do tego przywykłam.

Sylwia postanowiła zatem przejść do dalszej części instrukcji.

- Okay — powiedziała. — Zawsze śpię z prawej strony. Proszę, tylko nie zapomnij, gdzie jest prawa... — Wzięła głęboki oddech. To była ostatnia rzecz, o którą dotąd nie miała odwagi zapytać. Ale teraz, przy odmłodzonej twarzy, płaskim brzuchu, nie mówiąc już o jasnych jak pszenica włosach, pomyślała, że jakoś to znieśie. — A teraz powiedz, co robicie z Bobem w łóżku?

- Nie wystarczy ci na to papieru! - roześmiała się Marla, wyciągając z kieszeni długą listę. - Masz. Spisałam wszystko, kiedy ćwiczyłaś wyrzuty z przysiadu.

Sylwia spojrzała na zapiski. Była przerażona.

- Opowiedz mi! Robiłaś to w s z y s t k o ? Jesteś pewna?

- Uwierz mi wreszcie, że nie mam żadnych uprzedzeń — odparła Marla. - I nie wmawiaj mi, że n i g d y nie robiłaś tych rzeczy!

Sylwia chrząknęła.

- Oczywiście, że robiłam... niektóre. - Ponownie zajrzała w notatki. - Niektóre nawet były jednymi z pierwszych, jakie robiliśmy. Ale... bo ja wiem... po latach przestaliśmy eksperymentować... - tłumaczyła się. — Może po prostu zabrakło nam pomysłów? Przedłożyliśmy komfort nad nowinki - wyznała. - A później stało się to zbyt kłopotliwe. Bob mógłby nadwreżyć sobie kręgosłup...

Marla pokiwała głową i wyjęła z kieszeni jeszcze kilka kartek.

- Rysunki - wyjaśniła. - Na wszelki wypadek.

Sylwia najpierw rzuciła na nie okiem, następnie zaczęła się uważnie przyglądać. Starła się zachować kamienną twarz, nie okazując konsternacji.

- Mogłaś przynajmniej zaznaczyć: „góra”, „dół”. Będę musiała przećwiczyć z otwartymi notatkami.

- Daj spokój, lepiej zdaj się na instynkt, bo kiedy wrócimy, Bob przyjdzie najpierw do ciebie - ostrzegła ją Marla.

- Nie, nie przyjdzie. Najpierw pójdzie do swojej żony — odparła Sylwia. Jeśli tego nie zrobi po blisko trzytygodniowej nieobecności, zabije go!

- Założysz się? - zapytała Marla, mrużąc oczy. Spojrzała na rękę Sylwii. - Posłuchaj, mam doświadczenie w roli jego metresy. W i e m, że przyjdzie do mnie, to znaczy do ciebie. O co się założysz?

Sylwia spojrzała na wykonany z cienkich płatków złota pierścionek od Cartiera, prezent Boba na piętnastą rocznicę ślubu. Był najpiękniejszym pierścionkiem w świecie. Składał się z trzech oddzielnych złotych kółeczek: białe złoto symbolizowało przyjaźń, żółte wierność, a różowe miłość.

- No cóż, wiem, że lubisz ten pierścionek...

- Lubie? Uwielbiam go! A co ty chcesz?

- Poza Bobem? - zapytała Sylwia. - Chcę, żebyś zwróciła wszystko, co ci dał, łącznie z samochodem.

- Ba, wyobraź sobie, że nie dał mi samochodu. Wziął go po prostu w leasing.

- Dajmy więc spokój z samochodem. Chcę dostać wszystkie fatałaszki i ozdóbki. Bieliznę, naszyjnik, uschnięte kwiaty. W s z y s t k o .

- W s z y s t k o ? - jęknęła Marla.

Sylwia kiwnęła głową i zdjęła pierścionek. Roziskrzył się w promieniach słońca.

Marla podniosła się, stanęła w nogach łóżka Sylwii i przemówiła surowym tonem:

— Świetnie. Załatwione. Na razie musisz się do tego poważnie przyłożyć, Sylwio. Kiedy do ciebie przyjdzie, musisz być gotowa. Energia seksualna jest głównym źródłem naszej życiowej energii. Jest jak uderzenie witaminowe. Nasze *jing* i nasze *jang*. To niesłychanie ważne. Jeśli pokpisz sprawę z Bobem, nie będziesz już miała okazji, żeby się przekonać, czym jest naprawdę dobry seks.

— No cóż, ortografia także jest ważna — próbowała bronić się Sylwia. - Podobnie jak gramatyka. Nie rozumiem nawet części tych notatek. Nie możesz być dobrą żoną, jeśli nie potrafisz poprawnie pisać. — Sylwia wiedziała, że jej kontratak wypada słabo, była jednak wzburzona, wręcz zaszokowana treścią trzymanyh w ręku kartek. - Nie pokazuj nigdy Bobowi swojego pisma! Jest potworne. Zrób też coś ze swoją gramatyką, choć wiem, że może to być dla ciebie krzyż pański.

- Moja babcia cierpiała na krzyż, ale odkąd wyleczyła lumbago, czuje się świetnie. Ale to nieważne, nie rozmawiamy przecież o mojej babci.

Sylwia skinęła głową.

— Popatrz, jak ty piszesz słowo „ustny”. Nie pisze się przez „ó”, tylko przez „u”!

- Wielkie mi rzeczy! Może nie wiem, jak się to pisze, ale wiem, jak się układa usta. Mężczyźni nie posyłają róż sztywniacz-kom. Sztywne jest zimne.

- Czy on powiedział, że jestem zimna? — wycedziła Sylwia.

— Nie, nie. Nigdy o tobie nie mówi — zapewniła ją Marla. — Pomyślałam tylko, że nie rozglądałby się za hamburgerem, gdyby miał w domu stek.

- Będę to w s z y s t k o robiła - oświadczyła Sylwia w przyływie determinacji.

Przyjrzała się kartkom z seksualnym „menu”. Zaczerwieniła się.

— Porządna dziewczyna - pochwaliła ją Marla. - Och, i nie zapomnij, że on krzyczy podczas orgazmu. Nie przestrasz się.

— Wiem, że krzyczy — obruszyła się Sylwia. Zamilkła. Wreszcie ciekawość wzięła górę nad dumą. - Co krzyczy? - zapytała.

- „Umieram! Umieram!” - Marla zawyła, naśladowując głos kochanka.

Nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać, Sylwia zachowała kamienny wyraz twarzy.

- Okay, nie słyszałam t e g o - przyznała. - Gdybym słyszała,

wezwałabym chyba karetkę pogotowia. — Próbowwała robić dobrą minę do złej gry.

Było w tym wszystkim coś tak poważnego, tak intymnego, a zarazem tak bardzo realnego, że aż bolesnego. Znowu cierpiała, tak bardzo jak wtedy, kiedy dotarło do niej, że Bob ją zdradza. Tyle że teraz nie było już w niej tej złości, która by mogła przytłumiła ból. Zabrakło jej tchu i poczuła ciężar w piersi. Ale nie pęka mi już serce - pomyślała. - Twardnieje i kurczy się. Cierpienie miało już teraz wyłącznie fizyczny charakter. Czuła ból pod mostkiem i w prawej piersi. Przycisnęła rękę do klatki piersiowej i podniosła wzrok znad leżących przed nią kartek. Czy Marla cokolwiek z tego rozumie? Seks wydaje się jej równie zdrowym ćwiczeniem jak aerobik. Czy Bob jej szeptał, że bardzo jej pragnie, tak jak zwykł był to szeptać Sylwii? Jego tęskny głos, kiedy się kochali, przyprawiał ją zawsze o łzy. Teraz miała łzy w oczach z innego powodu.

W pokoju panowała cisza. Bob naprawdę robił te rzeczy — te intymne, skomplikowane seksualne rzeczy z obcą osobą. Doszła do tego na własne życzenie. Tymi wszystkimi kombinacjami i manipulacjami ściągnęła na siebie tak wielkie cierpienie. Nagle cała gra, cała zabawa i radość, jaką z tego czerpali i wszystko, co z tego zostało, przerodziło się w ohydną zdradę.

Marla wyciągnęła do niej rękę z wyrazem współczucia na twarzy. Sylwia nie protestowała. Leżała, w milczeniu przeżywając ból. W końcu odezwała się:

— Czy mogę cię o coś zapytać... i czy powiesz mi prawdę?

— Jeśli będę mogła...

- Słuchaj, dlaczego...? Jesteś naprawdę miłą osobą, nie kradniesz. Dlaczego zatem dobierasz się do cudzych mężów? Marla wzruszyła ramionami.

- Chcę wyjść za mąż. Jestem jak każda inna dziewczyna, tyle że trochę bardziej zagubiona. Rówieśnicy, z którymi się umawiam, panicznie boją się zobowiązań. Jestem już zmęczona marnowaniem czasu. Pomyślałam sobie, że żonaci mężczyźni muszą być z gatunku tych, którzy się żenią.

Sylwia nie odezwała się.

Bagaż Marli i Sylwii był ładowany do dwóch identycznych dwuosobowych srebrnych kabrioletów BMW. Co chwilę niewłaściwa walizka trafiała do niewłaściwego samochodu, po części

dlatego, że portier był mało rozgarnięty, a po części dlatego, że kobiety same wprowadzały zamieszanie. Doglądały pakowania, chwytając na chybił trafił walizki, by wkładać je do identycznych bagażników. Kiedy torby znalazły się wreszcie na swoim miejscu, obie stanęły naprzeciwko siebie.

- No cóż, sądzę, że możemy zaczynać. Przed nami chrzest bojowy - powiedziała Sylwia. - Przekonamy się, jak nam się powiedzie i czy ujdzie to nam bezkarnie.

- Wiesz co? — zapytała Marla. - Będzie mi ciebie naprawdę brakowało. Czuję się tak, jakbyś była częścią mojej rodziny. Oczywiście, nie mojej prawdziwej rodziny. Wolałabym o niej zapomnieć. Jesteś, no wiesz, jak siostra, która mi nie podkrada środków higieny osobistej i nie zostawia włosów na kulce dezodorantu. To zupełnie nowe, nie znane mi dotąd uczucie.

- Mnie też będzie ciebie brakowało — odparła Sylwia, zdumiona własnymi słowami. — I nie martw się, a gdybyś mnie chciała o coś zapytać, służę ci. Wszystko jest ważne. - Zamilkła. - Tylko pamiętaj, żebyś dużo nie mówiła, on i tak nie słucha. I nie notuj niczego. On dobrze zna moje pismo.

Uścisnęły się. Przez chwilę Sylwia odnosiła wrażenie, że nie mogą się rozstać — czy to z sympatii, czy też ze strachu. Kiedy oddaliły się od siebie o dwa kroki, Sylwia przypomniała sobie jeszcze jedno.

- Piekarnik działa powoli! — zawołała. Dochodząca już do samochodu Marla odwróciła się.

- W porządku. Ja też - powiedziała i obie się roześmiały. - O rany! - Marla podeszła do Sylwii. - Zapomniałybyśmy. Musimy się zamienić Oto moje kluczyki. Umiesz prowadzić ten model?

- Nie za bardzo - wyznała Sylwia, sięgając po klucze do samochodu i do domu. - Och! Zaczekaj - dodała. Wyciągnęła portfel. — Sądzę, że tym także powinniśmy się zamienić.

Marla otworzyła podany jej portfel.

- Złota karta kredytowa Visa i złota Mastercard? Sięgnęła do torebki Sylwii i wręczyła jej własny portfel. Sylwia przejrzała jego zawartość.

- Nie widzę prawa jazdy.

- Och. Po prostu go nie mam — wyjaśniła Marla. — Nie zamierzam zbierać punktów czy czegoś tam.

- Nie masz prawa jazdy? Marla, to przestępstwo!

- Nie, wcale nie. Przestępstwem jest wlepienie mandatów. Ja jednak nie łamię przepisów.

- A jeśli natknę się na glinę? - zapytała Sylwia.

- Rób to co ja. Spróbuj się z nim umówić na randkę. Oni wszyscy są babiarzami. A gdy nie zadziała, wezwij Boba. — Marla roześmiała się.

Sylwia potrząsnęła głową i także wybuchnęła śmiechem. Po chwili znów padły sobie w ramiona, po czym rozeszły się w przeciwnych kierunkach. Tym razem uszły znowu tylko kilka kroków.

- Jeszcze jedna sprawa... — przypomniała sobie Sylwia. Marla zawróciła na pięcie. Ta chwila była dla Sylwii szczególnie ważna i uroczysta. Stały naprzeciw siebie, jakby odbite w lustrze. — Musisz to mieć — powiedziała Sylwia. Powoli zsunęła z palca obrączkę. Nie zdejmowała jej od chwili, kiedy Bob włożył ją na jej palec w dniu ślubu. Wyciągnęła rękę, podając Marli złote kółko. Dziewczyna wpatrywała się w nią oniemiała.

- Nie mogę. To tak, jakbym okradała biednego - powiedziała po chwili. Sylwia nie wiedziała, jak odebrać tę uwagę, puściła ją więc mimo uszu.

- Żona Boba musi mieć obrączkę - rzekła. - Trzeba grać fair. Marla była oszołomiona. Nie poruszyła się. Sylwia poczekała,

a następnie sama włożyła obrączkę na jej palec. Marla westchnęła głęboko.

- A wkrótce wygram pierścioneł od Cartiera! — oznajmiła.

- Nie wygrasz — zapewniła ją Sylwia dobroduszenie. — Ale na razie noś ten pierścioneł. Skoncentruj się na białym złocie: oznacza przyjaźń.

Marli nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wsunęła na palec śliczny, połyskujący złotem pierścioneł.

- No tak — westchnęła z przejęciem. Wyciągnęła rękę i oglądała z zachwytem. Po czym, ze łzami w oczach, ponownie spojrzała na Sylwię. - Wiesz co, to nie jest panińska biżuteria. To coś poważniejszego. Czuję się tak, jakbym była mężatką. - Znowu spojrzała na rękę. - Prawdziwy Cartier - orzekła.

- Jeśli to nie wypali, będziemy mogli obwiniać tylko siebie nawzajem — dodała.

Sylwia parsknęła i uścisnęły się.

Część druga
Zamiana

Marla, z głową niemal na zewnątrz, wjechała na podjazd. Nie wiadomo, dlaczego w samochodzie czuło się pleśń, na którą była uczulona. Prawie całą drogę kichała. Teraz nareszcie była w domu. Oto rezydencja pana i pani Schifferów. Zaciągnęła hamulec, wypadła z samochodu i wbiegła po schodkach. Przekręciła klucz w drzwiach, a następnie mocowała się z systemem alarmowym. Otrzymała od Sylwii dokładne instrukcje, ale coś musiała pokręcić - albo za wcześnie, albo za późno uruchomiła kod — i zaczął wyc alarm. Modliła się, żeby przestał. Wreszcie uporała się z tym i weszła do środka.

- O cholera! - jęknęła.

Przed nią roztaczała się zaczarowana kraina: przestronny hall, wysoka jadalnia po lewej i łukowate wejście do salonu po prawej. Wyjęła z torebki plan domu i dokładnie sprawdziła swoje położenie. Przeszła na środek hallu, jeszcze raz wszystko sprawdziła, po czym powoli, z wyciągniętymi ramionami, zakręciła się w koło.

Kierując się planem, weszła do salonu, zapalając po drodze wszystkie lampy - żyrandol, lampy na stolikach i te stojące na podłodze. W życiu nie miała takiej masy lamp.

Podeszła do kominka. Wisiał nad nim duży portret Sylwii, zdecydowanie młodszej, z małymi jeszcze bliźniętami.

Kolejny naciśnięty przycisk oświetlił portret.

- Podświetlany portret!

Wyjęła puderniczkę, przejrzała się, żeby porównać swój wygląd z portretem. Kolejny raz była zaskoczona podobieństwem. Gdyby odrobinę lepiej ułożyła sobie życie, mógłby to być j e j portret. Popatrzyła na dzieci - s w o j e dzieci. Roztkliwiła się do lez. Błyskawicznie przeniosła uwagę na półki po drugiej

stronie kominka. Podeszła do jednej z nich i przesunęła ręką po książkach. Ileż tego jest! Czy Sylwia i Bob przeczytali wszystkie? Marla miała u siebie tylko trzy książki: *Proroctwo Celestyny*, poradnik Herbalife i coś o mostach w jakimś mieście czy w hrabstwie, do której jakoś nigdy nie udało się jej zajrzeć.

Onieśmielona taką masą książek, przeszła do ustawionych na półce, oprawionych w srebrne ramki fotografii i wzięła jedną z nich. Zaczęła wyliczać poszczególne osoby:

— Reenie, Kenny, Ellen, Bob i... ja. Proste! — powiedziała głośno, z niekłamana dumą, po czym, chcąc jeszcze sprawdzić swą pamięć, podeszła do kolejnej półki i wzięła inne zdjęcie. - Jim, Bob, Phil, ja... — Urwała, kładąc sentymentalnym gestem rękę na sercu. — I mama. - Pomyślała o Mildred. Wygląda na prawdziwą matkę, taką, która zamiast nowych adoratorów sprawia sobie nowe fartuszki. Westchnęła i odwróciła się, żeby popatrzeć jeszcze na „swoją” rodzinę. Była tu także inna, duża fotografia, na której widniały tylko dwie osoby. - Bob... - zamilkła, nie mogąc zidentyfikować starszego mężczyzny - i jakiś starowina - dokończyła bez przekonania. Dość już fotografii! Wychodząc z pokoju, dostrzegła pilota telewizyjnego. Nacisnęła go. Telewizja zawsze jej towarzyszyła. Przejrzała programy. Rany! Ci ludzie muszą mieć satelitę - są tu dziesiątki, dziesiątki stacji. Doleciała aż do kanału zakupowego.

— QVC! — zawołała, witając się ze stacją jak ze starym przyjacielem.

Dostrzegła srebrną czarękę na słodycze. Odczytała wygrawerowany na spodzie napis: *Dożyjmy razem starości. Przed nami jeszcze wiele radości*. Wpatrywała się w słowa, srebro odbijało jej twarz. W jej oczach zalśniły łzy. Z kim o n a będzie dożywała starości? Mocno przycisnęła naczynie do piersi. Może z Bobem... Może... Wreszcie odstawiła czarękę i kierując się mapką, udała się na poszukiwanie kuchni.

Nigdy nie była dobra w topografii, trochę się więc pogubiła. Najpierw usiłowała wejść do szafy, potem skierowała się do drzwi wyjściowych. W końcu jednak znalazła kuchnię.

Warto było! Nie umiała gotować, ale zawsze sądziła, że gdyby miała większe, ładniejsze miejsce do gotowania, szybko by się nauczyła. To było właśnie takie miejsce. Podeszła do kuchennego blatu i przyłożyła policzek do granitowej powierzchni.

— Oaza bezpieczeństwa! — westchnęła z rozczuleniem.

To był raj. Uradowana jak dziecko, przeskakiwała spojrzeniem z miejsca na miejsce. Otworzyła zamrażarkę i sprawdziła jej zawartość.

- Najdroższe mrożonki! - wykrzyknęła. Przejrzała dziesiątki pudełek i toreb z jarzynami, pizzami, pasztetami i drobiem. Dopiero kiedy zrobiło się jej chłodno, zamknęła zamrażarkę i otworzyła lodówkę. Tu również było pełno jedzenia. Sprawdziła datę przydatności sera wiejskiego. — Nieprzeteterminowany! — zawołała. To wszystko zdawało się zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

Była tu też lśniąca biała mikrofalówka z całą masą guzików. Wcisnęła je; wydały kilka groźnie brzmiących pomruków. Wcisnęła więc jeszcze kilka przycisków, które jednak nie wyłączyły kuchenki. Musiała uciszyć to urządzenie!

— Proszę cię! Proszę, wyłącz się!

Wycofując się pośpiesznie, omal nie uderzyła się o mały telewizor. Przynajmniej na tym się zna! Zagłuszy nim cykanie i bzykanie mikrofalówki. Włączyła QVC. Nie mogło być lepiej. Drżała z emocji na myśl o swoim nowym życiu.

W pokoju paliły się co najmniej dwa tuziny świec. Sylwia w swojej nowej roli ubrała się w białe pończochy, biały koronkowy pas z podwiązkami i walczyła teraz z biustonoszem, który ledwo się na niej dopinał. Wciągnęła brzuch, wzięła głęboki oddech i przejrzała się w sięgającym do podłogi lustrze. Wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że przeobrażenie udało się fantastycznie. Wyglądała o dziesięć lat młodziej i o siedem kilo szczuplej. Ale czy naprawdę uda się jej podawanie się za Marłę? Nie była pewna. Muszę mieć chyba źle w głowie — mówiła do siebie. To zwariowany, a zarazem poniżający pomysł. Co mi strzeliło do głowy, żebym przystrojona jak dziwka nabierała ludzi?! Kim ja jestem? Sylwia była przerażona. Chwyciła aksamitny szlafrok, po czym wróciła do lustra. Nie, to do kitu! Zsuwała powoli szlafrok. Oglądanie się w lustrze kawałek po kawałku okazało się łatwiejsze.

Nagle zadzwonił telefon. Poderwała się, podbiegła do aparatu, lecz kiedy już miała podnieść słuchawkę, była zbyt przerażona, by się odezwać. Sięgnęła po nią, ale przy tym ruchu przesunął się biustonosz, odsłaniając znaczną partię piersi. Znowu ogarnęła ją panika. Zanim w końcu podniosła słuchawkę, zdmuchnęła sporo świec, w obawie, że ktoś ją podgląda.

Starala się naśladować głos Marli.

- Halo? - zagruchala. Usłyszała ciężki oddech, nie wiedziała, co dalej robić. - Bob...? Bobbie? - zapytała.

- Nie.

- Czego chcesz, zbrojeńcu? Uprzedzam, że mam tu specjalny alarm...

- Nie! Nie włączaj alarmu. To ja. Pani Bobowa Schiffer - po-wiedzała zadyszana Marla. - Co słyszać? Czy już wygrałam mój, to znaczy twój pierścionek?

- Mam atak lęku. Bob jeszcze nie dotarł. Zadzwoił; najpierw będzie u mnie, nie u ciebie! Dasz wiarę?

- Jasne. Wygrałam zakład.

- Tobie też brak tchu - powiedziała Sylwia. - Co się dzieje?

- Pootwierałam szafy i szuflady w sypialni - odparła Marla. -Nie mogę wprost uwierzyć! Jaki twój dom jest piękny! Tak jakby mieszkali w nim ludzie z ekranu. Ale nie tacy jak w serialu *Married with Children*. Jak z *Cosby Show*. Chciałam powiedzieć, że cała wasza bielizna jest taka... bawełniana.

- No właśnie, póki pamiętam. Znalazłam parę twoich majtek, nie mają kroku!

- Jestem bardzo zajęta osobą - odpowiedziała Marla obronnie. -Do pewnych rzeczy musisz się przyzwyczać.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Sylwia wpadła w panikę.

- O mój Boże, to Bob! Boję się!

- Tylko za pierwszym razem - uspokajała ją Marla.

- A jeśli nie będę dostatecznie czujna...? Jeśli on się od razu połapie...? A jeśli nie będę dostatecznie seksowna...? - Sylwia pomyślała o uwagach przekazanych jej przez Marłę i jej instrukcjach. — Co wtedy?!

- Udawaj po prostu, że jesteś mną w roli Sharon Stone. Zawsze tak robię.

- Muszę już iść. Ale się dobija! - Odwiesiły słuchawki. Nadeszła chwila prawdy. Sylwia wolałaby uciec albo zapaść się

pod ziemię. Zdmuchnęła jeszcze kilka świec, zaczerpnęła tchu i poprawiła biustonosz. Następnie posłużyła się starym kobiecym trickiem: stuliła ramiona, pogłębiając w ten sposób rowek między piersiami, po czym udała się do living roomu i podeszła do drzwi frontowych.

Po drodze wygasila dalsze świece. Kiedy otwierała drzwi, znajdowała się już w półmroku. Ujrzała Boba z dwoma tuzinami

róż i lubieżnym uśmiechem. Patrząc na niego, wiedząc, że przyszedł ją zdradzić, Sylwia znów wzięła głęboki oddech, nieświadoma, iż w ten sposób jeszcze bardziej pogłębia rowek między piersiami. Starła się stłumić emocje. To był jej plan, jej scenariusz, zapanuje nad sobą, nad Bobem i nad swoją przyszłością. Tutaj ja jestem górą, powiedziała sobie.

- Kwiaty?! - starała się naśladować głos Marli.

- Wszystko dla ciebie, dziecinko - powiedział Bob, wchodząc do środka i biorąc Sylwię w ramiona.

Przy gwałtownym uścisku spadł z róż celofan, po chwili i kwiaty znalazły się na podłodze. Sylwia czuła, że Bob obejmuje ją w inny niż zwykle sposób. Wyrwała się i schyliła. Zaczęła zbierać kwiaty, ale natychmiast sobie przypomniała, że jej pupa jest najmniej udaną częścią nowej sylwetki. Podniosła się więc i zgięła kolana, starając się sięgać po rozsypane kwiaty. Nie przyzwyczajona do wysokich obcasów, kucnęła dość niezręcznie. Straciła równowagę i rozciągnęła się jak długa.

- A my wszyscy bęc... - zagruchała marlowatym głosem. Bob pomógł jej wstać.

- Daj spokój. Zapomnij o kwiatkach. B o b b i e jest tutaj. - Wziął ją za rękę i zaczął ciągnąć do sypialni. - Tęskniłem za tobą - powiedział głosem ochrypłym z... z pożądania? - zastanawiała się Sylwia. Nie słyszała takiego tonu od lat. Jeśli w ogóle...

Pomyślała, że jeszcze czas wycofać się z tej maskarady. Pragnął jej, bez względu na to, za kogo ją brał. A ją przeszywał ból.

- Och, naprawdę? - zapytała, nie panując nad głosem. - A nie stęskniłeś się za żoną?

- Uzgodniliśmy przecież, że nie rozmawiamy o mojej żonie - odpowiedział Bob. Znowu ją objął. Miał gładki, miły policzek. Zaczął jej szeptać do ucha: - Jesteś śliczna. Taka bardzo, bardzo śliczna.

Sylwia czuła, że mięknie. Łaknęła takiego hołdu, zapracowała nań. Łzy cisnęły się jej do oczu. Rozkoszowała się dotykiem jego dłoni, ale po chwili wyrwała się z jego objęć. Nie ją obejmował! Obejmował kochankę.

- Dlaczego przyszedłeś, Bobbie?

- Żeby się z tobą zobaczyć.

Poczuła gwałtowną złość. Weź się w garść - pomyślała. Bądź dla niego Marlą. Nie popsuj wszystkiego.

- Z miłości? Czy tylko dla seksu? - zapytała.

- Boże, jesteś naprawdę śliczna, kiedy się złości.

- Boże, jesteś naprawdę banalny, kiedy się podniecasz - odparowała Sylwia i natychmiast zdała sobie sprawę, że to nie było w stylu Marli. - Naprawdę, naprawdę banalny. - Kiedy się opanowała, dodała: - Ale to fantastyczne!

- Przecież mnie kochasz - przypomniał Bob, pieszcząc jej policzek. Nie czuła dotyku z powodu przeciętych podczas liftingu nerwów. Lekarz powiedział, że się zregenerują, lecz na razie było to irytujące. Przez chwilę pozwoliła się głaskać, lecz zaraz się cofnęła.

- Czyżbym tak mówiła? - spytała kokieteryjnie. Bob ujął ją za rękę, a następnie, ku jej zdumieniu, wziął ją na ręce i poniosł w stronę sypialni. - Uważaj na kręgosłup - powiedziała bez zastanowienia.

Roześmiał się.

- Jeszcze sobie jakoś radzę - rzekł, wtulając twarz w jej szyję.

- Ponieważ jesteś dużym, silnym mężczyzną? - zapytała.

- Ponieważ dzięki tobie czuję się wspaniale - wyszeptał, a jego oddech przy jej uchu podziałał na nią podniecająco.

Uważa ją za seksowną! I o to jej przecież chodziło!

Tymczasem, o dziwo, nawet za cenę utraty pierścionka, wolałaby tego nie usłyszeć w takich okolicznościach!

Pomyślała o utraconym pierścionku: przyjaźń, wierność i miłość. Dostała go od niego. Dobre sobie! Wyrwała się z jego ramion. Bob stracił równowagę. Sylwia utrzymała się na nogach, natomiast on zatoczył się na ścianę. Cały ciężar wziął na łokieć - ten, który uszkodził sobie podczas gry w tenisa. Zaskrzeczał krótko, po czym pozbierał się i zaczął rozcierać stłuczone miejsce.

- Doprowadzasz mnie... do szaleństwa - powiedziała Sylwia i zaczęła zbierać rozsypane kwiaty.

- Auu! To boli — pojękiwał. - Ciekawe, czy nie odprysnął mi kawałek kości. - Spojrzał na nią. - Marla, co robisz?!

Powstrzymywała się całą siłą woli, żeby nie skoczyć mu na pomoc i nie wezwać Johna. Nadal jednak zbierała kwiaty, pierwsze, które jej przyniósł, odkąd sięgała pamięcią, a za którymi tak tęskniła. Kwiaty. Komplementy.

Atencja. Ale...

- Nic... nic. Tak bardzo chciałam być z tobą, ale...

- Ale...?

Złość na męża gotowała się w niej, grożąc wykipieniem. Odpowiedziała przez zaciśnięte zęby:

- Muszę ułożyć te cholerne kwiaty!

Marla leżała w łóżku Sylwii ubrana w jedną z jej flanelowych, nieatrakcyjnych piżam w czerwono-czarną kratę, z kieszeniami, i telefonowała. Postawiła sobie na brzuchu michę najlepszych lodów i jadła je powoli stołową łyżką.

- Tak, sobota wieczór - wymamrotała z pełnymi ustami. Przełknęła. - Stolik na dwie osoby. Dla pana i p a n i Robertostwa Schifferów - wypowiedziała w miarę gładko, z wyraźną dumą.

Odłożyła słuchawkę. Na kanale QVC odbywała się prezentacja biżuterii, skupiła się więc na niej. Niestety, sprzedali już wisior z cyrkonu, a kolczykami nie była zainteresowana. Ściskając w lewej dłoni kartę kredytową Visa, prawą zajęta miała jedzeniem. Dobrała się do torby włoskich ciasteczek, jedząc je na przemian z topniejącymi lodami.

Sylwia musi jak najszybciej znaleźć jej męża, póki jeszcze nie jest za gruba na przygadanie sobie przyjaciela.

Kiedy zadzwonił telefon, nie mogła się zdecydować, czy odebrać. To był pierwszy sprawdzian. Nim podniosła słuchawkę, sięgnęła po notatnik.

- Halo? Proszę chwilę poczekać. - Kiedy zaczęła kartkować zeszyt, uświadomiła sobie, że nie wie, z kim będzie rozmawiać. Musi to ustalić. - Halo? Mówi pani Sylwia Schiffer. Jeszcze chwileczkę, ale proszę powiedzieć, z kim mam przyjemność?

- Tu John. Witaj w domu. Marla odetchnęła z ulgą.

- Och, John... Zaraz porozmawiamy.

Przerzucała pośpiesznie kartki, aż trafiła na pozycję: „Przyjaciele

i rodzina". Odnalazła zwięzłą notatkę dotyczącą Johna. *Przyjaciel lekarz. Czuje do mnie miętę od czasów gimnazjalnych.*

- Cześć. No jak tam, John; lubisz swój zawód lekarza?

- Hmm... Bardzo.

- To dobrze. Zabawialiśmy się nieźle w gimnazjum, prawda?

- Oczywiście. Posłuchaj, Sylwio, czy dobrze się czujesz? Piłaś coś?

- Nie. Tylko jadłam - poinformowała go Marla.

- Słyszałem, że... poddałaś się zabiegowi. Czy to naprawdę było konieczne? Nawet niewielkie operacje bywają ryzykowne.

- Ocenę efektu pozostawiam tobie. - Zachichotała.

- No cóż, to nie było konieczne. Byłaś doskonała.

- Nie wygłupiaj się. Oczywiście, że nie byłam. Nikt nie jest doskonały...

- A co Bob o tym sądzi?

- Bob? Jeszcze nie wrócił do domu — odpowiedziała trochę zanadto rozbawionym głosem.

- Nie wrócił? A gdzie jest?

- Może u swojej przyjaciółeczki... - Połapała się w mig, że nie powinna żartować na ten temat, i żeby naprawić gafę, dodała natychmiast: - Próbuję się z tym pogodzić, chociaż to piekielnie trudne.

- Sylwio, a co byś powiedziała na lunch jutro w klubie?

- Lunch? Wspaniale! - Usiadła podekscytowana na łóżku i wyciągnęła rękę z łyżką w kierunku ekranu telewizyjnego. - Zaczekaj! Wystawiają teraz ten naszyjnik w kształcie litery „Y”, na który czekałam. Cathy przysięga, że pójdzie po niższej cenie. Obiecujesz, że nie przestaniesz czuć do mnie miętę, jeśli ci każę poczekać jeszcze chwilę? - zapytała słodziutko.

Kupiła naszyjnik na koszt pani Robertowej Schiffer, płacąc dodatkowo za ekspresową przesyłkę. Nie wiedziała przecież, jak długo potrwa ta heca. Jeszcze przed tygodniem była jedną z tych dziewczyn, które nie mają nic ze złota. A teraz ma aż w trzech kolorach! I do tego jeszcze te cyrkonie. Kiedy ponownie odezwała się do Johna, tryskała radością z powodu udanego zakupu.

- A więc zobaczymy się jutro. Poznasz mnie, ponieważ założę nowy naszyjnik w kształcie litery „Y” - oznajmiła. John roześmiał się.

- Bob mówił, że coś ze sobą zrobiłaś. Czyżby zmiana była aż tak radykalna? Ja i tak cię poznam, Sylwio.

- Świetnie, więc do jutra. — Odłożyła słuchawkę, po czym zastanowiła się, jak ona go rozpozna. Wyciągnęła albumy z fotografiami. Potraktowała to zajęcie jak odrabianie lekcji. Może znajdzie na którejś fotografii Johna. Zatrzymała się przy jednym zdjęciu. Zajrzała do notatnika, podniosła słuchawkę i wybrała numer.

- Halo? - zatrzeszczał w słuchawce niski i pewny siebie głos Mildred.

- Cześć. Mówi twoja córka, Sylwia Schiffer. - Opamiętała się, ściszyła głos. — No, niezupełnie. Raczej jakby Marla. — Po czym znowu zaczęła mówić głośno: - Przepraszam, mamciu, że cię niepokoję, ale kim jest ten łysy staruszek na fotografiach rodzinnych?

- Ojciec Boba. W mojej rodzinie wszyscy zachowują włosy — odpowiedziała Mildred.

Marla próbowała ułożyć to sobie w głowie.

- A zatem on byłby moim...

- Teściem, gdyby żył.

Marla z szacunkiem zniżyła głos. Zawsze starała się okazać szacunek tym, którzy przenieśli się w inne rejony egzystencji.

- Och! Kiedy to się stało? Czy byliśmy sobie bliscy?

- Nie sądzę, żeby to było twoje największe zmartwienie, pani Schiffer. — Głos Mildred brzmiał trochę... no może trochę szorstko. — Już po jedenastej. Boba nie ma jeszcze w domu?

- Nie — odpowiedziała Marla. Patrzyła na pierścionek, który był teraz jej, na zawsze, i zlizwała z łyżki resztkę roztopionych lodów. - Ale to nie szkodzi. Właśnie mi ofiarowuje pierścionek od Cartiera. — Uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła palec, patrząc nań w zachwycie.

- Na Boga! Czyż nie powinien być ze swoją żoną?! — Mildred zawahała się. — Właściwie to jest z nią, ale nie wiem o tym. Nie mam pojęcia, co o tym myśleć.

- Teraz rozumiesz, jak ja zawsze się czuję.

- No dobra, nie trać czasu i nie narób kłopotów. Odezwał się telefon.

- Oho! Ktoś dzwoni. Czy mogłabyś nie odkładać słuchawki? — zapytała Marla i nie czekając na odpowiedź Mildred, przycisnęła mrugający guzik.

- To ty, Sis? Już w domu? Jak się udała ta impreza z cyckami?

Marla zawahała się. Kto to mógł być? Nazwał ją Sis. To nie było jej ani Sylwii imię. Czy Sis to skrót od Sylwii? A zatem to może być brat? Nie jej, ale Sylwii brat.

— Rozmawiam właśnie z moją matką — powiedziała. — Czeka na drugiej linii.

— W końcu jest też moją matką. Jak wygląda Ellen? Zeszły już jej te paskudne blizny po trądziku?

— Muszę się pożegnać z mamą, Phil — powiedziała z dumą w głosie Marla, ponieważ udało się jej rozwiązać zagadkę. Mogłabym być szpiegiem — pomyślała — gdyby refleksologia nie miała dla mnie tak dużego znaczenia.

— Na drugiej linii jest Phil, mamciu. Muszę się już wyłączyć, ale może spotkamy się jutro w klubie? Jem tam lunch z Johnem.

— Umówiłaś się z Johnem?

— Tak. Jak sądzisz, czy spodnie będą dobre na tę okazję? Mildred westchnęła.

— Nie, ale może się nie znam. Ostatecznie zajmuję się tylko ceramiką.

— Jeden z moich przyrodnych braci przejechał się na tym — ostrzegła ją Marla. — Lepiej więc uważaj. — Wcisnęła mrugający guzik i powróciła do rozmowy z Philem: — Słuchaj Phil, czy to nie wspomniała, że mamy te wszystkie wspomnienia?

— Jakie wspomnienia, Syl?

— Och, no wiesz — powiedziała niejasno. — Te z dzieciństwa. Kiedy oboje byliśmy dziećmi.

— Pamiętam, jak niechcący złamałem nos Ellen, kiedy bawiliśmy się w ciuciubabkę.

— Poważnie?

— No właśnie, może kazała go sobie ulepszyć?

Marla przemilczała tę uwagę. Nie przerabiała tego z Sylwią.

— Sam do niej zadzwoń.

— Aleś ty dowcipna! Przecież wiesz, że od sześciu lat nie zamieniliśmy z Ellen ani słowa.

— Rzeczywiście. Uciekło mi to z głowy. — Przerwała na chwilę. — Nawet nie pamiętam, o co poszło — rzekła, kierując się ciekawością.

— Nie pamiętasz awantury z Rozalią na temat jedzenia podczas Święta Dziękczynienia, u niej w domu? Przecież od tamtej pory nie chce z nami spędzać żadnych świąt. Co z tobą? — zamilkł na

chwile. - Słuchaj czy oni aby nie poddali cię kuracji wstrząsowej, zamiast wykonać operację plastyczną?

* * *

Bob i Sylwia posunęli się tak daleko, że znaleźli się w łóżku. Ułożyła w końcu kwiaty i pogodziła się z „Bobbim”. Właśnie ją całował. Naprawdę całował.

— Boże, tak długo... — dyszał.

— Nawet nie wiesz jak — odpowiedziała.

Pamiętała, jak dobrze całuje, choć minęło trochę czasu. Prawdę mówiąc, ostatnio, nawet kiedy się kochali, rzadko ją całował. Teraz natomiast obejmował dłońmi jej twarz i całował ją czule. Miał jędrne, zdecydowane wargi i delikatne ręce. Nawet ją pociągał. Poczowała, że reaguje na jego bliskość. Nie wytrzymała jednak, odsunęła się i zapytała:

— Uważasz, że jestem wyjątkowa?

— B a r d z o wyjątkowa — wyszeptał i znowu zaczął ją całować.

— A kto jeszcze jest wyjątkowy? — zapytała. Boże! Powinnam się ugryźć w język, o ile Bob tego nie zrobi!

— Nikt...

Czuła, że mu się poddaje i że znajduje w tym przyjemność. Tego właśnie chciała. Tego p o t r z e b o w a ła i kiedy ułożyła się w pozycji dogodnej do gry miłosnej, poczuła nagły skurcz w dole brzucha.

— Nikt... — powtórzył Bob.

Objęła go. Przewrócił się i kolanami rozwarł jej nogi. Drżała.

— Och Bob... Bobbie...

— Och, Marla!

Zesztywniała. Odepchnęła go bez słowa.

— Co się stało?! — zapytał. Usiadł, najwyraźniej zły i dezorientowany.

Przetoczyła się na drugi brzeg łóżka, plecami do Boba. Podciągnęła nogi, przybrała pozycję embrionalną, kołysząc się z przyciśniętą do brzucha poduszką. C o o n a n a j l e p s z e g o r o b i ? Zachęca męża do zdrady? W co gra? Czy w ten sposób zamierza się zemścić, czy też odzyskać szczęście? Zaczęła szlochać.

— Marla, co się stało?

— Przestań tak mówić! — krzyknęła.

- Jak? Zapytałem tylko, co ci się stało — odparł Bob. Sylwia płakała już głośno. Nie mogła się opanować. To była straszliwa pomyłka, głupi, idiotyczny pomysł!

- Nie jestem Marlą.

- Och, Ptysiu. Chcesz być dzisiaj kimś innym? Uwielbiam to. Kim będziesz?

O mało jej serce nie pękło.

Marla oglądała sypialnię — wspólną z Bobem sypialnię, w której będą codziennie spać, gdy tylko Bob wróci do domu. Spojrzała na łóżko z czterema kolumnkami, na okno ozdobione jasnym udrapowanym perkalem, na toaletkę przy ścianie, na półkę pełną książek, i potrząsnęła głową. Ależ ludzie są ciemni! Nic dziwnego, że biedna Sylwia ma kłopoty z zatrzymaniem przy sobie Boba! Ulotnił się z tego pokoju cały *feng shui*. Nie trzeba geniusza, by dostrzec, że cała energia wchodzi przez okno, a wychodzi drzwiami, omijając łóżko. Nic dziwnego, że odbiło się to negatywnie na życiu seksualnym Sylwii.

Na temat *feng shui* Marla przeczytała nie jedną, ale nawet dwie książki, wiedziała więc, że musi dokonać wielu zmian. Wiedziała też, jak się do tego zabrać, tym bardziej że teraz to był j e j pokój, w j e j domu i może tu robić, co zechce. Podeszła do radia, znalazła lekki rock i, mrużąc oczy, jeszcze raz rozejrzała się po pokoju. Wolałaby wprowadzić jakąś bliższą sobie muzykę, musiała się jednak zadowolić zespołem *The Eagles*. Usiadła na podłodze, idealnie pośrodku pokoju, i skrzyżowała nogi w półłotosie. Próbowana medytować przed ustawieniem mebli, ale wizja kolejnego talerza przepysznych lodów rozproszyła jej uwagę. Ależ to uzależniające choler-stwo! Oprócz prawoślazu, uwielbiała maleńką, cieniutką czekoladową warstewkę, która chrupała w ustach. Wstała. W końcu nie musi medytować. Przesunęła otomanę bliżej drzwi, usiadła na łóżku i rozejrzała się uważnie. To dopiero początek! W rogu, obok krzesła, dostrzegła stojącą lampę. Wstała i przysunęła ją do półki z książkami. Zostawi półkę na miejscu, ale koniecznie musi przesunąć łóżko.

¹Tradycyjna chińska sztuka właściwego wykorzystania najbliższego otoczenia człowieka (przyp. tłum).

Było ciężkie, musiała położyć się na plecach i przesuwać nogami najpierw nogi łóżka, a następnie wezglowie. Pchając mebel centymetr po centymetrze, udało się jej znaleźć właściwy dla niego strumień energii. Zgrzała się, była zmęczona, ale akurat w radiu zagrano *Nasz dom jest wspinałym domem*.

Marla wiedziała, że to nie jest zwykły zbieg okoliczności. To było to, co ten facet Jung nazwał „zsynchronizowaniem”. To znak! Uśmiechnęła się promiennie, usiadła na łóżku - ustawionym obecnie na środku pokoju - i skrzyżowała nogi w pełnym lotosie. Starła się wyczuć przechodzącą przez pokój energię i już po chwili wiedziała, że nastąpiła ogromna zmiana. Ale wtedy dostrzegła biurko, blokujące przepływ energii. Potrząsnęła głową. Praca kobiety nigdy nie ma końca! Będzie musiała przesunąć i biurko.

Przeszła w róg pokoju i zaczęła pchać ogromną komodę. Musi odpowiednio ją ustawić i zapalić kadzidełko. Była wyczerpana, ale wysiłek nie pójdzie na marne! To ci dopiero zmiana! Ciekawe, jak Bob zareaguje.

Bob zostawił Marłę w oplakanyim stanie. Fakt, że przyjechał najpierw do niej zamiast do domu, przyprawił go o głębokie poczucie winy i własnej marności. Słuchał radia. Nie był to zwykły nocny program DJ, nie była to też jeszcze pora na poranny show Johna Laningana i Jimmy'ego Malone'a, niemniej Bob był wdzięczny, że ktoś dotrzymuje mu towarzystwa. Nawet jeśli to tylko płynący z radia głos. Przejechał właśnie North Woodland Bridge i zapłacił mostowe, kiedy nagle, a było to jak uporczywe swędzenie, uświadomił sobie, że musi wyjaśnić wątpliwości, dowiedzieć się, czym Marla jest tak przygnębiona. Zawrócił Śliczne Maleństwo i ponownie zapłacił mostowe. Kobieta pobierająca opłatę poznała go. Niejednokrotnie widywała go tutaj wieczorem.

- Ładny samochód — powiedziała.

Bob kiwnął głową, dodał gazu, po czym podniósł słuchawkę telefonu.

- John, czy jeszcze mnie strawisz? Dałem tym ludziom przy rogatek już siedemnaście dolców! Nie wiem, czy jadę, czy wracam. Chcę być z tą gołą i chcę być z moją żoną.

- Może jestem twoim najbliższym przyjacielem, ale nie potrafię ci poradzić, co masz zrobić z resztą życia — odparł John.

- Nie kapujesz, prawda? - jęknął Bob. - Wiem, co p o w i n i e n e m robić. Ale jestem pozbawionym sumienia, marnym robakiem.

- Nie dramatyzuj - powiedział John. - Jesteś po prostu zwykłym cudzołóżnikiem. Zostawisz wreszcie tę różową i gołą?

- Tak - odparł kategorycznie Bob i po raz kolejny zawrócił

samochód, po czym nieoczekiwanie zachwiał się w swoim postanowieniu. - Nie wiem. To nie ja chodzę do tej kobiety. - Podniósł głos. - Wytłumacz mi, kto to robi, ale nie więcej niż w czterech słowach.

- Może twój zły bliźniak? - zasugerował John. Tymczasem Bob zdążył już znaleźć się przy roгатce, do reszty mieszając w głowie kobiecie pobierającej opłatę.

- Nie wierzyłem nigdy w szatana, odnoszę jednak wrażenie, że koniec wieku znalazł sobie we mnie schronienie. Marla wróciła do łóżka, zdjęła pomiętą piżamę i podciągnęła prześcieradło pod szyję. Patrzyła na swoje dzieło. Stwierdziła, że dobrze wypadło. Choć meble poustawiane były bez sensu, odczuwała głęboką satysfakcję, mimo że była okropnie zmordowana. Zerknęła na stojący na biurku, na drugim końcu pokoju, zegar. Było już po północy. Gdzie on się podziewa? Nigdy nie zostawał u niej do dwunastej!

Musiała się na chwilę zdrzemnąć, ponieważ kolejnym dźwiękiem, jaki usłyszała, był odgłos hamującego na podjeździe samochodu. Podeszła do okna. Bob nie tylko pojechał najpierw do niej, ale zabawił tam dłużej niż zwykle. O dziwo, choć dzięki temu wygrała wspaniały pierścionek, wcale jej to nie ucieszyło. Widziała z góry, jak wchodzi do domu. Poczyliła w sypialni ostatnie poprawki, ułożyła na nowo poduszki i wślizgnęła się do łóżka, udając, że śpi.

Bob otworzył drzwi do sypialni. Szedł w ciemności na palcach, potknął się jednak o otomanę, przewracając stojącą na podłodze lampę, która runęła z łoskotem na biurko. Zaniepokojona Marla usiadła na łóżku.

- Nic ci nie jest, Bob?

- Chyba nie. - Jedną ręką rozcierał łokieć, drugą zaś nogę. - Jakim cudem ten stolik znalazł się pod drzwiami? Skaleczyłem się w kostkę. Auu.

- A łokieć?

- Uderzyłem się o coś... w pracy. - Podniósł się z podłogi i pokuszywał do łóżka. Ale ono również wyrosło znienacka na drodze. Bob wyrznął się w goleń. - Ooch! - Runął na posłanie. - Co tu się dzieje?! I co to za zapach?

Zbyt późno zorientowała się, że Sylwia nie używa żadnych kadzidełek.

- Moje nowe perfumy - oznajmiła. - Dostałam je od Eileen.

- Eileen? Kim jest Eileen?

- Moją siostrą.

- EUen? Wydawało mi się, że powiedziałaś „Eileen”...

- Bzdura! Chyba wiem, jak ma na imię moja siostra — odpowiedziała zaczepnie Marla. Najlepiej udawać głupią.

Ruchem ręki wskazała na pokój. - Przemeblowałam nie tylko twarz, Bob. - Zapaliła lampę, przechyliła abazur, oświetlając sypialnię. - I co ty na to?

Przestał masować nogę.

- Przystawiłaś meble... - powiedział obojętnym tonem. Rozczarowana, zgasiła lampę.

- Przyjrzę się rano. Porozmawiamy o tym... - powiedział z lekkim poczuciem winy. Zaczął się rozbierać, a następnie pocałował ją w policzek. - Słuchaj. Zacznijmy od początku. Witaj w domu. Cieszę się, że wróciłaś.

- Naprawdę?

- Oczywiście! Jak tam twoja siostra? Nie więcej niż w czterech słowach.

Nie więcej niż w czterech słowach? To niemożliwe. A może poddaje ją próbie? Nie wiedząc, jak postąpić, potraktowała pytanie jako rodzaj błyskawicznego quizu.

- Postarzała się o sześć lat, ale twarz ma świetną. Nie posunęłyśmy się daleko. Nadal chce mieszkać jak najdalej od rodziny. - Policzyła na palcach trzy pierwsze odpowiedzi, po czym zamilkła, próbując sobie przypomnieć ostatnią. -

Jej terapeuta pochwała tę decyzję - dodała z dumą, kiedy odzyskała pamięć, po czym triumfalnie zgięła kciuk.

- Cieszę się, że jest taka sama - powiedział Bob. Położył się do łóżka. - Tęskniłem za tobą - rzekł i objął ją.

Marla była niezmiernie zdziwiona. Kiedy odzywał się do niej, nie sprawiał wrażenia stęsknionego za żoną.

- Dlaczego? - zapytała.

Bob próbował ułożyć ją w pozycji do pieszczot. Opierała się.

- Dlaczego za tobą tęskniłem? - zapytał, jak gdyby pytanie nie miało sensu. - Ponieważ wyjechałaś. O co ci chodzi?

Jesteś moją żoną.

- Czyżby? - Marla zalała się łzami, chociaż nie wiedziała dlaczego.

- Daj spokój, Sylwio - powiedział Bob. - Ułóżmy się w naszej pozycji.

No nie! Przerobiła z Sylwią seks, ale tego nie przerabiała! Uniosła więc zawadiacko głowę.

- Przypomnij mi więc, jaka jest nasza pozycja - zażądała.

- Sylwio, czy dobrze się czujesz? - zapytał Bob, siadając na łóżku. — Od dwudziestu dwóch lat zasypiamy w ten sam sposób.

Ach tak! On mówi o... zasypianiu.

- Chłopie! Zapomniałeś o czymś... — zaczęła.

- Wtulamy się w siebie — podpowiedział Bob.

Teraz już wiedziała. Bob przyciągnął ją. Wtuliła plecy w jego brzuch. Leżeli obok siebie w ciemnościach. Marla czuła się odprężona. A więc tak wygląda małżeństwo! Noc w noc. Spodobało się jej. Wiedziała, że tak będzie. Ale to było czymś tak nowym, że chciała porozmawiać, zbliżyć się bardziej do swojego „męża”.

- Bob, tak mi przykro z powodu twojego ojca - odezwała się.

- W związku z czym?

- Że umarł, no i w ogóle.

- Sylwio, czy ty naprawdę dobrze się czujesz? — zapytał, opierając się na łokciu. — Czyś ty tam przypadkiem nie upadła na głowę? Kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych?

- Jakbyś sam nie wiedział! - odpowiedziała i podciągnęła kołdrę. Chciała zasnąć, mając u boku mężczyznę na całą noc.

Sypianie w pojedynkę ma niewątpliwe zalety - pomyślała Sylwia - wyciągając się w poprzek łóżka Marli. Nie miała nigdy całego łóżka dla siebie. Spojrzała na leżące obok, mocno już przywiedłe, róże. To głupie i sentymentalne, ale spała wśród nich, uważając je za symbol mającego nadejść zwycięstwa. Ubrana była w tę idiotyczną nocną bieliznę Marli - zdaje się, że dziewczyna nie ma ani jednej wygodnej piżamy! Sylwia czuła się głupio w kusej, przezroczystej koszulce i ze stanowiącym „uroczy” dodatek bandażem, podtrzymującym świeżo podciągnięty podbródek. W tym stanie nie pokazałaby się nikomu, a co dopiero Bobowi!

Obudziła się ze strasznym kacem moralnym. Problem polegał na tym, że nie wiedziała, czy jest wściekła na siebie, czy na Boba. W końcu przecież sama zaaranżowała tę mistyfikację i choć nie wszystko odbyło się zgodnie z planem, niemniej ogólnie udało się. A jednak coś tutaj nie grało.

Nie mogła pogodzić się z faktem, że Bob przyszedł najpierw do Marli. Przegrała zakład, ale stawką było coś więcej niż jej drogocenny pierścionek. Poniosła ogromną stratę uczuciową; przyszło jej zapłacić wysoką cenę.

Skoro już tak daleko zabrnęła, czy powinna się wycofać? Czy raczej brnąć dalej - w każdym tego słowa znaczeniu? Czy nie powinna przygwoździć Boba? Skorzystać z okazji, zostać jego kochanką i dowieść jemu - i sobie — że jest dobra?

Była zdeprimowana i czuła się nieszczęśliwa. Nie wiedziała, co robić. Brakowało jej fortepianu. Gdyby mogła usiąść i zagrać

Bacha albo *Sonatę* opus 23 Mozarta, łatwiej byłoby pozbierać myśli. Nagle do niej dotarło: koniec z fortepianem. Nie pomyślała, że będziesz zmuszona obejść się bez niego choćby przez tydzień. To niemożliwe! Musi być jakiś sposób! Ponieważ nie przychodziło jej nic do głowy, zadzwoniła do matki.

— Wróciłam — oznajmiła.

— Gdzie jesteś? — zapytała Mildred. — U tej kurewki?

— Uważaj, co mówisz, mamciu. Może i jest kurewką, ale to moja kurewka — powiedziała.

— O Boże! — jęknęła matka. — To syndrom sztokholmski. Utożsamiasz się, Sylwio, z wrogiem.

— Nie, mamciu. Ja je s t e m wrogiem. Bob przyszedł tu do mnie wieczorem. - Sylwia, ku własnemu zdumieniu, wybuchnęła płaczem.

— Dość smutne stwierdzenie po dwudziestu latach małżeństwa. Zapadła cisza.

— Tak mi przykro, Sylwio — dodała matka. — Ludzie, których kochamy, ranią nas. To straszne. Czy mam przyjść?

— Tak, proszę — odrzekła Sylwia.

Marla, która obudziła się o świcie, poczuła zachwyt na widok chrapiącego obok Boba. Jakże miło budzić się u boku mężczyzny! Wpadła na pewien pomysł. Narzuciła puszysty szlafrok, wsunęła nogi w ciepłe kapcie i poczłapała na dół, do kuchni. Teraz, o siódmej rano, nakładała „śmiejące się buzie" na świeże drożdżowe ciasteczka. Po rozmrożeniu uśmiechy stały się jeszcze szersze. Kiedy zadzwonił telefon, pełna radości podniosła słuchawkę.

— Rezydencja państwa Schifferów... Cześć. Jak przebiegł wieczór?

— Było niezręcznie jak cholera.

— Co ty powiesz? U mnie podobnie. Dobrze przynajmniej, że był ku temu powód — powiedziała, ozdabiając nadal ciasteczka.

— Czy Bob ucieszył się na mój widok? — zapytała Sylwia. Marla poczuła krótkie, przykre ukłucie. Powodowana poczuciem

winy czy też litości, skłamała.

— Och, tak. Był cholernie stęskniony. No, może nie aż tak bardzo. Prawdę mówiąc, był skonany. A u ciebie było dobrze?

Nastąpiła krótka przerwa. Przytrzymując słuchawkę między brodą i uniesionym ramieniem, Marla otworzyła piekarnik i wyciągnęła kolejną porcję drożdżowych ciasteczek.

— Nie martw się. — Głos Sylwii rozległ się prosto w jej uchu. — Wszystko się udało. Wspaniale, fantastycznie, cudownie.

— Jakbyś to opisała? - zapytała autentycznie zainteresowana Marla.

Zapadła cisza. Marla rozglądała się za łąpatką, ukrytą gdzieś wśród mąki, kucharskich książek, torby cukru, miarki i maselniczki. Przy pieczeniu robi się straszny chlew. — Jak byś opisała seks? — dopytywała się.

— Uff, opisałabym go jako bardzo seksowny — powiedziała Sylwia.

Marla poczuła coś w rodzaju rozczarowania, ale miała w tej chwili inne zmartwienie na głowie. Musiała znaleźć łąpatkę!

— Założę się, że jest cholernie na ciebie napalony... to znaczy na mnie. To pewnie dlatego był taki zmęczony. Dotąd jeszcze śpi.

— Śpi?! — zawołała Sylwia. Marla mogłaby przysiąc, że Sylwia jest wstrząśnięta. — Bob wstaje za kwadrans siódma. Zawsze jest w pracy punktualnie o ósmej.

— Chyba wiem, co robi mój mąż — odparła Marla. — Ponieważ spał jak kamień, wyłączyłam budzik.

— O Boże! — jęknęła Sylwia.

— Nie sądzisz, że będzie w lepszym humorze? Odrobina dodatkowego snu stawia na nogi — powiedziała Marla.

— To twój problem — odparła Sylwia. — Ale, a propos, nie pamiętam, czy ci mówiłam, jaki bywa nieznośny po przebudzeniu. Mówiłam czy nie?

Marla potwierdziła, a następnie odłożyła słuchawkę. Postanowiła zakończyć pieczenie. Nie sądziła, żeby Bob miał jej za złe ten dodatkowy odpoczynek, zwłaszcza jeśli mu poda dobre śniadanie. Wyjęła ostatnią czystą miseczkę, wbiła do niej cztery jajka i zaczęła je ubijać. Następnie z zamrażarki wyjęła bekon. Nastawiła kawę, używając w tym celu fikuśnej maszynki, jaką miewały jedynie szacowne kobiety z wytwornych dzielnic. Nakryła do stołu dla dwóch osób.

Kiedy usłyszała kuszykającego po schodach Boba, zegar mikrofalówki pokazywał godzinę ósmą czterdzieści jeden.

— Na Boga, Sylwio! — zawołał. — Co się z tobą, do licha, dzieje?

Co się stało z budzikiem? Obudziłem się po ósmej, a ciebie nie było.

- Stęskniłeś się za mną? - zagruchała Marla. - Przygotowywałam śniadanie. - Nalała dwie filiżanki kawy i czekała przy oknie. Rozmroziła przepyszne *croissanty*. Usmażyła bekon, a jajka były gorące.

Bob podszedł do stołu.

- Co to jest? — zapytał.

- A co ci to przypomina? - odpowiedziała pytaniem.

- *Croissanty!* Masło? Usmażyłaś jajka na bekonie?

Marla pokiwała głową, starając się nie puszyć zanadto. Miała cichą nadzieję, że usunęła z jajek okruchy skorupki.

- Chcesz mnie zabić? - zapytał Bob. - Przecież John wyraźnie powiedział, że mam wysoki poziom cholesterolu!

Marla zatrzepotała rękami. Nie mogła się zdecydować, czy obrazić się na tego nieokrzesanego neandertalczyka, czy też próbować go zagadać. Zdecydowała się na to drugie. Skierowała wzrok na trawnik, na unoszące się na wietrze liście, a także na wielkie błotniste koleiny przecinające zieloną murawę.

- Czy mamy krety? - zapytała. - Czy też to polne myszy? - Już kiedyś widziała coś podobnego, kiedy małe stworzenia z paskudnymi różowymi pyszczkami kopały tunele.

Bob przelykał kawę, wkładał drobne do kieszeni i rozglądał się za kluczykami do samochodu.

- Polne myszy? - zapytał. - O czym ty mówisz?

- O koleinach - odparła Marla. - Co tak przeorało trawnik?

- Żuraw, Sylwio.

- Nie wiedziałam, że ptaki mogą coś takiego zrobić. Czy było ich całe stado?

- Gromada - sprostował Bob, odstawiając kawę. - Grupę ptaków nazywa się gromadą, nie stadem. Próbujesz być dowcipna od rana. Chodzi o żuraw, czyli dźwig, który wyciągnął twój samochód z basenu.

- Chcesz powiedzieć: z parkingu?

- Posłuchaj! - zniecierpliwiał się Bob, odstawiając filiżankę na jedyny wolny skrawek blatu. - Nie mam czasu na żarty.

Jestem spóźniony, a wieczorem mam ważne spotkania. — Odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

- Nie zapomniałeś o czymś? - zapytała Marla, starając się

zachować słodki głos. Mógłby ją przynajmniej pocałować przed wyjściem!

- Och, tak - odparł Bob. Zdjął szybkim ruchem swoje klucze z kółka przy drzwiach. - Już mnie nie ma - oznajmił i tyle go było widać.

Ubrawszy się, Sylwia weszła do kuchni, żeby przygotować sobie śniadanie. Otworzyła lodówkę, ale znalazła jedynie przeterminowany jogurt i buteleczki witamin. Zaczęła otwierać kuchenne szafki. Wypełnione były środkami zmniejszającymi apetyt, zastępującymi jedzenie, uzupełniającymi jedzenie, wszystkim, tylko nie jedzeniem! Sylwia musiała coś zjeść i napić się kawy. Trzeba będzie wyskoczyć do supermarketu.

Kiedy rozległ się dzwonek u drzwi, Sylwia znowu leżała w poprzek łóżka, obłożona różami od Boba. Odrzuciła kwiaty na bok i podbiegła do drzwi. Stała w nich Mildred z dwoma plastikowymi kubkami pełnymi kawy.

- Bomba! Ze też ty zawsze wiesz, czego najbardziej potrzebuję! — zawołała Sylwia, wyciągając rękę po kubek. Poprowadziła matkę do sypialni. Mildred spojrzała z niesmakiem na zakurzony sztuczny fikus. Wzięła do ręki czerwoną poduszkę w kształcie ust.

- A więc tak obecnie mieszkają metresy? U cizi twojego ojca było gustowniej.

- Jak widać, w żadnej dziedzinie kobietom nie dzieje się lepiej - odparła Sylwia.

Mildred otworzyła stojącą na biurku kasetkę z biżuterią i ze sterty tandentych świecidełek wyciągnęła z niesmakiem tani naszyjnik z pereł.

- To nie jest biżuteria wziętej metresy — parsknęła.

- W zamrażalniku schowała cyrkonowy wisiołek - dodała Sylwia przygnębionym głosem.

- Cóż, uważam, że możemy być wdzięczne losowi — orzekła Mildred. - Przynajmniej Bob nie jest imbecylem. - Odwróciła się, by spojrzeć na córkę. — Sama wymyśliłaś ten karkołomny plan. Korzystaj więc i baw się!

Przynajmniej Bob cię nie zdradzi.

- O Boże, mamciu! Kiedy nie mogę. Jestem taka... rozdarta. Marla, to znaczy j a jako Marla, nie pozwoliła się dotknąć Bobowi.

- Grzeczna dziewczynka! Dobrze cię wychowałam - rozjaśniła

się Mildred. - Wracaj więc do domu, wyrzuć ją i basta. - Ponieważ w pokoju nie było krzesła, usiadła na brzegu łóżka.

- Nie mogę tego zrobić. W ten sposób nigdy nie zdobędę tego, czego pragnę. - Sylwia przysiadła obok i wzięła matkę za rękę. - Mamciu, dzisiaj w nocy widziałam dawnego Boba. Przypomniałam sobie, co znaczy być pożądaną. -

Przerwała i oddała się rozpamiętywaniu. — To było takie... dobre. Już prawie zapomniałam, jak może być cudownie.

- Puściła rękę Mildred i wstała. - Och, mammo! Miałam ochotę go bić za pozbawienie mnie tego, z powodu czego wyszłam za niego — załkała, gdy matka poklepała ją po ramieniu. Nagle poderwała głowę. - Sądysz, że on zadzwoni albo że przyjdzie?

- Powoli, powoli. Oczekujesz, że twój mąż wróci do metresy? - Sylwia pokiwała głową. - Och, kobiety! Widać zasługujemy na taki los! — zawołała Mildred.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Sylwia wyprostowała się jak struna. Oczy jej załśniły.

- Może to Bob! - Rozejrzała się wokół. - Boże! Musisz się schować. Nie może cię tutaj zobaczyć!

- Musiałby być ślepy — zażartowała Mildred.

- Mamciu, błagam, musisz się schować!

- Sylwio, posunęłam się najdalej, jak mogłam; nie zrobię więcej ani kroku. Nie zamierzam się chować przed własnym zięciem. - Ponownie odezwał się dzwonek. Mildred uśmiechnęła się. - Po prostu nie otwieraj. Albo mu powiedz, że jestem matką panny kurewki. - Zastanowiła się. - Powiedz, że mam na imię Deirdre. Miałam zawsze wrażenie, że wyglądam na Deirdre.

- Przestań. Zostań tutaj. - Sylwia zamknęła drzwi sypialni i przebiegła przez maleńki living-room. - Kto tam?! — zawołała.

- Pete.

- Pete?... - zapytała. Studiowała notatki Marli, ale nie było w nich żadnego Pete'a.

- Pewnie jakiś kolejny przyjaciel. Może ci się spodoba. - Zza drzwi sypialni, z założonymi na piersiach rękami, wychyliła się Mildred.

Sylwia spiorunowała ją wzrokiem, upewniła się następnie, czy drzwi są zabezpieczone łańcuchem i uchyliła je ostrożnie. Ujrzała olbrzymi bukiet kwiatów.

- Oooch! - pisnęła. Zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi na oścież.

Kwiaty ledwo się w nich mieściły. Z rozpromienioną twarzą odwróciła się ku Mildred. Sięgnęła po wizytówkę. Pete wkroczył z kwiatami.

— Sądzę, że najlepszym miejscem dla tych piękności będą okolice sofy. Nie zachwieją proporcji pokoju — rzekł zza gladiolusów.

— Dostawa i porady dekoratorskie w jednej osobie — skomentowała tę radę Mildred. - Tyle że tu potrzebny jest raczej psychiatra.

Sylwia przeczytała wizytówkę, a kiedy popatrzyła na matkę, na jej twarzy malowała się radość.

— Nie może ze mnie zrezygnować. Chce się spotkać wieczorem. — Popatrzyła na Pete'a. - Dziękuję - powiedziała. - Sprawileś mi ogromną radość.

— Fajnie! To twoja mama? — zapytał Pete. Odwrócił się do Mildred. — Pani córka jest niezmiernie życzliwą osobą.

— Moja córka jest romantyczną idiotką — oświadczyła Mildred, wręczając mu napiwek.

W pokoju muzycznym Marla udzielała lekcji. Przy fortepianie siedziała Jennifer. Grała *Valse minutę*, który odbębniła w trzydzieści sekund.

Marla czuła się bardzo na miejscu. Stanowiła prawdziwy autorytet dla tej dziewczynki.

— Naprawdę bardzo dobrze, kochanie. Nawet ja nie potrafiłabym szybciej — powiedziała Marla, uśmiechając się i poklepując dziewczynkę po ramieniu. — Spróbuj jeszcze raz, jeszcze szybciej. Założę się, że potrafisz.

Na twarzy Jennifer widać było zakłopotanie. Zaczęła od nowa i zagrała szybciej. Marla z uśmiechem kiwała głową, dodając dziewczynce odwagi.

Pete odszedł, a Mildred przygotowywała się do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon. Bez namysłu Sylwia podniosła słuchawkę.

— Halo? — wyszeptała najbardziej zmysłowym głosem, na jaki ją było stać.

Mildred zatrzepotała oczami.

- Cześć, mówi Eena. Przeżywam kryzys. Nie było cię przez całe wieki.

Kim jest Eena? Co za kryzys? Sylwia nie znajdowała odpowiedzi, nie pamiętała tego imienia z notatek, improwizowała więc, udając Marłę.

- Hej! — powiedziała.

- Zmieniłam adres. Mieszkam teraz w Highland Hills, tuż przy Chagrin Boulevard. Mogłabyś wpaść wczesnym popołudniem? Moje stopy są w okropnym stanie.

- Okay — odpowiedziała Sylwia. — Możemy się spotkać o drugiej?

- Świetnie, zapisz sobie adres. - Kiedy Sylwia zanotowała, Eena, kimkolwiek była, rozłączyła się. Mildred zrobiła zdziwioną minę.

- Masz więc randkę z Bobem, podczas gdy Marla ma randkę z Johnem?

- To nie był Bob, to klientka. A o jakiej randce z Johnem mówisz?

- Rozmawiałam wczoraj wieczorem z Marlą. Ty jakoś do mnie nie zadzwoniłaś. Tak czy owak, powiedziała, że je dzisiaj z Johnem lunch w klubie.

- To niemożliwe! Nigdy go nie widziała. Dopiero wczoraj znalazła się w domu.

- Pracowita mróweczka - powiedziała Mildred. - Wyobrażasz ją sobie w klubie?

- W klubie? Umówili się na lunch w Country Club? Co jej strzeliło do głowy?!

- Co t o b i e strzeliło do głowy? Sylwio, otworzyłaś puszkę Pandory, nie posłuchałaś mnie. No cóż, jestem tylko twoją matką.

Sylwia odwróciła się do Mildred.

- Okay - powiedziała. — Przyznaję, że to był niewypał. Musisz mi pomóc. Zadzwonię do Marli i powiem jej, że lunch nie wchodzi w rachubę, ale ty pójdziesz do klubu, na wszelki wypadek. Jeżeli jej nie przekonam, nie spuszczaaj z niej oka.

- Nie muszę się trudzić. Żadna z obecnych tam kobiet nie spuści z niej oka, możesz mi wierzyć. Nie sądzę, żeby dały się nabrać, kiedy im powie, że zrobiła sobie jedynie „miły wypoczynek”. - Mildred zamilkła na chwilę. - Jak myślisz, czy ona poradzi sobie ze sztućcami? Do jutra będziesz na ustach wszystkich mieszkańców Shaker Heights.

Sylwia spojrzała na matkę błagalnym wzrokiem.

— Proszę cię...

Mildred złapała torebkę, wzruszyła ramionami, po czym pokiwała głową.

— Do licha! — powiedziała. - Po raz pierwszy, od chwili kiedy Dick Edenboro wstąpił do Anonimowych Alkoholików, szykuje się w klubie najlepsze widowisko. — Pocałowała córkę, znów pokiwała głową i wyszła, zabierając plastikowy kubek. Sylwia wróciła do opustoszałego mieszkania i wykręciła numer swojego domowego telefonu. Linia była zajęta. Odłożyła słuchawkę, ale zaraz rozległ się dzwonek. Tym razem, zanim odebrała, położyła na kolanach notatnik. Z ręką gotową do przerzucania kartek podniosła słuchawkę.

— Halo? Och, pan Brightman. — Sprawdziła notatki. Po wyrazie jej twarzy było widać, że identyfikuje osobę, a także jej wymagania. Nie wszystkie notatki były czytelne. Ssanie? Czyżby to był ten facet, który... - Dzisiaj o wpół do trzeciej? — Och, nie. Facet może to sobie wybić z głowy. Zawahała się, by po chwili pokornie odpowiedzieć: - Tak, panie Brightman.

Wpadła w panikę. Okay, może nacierać podbicie, masować kostkę, ale ssanie palca u nogi nie wchodzi w grę. To zajęcie dla profesjonalistki. Natychmiast wykręciła numer Marli. Najpierw nikt nie odpowiadał, następnie jej własnym głosem powitała ją automatyczna sekretarka. Sylwia zastanawiała się, co robić. Cóż, ubierze się i pojedzie do Eeny. Po drodze spróbuje złapać Marłę. Podniosła się z łóżka i zaczęła szperać w szafie. Wszystkie ubrania były tanie i marne. W co mam się ubrać na mój pierwszy występ? -zastanawiała się.

W drodze do Eeny Sylwii udało się złapać Marłę za pomocą samochodowego telefonu.

— Pani Sylwia Schiffer — odezwał się głos Marli.

— Przykro mi. Przez godzinę będziesz musiała być sobą. Gdzie jesteś?

— W samochodzie.

— Domyślam się. Ale w jakim miejscu znajduje się sarnpchód?

— Nie bardzo się orientuję. Minęłam właśnie Canterbury Road, ale zamierzam się dostać na Courtland Boulevard.

— Jesteś więc tam, gdzie ja. To dziwne, że cię nie zauważyłam. Jedziesz na północ czy na południe? — zapytała Sylwia.

— Prosto — odpowiedziała Marla.

Sylwia westchnęła i pokiwała z ubolewaniem głową.

— Posłuchaj, mam zlecenie od pana Brightmana. Chce mieć „kompletny pedikiur” o wpół do trzeciej. Załatwię dziś po południu Eene, ale ty załatwisz Brightmana.

— Nie mogę. Jem z Johnem lunch w klubie — odparła beztrosko Marla. — Eena zresztą nie płaci. W zamian robi mi zabiegi przeciwko cellulitis. Odpuść ją sobie. Słuchaj, John naprawdę, ale to naprawdę cię lubi. To bystry facet.

Fajny jest?

W telefonie nastąpiły jakieś zakłócenia. Do Sylwii dotarł tylko fragment zdania.

— Brightman? — zapytała. — Skąd mogę wiedzieć?

— Nie, nie Brightman! Doktor John! — zawołała Marla. Sylwia postanowiła zachować spokój.

— Nie wiem, czy jest fajny, ale na pewno bystry. — Współpraca Marli była niezbędna. Sylwia może być refleksologiem jakiejś masażystki, ale nie będzie się zabawiała nogami jakiegoś starego pryka, do tego za pieniądze.

— John nie pomyli mnie z tobą, zwłaszcza w dziennym świetle. On naprawdę na mnie p a t r z y . Bo nie jesteśmy małżeństwem. Nie możesz z nim jeść lunchu!

— To nie fair! Odmawiasz mi odrobiny radości! — obruszyła się Marla. — Co mi z tego, że jestem żoną, jeśli nie mogę nawet wyjść na lunch do klubu, a do tego mam się jeszcze zająć nogami Brightmana?! — zamilkła na moment.

— Tak czy owak, gdzie jest ten klub? Nie mogę go znaleźć.

— Zaczekaj, muszę się zastanowić. Dzisiaj mamy piątek, w piątki John nie pracuje. I tylko wtedy pije przy lunchu — poinformowała dziewczynę. Jeżeli Marla nie będzie za dużo mówiła, może jakoś z tego wybrnie — rozważała.

Niewykluczone, że John uwierzy w cudowne właściwości nowoczesnej chirurgii. - Okay — zgodziła się w końcu. — Umawiamy się następująco: ty jesz lunch z Johnem, ja załatwiam Eene, następnie urywasz się wcześniej i zajmujesz się stopami Brightmana.

— To nie fair! Muszę jeszcze zrobić zakupy na Święto Dziękczynienia — jęknęła Marla w słuchawkę.

— Zrobisz je później. I uważaj z Johnem. Nie pij i raczej nie

mów. Jeśli popełnisz błąd, będziemy obie ugotowane. I zajmij się Brightmanem.

- Ale ja nie mam przy sobie sprzętu! - jęknęła znów Marla. - Moich olejków, kadzidełka i zapachów do aromaterapii. Sylwia zahamowała na światłach. Po prawej stronie zatrzymał się czarny sportowy samochód. Nie mogła się powstrzymać od przeprowadzenia sprawdzianu. Przy swoim nowym wyglądzie poczuła się znowu pewna siebie. Opuściła szybę od strony pasażera, żeby lepiej się przyjrzeć sąsiadowi. Mężczyzna odwrócił głowę i również na nią spojrział. Wyglądał całkiem sympatycznie, ale nie uśmiechnął się. Kiedy spoglądał raz w jedną, raz w drugą stronę, na jego twarzy odmalowywało się najwyższe zdumienie, jeśli nie przerażenie. Po chwili podniósł przyciemnioną szybę. Kiedy zmieniło się światło, jego sportowy samochód ruszył z piskiem opon. Dopiero wtedy Sylwia dostrzegła na drugim pasie Marłę. Osaczyły faceta z dwóch stron! Ktoś z tyłu zatrąbił i Sylwia nacisnęła pedał gazu, skręciła w lewo, podczas gdy Marla, nieświadoma niczego, skręciła w prawo.

- Cóż, jeśli ja pójdę do Brightmana, ty zrobisz mi pranie. Tyle tego jest! - jęknęła. - Nie umiem uruchomić pralki, a poza tym nie ze wszystkim się wyrabiam.

Sylwia westchnęła. Pewnie podczas jej nieobecności Bob nie zrobił ani razu prania.

- Okay, załatwione. Jadę do Eeny, żeby trochę się wprawić. Ty spławiasz Johna, po czym spotykamy się u Brightmana. Oddam ci olejki i twoją torbę. Podczas gdy będziesz się nim zajmować, zrobię pranie. Tylko się pośpiesz, i bądź ostrożna z Johnem. Jest bardzo bystrym facetem.

- Mówisz tak, jakbym nie pracowała z lekarzami - powiedziała obrażonym tonem Marla. - Gdzie jest ten... - Wciąż nie mogła znaleźć drogi do Country Club.

- Co? Nie słyszę cię. Jestem w tunelu.

- Poradzę sobie z Johnem! - krzyknęła Marla. - Spotkamy się u Brightmana. Gdybym się spóźniła, zaczynaj beze mnie. Zmienię cię. Wyjdiesz bocznymi drzwiami. Będziesz mogła zająć się praniem.

Country Club w Shaker Heights miał wszystko, co trzeba: ceglany mur porośnięty bluszczem i liczne kręte podjazdy. W pojęciu Marli wystrój wnętrza - intensywne, głębokie błękity i zielenie oraz kolor wina - był bardzo stylowy. Wiszące na ścianach obrazy przedstawiały jeźdźców, a także martwe ptaki i zające. Pracowała kiedyś w podobnej restauracji jako, hostessa. A więc bywalcy tego lokalu jeżdżą konno i zabijają zwierzęta — pomyślała. To dziwne, że siedząc na jednym zwierzęciu, można zabijać inne. Nie mieściło się jej to w głowie. I pewnie ta rozterka sprawiła, że nie najlepiej przygotowała się na spotkanie. Kiedy weszła do jadalni, stwierdziła, iż, nie wie, jak John wygląda. Sala była przestronna. Większość stolików zajmowały kobiety, z tym więc nie było kłopotu. W głębi siedzieli mężczyźni. Stoliki dla pań, stoliki dla panów... Ciekawe - pomyślała Marla. Że też nie siedzą razem, z wyjątkiem jednej bardzo wiekowej pary, przy czym mężczyzna wyglądał raczej na umarłego niż żywego. Siedział w fotelu na kółkach i niewykluczone, że wolałby nie jeść razem z kobietą, gdyby mógł się ruszyć. Uważnie rozejrzała się po sali. Dostrzegła samotnego mężczyznę, który wydał się jej stanowczo za stary na Johna. Studiował menu. Czując chyba na sobie jej spojrzenie, odłożył kartę i podniósł wzrok. Uśmiechnął się do niej i mrugnął okiem. No, to na pewno nie John! Mężczyzna nagle wydał się jej znajomy. Na Boga, czyżby klient? Ten facet jest dość stary, prawdziwy wapniak, choć jak na wapniaka nieźle utrzymany. Mogłaby się zrewanżować mrugnięciem... Postanowiła jednak go zignorować. Żadnych flirtów poza Johnem.

Przy narożnym stoliku spostrzegła innego samotnego mężczyznę. Jakie szczęście, że nie uległa przed chwilą pokusie! Był wysoki - widać to było nawet, gdy siedział - i obserwował przez okno grę w golfa. Czy to John? Uznała, że jeśli to on, to pomacha do niej lub wstanie. Jak się teraz zachować? Zawołać: „Czy jest tu lekarz?!” Pomyślała, że inni mogą być także lekarzami. W tym momencie poczuła na ramieniu kościstą dłoń. Zanim zdążyła poprosić, żeby jej nie wyrzucali, bo jest panią Schiffer, członkinią klubu, ujrzała Mildred.

— To ten w rogu — syknęła matka Sylwii.

— Mamcia! - zawołała Marla i uraczyła Mildred całusem. - Co ty tu robisz?!

— Nie szarżuj, kochanie - powiedziała Mildred, muskając ustami jej policzek. - Usiądź tyłem do sali. - Kiwnęła głową w kierunku wapniaka. — Przywitałaś się z ojcem? — zapytała.

— To mój tatuś? - wyszeptała Marla. - Uznałam go za... - urwała, zanim zdążyła wypaplać o mruganiu. Z uwagą przyjrzała się mężczyźnie, który znów zagłębił wzrok w karcie. Kiedy podniósł głowę, stwierdziła: — Och! Mam jego oczy.

Mildred przewróciła swoimi.

— Szybkie „dzień dobry”, a potem podejdz do Johna. Z tym też się uwiń! - ostrzegła.

Marla pokonała odległość dzielącą ją od „ojca”. Nie знаła swojego prawdziwego ojca i choć powtarzała sobie, że ten tutaj również nim nie jest, to przecież m ó g ł b y nim być... Dławiło ją wzruszenie. Było w tym mężczyźnie coś ogromnie solidnego — gęsta strzecha siwych włosów, gładka, pocętkowana plamkami od słońca skóra, tweedowa sportowa marynarka i niebieska koszula. O wiele solidniejszy niż Mike Brady czy nawet Charles Ingalls z serialu *Little House*, choć tata Ingalls jest zdecydowanie fajniejszy.

— Cześć, papciu — powiedziała pieszczotliwie.

— No wiesz, t e r a z się witasz! Trzy tygodnie poza domem, bez żadnego telefonu, bez słowa wiadomości! — Obejrzał ją od stóp do głów. — Muszę przyznać, że dobrze wyglądasz, Sylwio. To nurkowanie w basenie nieźle ci zrobiło. - Poglaskał ją po głowie. -Zdaje się, że chlor rozjaśnił ci włosy. — Marla pomyślała o swoich naprawdę jasnych niedawno włosach i westchnęła. - Nie wiedziałem, że będziesz z nami jadła lunch — powiedział tatuś.

Marla poczuła kulę w gardle.

— Nie jem — powiedziała. — Jem... — Tak bardzo by tego chciała. Zdała sobie sprawę, że pragnie usiąść ze swoim miłym, schludnym tatusiem.

— Ona je lunch z Johnem — poinformowała Mildred. — Ruszaj — poleciła.

Marla, nie czekając, aż się rozplacze, zrobiła w tył zwrot i pomaszzerowała przez salę do narożnego stolika.

John poczuł chyba jej wzrok, ponieważ odwrócił się od okna. Na jej widok wstał z miejsca. Marla natychmiast odzyskała humor. Zauważyła, że wywarła na nim wrażenie, ponieważ stał z półotwartymi ustami. Domyśliła się, że nawet z brązowymi włosami i paroma kilogramami nadwagi dobrze wygląda — przynajmniej w oczach tego faceta, który spodziewał się nieefektywnej Sylwii.

— Siadaj, Sylwio — poprosił odsuwając jej krzesło. — Napijesz się wina?

— Pewnie — zgodziła się Marla. — Chcesz poznać moją mamę i tatę? — zapytała.

Zatrzymał w połowie drogi rękę z butelką i spojrzał uważnie.

— Poznać ich? Przecież znam ich całe życie — odparł. Speszona Marla wypła łyk wina.

— No jasne! Ale ze mnie idiotka! — Uśmiechem próbowała zatuszować gafę. Zaczęła ostentacyjnie przesuwac palcami wzdłuż nóżki kieliszka.

Nieco zdezorientowany John obserwował jej rękę, a następnie przeniósł spojrzenie na twarz.

— Wyglądasz... pięknie.

— A jak! Masz przed sobą nową Sylwię — powiedziała z uśmiechem.

John roześmiał się.

— Choć przyznaję, że nie jestem zwolennikiem operacji kosmetycznych, nie ukrywam, że wyglądasz rewelacyjnie.

— Ściszył głos. — Nawet lepiej niż rewelacyjnie.

Aha, tu cię mam! Zajrzała mu głęboko w oczy.

— To znaczy...?

— Zapało mi dech w piersiach na twój widok — odparł i spuścił wzrok. Czyżby się zaczerwienił?

— No, no! Doktorze Johnie, ale z ciebie flirciarz! - zawołała Marla, popijając wino. Powinna była jednak coś przegryźć na

śniadanie. - Naprawdę, naprawdę powinieneś być uprzedzić Boba i poprosić, żebym za c i e b i e wyszła!

— Prosiłem przecież — odparł John. Zbita z tropu, Marla przycichła na chwilę.

— I dlatego tak bardzo cię szanuję - powiedziała, odzyskując grunt pod nogami.

— Ja także cię szanuję, Sylwio. - Ujął jej rękę.

Marłę przepełniała radość. Dotychczas mężczyźni adorowali ją, pożąдали jej, nadskakowali. Ale czy któryś ją szanował?

— Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek słyszała to słowo w odniesieniu do mojej osoby.

— Nie wierzę! — obruszył się John.

Pojawił się kelner, by przyjąć zamówienie. John cofnął rękę. Po odejściu kelnera przybrał poważny ton.

— Chciałaś mi powiedzieć coś ważnego.

— Tak, ale kiedy to usłyszysz, stracisz do mnie cały szacunek — powiedziała Marla, zwieszając głowę.

— Spróbuj jednak.

Pomyślała, że nie miałyby nic przeciwko temu, jednakże po namyśle stwierdziła, że lepiej milczeć. Spuściła wzrok na połyskujący na palcu pierścionek od Cartiera, stanowiący obecnie jej własność. Zaczerpnęła głęboko tchu.

Idealna okazja, żeby udać ofiarę.

— Okay, John. Będiesz jedyną osobą, której to powiem. Muszę to zrobić. To tak bardzo bolesne, że już drugi raz nie przejdzie mi przez gardło. Nie powtórzę tego nawet tobie, mojemu najlepszemu przyjacielowi.

— No, mów. Wiesz przecież, że przy mnie możesz czuć się pewnie. — Ponownie ujął jej rękę.

Marla znów nabrała tchu, wypła wino do dna i spojrzała Johnowi głęboko w oczy.

— Bob mnie zdradza — oznajmiła i głośno westchnęła. — No! Wyrzuciłam to z siebie. Od razu poczułam się lepiej.

John sprawiał wrażenie bardziej zakłopotanego niż zaskoczonego.

— Sylwio, już mi o tym mówiłaś — powiedział delikatnie. -Przed wyjazdem.

Marla wpadła w panikę, udając jednocześnie, że doskonale pamięta tę rozmowę.

— Och, prawda! No cóż, w takim razie to odgrzewana nowina. — Upiła łyk wina. — No więc wyjechałam, przemyślałam to wszystko i doszłam do wniosku, że nikt nie jest winny, po prostu wypadek losowy. I będę się przy tym upierać.

— Nie rozumiem — powiedział John.

— Chwała Bogu!

Kelner przyniósł zamówione dania i rozlał do kieliszków pozostałe wino. Kolejny raz John cofnął rękę.

— Zabierajmy się do jedzenia - powiedziała rozpromieniona Marla. Kiedy zostali sami, uśmiechnęła się uwodzicielsko do Johna. Tym razem ona wzięła go za rękę. John nie wydawał się nieszczęśliwy z tego powodu.

Sylwia czekała na pana Brightmana w pomieszczeniu recepcyjnym. Pozbierała się już po szoku, jakiego doznała u Eeny na widok maleńkiego mieszkania z ogrodem, pełnego kotów, kryształów, zwiędłych roślin i porozkładanych wszędzie obrzydliwie brudnych dywanów. Kiedy Eena pokazała stopy, okazało się, że są czarne od brudu.

Poza tym wcale nie chodziło jej o masaż podbicia; była nastawiona na czytanie ze stóp. Chciała koniecznie wiedzieć, czy ma chore nerki, czy pęcherz, nie była bowiem pewna, którego z uzdrawiających kryształów powinna użyć.

Sylwia zmyślała, jak mogła, a kiedy Eena wspomniała, że ma krew w moczu, usilnie ją namawiała na wizytę u Johna.

Pięciokrotnie myła ręce; dwukrotnie u Eeny, następnie wilgotną chusteczką w samochodzie, później na stacji benzynowej i wreszcie tutaj, u pana Brightmana.

Choć Marla nazwała go starym kanciarzem, okazało się, że pan Brightman jest dyrektorem jakiejś spółki przewozowej. Tłum mężczyzn deptających zielone linoleum recepcji rozmawiał wyłącznie o składach towarów i o urzędach miar i wag. Każdy z nich zerkał w jej stronę, większość odwracała od niej wzrok, inni mrugali porozumiewawczo. Siedząc tak sztywno, jak tylko mogła, ubrana w opięte niebieskie legginsy Marli i w żółty sweter, czuła się jak uczennica wezwana do gabinetu dyrektora szkoły.

— Pan Brightman pragnie panią widzieć. Przeprasza, że kazał

na siebie tak długo czekać - odezwała się recepcjonistka z głupim uśmiechem.

- Nie ma sprawy. Mogę dalej czekać - odpowiedziała nerwowo Sylwia. Gdzie jest Marla?! Obiecała przyjść.

- Później nie może. Ma spotkanie o wpół do czwartej.

- Mogę przyjść jutro - zaproponowała Sylwia. Gdzie, d o l i c h a , podziewa się Marla?

- Zaznaczył, że właśnie teraz zależy mu na relaksie. Jest już gotowy. - Recepcjonistka uniosła buty pana Brightmana, jakby to były śnięte ryby. Sylwia była bliska omdlenia.

- W porządku. Oczywiście. Teraz. - Podniosła się z wysiłkiem i ruszyła w kierunku gabinetu pana Brightmana.

Recepcjonistka zatrzymała ją i skierowała do innych drzwi.

- Jak pani wie, lubi, kiedy to odbywa się tutaj - powiedziała. Boże, o co chodzi? Marla nic nie mówiła. Czy to ma być coś

więcej niż masaż?

- Och, prawda! Chyba straciłam głowę - wyszeptała.

- Czyli że wszystko w normie - oświadczyła recepcjonistka, potwierdzając tym samym fakt, iż Marla rzeczywiście jest tutaj stałą bywalczynią.

Powoli, ociągając się, Sylwia zbliżyła się do drzwi i weszła do środka. Na szczęście nie była to sypialnia.

Pomieszczenie świeciło pustką, jeśli nie liczyć rozciągniętego od ściany do ściany różowego dywanu, różowych aksamitnych draperii i czarnego skózanego fotela, a także otomany, ustawionych na środku pokoju. Pan Simon Brightman siedział w fotelu. Sylwia ujrzała jego gołe, czekające na nią stopy. Był masywnym mężczyzną o przeredzonych popielatych włosach i okrągłej twarzy. Ubrany był w pognieciony popielaty garnitur, białą koszulę z guziczkami na rozpiętym kołnierzyku i w niebieski rozluźniony krawat. Ale uwagę Sylwii przyciągały przede wszystkim jego oparte o otomanę stopy. Jak na mężczyznę o takiej posturze, były wprost mikroskopijne, a z każdej kostki palca wyrastała kępa włosów tak długich, że można by je chyba splatać. Spód każdej ze stóp był żółty i zeszpecony wielkimi zgrubieniami skóry, a wierzchnią ich część, aż do kostek, pokrywała istna mapa drogowa nabrzmiałych jak powrozy żył. Najohydniejsze jednak były paznokcie - pomalowane różem Molly Ringwald. Sylwia pomyślała o czarnych stopach Eeny. A teraz te! Że też ze

wszystkich stóp na świecie musiały jej na początek przypaść właśnie te dwie pary!

— Nareszcie! — powiedział. — Dlaczego nie weszłaś bocznymi drzwiami? - Wskazał na ukryte za ekstrawagancką aksamitną draperią drzwi za sobą. - Wiesz, że nie lubię, kiedy przebywasz w głównej recepcji.

— Ojej! Przepraszam. Ale najważniejsze, że już jestem — powiedziała pojednawczo, naśladując wesoły, chaotyczny sposób mówienia Marli. — Hej! Ma pan dzisiaj naprawdę, ale to naprawdę fantastyczną aurę. - Zaczęła otwierać torbę, wyjęła buteleczkę z olejkiem, kadzidełko i przybory Marli do aromaterapii. Kiedy podeszła bliżej, stwierdziła, że stopom Simona Brightmana przydałaby się również terapia zapachowa. Gdzie jest Marla, do jasnej cholery! Sylwia potrząsnęła pudełkiem zapalek, zapaliła kadzidełko i zastanawiała się, czy ta jej zła bliźniaczka siedzi jeszcze w klubie z Johnem.

— Zaczynaj, dziecinko. Ulżyj mi — powiedział Brightman i mrugnął okiem.

Sylwia omal nie zemdląca.

— Przepraszam na chwilę — powiedziała. — Muszę się wysiusiać. Brightman westchnął ciężko.

— Mam mało czasu — przypomniał. — Pośpiesz się.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Oparła się o ścianę i starała się pozbierać myśli. Musi jak najprędzej odnaleźć Marłę! W przeciwnym razie po prostu ucieknie. Ssanie tych stóp było zbyt obrzydliwe, wręcz nie do wyobrażenia. Udała się do recepcji. Już miała poprosić o pozwolenie skorzystania z telefonu, kiedy w niedużej wnęce dostrzegła płatny aparat. Oczywiście, nie miała przy sobie ani jednej ćwierćdolarówki. Zaczęła wciskać na chybił trafił bilon. Karty magnetyczne są wygodniejsze, ale jaki z nimi kłopot! Jak poza tym można spamiętać tyle cyfr, kiedy działa się pod wpływem stresu? Przez pomyłkę wykręciła numer swojego samochodowego telefonu i całą procedurę musiała rozpocząć od nowa. Jedyne, o czym mogła myśleć, to o czekających na nią nogach Brightmana. Na szczęście Marla podniosła słuchawkę zaraz po pierwszym sygnale.

— Gdzie się podziewasz? — zapytała Sylwia.

— Jestem unieruchomiona! - odpowiedziała dziwnym głosem Marla.

- Co?! - Sylwia omal nie dostała zawału. Czyżby Bob się połapał? Czy są spalone? Rozbolał ją brzuch, żałowała, że nie kochała się z nim wczoraj wieczorem, kiedy miała okazję.

- Utknęłam w gąszczu uliczek! - wołała Marla. - Jak się stąd wydostać?!

- O czym ty mówisz? - warknęła Sylwia. Poczowała wprawdzie ulgę, ale wciąż nie wiedziała, co robić. Może jeszcze nie wszystko stracone?

- Zostawiłam Johna w klubie, ale nie mogę się do ciebie dostać. Przez całe życie chciałam mieszkać w czymś takim jak Heights, a teraz nie mogę stąd wyjechać. Ileż tu ślepych uliczek... Już czterokrotnie przejechałam naszą ulicę. Cholera! Znowu na nią trafiłam!

Oby tylko nie wybuchnąć! - modliła się Sylwia. Trzeba zachować cierpliwość i sprowadzić tutaj Marłę. Później będzie mogła ją zabić.

- Wiesz co? Nasz mąż będzie musiał skosić trawnik — szczebiotą tamta. - Nawet nie wiesz, jacy nieuprzejmi są nasi sąsiedzi! Ta pani, o dwa domy dalej, pokazała mi bardzo nieprzyzwoity gest. Rany, ależ ona wydziela złą karmę. Czuję to nawet stąd, przez stal i szkło.

To mogła być tylko Rozalia - domyśliła się Sylwia. Żeby obronić się przed „karmą” Rozalii, Marla potrzebowałaby warstwy ołowiu.

- Dojeżdż Lee Road do mostu i przyjeżdżaj tu zaraz! — zażądała zdesperowana.

- Lee Road. Jestem na Lee Road. Czy może byłam? Wiem, że na pewno widziałam taki napis - trajkotała Marla. - Dzwonił twój brat. Tutaj, do samochodu. Powiedział, że jego wścibska była żona widziała, jak kręcę się w koło i pomyślała, że pewnie szukam następnego basenu, do którego zamierzam wjechać. - Marla zachichotała. — Czy to nie słodkie z jego strony? Tak się o mnie martwi.

- Tymczasem ja martwię się o siebie! - syknęła Sylwia. - Stopy Simona Brightmana nie będą czekały wiecznie.

- Naprawdę się zgubiłam. Nie mogę się przebić przez Eaton

i Carlton Road, a przecież muszę się stąd wydostać. Ludzie już się gapią. Proszę, posłuż mi za wieżę kontrolną.

- W porządku. Uspokój się. Na rogu Carlton skreć w prawo,

potem jeszcze raz w prawo, w Eaton. Przy drzwiach drugiego domu zobaczysz skrzynkę pocztową w kształcie kaczki. Skręć w lewo. Po przejechaniu dwóch skrzyżowań ze światłami zobaczysz po prawej stronie duże centrum handlowe.

— Jesteś pewna, naprawdę jesteś pewna, że mam przejechać na światłach? — zapytała Marla. — A jeśli będą czerwone? Nie zapominaj, że mogą ci wlepić znaczek w prawie jazdy. - Urwała. Sylwia nie odzywała się. — Staram się być zabawna — wyjaśniła Marla.

— A ja staram się nie pęknąć ze śmiechu — odparła cierpko Sylwia, stukając palcami w telefon.

- Przejechałam cztery światła i nadal nie widzę żadnych kaczek — informowała Marla.

— Powiedziałam d w a światła. — Sylwia wpadła w rozpacz. — Dwa!

— Okay, okay! — zawołała Marla. — Zawracam.

W tej samej chwili pan Brightman wystawił głowę zza drzwi i rozejrzał się. Dostrzegł Sylwię i przywołał ją gestem. Pokazał na zegarek. Sylwia pokiwała głową i uśmiechnęła się.

— Pośpiesz się, Marla. Pan Brightman traci cierpliwość — błagała.

- Wyjechałam! Wyjechałam! — zawołała triumfalnie Marla. — Widzę most. Będę u ciebie za parę minut. Rany, wolałabym nie być zmuszona do ewakuowania się z Heights w razie nagłej potrzeby.

- To j e s t nagła potrzeba! — wycedziła Sylwia i odwiesiła słuchawkę.

Wróciła do pokoju pana Brightmana. Podchodząc do niego, wzruszyła ramionami i uśmiechała się a la Marla.

- Bardzo przepraszam. Otrzymałam złe prądy od siostry i m u s i a ł a m do niej zadzwonić. - Usiadła na stołeczku u jego stóp. — Ho, ho... pańskie paluszki wyglądają dzisiaj wyjątkowo uroczo.

Pan Brightman wyciągnął się na oparciu fotela i zamknął oczy.

- To chciałem usłyszeć. Zmień lakier. Chcę coś... młodzieżowego.

— Nie mógł pan lepiej trafić. To znaczy, mam na myśli siebie. To znaczy trafić. To znaczy trafić tutaj.

- Dobijają mnie te podbicia! Nie mogłabyś ich spróbować? Ale najpierw lakier. Wiesz, że lubię d u ż o koloru.

Już samo zbliżenie rąk do jego stóp wymagało ogromnego poświęcenia. Miała przy sobie torbę Marli, ale nie było w niej przyborów do pedikiuru... Były olejki zapachowe i krem, nie było natomiast lakieru Fire and Ice Revlona.

Wyjęła jakiś olejek do masażu i pokropiła nim stopy klienta.

- Czy aby nie zapomniałaś czegoś zdjąć? - zapytał półgłosem pan Brightman.

- Zdjąć? - powtórzyła, wpatrując się uważnie w jego zrogowaciałe paznokcie. Odniosła wrażenie, że nie tylko one są twarde.

- Chcę mieć pełny zabieg. I powiedz mi wierszyk. Udajemy niewiniątko? Proszę, panno Molensky. Tracę cierpliwość. Zostało mi tylko dziesięć minut. - Nie wiedząc, co robić, Sylwia powoli zaczęła się podnosić. Dość tego! Po prostu nie jest w stanie tego zrobić. Musi natychmiast wyjść.

- Schowaj się za zasłoną, jak zwykle - powiedział rozkazującym tonem pan Brightman. Wykonała polecenie. Stała przez chwilę, prawie we łzach, kiedy usłyszała głos wkraczającej tanecznym krokiem Marli. Wychyliła głowę zza aksamitnych zasłon.

- Jedna mała świnka poszła na targ - zagruchała Marla. - Druga mała świnka została w domu. - Dała nura za inną zasłonę, zaciągnęła ją, szperając jednocześnie w torbie. Wyciągnęła błyszczący lakier do paznokci, po czym ruchem zręcznej striptizerki wysunęła rękę zza kotary i potrząsając flakonikiem wrzuciła go do pokoju.

Pan Brightman jęknął.

- O tak! - powiedział. - Tak jest cudownie! Ty mała uwodzicielko!

Marla wypłynęła tanecznym krokiem zza kotary.

- Uciekaj bocznymi drzwiami. Szybko, już - szepnęła, mijając zasłonę, której Sylwia kurczowo się trzymała.

Podniosła z podłogi lakier i przykucnęła u stóp pana Bright-mana, który zamknął oczy.

Sylwia wymknęła się z pokoju.

Podjechała pod dom, zaparkowała samochód i spojrzała we wsteczne lusterko. Nie chciała się natknąć na swoje sąsiadki, na matkę czy na Rozalię — zwłaszcza na nią! Bob stale narzekał na brak bezpośredniego połączenia garażu z domem, Sylwia natomiast dopiero teraz odczuła potrzebę zrobienia takiego przejścia.

Przez balkonowe drzwi weszła do salonu muzycznego i zamarła, a potem jęknęła. Panował tu nieopisany bałagan. Jej ukochane nuty, porozkładane w niechlujnych stertach, zalegały kanapkę i inne meble, większość jednak leżała na podłodze, o wiele za blisko kominka. Niektóre z utworów były bezcenne, skomponowane przez nieżyjących już profesorów Sylwii! Że też ta dziewczyna nie ma o niczym pojęcia! W tym śmietniku poniewierały się dwa czy trzy kubki z nie dopitą kawą i butelka po wodzie sodowej, ale najgorszy był pełen zwiędłych chryzantem i lilii — co za ohydne połączenie! - wazon na fortepianie! Kiedy podbiegła bliżej, ujrzała w wazonie mętną, cuchnącą wodę. Żółtobrazowy pyłek lilii poplamiał powierzchnię instrumentu. Podnosząc wazon, wstrzymała oddech. Na szczęście woda nie zostawiła na politurze śladów, co na pewno nie było zasługą Marli. Pieszczotliwym ruchem pogładziła lśniąca pokrywą fortepianu. Tęskniła za grą niemal jak za Bobem. Gdyby tylko miała czas, usiadłaby i zagrała — choćby przez kilka minut, ale na taki luksus nie mogła sobie teraz pozwolić.

Próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio obywatła się tak długo bez gry na fortepianie. Może zaraz po urodzeniu bliźniąt, ale nigdy więcej. Ociągając się, opuściła zbezczeszczony pokój,

zabierając ze sobą wazon. Będzie musiała powiedzieć Marli - chyba już jej zresztą mówiła - żeby n i g d y n i c z e g o nie stawiała na hebanowej powierzchni Steinwaya.

Minęła ciemny korytarz. Czowała się jak duch nawiedzający własny dom, niosący zwiędłe chryzantemy i lilie.

Podeszła do półki z książkami, gdzie na wysokości jej wzroku stała fotografia. Przystanąła. Bob z bliźniakami na plaży w Karolinie Południowej. Zdjęcie było oprawione w starą srebną ramkę, którą dostała od matki Boba na krótko przed jej śmiercią. Nikt, kto przyglądał się tej scenie, z wyjątkiem jej i Boba, nie wiedział, że sama zrobiła to zdjęcie i że kilka minut wcześniej Kenny'ego porwała cofająca się fala i że cudem został wyłowiony. Widziała, jak to się stało, dosłownie w okamgnieniu, zdążyła tylko przeraźliwie krzyknąć. Bob rzucił się do wody, pokonał wir i wyciągnął Kenny'ego. A teraz przyglądała się uśmiechniętym buziom dzieci. Biła od nich beztroska, wiedziała jednak, że pomimo opalenizny Bob był wtedy bardzo blady. Jej zaś, kiedy naciskała migawkę, drżały palce, a gdy odebrali odbitki, długo i w milczeniu oglądali tę jedną. Po chwili Bob wypowiedział na głos jej myśli: niewiele brakowało do tego, by już nigdy nie dało się zrobić wspólnego zdjęcia z bliźniakami.

Przycisnęła do piersi zwiędłe kwiaty. Nie chciała stracić Boba. Łączyło ją z nim coś więcej niż miłość, coś więcej niż namiętność i coś więcej niż poczucie dumy. Łączyły ich wspomnienia i doświadczenia z całego niemal dorosłego życia, sprawy, których nie potrafiłaby już dzielić z innym mężczyzną. Pragnęła, by jej życie zawsze znajdowało odbicie w pamięci Boba, tak jak życie Boba powinno znajdować odbicie w jej pamięci. Wiedziała, że gdyby ich małżeństwo rozpadło się, nie wyszłyby ponownie za mąż. Nie dlatego, że nie umiałyby przestać kochać Boba i rozpaczać ani też dlatego, że ewentualne rozczarowanie mogłoby się przekształcić w nienawiść do mężczyzn. Nie. Wiedziała jednak, że gdyby ten związek nie przetrwał, podobnie byłoby z innymi. Nie chciała już więcej przez to przechodzić. Żadnego fałszywego, skazanego z góry na rozczarowanie i na przegraną związku! Raczej zwróciłyby się ku Bogu i Jego zawsze odwzajemnionej miłości. Albo ostatecznie zajęłyby się hodowlą golden retrieverów. Popchnęła biodrem obrotowe drzwi do kuchni i stanęła jak wryta. Całe pomieszczenie - blaty i stół - zastawione było

jedzeniem. Wyglądało to tak, jak gdyby Marla zamierzała otworzyć tu przydrożny stragan. Na stole leżały dynie, na parapecie okiennym pomidory, pełna siatka czosnku - zapas na co najmniej dwa lata - zwisała z półki z rondlami, a trzy worki kartofli stały oparte o drzwi. Były także puszki fasolki po bostońsku, miski pochrzynu, pudełka ciasteczek z berberysem, ogromna ilość kukurydzy, puszki anchois, taca upieczonych ciasteczek... już samo sporządzenie inwentarza zajęłoby Sylwii cały dzień. Co też tej Marli strzeliło do głowy?!

Sylwia była fanatyczką, jeśli chodzi o sprzątanie i utrzymywanie ładu w kuchni. Nie posunęła się wprawdzie do tego, żeby znakować i ustawiać konserwy w alfabetycznym porządku, układała je jednak w takiej kolejności, żeby mieć z przodu te o krótkim terminie przydatności do spożycia, z tyłu zaś nowsze nabytki. Żeby postawić wazon, musiała najpierw odsunąć stos korespondencji. Następnie wzięła głęboki oddech i podrapała się w łokieć. Ten bałagan przyprawił ją o wysypkę. Czy Bob tego nie widzi? Gdzie mężczyźni mają oczy? Pomyślała przez chwilę, że na próżno się męczyła przez dwadzieścia lat. Dzieci przecież i tak nigdy nie zwracały uwagi na porządek, a Bobowi, jak widać, też było wszystko jedno. Czyżby utrzymywała porządek tylko dla siebie? Pomyślała o godzinach - setkach godzin! - spędzonych na rozpakowywaniu toreb zakupów, zawijaniu, sortowaniu i układaniu wszystkiego. Przecież mogła poświęcić ten czas na grę na fortepianie. Mogła spędzać czas z dziećmi. Albo gimnastykować się i robić pasemka na głowie. Być może, gdyby zamiast pracować w domu, poświęcała ten czas na swój wygląd i przebywanie z Bobem, byłaby z nim nadal, kochana i szczęśliwa.

Spojrzała na zegar kuchenny, który przez prawie dwadzieścia lat wyznaczał rytm jej życia. Miała mało czasu, doszła więc do wniosku, że lepiej przymknąć oczy na inne poczynione przez Marłę zmiany. Po prostu odwróciła się, otworzyła drzwi do pralni, zamknęła je za sobą i zapaliła światło.

Omam nie krzyknęła. Na wprost niej wznosiła się największa sterta prania, jaką kiedykolwiek widziała, może z wyjątkiem tygodnia, kiedy dzieci zjeżdżały z obozu jednocześnie z powracającym z podróży służbowej Bobem. Ale tym razem nie były to dziecięce podkoszulki i szorty. To była pościel i ręczniki ze wszystkich łazienek. To były swetry Boba, jego koszulki polo, robocze ubrania

i skarpety. To były ścierki, szmatki, koszule wyjściowe i serwetki. Wyglądało na to, że sterta urosła tak wysoko, iż spadła na podłogę, tworząc prawdziwe grzęzawisko. A co najgorsze, nie rozdzielono delikatnych rzeczy od tych, które nie wymagały prasowania i tych przeznaczonych wyłącznie do ręcznego prania, nie mówiąc już o oddzieleniu kolorów od białych rzeczy. Istny groch z kapustą. Westchnąwszy, uprzątnęła wierzch pralki, by zrobić miejsce na

pierwszą porcję prania. Kiedy otworzyła bęben, zaleciało taką stęchlizną, że omal nie padła. Z zamarłym sercem zajrzała do środka, wiedząc już z góry, czego może się spodziewać. W stęchłej wodzie, Bóg wie od jak dawna, leżało pranie. Spojrzała na pokrętko automatu, które ustawione było na program wstępny. Boże! Jak wyciągnąć te ciężkie, mokre rzeczy, nie zanurzając rąk w ohydnych, śliskich mydlinach? Udała się do kuchni na poszukiwanie drewnianej łyżki o długiej rączce. Nie leżała na swoim stałym miejscu w szufladzie, odnalazła ją jednak w szafce z garnkami, za co była wdzięczna Marli.

Wyciągnęła obrzydliwe galgany i wpakowała je do wiadra. Następnie ustawiła pralkę na wirowanie, wyciągając ze stosu wszystkie białe kawałki. Zaczęła wrzucać pościel i ręczniki do pustej pralki. Złapała parę gatek Boba i swoje majtki. Nie ulegało wątpliwości, że nosiła je Marla. Sylwia zamarła. Trzymane w ręku sztuki bielizny stanowiły najbardziej namacalny dowód, że Marla zaanektowała nie tylko jej dom, lecz także jej łóżko, jej pościel i jej majtki.

Drżały jej ręce. Wrzuciła majtki do pralki, jakby były spluga-wione. Łzy, które zawisły na rzęsach, zapiekły. Kiedy się pochylała, by wziąć kolejną naręcz bielizny, natknęła się na swoją czerwoną jedwabną, skąpą koszulkę nocną. A to co znowu? Trzeba ją czyścić na sucho, nie wolno prac w wodzie! Sylwia nigdy jej nie nosiła, więc może...

Co to, to nie! - stwierdziła. Bob jest zanadto zaabsorbowany fałszywą Marlą, żeby móc m y ś l e ć o żonie. Racja? Racją! Próbowwała odegnać złe myśli, niemniej fakt, że jako Marla nie kochała się jeszcze z Bobem, wcale tego nie ułatwiał. Czy swoim wahaniem i dokuczaniem sprawiła, że rzucił się w ramiona „żony”? Raczej nie. W każdym razie nie przypominała sobie, by w ciągu kilku ostatnich miesięcy, po powrocie ze spotkania, próbował się do niej zbliżyć i żeby był zainteresowany seksem. Wolał prysznic.

Z twarzą mokrą od łez wpakowała pozostałe rzeczy do pralki, wsypała proszek i zamknęła bęben. Opróżniając kieszenie roboczych ubrań Boba i ocierając napływające łzy, segregowała kolejne rzeczy. Była ciekawa, ile kobiet w całym kraju płacze w tej chwili w pralni.

Sprawdziła wszystkie kieszenie. Wyjęła z nich to co zawsze: bilon, pomięte jednodolarowe banknoty, wizytówki, papierki od gumy do żucia. I nagle w ostatniej parze spodni poczuła przedmiot wielkości portfela. Bob na ogół nosił portfel w kieszeni marynarki; włożyła rękę do spodni i wyjęła złożoną kolorową broszurę. Prawdopodobnie prospekt nowego modelu samochodu — pomyślała.

Kiedy jednak rozłożyła broszurę, jej piękne kolory uderzyły ją w oczy.

— O Boże! — zawołała.

Wygnieciony kawałek papieru, który dostarczono pocztą zaledwie kilka tygodni temu, uświadomił jej, że jeszcze niedawno wszystko wydawało się takie proste i że zrobiła z siebie idiotkę. Sądziła wtedy, że Bob ją kocha i że oboje odnajdą swoje miejsce w promieniach hawajskiego słońca. Tymczasem reklama wylądowała na podłodze, pośród sterty brudów. Zacisnęła pogniecioną broszurę w ręce i zaniósła się płaczem przy wtórze warczącej pralki.

Marla szykowała się do Święta Dziękczynienia. Sporządziła listę zakupów. Korzystała z karty Sylwii i była w siódmym niebie — jakby trafiła główną wygraną w Las Vegas. Teraz, mając w torebce paręset dolarów plus napiwek od pana Brightmana, przekraczała próg Food Universe. Był to jeden z tych sklepów, w których wszystko było gigantyczne. Słoiki majonezu miały wielkość stolika do kawy. Marla nie była przyzwyczajona nawet do normalnych supermarketów -kupowała wszystko w Zdrowej Żywności lub w Seven Eleven.

Pchała dwa załadowane wózki, a była dopiero w połowie zakupów. Włożyła do wózka ogromne puszki żurawin, którymi można by wykarmić stołowników dużego domu wczasowego, olbrzymią porcję nadzienia i słodkie ziemniaki.

- Przepraszam. Chciałabym kupić jakieś mniejsze opakowanie prawoślazu.

- Przykro nam, sprzedajemy wyłącznie duże.

Wrzuciła więc plastikowy wór do wózka i pojechała dalej. Szukała indyka. Czuli się jak myśliwy. Zamierzała znaleźć najlepszego, największego ptaka dla swojej rodziny. Skręciła za róg i omal nie wpadła na kobietę stojącą w kolejce. Wyglądało na to, że ludzie stoją tu od dawna. By skrócić czas oczekiwania, prowadzili rozmowy.

- W ubiegłym roku skończyły się jakieś pięćdziesiąt osób przede mną - powiedziała kobieta stojąca przed Marlą.

- Przeżyłam to samo. Nie było ich już w żadnym supermarkecie. Musiałam się udać do zoo, tam gdzie pozwalają dzieciom bawić się ze zwierzętami, i porwać jednego - przyznała się czerwonołosa kobieta.

- Porwała pani indyka? — zapytała inna. - I co dalej?

— Gotowa byłam w s z y s t k i m ukreć szyję! — zaśmiała się ruda. — Taki też los spotkał indyka. Na myśl o tym, że może nie zdobyć indyka dla swojej rodziny, Marla zaczęła się pocić. Próbowwała wcisnąć się w kolejkę, omijając cztery czy pięć osób, czym naraziła się jednej z kobiet.

— Oszustka kolejkowa! — wrzasnęła ta, zwracając w ten sposób na Marłę uwagę wszystkich kobiet w kolejce. Odepchnęły ją na sam koniec.

— Nic nie rozumiecie! — zawołała Marla. — To moje pierwsze Święto Dziękczynienia. Muszę za wszelką cenę mieć indyka! W tym celu gotowa jestem wepchnąć się do kolejki albo ukraść wam ptaka! Kiedy już stół będzie pięknie nakryty, a cała rodzina zasiądzie wokół, będą naprawdę, ale to naprawdę wdzięczni za pracę, jaką się włożyło w przygotowania.

Kobiety zaczęły się podśmiewać, patrząc na Marłę, jakby była niespełna rozumu.

Udało się jej zrobić wszystkie zakupy; opuściła sklep w opłakanym stanie, obeszło się jednak bez większych obrażeń. Nawet nie przypuszczała, że zakupy mogą być tak agresywną dziedziną sportu. Stosy paczek wypełniały nie tylko ogromne dwa wózki, ale także ich dolne półki. Parking przy supermarkecie był jak koszmar senny, pełen rozwścieczonych kobiet i trąbiących klaksonów. Kiedy dobrnęła do samochodu, przekonała się, jaki jest mały. Zapakowała po brzegi bagażnik, resztę zaś zakupów poupychała na wąskim tylnym siedzeniu. Cofnęła się kilka kroków, spojrzała na swoje dzieło i poczuła dumę. Kiedy wróciła, by odstawić wózek na miejsce, przypomniała sobie o wielkim indyku na jego dolnej półce. Niewiele brakowało, a zapomniałaby o najważniejszym! I to po takim wysiłku!

Z trudem uniosła ptaka, a gdy go dotaszczyła do samochodu, okazało się, że nie ma go gdzie położyć. Nie mieścił się ani w bagażniku, ani na tylnym siedzeniu. Z ogromnym wysiłkiem wepchnęła go na siedzenie dla pasażera.

Ponieważ podniosła już oparcie, by zrobić z tyłu miejsce na torby, indyk nie chciał się tam wpasować. Sprytnie przechyliła na bok zamrożony sztywny kadłub, postawiła nogę na krawędzi siedzenia i na siłę wbiła tam ptaka. Bała się tylko, czy nie wypadnie przy ostrym hamowaniu. Boże! Indyk za szybko! Przypięła go więc pasem bezpieczeństwa. Nic więcej nie mogła zrobić.

- Grzeczny chłopczyk! - zagruchała i poklepała zamrożony kadłub.

Miała duży fart. Kiedy wróciła do domu i zaczęła się rozpakowywać, nadeszła sąsiadka. Marla przestraszyła się, że to może bratowa Sylwii, a po przeżyciach w sklepie nie miałyby chyba siły odgrywać jej roli przed krewną, choćby nawet była. Przypomniała sobie jednak, że imię eks-żony Phila jest dłuższe - Rozamunda czy Rasputin, czy coś w tym rodzaju - a poza tym Rose sprawiała miłe wrażenie, zaproponowała nawet pomoc przy wniesieniu zakupów do domu. Obecnie, poza ogromnym, nie dającym się ruszyć z miejsca zamrożonym indykiem, przymocowanym nadal pasem do przedniego siedzenia, wszystko było już w kuchni. Wszędzie stały zastępy ogromnych butelek, toreb i puszek. Marla musiała wraz z Rose przyturlać olbrzymi słój z oliwkami. Cała wielka kuchnia była zavalona zakupami.

- Dziękuję, naprawdę dziękuję za pomoc. Nie dałabym sobie sama rady.

- Od tego są sąsiedzi, żeby pomagać. - Rose zamilkła i uważnie, w świetle kuchennej lampy, obejrzała Marłę. -

Wspaniale wyglądasz. Ten wyjazd do kurortu naprawdę się opłacił. Gdzie właściwie byłaś?

Ponieważ Marla wiedziała, że żaden kurort nie pomoże Rose, udała, że nie słyszy i dźwignęła gigantyczną torbę z prawoślazem, zarzucając ją sobie na ramię. Worek obsunął się i dzielił ją w twarz. Rose pomogła jej postawić zakup na podłodze.

- Stokrotne dzięki - powiedziała Marla. - Rany, czy nie mogliby na tym przylepić jakiegoś ostrzeżenia?! Przecież to może zabić! Głupio byłoby umrzeć od czegoś takiego. - Sięgnęła po butlę z oliwą. Gdzie ją postawiła? - To trudniejsze, niż sądziłam. - Na szczęście natychmiast się połapała, że musi udawać, jak bardzo jest z tym wszystkim otrzaskana. - Chciałam powiedzieć, że robiłam to milion razy, ale z każdym rokiem staje się to coraz trudniejsze.

Wyraźnie zmęczona Rose usiadła na stołku.

- Bo z każdym rokiem stajesz się starsza, chociaż wcale tego po tobie nie widać. I żeby choć ktoś docenił ten trud...

- Nie jest tak źle. Cała rodzina jest wdzięczna za pracę, jaką odwalasz... Może nie?

- O, jeszcze jak! Oklaskom nie ma końca — powiedziała z sarkazmem Rose.

- A więc warto się poświęcać — orzekła radośnie Marla, nie chwytając ironii.

Rose wytrzeszczyła w zdumieniu oczy.

- Rany, aleś ty się zmieniła! Czy to zasługa kurortu czy może wyrznęłaś się w głowę, kiedy wjechałaś do basenu?

- Nie kąpałam się ani razu podczas pobytu w uzdrowisku - wyjaśniła Marla, składając papierowe torby.

- A jednak coś cię odmieniło. Jesteś inna - upierała się Rose.

- Sądzę, że to tylko świąteczny nastrój - uśmiechnęła się Marla. Uważała, że musi być miłsza od żony Bobbiego. -

Czy mogłabyś mi pomóc przy tym ptaku?

- Jasne - odpowiedziała Rose, wychodząc za nią na dwór. Kiedy Marla otworzyła drzwi samochodu, Rose zaniemówiła.

- To indyk czy struś? — zapytała w końcu, chichocząc. - O rety, czy aby ci go wystarczy? Ile plutonów wojska zamierzasz podjąć obiadem świątecznym? Bo ja będę jadła sama.

- Tylko rodzinę. - Boże! Samotna kobieta na takim zadupiu! A co z rodziną tego biedactwa? Może jakaś młodsza ukradła jej męża? Marłę ogarnęło poczucie winy. Osobiście przyczyniła się do co najmniej jednego małżeńskiego problemu. - Słuchaj, może byś też przyszła? — zaproponowała.

- Chyba żartujesz? - zapytała Rose: - Chociaż chyba nie. Czy wszyscy będą? Nie omieszkać się zjawić, ale na razie byłoby dobrze, gdybyśmy wreszcie wciągnęły tego strusia czy też żurawia do domu. Przydałby się jeszcze jeden.

- To nie jest ani żuraw, ani struś! - zniecierpliwiła się Marla. - To indyk. Zdobyłam najlepszego, największego, jakiego mieli w sklepie. - Rozejrzała się wkoło. Dostrzegła w garażu stary czerwony wózek i przyciągnęła go. Razem z Rose podstawily go pod otwarte drzwi samochodu.

- Pamiętasz, jak Billy popchnął w nim Kenny'ego z górki? - zapytała Rose.

- Nie bardzo - odpowiedziała zaaferowana Marla, szarpiąc się z indykiem.

- Wtedy tak się tym przejęłaś, jakby to był koniec świata! Myślisz, że ta blizna nad okiem nigdy mu nie zniknie?

- Co z oczu, to z serca — odparła automatycznie Marla.

- Nie martwisz się, że dzieci są poza domem? - zapytała ze smutkiem w głosie Rose.

Tymczasem indyk spoczywał już na wózku. Z trudem przeciągnęły go chodnikiem.

- Jeszcze jak! Poza tym Bob bywa tak rzadko w domu, że zaczynam się czuć jak panna.

- Ale przynajmniej nie wiesz, co to rozwód. To dopiero piekło! - powiedziała Rose.

Starszy mężczyzna o imieniu Lou siedział zgarbiony przy fortepianie. Grał jakąś sentymentalną piosenkę sprzed lat. Marla uznała, że nie idzie mu to dobrze. Zastanawiała się, dlaczego on się garbi. Nie jest aż tak stary, to tylko sylwetka dodaje mu lat. Stała z tyłu i położyła mu dłonie na ramionach. Delikatnymi ruchami próbowała nakłonić kręgosłup ucznia do wyprostowania. Lou zwolnił tempo, a następnie przestał grać.

- Zeby dobrze grać, musisz dobrze siedzieć - powiedziała Marla, przybierając belferski ton. - Myślisz, że Beethoven tak się garbił?

- Sądzę, że tak - odparł Lou. - Przynajmniej na wszystkich znanych mi ilustracjach wygląda na przygarbionego.

- Boże święty! Jakie napięte mięśnie! - Lekko naciskała kciukiem punkty na ramionach Lou.

- Napięte? Taak. Boję się, że nie przeżyją kolejnego dnia.

- Lou! Co ty wygadujesz?! - krzyknęła Marla. Była szczerze wstrząśnięta. Naciskała mocniej ramię ucznia. Bardzo chciała mu pomóc. - Lou! - zawołała w przyływie energii. - Zdejmij buty!

- Cooo? - zapytał. - Czy noga na pedale jest za ciężka?

- Nie, nie - zapewniła go. - Ale uważam, że twoja postawa wymaga korekty. A to zależy od nóg.

- Pani Schiffer, nikt nie ma ochoty oglądać moich nóg, proszę mi wierzyć.

- Nie bądź głupi - powiedziała Marla, przyklękając i rozwiązując sznurowadło. Nagle na twarzy Lou pojawił się szeroki, promienny jak tęcza uśmiech. - O co chodzi? - zapytała.

Lou odwrócił wzrok w zakłopotaniu. Może ma dziurę w skarpetce? Nie. Marla opuściła głowę i zsunęła skarpetkę. Spojrzała ponownie na jego rozradowaną, choć zmieszaną twarz. Znowu opuściła oczy, zatrzymując wzrok na jego podbrzuszu, gdzie widoczna była wyraźna wypukłość. Uśmiechnęła się słodko.

- A widzisz?! - powiedziała. - Refleksologia jest dobra na wszystko.

Sylwia leżała z zamkniętymi oczami, ni to śpiąc, ni to czuwając, w szarej strefie błęgiego zaspokożenia. Przy prawym boku czuła gorące ciało Boba. Obejmujące ją ramię dawało jej uczucie takiego pojednania, że miała ochotę zanurzyć się z powrotem w zmysłowej mgiełce, a jednocześnie pragnęła się obudzić i świadomie przeżywać tę chwilę. Westchnęła. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak dobrze się czuła.

Jeszcze przez chwilę oddawała się rozkoszным wspomnieniom, po czym z wielkim wysiłkiem otworzyła oczy. Tuż obok widziała profil Boba i choć wypaliła się już większość świec, widziała jego rysy. Pomyślała, że jest pięknym mężczyzną, nawet po tylu latach. Wciśnięta lekko w poduszkę głowa miała szlachetny kształt, a linia podbródka wyglądała równie czysto jak przed dwudziestu laty. Ciemne rzęsy ocieniały kości policzkowe, a lekkie zaróżowienie i połyskująca warstewka potu na twarzy sprawiały, że jego skóra, przynajmniej w tej chwili, miała młodzieńczy wygląd.

Pragnęła go całować — w policzki, w powieki i w pełne, lekko rozchylone usta - ale bała się ruszyć, bała się go obudzić i przerwać czar, ponieważ właśnie teraz była absolutnie szczęśliwa; nic innego się nie liczyło. Kochała tego mężczyznę i wiedziała, że jego miłość do niej jest może jeszcze głębsza. Udało się! Ma romans z własnym mężem, a zarazem czuje wyrafinowany powab zakazanego owocu. Dla niej dodatkowym atutem była głębia łączących ich wspomnień, a także intymna znajomość jego osoby.

Jakby czując na sobie jej wzrok, poruszył niespokojnie powiekami. Jak kot, otworzył powoli oczy, przekręcił głowę i spojrzał.

Przez chwilę nic nie mówili, wystarczyło spojrzenie. Następnie przygarnął ją do siebie, a ona poczuła się bezpieczna w jego ramionach.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś. Cieszę się, że przyszedłem - szeptał Bob. Znowu wpatrywali się w siebie. Czują, że szuka słów. Przez chwilę chciała położyć mu rękę na ustach. Słowa mogły tylko zakłócić doskonałość tej chwili, ale nim wykonała ruch, powiedział. - To było... och...! - Zmrużył oczy. Czyżby miał łzy na rzęsach? Sylwia wiedziała, że przerwy są równie ważne, co wypowiedane przez Boba słowa. - ...Mocne — dokończył.

Ogarnęła ją radość. Nie myliła się!

- Dla mnie także — odpowiedziała szeptem, ale nie poruszyła się. Pragnęła, żeby jej dotykał. Chciała też, żeby pierwszy wykonał ruch.

Wyczuł to. Wyciągnął rękę i dotknął jej włosów, delikatnie, nieomal z nabożeństwem. Po chwili zmienił się na twarzy; sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Naprawdę - powiedział. - Zmieniłaś się.

Przeraziła się. Może właśnie w tej chwili zdał sobie sprawę z numeru, jaki mu wycięła. Ale kto wie, czy to nie lepiej. Może właśnie tego chciała?

Patrzył na nią, n a p r a w d ę na nią patrzył. Wytrzymała jego spojrzenie. Widziała zmieszanie w jego oczach, ale przyjęła je ze spokojem. Bob znowu zaczął coś mówić:

- Dzisiejsze nasze kochanie się było... było głębsze niż dawniej... - Zamilkł i pocałował ją. To był filmowy pocałunek, pocałunek Warrena Beatty i Nathalie Wood z *Splendor in the Grass*. -Uważam, że wizyta u babci dobrze ci zrobiła. Nie wyobrażam sobie, żebym ci kiedykolwiek pozwolił odejść.

- W takim razie chyba będę musiała zostać z tobą — powiedziała. Zadrżała, a Bob sięgnął po prześcieradło i przykrył ją. Przez chwilę - jako dobrej gospodyni - zamarzył się jej czysty biały adamaszek z własnego łóżka, zamiast gryzącej, koszmarnej wzorzystej sztucznej tkaniny. Jej skóra — a właściwie ona cała -była w tej chwili tak delikatna... Ale przecież przedmioty nie miały teraz żadnego znaczenia. Równie dobrze mogliby leżeć na zwierzęcych skórkach w jaskini albo na sianie w stodole. Poczuła, jak Bob nabiera powietrza w płuca, a następnie ciężko wzdycha. Zesztywniała. Wyczuła, że właśnie pomyślał o powrocie do domu. I wtedy, po raz pierwszy, od kiedy zaczęli się kochać, przypo-

niała sobie, że nie jest Sylwią. Bob nie kochał się z nią. Jest teraz z Marlą. Kochał Marłę, podczas gdy biedna Sylwia wciąż była zdradzana. Po tym, co zaszło między nimi, wiedziała, że pragnie Boba, pragnie go rozpaczliwie. Ale kogo pragnie on? Kobiety, z którą właśnie się kochał czy swojej metresy w domu, w łóżku jego żony?

Jak gdyby w odpowiedzi na nie zadane pytanie, Bob uniósł się na zdrowym łokciu. Spojrzał na nią.

— Marla, pragnę zostać z tobą. Na zawsze. Szczerze mówiąc, przed twoim wyjazdem chciałem z tobą zerwać.

— Chciałeś? Naprawdę?! — zawołała radośnie Sylwia. Dopiero po chwili dotarło do niej, że użył czasu przeszłego, a także, że ona — jako Marla — powinna się smucić.

— Tak — odparł Bob. — I to nie z powodu zmian, jakie zaszły w mojej żonie. Wydało mi się po prostu...

— Co miałeś na myśli, mówiąc: „zmian, jakie zaszły w mojej żonie”? — dopytywała się.

Bob przewrócił się na drugi łokieć i syknął z bólu.

— Nie chodzi o nią — wyjaśnił. — Chodzi o to, że coraz bardziej przywiązuję się do twojej... niepowtarzalności.

— Naprawdę, naprawdę? — cieszyła się, parodiując nieomal Marłę. Nie panowała nad sobą. — Zapewnij mnie, że nie jestem do nikogo podobna!

— Nie żartuj! Chyba nie muszę cię o tym zapewniać — roześmiał się. Po chwili spoważniał. Kiedy się znów odezwał, miał ochrypły głos: — Nie jesteś podobna do nikogo — szeptał jej do ucha. — A dzisiaj twoja niepowtarzalność wykonała gigantyczny skok naprzód.

— Jeden krok dla mężczyzny, gigantyczny skok dla kobiet² — powiedziała Sylwia, siadając nagle. Ten człowiek nie ma pojęcia, że jestem jego żoną — pomyślała. Dobry Boże! Jest ślepy, głupi i... taki cudowny. Przypominając sobie, że jest Marlą, doszła do wniosku, że przyszła pora, by go trochę podręczyć. — Seks z tobą zawsze mi sprawia przyjemność — zamruczała jak kot. — Jesteś naprawdę, ale to naprawdę dobrym kochankiem. Jednym z moich najlepszych.

²Parafraza słynnego zdania: „Jeden krok dla człowieka, gigantyczny skok dla ludzkości”, wypowiedzianego przez Neila Armstronga po postawieniu pierwszego kroku na Księżycu (przyj. tłum.).

Bob zamarł, zrobił głupią minę. Odwrócił się na plecy. Opadł ciężko na poduszkę, wbił wzrok w sufit i milczał. Może posunęłam się za daleko - zmartwiła się Sylwia. Jeszcze przez chwilę leżała nieruchomo, po czym przeturlała się na niego i przygwoździła mu nadgarstki do materaca.

- Co się zmieniło? - zapytała. - Było mniej akrobacji niż zwykle?

- Hmm? - Powracał z daleka. - Mniej akrobacji? - powtórzył machinalnie.

- Przepraszam. Byłam zmęczona - powiedziała Sylwia, udając poczucie winy.

Bob potrząsnął głową.

- Żadnych przeprosin. Było doskonale, bo jesteś doskonałą. - Wróciła dobra atmosfera. - Kocham to. Kocham ci e b i e - powiedział i pocałował ją.

- K o c h a s z m n i e ? - powtórzyła Sylwia.

Słyszała niemal, jak waży znaczenie wypowiedzianych słów. Czy zdoła je powtórzyć?

- Oczywiście - odpowiedział, lecz zabrzmiało to zdawkowo.

- Jaki to rodzaj miłości? - dopytywała się. - Taki, jaki mężczyzna żywi do kobiety?

- Tak. Właśnie taki - odparł lekko. Popatrzył na Sylwię. Przygarnął ją znowu. - Drżysz...

Jak on może mnie zdradzać?! — zastanawiała się Sylwia. Jak może mówić Marli, że ją kocha?

- Zimno mi - powiedziała.

Troskliwie otulił ją kocem. Przez chwilę leżeli w milczeniu. Wreszcie temu matołkowi zaczęło chyba świtać, że jej chłód ma nie tylko fizyczne podłoże. I właśnie wtedy zapikoi jego zegarek, przerywając ciszę.

- Obawiam się, że na mnie czas. Lepiej, żebym już poszedł - powiedział.

Niewiarygodne! Nastawił budzik? Wyznaczył granice ich intymności?! Och, jakież on zimny! Kiedy to zrobił?

- Och, nie... Jeszcze nie - błagała. - Proszę... Ujął ją za ramiona.

- Przestań - powiedział. - Obiecałaś, że nigdy nie będziemy się spierać o mój powrót do domu. - Pocałował ją w policzek. - Mnie również nie jest łatwo - dodał jakże szczerym tonem.

Czy ją okłamuje? Czy ma mu powiedzieć, że nie musi wracać do domu - w każdym razie nie po to, żeby uszczęśliwić żonę?

- Proszę, Bobbie, zostań — szeptała. — Jeszcze tylko troszeczkę. Błagam cię.

- Już i tak jest mi ciężko, Marlo...

- Nie możesz tak po prostu odejść. Zwłaszcza po tym, co było. Poza tym nie dopaliły się jeszcze świece.

Powiedziałeś przecież, że nasza miłość była głębsza... - Zrobiła przerwę. - Głębsza niż z twoją żoną?

- Koniec pytań! - oświadczył, przekładając nogi na brzeg łóżka. Mogłaby przysiąc, że stara się ukryć zakłopotanie. - Na żadne z nich nie mam odpowiedzi.

Wbił się w spodnie i zawiązywał sznurowadła. Urażona i bardziej niż kiedykolwiek zażenowana, odwróciła się do niego plecami i nakryła głowę kocem. Był to dziecinny gest, ale też czuła się jak dziecko.

- Kogo o n a tak naprawdę obchodzi? - spytała.

- Mnie.

Zsunęła koc i spojrzała z nadzieją na Boba.

- Ciebie?

- Jest matką moich dzieci - oznajmił kategorycznym tonem.

- I to wszystko? - spytała zdumiona. Nie wierzyła własnym uszom. Czy jako żona była tylko czymś w rodzaju klaczy? Czy nie widział w niej k o b i e t y ? — Może jest kimś więcej? Może byłaby kimś więcej, gdybyś z nią robił to, co robisz ze mną? Na przykład dzisiaj. - Dopiero po chwili zorientowała się, co mówi, i natychmiast urwała.

- Coś ty powiedziała? — Spojrzał na nią. Miał twarz bardziej wykrzywioną ze zdumienia niż ona.

Sylwia podciągnęła wyżej koc.

- Nic - odpowiedziała i wydusiła z siebie chichot Marli. -Bobbie, przecież oboje wiemy, że mówię, co mi ślina na język przyniesie. - Uklękła i objęła go w pasie. - Wiem, że załazłam ci za skórę. Miałam kiedyś świerzb, i wiem, co musisz czuć. Wiem też, że zawsze będziesz do mnie wracał galopem.

Marla i John siedzieli przy stole, jedli i pili wino.

- Cieszę się, żeś zajrzał, Johnny. W przeciwnym razie cała kolacja poszłaby na marne. Jak zwykle - westchnęła Marla wydeła

wargi tak ślicznie, jak umiała, choć tylko częściowo dla efektu. -I tak wmuszę to w Boba, gdy wróci. O ile to kiedykolwiek nastąpi. - Czy przed tą całą zamianą ról Bob r z e c z y w i ś c i e spędzał w jej mieszkaniu tyle czasu? Stół był już nakryty do świątecznego obiadu. Prawdę mówiąc, był przeładowany. Naczynia, srebra stołowe, tradycyjne kapelusze pielgrzymów, dynie, olbrzymi róg obfitości, papierowe origami w kształcie indyków zajmowały całą powierzchnię. Wokół stały dwa tuziny krzeseł. Całość przykrywała przezroczysta folia. Trochę przypominało to styl przyjęcia u Kapelusznika z *Alicji w krainie czarów*, ponieważ tylko róg wielkiego stołu był pozostawiony dla nich obojga.

- Bob nigdy nie bywa w domu na kolacji, w ogóle rzadko wraca. Nie sądzę, żeby powodem były wyłącznie krewetki.

- Spojrzała na Johna. - To był przypadek... - John pokiwał głową. -W każdym razie - dodała - przygotowałam to, ponieważ powiedział, że będzie w domu, ale nie dotrzymał słowa. A w Indiach dzieci głodują... Więc zadzwoniłam do ciebie.

- I sprawiłaś mi ogromną radość - powiedział John. - Mam nadzieję, że zaprosiłaś mnie nie tylko w trosce o to, by nie marnować jedzenia. — Podniósł kieliszek.

- No wiesz! - odparła i upiła łyczek. - Muszę ci się zwierzyć, John. Zrobiłam coś okropnego - zaczęła. - Obawiam się, że to może źle wpłynąć na moją karmę.

- Co...?

- Coś tak strasznego, że mogę powiedzieć to tylko szeptem -wyznała i pochyliła się nieco. John odwrócił wzrok od jej głębokiego dekoltu i także pochylił się ku niej, prawie dotykając wargami jej ucha. - Dodałam sidoluxu do szamponu Boba - wyszeptała.

John ryczał ze śmiechu prawie przez pięć minut.

- Boże! - wykrztusił wreszcie. - Skarżył się, że wypadają mu włosy! Powiedziałem mu, że to raczej sprawa jego wyobraźni. -Znowu zaczął się śmiać. Ilekroć przestawał, spoglądał na nią i zaczynał od nowa. - No cóż, zdradzę ci coś, co j a zrobiłem, a co nie wpłynęło dobrze na moją karmę, jak ty mówisz - powiedział, kiedy już opanował rozbawienie. - Pamiętasz ten wieczór, kiedy byliśmy w drugiej klasie gimnazjum i kiedy zaciągnęłaś mnie do Cleveland na szwedzki film i kazałaś mi go oglądać dwukrotnie?

Marla musiała się zdać na intuicję.

— Zaczekaj. Pozwól, że się zastanowię... Och tak, jasne, że pamiętam. I co się stało?

— Powiedziałem ci, że uwielbiam ten film tak samo jak ty. -Zamilkł na chwilę. Popatrzył na jej obojętną twarz. - Nawet nie pamiętasz, a mnie to do tej pory nie daje spokoju. Bo skłamałem -wyznał ze wstydem.

— Że też nic o tym nie wiedziałam przez tyle lat! — Pochyliła się jeszcze bardziej i wzięła go za rękę. - Wiesz co? Mnie ten film także się nie podobał.

Uśmiechnęli się do siebie tak gorąco, że szybko musieli odwrócić wzrok.

Bob wracał od Marli. W świetle lampy nad drzwiami do domu zerknął na zegarek. Dochodziła pierwsza. Nie powinien był tak długo u niej zostawać! Zaczął się wspinać po schodach. Sylwia na pewno już śpi. Kiedy jednak postawił nogę na trzecim, zawsze trzeszczącym stopniu, zatrzymał go głos Sylwii.

- Hola, mój panie! Dokąd to? Przygotowałam kolację. Zawrócił, przeszedł przez hall i zajrzał do jadalni, gdzie przy blasku dwóch okapujących świec siedziała żona.

- Kochanie, nie musiałaś czekać. Nie jestem głodny. Marla zmrużyła oczy.

- Przygotowanie tego zajęło mi całe popołudnie. Czekałam przez cały długi wieczór. Masz do wyboru: albo zjesz kolację, albo rozsmaruję ją na tobie.

- Okay. Okay. Już jem. - Bob wsunął się na swoje krzesło. Na nakrytym stole stała smętna, zwiędła sałata. Popatrzył na Sylwię. Może to jednak nie hormony. Może to zaburzenia... umysłowe. Podniósł widelec. - Sałata wygląda apetycznie - powiedział.

- Przyniosę entree - powiedziała Marla, opuszczając tanecznym krokiem jadalnię.

Przez chwilę, przez krótką przerażającą chwilę zastanawiał się, czy żona go nie rozszyfrowała. Chyba nie, ale lepiej z nią nie zadzierać.

Również tanecznym krokiem wniosła dwa talerze. Jeden postawiła z hukiem przed nim, po czym rzuciła się na krzesło, złapała widelec i zaczęła wsuwać swoją porcję.

Bob wbił w danie widelec, podniósł na nim coś, co wyglądało na jakiś dziwny ryż i włożył to do ust.

- Hmm. Pycha - mruknął, choć miało to mocno podejrzanym smakiem. Przeżuł jednak, połknął i wziął następny kęs. - Czyżbyś była zła? — zapytał. Jego żona nie odpowiedziała, spiorunowała go tylko wzrokiem. — Przepraszam cię, Pysiu — powiedział zdenerwowany Bob.

Marla groźnie zmrużyła oczy.

- Pysiu? Kto to jest Pysiu? Bob kompletnie stracił głowę.

- Nikt - odrzekł. - To znaczy ty. - Czuł, że się dusi, chwycił szklanekę z wodą. Przełknął łyk, ale było to białe wino.

Usiłował je połknąć. Pot zrosił mu czoło. — Nikt... - próbował coś wyjaśnić.

- Chyba lepiej, żeby naprawdę nikogo takiego nie było! Gdyby się okazało, że spędzam życie na zajmowaniu się tobą i tymi... no wiesz... bliźniakami, podczas gdy ty mnie wystawiasz do wiatru...

Wirowało mu w głowie, widział żonę jak przez mgłę. Działo się coś bardzo, ale to bardzo niedobrego. Uchwycił się poręczy krzesła. Spocily mu się nawet dłonie.

- Nie mogę oddychać — wyszeptał.

- Widzisz, co się dzieje, kiedy źle postępujesz? To Pan Bóg cię karze — stwierdziła jego żona i wymaszerowała z pokoju.

Bob spojrzął na swój talerz i przeszył go dreszcz zgrozy. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Było mu ciasno w piersiach. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął telefon. Całą siłę woli skoncentrował na wybraniu numeru.

Potrzebował pomocy, lekarskiej pomocy. Modlił się w duchu, żeby u Johna nie odezwała się automatyczna sekretarka. Trwało wieki, zanim usłyszał głos przyjaciela.

- Tu Bob - wydusił z siebie. - Krewetki... - dodał i stracił przytomność.

- Przeżyjesz. Tylko dobrzy umierają młodo — orzekł John, odkładając jednorazową strzykawkę i podciągając pacjentowi gatki.

Bob nie pamiętał chwili przybycia Johna ani pierwszego zastrzyku z adrenaliny. Pamiętał płaczącą Sylwię, układającą go z Johnem twarzą do sofy. Teraz, po otrzymaniu środka na uspokojenie, Sylwia spała na górze. Bob zmienił pozycję i próbował usiąść.

- Ona chce mnie zabić — powiedział.
- Nie bądź śmieszny! - odparł John.
- To nie jest śmieszne. Albo chce mnie zabić, albo ma Alzheimer. Nie pamięta, że wpakowała samochód do basenu. Nie przypomina sobie dźwigu. Zrobiła mi jajka na bekonie.
- John pokiwał smutno głową.
- Jajka na bekonie istotnie mogą zabić - rzekł.
- Mówię poważnie — zaznaczył Bob.
- Myślisz tylko o sobie - powiedział John. - Ona dostała ataku hysterii z powodu tej pomyłki, ale przecież pomyłki się zdarzają. Możesz mi wierzyć, pracuję w szpitalu. Podałem jej reladorm, żeby zasnęła. Czuje się okropnie.
- O n a? To ja omal nie umarłem!
- Ludzie czasami zapominają o różnych sprawach, Bob. Są nieobecni myślami albo nieszczęśliwi - może mają ku temu powód -więc stają się nieuważni. Albo są wściekli i po prostu nieświadomi tego, co robią. - John zamknął swoją torbę i opuścił rękawy.
- Zaczekaj! Przed wyjściem mógłbyś jeszcze rzucić okiem na wysypkę. Doprowadza mnie do szału.
- Czy muszę...? - Kiedy Bob podciągnął koszulę, John pochylił się nad nim. — To twoja zwykła wysypka nerwowa. Miałeś ją również w dniu wyjazdu dzieci. Posmaruj się maścią.
- Sięgnął po ciepłą kurtkę i zaczął się zbierać do wyjścia.
- Zaczekaj! - zawołał znowu Bob. - To jeszcze nie wszystko. Kiedy myłem rano głowę, znalazłem włosy na dnie wanny. Więcej niż zwykle.
- John zatrzymał się w drzwiach.
- Gubimy włosy, hmm? Na razie tego nie widać. No cóż, może to tylko kwestia wyobraźni. Z mojego — medycznego — punktu widzenia wszystkiemu winien jest ten burdel, jaki uczyniłeś ze swojego życia. Tymczasem Bob myślał tylko, jak by tu najszybciej znaleźć się u oboku Marli.

Sylwia doszła do wniosku, że oprócz badań psychiatrycznych i kuracji farmakologicznej potrzebna jej jest bliska przyjaciółka. Gloria przeniosła się do Kansas City, a nie знаła nikogo o podobnej wrażliwości. Jeśli zaś nie chce eksplodować, musi porozmawiać z kimś o swojej miłości z Bobem. John nie wchodzi w rachubę, jest z nim za blisko. Woli zresztą przy nim narzekać na Boba, a nie wychwalać go pod niebiosa. Jediną więc osobą pozostała matka.

Wsiadła do samochodu i udała się wprost do wyludnionego o tej godzinie centrum handlowego. Miała klucz do służbowego wejścia w Potz Bayou. Zaparkowała na tyłach sklepu. Ktoś, kto go zobaczy, pomyśli, że to jej samochód, a nie Marli. Może taki właśnie był powód, dla którego Bob ofiarował im obu identyczne auta? Może liczył na to, że nikt się nie zorientuje w jego wybiegach? Potrząsnęła głową. Czasami zastanawiała się, czy Bob jest geniuszem, czy też zwykłym kretyńcem.

Wślizgnęła się na zaplecze, gdzie obok gipsowych form, emaliowanych naczyń i pędzli, widać było zgromadzone w magazynie stłuczki. Wokół automatu do kawy stał cały stos pozostawionych przez klientki do wypalenia kubków, po które nigdy więcej nie sięgnęły. Sylwia wzięła do ręki kubek w kolorze akwamaryny, z wymalowanymi aniołkami i z podpisem „Nan”. Kimkolwiek była Nan, nie miała zielonego pojęcia o malowaniu aniołków. Sylwia naląła sobie kawy i sięgnęła po słuchawkę. Poczowała się pokrzepiona, kiedy usłyszała głos Mildred.

— Mamciu, mogłabyś tu wrócić i spotkać się ze mną? — zapytała.

Zapanowała krótka cisza.

— Sylwia? — Głos matki zdradzał niepewność.

— Oczywiście, że Sylwia! — niemal warknęła. — Czyżbyś mnie myliła z Philem?

— No cóż, tak się składa, że ty i Panna Jak Jej Tam mówicie w bardzo podobny sposób.

— Czy mogłabyś tu wrócić? - powtórzyła pytanie Sylwia.

— Wrócić do kąd?

— Jestem w magazynie.

— W jakim magazynie? - dopytywała się zirytowana Mildred.

— W twoim magazynie — odparła jeszcze bardziej zirytowana Sylwia.

— Och, na miłość boską! — wykrzyknęła Mildred.

Już po paru chwilach stanęła w drzwiach. W przelocie cmoknęła Sylwię w policzek i wzięła kubek. Zaczęła go napełniać. Sylwia spojrzała pośpiesznie na swój.

— Kto to jest Nan? — zapytała. Mildred zerknęła na kubek córki.

— Taka jedna wariatka - powiedziała. - Uciekła ze swoim przedsiębiorcą budowlanym i nigdy więcej się nie pojawiała. - Spojrzała znacząco i uniosła brwi. — Ona również nie miała dosyć oleju w głowie, żeby utrzymać swoje małżeństwo.

— Och, mamciu, przestań mnie męczyć - błagała Sylwia. -Przyznaję, że coś jest ze mną nie w porządku.

Próbowałam tylko odzyskać to, co kiedyś miałam. — Spojrzała uważnie na matkę. — Pomyśl, miałam starego Boba, a teraz mam nowego, który jest taki, jakby Bob był młody. Rozumiesz, co mam na myśli.

Mildred spojrzała na nią zezem.

— Dalej jesteś Marlą?

— On kochał się ze mną i to było... — Sylwia nie była w stanie dokończyć. Wlepiła wzrok w kubek z kawą, czując na plecach przyjemny dreszczyk. — Och, nie pamiętasz, jak to jest.

Mildred poklepała ją po ramieniu.

— Pamiętam — powiedziała łagodniejszym tonem. — Twój ojciec był namiętym mężczyzną. — Przez chwilę stały w milczeniu. — Kochasz go, Sylwio? — zapytała.

— Całym sercem — powiedziała Sylwia. — Jest taki piękny... Mildred przewróciła oczami.

— Twoja świętej pamięci babka była podobnie zakochana. Jakie szczęście, że to dotyka tylko co drugie pokolenie.

— Mamciu, ten plan nie zdaje egzaminu - przyznała się Sylwia. - To znaczy, dostałam to, czego chciałam, ale teraz tak bardzo się boję, że stracę Boba. Jestem wprost przerażona.

— Co w tym nowego? Urodziłaś się z tym strachem, jak wszystkie kobiety. A Bob rzeczywiście cię zdradza. Sylwia wpadła w panikę. Oblał ją zimny pot.

— Śpi z Marlą? Ona ci powiedziała?! - zapytała.

— Nie! Śpi z t o b ą. T y jesteś Marlą.

— Nie. Marlą jestem ja — rozległ się głos od drzwi. Mildred podniosła wzrok.

— Czy to jest scena ze *Spartakusa!* — zapytała.

— Co to jest Spartakus? - chciała wiedzieć Marla. Obie kobiety zlekceważyły jej pytanie.

— Nie powinno cię być tutaj. Nie możemy bywać jednocześnie w tym samym miejscu — najeżyła się Sylwia.

— No cóż, to cię powinno tu nie być — wytknęła Marla. — Mam prawo odwiedzać własną matkę, ilekroć zechcę. Nie mam z kim porozmawiać. Dzieci wyjechały, a Boba nigdy nie ma w domu.

— Też mi coś! — prychnęła Sylwia. — Mówisz, jakbyś żyła tak od sześciu miesięcy, a nie od sześciu dni!

— Nie pojmuję tego — wyznała Marla. — Niemożliwe, żebyś była dobrą partnerką w seksie. Żyjesz na cudze konto.

— J e s t e m dobrą partnerką w seksie — warknęła Sylwia i zadrżała na wspomnienie tak jeszcze żywych i przejmujących doznań. — Nigdy dotąd, z wyjątkiem okresu przedmałżeńskiego, nie miałam tak udanego seksu.

— Przedmałżeńskiego? - zawołała Mildred. - P r z e d m a ł ż e ń s k i e g o ! Kiedy pomyślę o swej dziewiczej nocy poślubnej z twoim ojcem...

— Daj spokój, mamciu. To były lata siedemdziesiąte - powiedziała Sylwia z pobłażaniem.

Marla oparła dłonie na biodrach i podeszła do automatu.

— Urodziłam się w siedemdziesiątych — przypomniwała.

— To kłamstwo - odparowała Sylwia. - Przyznaj się. Masz więcej niż trzydziestkę.

— Dziewczyny, dziewczyny, przestańcie! — odezwała się Mildred, nalewając Marli kawę i wręczając jej zielony kubek z napisem „Pocałuj mnie, jestem napalona”. — Więcej solidarności, proszę.

Sądziłam, że wasz plan ma połączyć dwie kobiety przeciwko wspólnemu wrogowi — przypomniała.

— To ona zaczęła — warknęła Marla.

— I ja to zakończę — stwierdziła Sylwia. — I to już. Chcę być znowu jego żoną i uprawiać z nim wspaniały seks. Czy za dużo wymagam? — zapytała, zwracając się do matki.

— Tak — odpowiedziała Mildred. — Pragniesz mieć wszystko.

— Skoro ona ma mieć wszystko, ja też chcę! - zakwiliła Marla. -Małżeństwo, ubezpieczenie zdrowotne i różne cudenka, które kupuje.

— Posłuchaj. Spójrzmy prawdzie w oczy: żadna kobieta nie ma wszystkiego. Romans i małżeństwo? Nie. Uciechy i stabilizacja? O nie. Nie wszystko naraz. Zdecyduj się na coś i ciesz się tym! — poradziła Mildred.

— Ale sam, nawet wspaniały, seks nie wystarczy. Muszę więcej przebywać z Bobem — jęknęła Sylwia.

— W i ę c e j ? Praktycznie mieszka z tobą. To znaczy ze mną. — Marla odstawiła kubek z kawą. — Posłuchaj mnie: moje dzieci wracają pojutrze do domu i mam nadzieję, że spędzimy udane rodzinne święto. On n i g d y nie zagląda do mnie — to znaczy do ciebie — w święta ani w weekendy. Więc chcę mieć go w domu. Jeśli masz zamiar wycofać się z tego, zaczekaj. Powiemy mu o tym po Świącie Dziękczynienia. Nie zapominaj, że mogę się z nim przespać. I uważaj, bo mu uświadomię, dlaczego ożenił się z tobą.

— Obiecałaś, że nie powiesz. Obiecałaś! — zawołała przerażona Sylwia.

— I co z tego? A co będzie ze mną? Obiecałaś znaleźć mi męża. Narobiłaś wiele hałasu... Przepraszam, gdzie jest pan młody?

Mildred podeszła do drzwi i zamknęła je.

— Dość tego! Przestańcie obie! — powiedziała. — Sylwio, Marla ma rację. To była cholernie nieodpowiedzialna obietnica, ale musisz jej dotrzymać.

Marla uśmiechnęła się niewinnie. Czując poparcie Mildred, drżała z emocji.

— Dziękuję, mamciu — powiedziała. Zwróciła się do Sylwii: — Co powiesz o Johnie?

— O Johnie jako o mężu? On kocha się we mnie! Nie możesz go mieć.

- Och, zapomnij o nim. To urodzony wdowiec. Tylko jego cierpienie czyni go atrakcyjnym — powiedziała pojednawczo Mildred.

- John nigdy już się nie ożeni, nie chce też mieć dzieci - oznajmiła Sylwia.

- Nic takiego nie mówił... - odparła Marla.

- Ależ mówił trzy lata temu. Po prostu zapomniałaś - warknęła Sylwia.

Ponownie włączyła się Mildred.

- Najlepiej byłoby się zająć konkretnym mężczyzną — powiedziała do Sylwii. - Dziewczyna nie może mieć do czynienia z abstrakcją!

- No właśnie - zgodziła się Marla. - Cokolwiek to znaczy.

- Okay - zgodziła się Sylwia, odstawiając pusty kubek i podnosząc do góry ręce. - Okay. Już to przemyślałam. Może oddamy jej Phila?

Mildred wypuściła z rąk kubek, który na szczęście był prawie pusty. Rozsypał się na drobne kawałki.

- Och, stłukłaś kubek - powiedziała Marla, schylając się, by pozbierać skorupy. - Zrobię ci nowy.

Mildred nie zwracała na nią uwagi.

- Naszego Phila? - zachichotała.

- Kto to jest Phil? - zapytała Marla. Mildred spojrzała na nią.

- Mówi o twoim bracie. O moim synu. Sylwio, czyś ty na głowę upadła?! To nie starożytny Egipt, a on nie jest faraonem.

- To znaczy, że mogłabym wejść do rodziny? - zapytała naiwnie Marla.

Unikając wzroku matki, Sylwia kiwnęła głową.

- Byłabyś moją siostrą.

- Bratową - sprostowała Mildred. - Sylwio, to absurd! Marla szukała u niej zrozumienia.

- Nie, to by było wspaniałe! Pozwolisz mi nazywać się mamcią? Mildred potrząsnęła głową.

- Jest moim rodzonym synem... no cóż, zasługuje na miłość... w pewnym sensie - rzekła niepewnie. Zlustrowała wzrokiem Marłę. - Sylwio, to absurd - powtórzyła. — To nie wchodzi w rachubę. Ja...

- Ma miłą powierzchowność, jest samotny i pracuje - poin-

formowała Sylwia Marłę. - A ona będzie lepsza niż Rose - zwróciła się do matki.

- Będę? Wspaniale! Odwołuję wszystkie przykre rzeczy, jakich ci nagadałam. Wiesz, teraz sobie przypominam, że Phil rozmawiał ze mną przez telefon. I martwił się o mnie. Jest bardzo opiekuńczy. Uwielbiam tę cechę u mężczyzn.

- Zanim kupisz obrączki, może najpierw porozumiesz się z Phi-lem - poradziła Mildred. - Może mieć zastrzeżenia wobec kazirodztwa. A ja umyvam od tego wszystkiego ręce.

- Będiesz mogła go poznać podczas świątecznego obiadu - rzekła Sylwia do Marli, która klaskała w dłonie jak rozradowane dziecko. - Przygotuj dobre jedzenie. On uwielbia jeść. A potem obie dotrzynamy obietnicy. Nie dotykaj Boba - ostrzegła dobitnie.

- Nie spotykaj się z nim w czasie świąt! - zrewanżowała się Marla. - I wydaj mnie za mąż. Aha, póki pamiętam, zaprosiłam na Święto Dziękczynienia naszą sąsiadkę. Pomogła mi wturlać oliwki. Bardzo jest miła ta Rose.

- Rose? Kto to jest Rose? Masz na myśli R o z a l i ę ? - zapytała Sylwia.

- Wesołego indyka! - zawołała Mildred i wyszła.

Część trzecia

Która?

Stali na frontowym ganku i witali młodzież. Jesienne powietrze było rześkie, ale nie zimne. Opadłe z drzew liście, zgrabione w kupki, leżały na zielonym jeszcze trawniku. Scena jak z telewizyjnego filmu — pomyślała wzruszona do głębi Marla. Zrobiła zakupy, napracowała się, miała wszystko, czego oczekiwała. Bob obejmował ją ramieniem, świeciło słońce, którego blask wydobywał połysk karoserii stojących obok siebie na podjeździe BMW. Chwila godna uwiecznienia na taśmie kodaka! Pomyślała o swoim doskonale nakrytym stole w doskonale urządzonej jadalni w doskonałym domu. Tak, to było to, czego pragnęła. Stabilizacja. Organizacja. Rutyna i rytuał. Kochający ją ludzie, którzy o nią zadbają i o których zadba ona. Wszystko wypadnie doskonale, pod warunkiem, że nie zdemaskuje jej któreś z bliźniąt.

Na wszelki wypadek zasłoniła częściowo twarz włosami. Zobaczyła wyskakujących z samochodu chłopaka i dziewczynę, w której na podstawie rodzinnego zdjęcia rozpoznała Reenie. Oboje taszczyli ogromne torby sportowe. Reenie wisiała u ramienia chłopca, a ponieważ, jak zauważyła Marla, nie odrywała od niego wzroku, nie zerknęła nawet w kierunku rodziców. W porządku. Może nic nie zauważy? Marla zdobyła się na uśmiech i pomachała ręką, ale Reenie nadal jej nie dostrzegła. Otworzyła więc ramiona, jakby przez całe życie czekała na tę chwilę. — Cześć, papciu — zawołała Reenie. - To jest Brian. Cześć, mamciu. A to jest pranie. — Przeskakując po parę stopni, Reenie wbiegła na ganek, cmoknęła w przelocie Marłę i oddała w jej ręce sportową torbę.

- Dziękuję za zaproszenie na święto - powiedział na powitanie do Boba i Marli osobnik o imieniu Brian.
- Kolejny gość? - szepnęła pod nosem Marla. Pomyślała o swoim stole. No cóż, jeśli dostawi krzesło, może chłopak jakoś się wciśnie.
- Powinnaś nas była uprzedzić, Reenie - powiedział bez cienia nagany Bob.
- To jeszcze nic! Zgadnij, kogo sprowadził Kenny? - zaszczę-biotała Reenie dziecinnym głosem. - Całą drużynę piłkarską!

Marla powstrzymała jęk zgrozy. W tym momencie z drugiego samochodu wysiadł Kenny w towarzystwie czterech dryblasów. Marla znowu otworzyła szeroko ramiona.

- Nie całą drużynę, tylko obronę! - zawołał chłopak, prostując informację siostry. Wbiegł na ganek, dał ojcu żartobliwego kuksańca i zwałił na podłogę potężną sportową torbę. — Ja także przywiozłem pranie. Z góry dziękuję, mamciu. - Uścisnął ją. Powitanie nie było jednak ani długie, ani gorące, jak tego oczekiwała Marla. Nie obejrzała się, kiedy chłopiec biegiem zawrócił do kumpli.
- Jeszcze więcej ludzi? - wymamrotała nieśmiało.
- Taak. Devon, Alex, Simon i Hugh.

Chłopcy pomachali rękami. Po czym jeden z nich - najprzystojniejszy - coś powiedział. Pozostali roześmieli się, a Kenny coś odpowiedział. Ponownie rozległ się śmiech. Marla poczuła się nagle bardzo opuszczona i... stara. To naturalne, że dzieci lgną raczej do przyjaciół niż do rodziców. Ale ci młodzi nie byli tak bardzo młodszy od niej. A kiedy zgarnęli swój sprzęt i podeszli do drzwi, powiedzieli krótkie „cześć”, jakby była przezroczysta, i wpadli do domu!

Rozanielony Bob odwrócił się do Marli.

- Rodzina w komplecie to wielka radość, prawda? Rodzina i John. Biedak został sam na święta.
- John. W porządku. Rozalia zapowiedziała, że przyprowadzi narzeczonego. W przybliżeniu to będzie...? - zawołała Marla, z trudem licząc na palcach. - Dwadzieścia dziewięć osób?!

Nieskazitelnie nakryty stół udekorowany był kwiatami, dyniami, figurkami pierwszych osadników, świecami i tak dalej. Przykrywała go ogromna plastikowa folia. Marla weszła do jadalni, głęboko westchnęła, usunęła płachtę i zaczęła ścieśniać nakrycia.

Bob zabrał dzieci do centrum handlowego. Kenny potrzebował nowych reeboków, Reenie zaś, jak zwykle, wymyśliła, że znajdzie może gdzieś kolejną parę pantofli, które uczynią jej życie doskonałym. Alex, Devon i Hugh nie dołączyli do nich - udali się na szkolne boisko, by ćwiczyć podania. Do miasta zabrał się natomiast przyjaciel Reenie, Brian, i przyjaciel Kenny'ego, Simon, a także Jim - tak jakby Bob nie spędzał większości czasu z teściem.

- Hej, papciu. Jak tam interes? - zapytał Kenny. Bob nie zdążył otworzyć ust, kiedy Kenny dodał: - Tylko nie więcej niż w czterech słowach.

Z tylnego siedzenia rozległ się gromki śmiech.

- Obawiam się, że nie na tyle dobrze, bym ci mógł pozwolić zatrzymać samochód — powiedział Bob.

Kenny nie dał się nabrać.

- Słuchaj, jeśli chłopak chce, możesz mu dać nowy model. — Jim zawsze musiał podkreślić, kto jest prawdziwym właścicielem firmy.

Bob zachował stoicki spokój.

- Hej, wy tam, z tyłu, jak wam tam? - zawołał.

Reenie z tym irytującym facetem ulokowała się z tyłu furgonetki. Żeby ich dojrzeć w lusterku, Bob musiał wyciągnąć szyję. Czy on jej aby nie obmacuje?

Musiał ostro zahamować, kiedy tuż obok zawył klakson. Na jezdni było bardzo ciasno. Kiedy w końcu zaparkował, z trudem precyzyjnie się do budynku. Umówił się z dziećmi, że będą się trzymać ustalonego od lat sposobu poruszania się po centrum - Kenny i Simon mieli się udać po trampki za dwieście dolarów i zobaczyć, co się dzieje w Sports Authority. Brian, Reenie i Bob także mieli się rozdzielić, po czym wszyscy spotkają się w części spożywczej.

- Za godzinę, przy stoisku z zapiekankami - przykazał im Bob. Nie zwracał sobie głowy Jimem. Też mi pobłażliwy dziadek! Niech sobie robi, co chce.

Po zapiekance młodzież miała jeszcze inne plany: Brian chciał rzucić okiem na Rock'n Roll Hall of Fame. Bob wykręcił się od tego. Musiał upolować trochę kminku do jednego z przepisów kulinarnych Sylwii, więc grupa rozdzieliła się przed hotelem „Ritz Carlton”, wyznaczając sobie kolejne spotkanie za dwie godziny. Bob nie mógł się oprzeć, by nie obejrzeć się za Brianem i nie

zerknąć, jak maszerują z Reenie w kierunku sklepu sportowego The Gap. Chłopak wpakował rękę w tylną kieszeń jej spodni! Bob chciał już przyskoczyć i wyszarpnąć mu tę łapę, odwrócił się jednak i oparł o wznoszącą się nad główną fontanną budynku balustradę.

W Tower City panował ogromny tłok. Przypomnił sobie, jak na początku, kiedy miejsce to przerobiono ze stacji kolejowej i zmodernizowano, dzieci uwielbiały przychodzić tutaj na burgery czy inne byle jakie jedzenie i obserwować fontannę. Co pół godziny włączała się muzyka i rozpoczynało się przedstawienie: woda tryskała w rytm muzyki Czajkowskiego i Johna Philipa Sousa. Dla Sylwii było to godne ubolewania widowisko, dla Boba po prostu zabawny kicz, natomiast dzieci uważały to za czary. Dzisiaj miały oświetlony basen, jakby w ogóle nie istniał. Rozpoczął się program. Bob przyglądał się srebrzystym łukom wody, które kłębiący się w dole tłum pokazywał palcami i wydawał głośnie „Oooch!”. Nie wiadomo, dlaczego pomyślał o Marli, o pięknie i głębi ich wczorajszej miłości. Poruszyło go to. Już chciał z nią skończyć, ale - na Boga! - opętała go! Tak bardzo pragnął trzymać ją w ramionach i czuć jej ciało przy sobie. Natychmiast jego myśl pobiegła do Reenie. Czy sypia z tym chłopakiem? Jeśli jeszcze nie, to i tak wkrótce to nastąpi. Zrobiło mu się trochę niewyraźnie. Jakie to będzie dla niej przeżycie? Trudno uwierzyć, że jego dziewczynka jest już taka duża. Jak ten czas pędzi...

Muzyka zwolniła tempo. Tęczowe strużki rozsypywały się w ruchome, usiane kropelkami linie. Kończyły swój lot, wpadając do basenu zwinniej i z większą gracją niż latająca ryba. Część ludzi zaczęła bić brawo. Dla kogo ten aplauz? - zastanawiał się. Dla nagranej przed laty muzyki? Dla programisty, który zaprojektował widowisko sterowane przez komputer? Dla inżyniera czy architekta, który wpadł na pomysł? A może oklaskują po prostu wodę? Tak czy owak, te rezlegające się nieliczne oklaski sprawiły, że poczuł się dziwnie... Samotnie. Zapragnął, by Marla była przy nim. Wybił to sobie jednak szybko z głowy. Wiedział, że musi się ruszyć i udać po kminek, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę, z dala od tłumy. Od tego chodzenia rozboląła go kostka, zdawała się pulsować w rytmie spadającej kaskadą wody. Lecz prawdziwy

problem polegał na tym, że Bob nagle uświadomił sobie swą samotność. Przez blisko dwadzieścia lat znajdował się w centrum życia Kenny'ego i Reenie, w centrum życia Sylwii. Teraz, z szalejącą przy nakrywaniu do stołu Sylwią, z obecnymi tylko ciałem Reenie i Kennym, poczuł się naraz tak niepotrzebny i osamotniony, że ogarnął go żal. Był dobrym mężem, oddanym ojcem i zdolnym biznesmenem, ale co poza tym? Dokonał w życiu bez porównania mniej, niż ten nieżyjący już może pianista, którego muzykę grano, mniej niż programista komputerowy. Nikt go nie oklaskuje. Nikt nawet nie wie o jego obecności. Chciał zatelefonować po Marłę, ponieważ z nią... no cóż, po prostu nie czuł się samotny. Ale to byłoby szaleństwo!

Wszak to rodzinne święto. Dzień obrachunku i dziękczynienia. Bob nie był człowiekiem religijnym, zdawał sobie jednak sprawę z błogosławieństw losu. Dzieci były zdrowe. Nigdy nie miał zamiaru oszukiwać Sylwii. Naprawdę nigdy! Nieoczekiwanie jednak pojawiła się Marla... Pochlebiało mu jej zainteresowanie. Nie traktował jej poważnie; wiedział, że kocha Sylwią. Nie wiedział tylko, nie pamiętał, jak zaczął się romans z Marlą. Czy to ona wykonała pierwszy ruch? Czy on? Jedno wiedział na pewno: nie przypuszczał, że do tego dojdzie. Co by na to powiedział Kenny? A Reenie... Wolał nawet nie myśleć. To straszne! Teraz, kiedy dzieci są w domu, musi skończyć z podwójnym życiem. Powstrzymywał go tylko strach przed zranieniem Marli, a poza tym także... pożądanie. Co gorsza, właśnie w ostatnim tygodniu, a zwłaszcza ostatniej nocy, zdał sobie sprawę, że darzy Marłę uczuciem. Obcowanie z nią przypominało teraz bardziej miłość. To chyba była naprawdę miłość.

A na domiar wszystkiego konieczność przebywania z Sylwią od czasu jej powrotu od siostry wymagała z jego strony wysiłku. Sylwia stała się bardziej zależna, a jednocześnie zaabsorbowana sobą. Sprawiała wrażenie nieprzytomniej, a dom, z wyjątkiem świątecznego stołu, wyglądał jak chlew. Bob westchnął.

Spojrzał na dół i dostrzegł wychodzącego z księgarni Briana. Niósł torbę i rozmawiał z jakąś dziewczyną. Bob znał ją z okresu grupowych dojazdów do szkoły Kenny'ego. To Jenny - ówczesna „miłość” syna. Zobaczył, że Brian bierze ją za rękę, a ona wrywa ją, śmiejąc się zalotnie. Następnie Brian przekonywał ją o czymś żarliwie, aż w końcu sięgnęła po pióro i zapisała coś na torbie. Po czym, wrywając się znowu, wydeła usta.

Bob nie mógł uwierzyć własnym oczom. A może to tylko niewinne spotkanie? Nie wyciągaj pochopnych wniosków! Nie mierz innych własną miarą! Mógłby jednak przysiąc, że ten zmysłowy mały skurczybyk, który najwyraźniej otumaniał jego córkę, wziął właśnie numer telefonu Jennifer Hill. Oburzony Bob odwrócił się na pięcie. Gotów był przyprzeć do muru tego sukinsyna. Powstrzymał się jednak. Te dzieciaki muszą same określić własną przyszłość. Pozostaje pytanie, co on sam najlepszego robi? Ten wypierdek Brian ma w końcu mniejsze zobowiązania wobec jego córki niż on wobec Sylwii.

Jakie to wszystko dziwne! Przysięgłby, że jeszcze kilka tygodni temu bez trudu mógłby zerwać z Marlą. Dopiero teraz wydarzyło się coś bardzo niedobrego. Jego świat rozpadł się po ostatniej nocy. Zdał sobie sprawę, że kocha tę dziewczynę. To nie była tylko kwestia seksu ani też opiekuńczych instynktów. To wyglądało na miłość. Czy potrafi z niej zrezygnować? Życie bez Marli stanie się puste. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Nie wiedział, co robić.

Od tyłu zaszedł go Jim. Położył mu rękę na chorym łokciu. Bob podskoczył z bólu, a także z poczucia winy.

- Och, przepraszam. - Opierając się o balustradę, Jim przełożył rękę na jego plecy. - Rozsypujesz się jak ja - powiedział. - Najpierw rozchrzaniona kostka, a teraz łokieć. Masz także wysypkę na szyi - zauważył. Przysunął się bliżej i wyteżył wzrok. - Czy aby nie zaczynasz łysieć?

Zakłopotany Bob dotknął włosów. Też tak uważał, ale nie miał zamiaru przyznawać się do tego.

- Mam jeszcze ładnych parę latek przed sobą - odparł.

- To przeżyj je rozsądnie - poradził teść.

Bob spojrział na niego uważnie. Czy w głosie starego człowieka nie zabrzmiało ostrzeżenie?

Zastanawiając się, z kim przeżyje swoje ostatnie lata, Bob odwrócił się od balustrady i pokuszył się po kminiek do świątecznego obiadu.

Bob chrapał. Marla przewróciła się ostrożnie na bok i wyłączyła budzik, żeby mu dać jeszcze pospać. Wymknęła się z łóżka. Była za kwadrans piąta. Narzuciła jeden z aksamitnych szlafroków Sylwii, naciągnęła grube skarpetki, po czym, ochlapawszy twarz wodą, zeszła do pralni.

Rozejrzała się. To przekraczało jej siły. Znowu te nie kończące się sterty obrzydliwych brudnych ubrań! Skarpety, przepocone opaski na włosy, gimnastyczne opaski na genitalia. Wystrzępione podkoszulki i co najmniej sto par dżinsów!

Spojrzała na programator znieawidzonej maszyny. Zimne/zimne. Ciepłe/zimne. Gorące/zimne. Gorące/ciepłe... Komu potrzebny aż taki wybór? Typowa sprawa. Skąd miała wiedzieć, jaka jest norma? Tu nic według niej nie było normalne.

Po dziesięciu minutach bezładnej krzątaniny zgarnęła narecz rzeczy i wrzuciła je w otwartą paszczę pralki.

Zamknęła oczy, przekręciła programator i zdała się na los. Oszołomiona, wtoczyła się na miękkich nogach do kuchni. Było dziesięć po piątej. Przeciągnęła się, nastawiła piekarnik i wyszła tylnymi drzwiami po gigantycznego indora. Nie wyglądało na to, żeby się rozmroził. Widać w nocy musiało się ochłodzić; na trawniku leżał szron. Z braku odpowiednio dużej brytfanny ułożyła bydlaka na aluminiowej folii. Otworzyła piekarnik, ale nie była w stanie umieścić w nim tego ptaszyska. Ponieważ drzwiczki nie chciały ani trochę ustąpić, stało się oczywiste, że indyk jest za wielki, by zmieścić się w piekarniku. Dużo za wielki. Nie było siły, by go wcisnąć.

Bliska płaczu, wciągnęła cholernego ptaka na deskę do prasowania

i zawlokła na środek kuchni. Następnie za pomocą noża, piły, a wreszcie siekiery, którą znalazła w garażu, próbowała przekroić indyka na pół. Nadwreżyła sobie ramię, a kadłub ani drgnął. Był zamrożony na sople. Czterdzieści cztery funty mięsa i żadnych szans na upieczenie go. Wszystko do chrzanu.

Zajechała na parking o wschodzie słońca. Pomimo tak wczesnej pory czynny przez całą dobę supermarket roił się od oszalałych kobiet, których jedynym celem było zdobycie tej jednej, najważniejszej rzeczy, którą zapomnieli wcześniej kupić. Problem w tym, że wszystkie te najważniejsze rzeczy - żurawinowy sos, bataty, nadzienie — dawno już zostały wykupione.

Marla podeszła do stoiska z mięsem. Było opustoszałe. Ani jednego ptaka, tylko masa brudnego lodu i ślady krwi! Jak pole bitwy. Sprzedawca, ofiara niedawnego szturm na stoisko, siedział na krześle z wyciągniętymi przed siebie nogami.

Marla wyglądała nie lepiej. Nie uczesana, bez makijażu, ubrana w nieforemne dresy. Musi jednak za wszelką cenę przypodobać się temu mężczyźnie, zmusić go, żeby jej pomógł. Wyszczebotała swoją opowieść o świątecznej gehennie.

— ...i okazało się, że się nie mieści! Jest zamrożony na kość -zakończyła. - Proszę mi pomóc - poprosiła. - Potrzebny mi nowy ptak.

— Spóźniła się pani. Już nic nie zostało - odparł, patrząc na nią mętym ze zmęczenia wzrokiem.

- Niechże pan coś zrobi! - zawołała Marla, bliska ataku hysterii. Musi mieć indyka na Święto Dziękczynienia! W przeciwnym razie będą tak rozczarowani, że uznają ją za pieprzniętą. Żeby choć raz coś jej się udało! - Nie mógłby mi pan sprokurować jakiegoś? - błagała. Zatrzepotała rzęsami. - Chyba pan może coś zrobić.

- Proszę pani - odparł — tylko dwa indyki mogą sprokurować innego.

W tym samym czasie, a dokładnie o siódmej dwadzieścia jeden, Sylwia znajdowała się w tym samym supermarkecie, tyle

że w dziale z mrożonkami. Po jednej stronie były tu obiady z indykiem dla głodomorów, po drugiej dania niskokaloryczne. Wczytywała się w informacje o odżywczych właściwościach potraw i zastanawiała się nad wyborem. Nie czuła się szczęśliwa. W taki dzień nie wstaje się o świcie! Nie musiała zresztą wstawać tak wcześnie, zwłaszcza że postanowiła przespać większą część święta. Wczorajszy wieczór upłynął jej jednak na rozmyślaniu o Bobie, Reenie i Kennym, spędzających razem czas. Bez niej! Z każdą chwilą stawała się coraz smutniejsza.

Porzucenie rodziny, nawet na chwilę, było wariactwem, a co dopiero na święta! Kiedy ujrzała rozpakowującego skrzynkę mrożonego szpinaku chłopca, podeszła do niego. Biedny dzieciak, pracuje w święto!

- Cześć - odezwała się, żeby go rozweselić. - Zastanawiam się właśnie, co będzie lepsze na świąteczny obiad dla... - urwała. Znadto drżał jej głos. - Dla kobiety, która wysłała męża i dzieci z domu? - zapytała.

- Och. To kwestia gustu - odparł.

Widziała wyraźnie, że chłopak nie kwapi się do rozmowy z jakąś wariatką w średnim wieku, nie mogła się jednak powstrzymać od zwierzeń.

- Mam syna w twoim wieku. Jest wysoki i...

- To miło - powiedział, próbując ją zbyć, ale niestety unieruchomiony był przy ladzie chłodniczej. Sylwia nie przestawała trajkotać:

- Jest bliźniakiem. Z dwujajowej ciąży. Prawdziwy dżentelmen, przepuścił siostrę przodem.

- To naprawdę bardzo miło - odparł chłopiec i podniósł wzrok. W jego oczach dostrzegła sympatię. Nie, to było politowanie. Była godna politowania dla chłopca ze sklepu.

Z przerażeniem stwierdziła, że brak jej ambicji.

- Ludzie pytają czasami, czy są identyczni - dodała mimo wyraźnego znudzenia chłopca.

Podczas gdy Sylwia kapitulowała przy stoisku czternastym, Marla rozpaczliwie grzebała wśród zakrwawionych brył lodu. Jej upór został wynagrodzony: jakby z dna arktycznych czeluści wyłowiła kilka małych ptaszków.

- A jednak ma pan indyki — oświadczyła sprzedawcy. — Indycze dzieci.
- Nie. Nie mamy ani jednego indyka.
- A to?! Co to jest? — zapytała, triumfalnie podnosząc zamrożony szkielecik.
- To jest gołąb.
- Ale czy nie wygląda jak mały indyk?
- Ani trochę, nawet w przybliżeniu - odparł z wyraźną pogardą.
- No cóż. Biorę dwadzieścia osiem - oświadczyła Marla.

Sylwia pchała swój wózek z niedużym melonem, plastikową torbą z umytą już zieloną sałata, naderwanym pudełkiem kleenexu i butelką wina. Ustawiła się w kolejce do kasy szybkiej obsługi. Stała za starszą kobietą, w której wózku znajdowała się identyczna zawartość, tyle że jej kleenex nie był rozerwany. Sylwia zakryła ręką usta. Pomyślała o pustym mieszkaniu Marli, o hałaśliwej paradzie w TV i o transmitowanych jeden za drugim meczach futbolowych — programach, których w domu nigdy nie oglądała, ponieważ przygotowywała obiad, rozmawiała z rodziną i nie miała czasu na telewizję.

Nie, pomimo Boba, pomimo tego, co wydarzyło się między nimi wczoraj, czuła nieznośną samotność. Kasjerka wybiła rachunek i Sylwia zapłaciła, wynosząc jedną żałośnie chudą torbę osoby samotnie spędzającej to ważne święto rodzinne. Wychodząc, nie dostrzegła stojącej przy innej kasie Marli, ukrytej za stertą twardych jak kamień nieżywych ptaszków.

Sylwia spojrzała na zegar na lodówce Marli. Rozpakowanie zakupów zajęło jej niecałe cztery minuty. Było dopiero czternaście po ósmej, a to oznacza jeszcze piętnaście godzin i czterdzieści sześć minut do końca tego samotnego świątecznego dnia. Usiadła na niewygodnym krześle przy malutkim stole, stanowiącym całe niemal wyposażenie ciasnej kuchni Marli. Podróż do supermarketu była nie do zniesienia, nie było też żadnej nadziei na poprawę paskudnego nastroju.

Dlaczego akurat dziś - w dniu, którego postanowiła nie traktować jak święta, lecz spędzić go luksusowo, a nawet dogadzać sobie, trochę drzemiąc, trochę zaś wypróbując ziołowe maseczki piękności Marli - musiała obudzić się o czwartej czterdzieści jeden? To jasne! Wystarczyło, że otworzyła oczy, a cała adrenalina podskoczyła do góry, odbierając jej ochotę na sen i pozbawiając możliwości relaksu. Czyżby dwadzieścia jeden Świąt Dziękczynienia spędzonych wspólnie z Bobem zaprogramowało ją i uczyniło z niej swoisty kalendarz? Czy stało się tak za sprawą małżeństwa? Już sam ten pomysł ją wkurzył.

Chociaż targała nią złość, wracała wciąż myślami do spędzonego z Bobem - Bobbiem! - wieczoru. Zaczerwieniła się. Całował ją, przyprawiając o drżenie, jak nigdy w ostatnich dziesięciu latach. Wystarczyło, by teraz zamknęła oczy. Widziała to wszystko i przeżywała od nowa, czuła jego oddech tuż obok ucha i słyszała szeptane słowa. Co dziwniejsze, czuła też jego ręce, jego dotyk, każdą pieszczotę, jaką obdarzył jej ciało. Czy dzieje się tak za sprawą beczynnej od lat części mózgu, która się nagle uaktywniła?

Siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, z łokciami opartymi o stolik. Czowała dreszcze i rumieniec na policzkach. Czowała, że żyje, bardziej niż zwykle; żyje całą sobą. Podobnie ożywiała ją jeszcze tylko muzyka.

Miała świadomość, że to uczucie, któremu nie może się oprzeć. Rozumiała, dlaczego ludzie pragną seksu i potrzebują miłości - żeby czuć się w ten sposób. Choć ma to pewnie związek z en-dorfinami czy z hormonami, najważniejsze, że wywołuje uczucie. Kocha Boba. Tęskni za jego ciałem. Pragnie go.

Podniosła głowę i otworzyła oczy. Czas wrócić do rzeczywistości, a rzeczywistość jest brutalna. Bob nie kocha się z nią, ale ze swoją metresa. Jako jego metresa, została opuszczona, siedzi samotnie w tym mikroskopijnym pomieszczeniu kuchennym, mając za towarzystwo jedynie butelki witamin i odżywek. Pozbawiła się możliwości spędzenia święta w gronie rodziny. Zachodziła w głowę, dlaczego nie może mieć wszystkiego naraz. Dlaczego nie może być żoną Boba i czuć się kochana? Dlaczego Bob nie może kochać domu oraz ciała żony? Ogarnęło ją przejmujące uczucie samotności. Musi wreszcie wstać od tego stołu!

Tęskniła za dziećmi. Tęskniła za całą rodziną, ale szczególnie za Kennym i Reenie. Ależ z niej idiotka!

Przehandlowała święto! Nie miała pojęcia, że dzień może się tak dłużyć, że może być tak pusty. A co mają począć sieroty? Co robią niezamężne, bezdzietne sieroty? Czy odbywają się dzisiaj spotkania samotnych w podziemiach kościelnych, tak jak organizuje się je dla anonimowych alkoholików?

Postanowiła zobaczyć dzieci. Potem może jakoś przetrwa ten dzień. Chce zobaczyć ich wszystkich, kiedy są razem.

Spojrzała na zegar. Było szesnaście po ósmej. Istnieje szansa, że jeśli zadzwoni teraz do domu, okaże się, że wszyscy oprócz Marli jeszcze śpią. Powiedziała sobie, że jeżeli ktoś inny odbierze telefon, po prostu odłoży słuchawkę.

Jeszcze nie wie, co z tego wyniknie, ale musi to zrobić. Wykręciła numer i wstrzymała oddech do chwili, aż ktoś się odezwał.

- Halo? - warknęła w słuchawkę Marla. To nie był jej zwykły, bujający w obłokach głos. Wydawała się zdenerwowana.

- Marla, to ja, Sylwia. Powiedz, co słychać. Jak tam dzieci? Czy już któreś wstało?

- W s z y s c y śpią. Rozłożyli się w śpiworach i na sofach po

całym domu - szeptała roztrzęsiona Marla. - Zapomniałaś, że nie wolno ci tutaj dzwonić? Umówiliśmy się. To moje święto.

- Musiałam! - jęknęła Sylwia. - Marla, muszę przyjść.

- Czyś ty zwariowała? Powiedziałam ci: wszyscy już są na miejscu, poza mamcią, papciem i twoim bratem. Muszę przygotować sałatę. I puree z fasoli i z kukurydzy. O czym ty w ogóle mówisz?

- Nie wiedziałam, że tak będę tęskniła za dziećmi - jęknęła Sylwia. Jakie to patetyczne! Trudno, widać jest patetyczna.

- Zachowujesz się jak wariatka - usłyszała od Marli. - Wyobrażasz sobie nas obie tutaj, jednocześnie? Czyś już zapomniała? To ja uchodzę za szurniętą, nie ty.

- Muszę wiedzieć, jak one się mają - powtórzyła Sylwia. Ze słuchawką w dłoni krążyła po mikroskopijnej kuchni.

- Mają się świetnie. Możesz mi wierzyć. Sylwii zabrakło już argumentów.

- Muszę się sama przekonać.

Po drugiej stronie zapanowała krótka cisza.

- Nie sądzę, żeby moja matka kiedykolwiek czuła taką potrzebę - powiedziała w końcu Marla. - A tak na marginesie, nie telefonowała dzisiaj?

- Nie, ale jest jeszcze wcześniej - przypomniała Sylwia.

- Wcześniej czy później i tak nie zadzwoni - powiedziała Marla. -

o ile nie będzie potrzebowała pieniędzy albo jeśli ten jej przyjaciel nie puści jej kantem - westchnęła Marla. - Okay. Mam na sobie czarne legginsy i czarną bluzę dresową. Włóż coś na głowę i moje okulary słoneczne. Podejdz pod okno kuchenne. Wiesz które, to zarośnięte krzakami. Zapukaj w szybę. Słyszę odkręcone prysznice; wygląda na to, że wszyscy będą na dole za pół godziny. Wtedy ich zobaczysz.

- Dziękuję, Marla - odetchnęła z ulgą Sylwia. Była szczerze wdzięczna.

Z włosami wetkniętymi pod wełnianą czapkę stała w kępie rododendronów i zerkała do własnej kuchni, podglądając swą rodzinę przy śniadaniu. Reenie z miłością w oczach podawała ciemnowłosemu młodemu człowiekowi talerz z idealnie usmażonymi jajkami. (Swojemu ojcu podała jajka z rozlanymi żółtkami).

Sylwia pomyślała natychmiast o cholesterolu Boba, ale zagryzła wargi. Tymczasem Kenny otwierał gigantyczną torbę z korzeniami prawoślazu. Zaczęli go sobie podrzucać z kumplami, próbując łapać korzenie ustami. Marla na nic nie zwracała uwagi - zajęta była przygotowaniem placka z dyni, a więc ominęła ją ta zabawa. Ile tam leży placków? Dwanaście? Więcej? Sylwia pukała już kilkakrotnie w szybę. Kiedy Marla podniosła wreszcie wzrok, dała jej znak, żeby do niej wyszła. Marla pokiwała głową; Sylwia oderwała wzrok od okna, wyskoczyła z krzaków, pobiegła za garaż i ukryła się w najodleglejszym zakątku dziedzińca.

Przycupnęły obie w kępie wiecznie zielonych krzewów na tyłach dziedzińca.

- Nie pojmuję tego szaleństwa na punkcie dzieci - powiedziała Marla, wycierając w ścierkę mękę z rąk. Piękny pierścionek od Cartiera umazany był ciastem. Już chciała zwrócić Marli uwagę, żeby go zdejmowała do pracy w kuchni, ale po co? Pierścionek, podobnie jak rodzina, nie należały teraz do Sylwii. - ...Harujesz jak wół, i po co? Ledwo mnie pocałowali na powitanie. Nawet nie zauważyli, że to nie matka!

- Są tylko dziećmi. - Sylwia wzruszyła ramionami. - Istotnie, nie traktują mnie jak istoty ludzkiej, coś w tym jest... Nadal jednak bez chwili wahania stanęłabym między nimi a lecącymi pociskami - wyznała. - Opowiedz mi o nich.

- Dziewczyna...

- Reenie. Skrót od Ireny - wyjaśniła Sylwia.

- Słusznie - zgodziła się Marla. - Sześćdziesiąt razy na godzinę powtarza swojemu chłopakowi, że go kocha. Nie nauczyłaś jej niczego? Poniża się.

- Nie zgadzam się z tobą. Lubi go. To takie słodkie. - Sylwia uśmiechnęła się do swoich myśli. - W gimnazjum była bardzo nieśmiała, wiesz? Na bal maturalny poszła z chłopcem, którego sprowadził jej Kenny. Nie ma doświadczenia z chłopakami.

Marla zachichotała.

- Mizdrzy się i klei do niego. Nie lubię się bawić w donosicielstwo, ale ona już nie jest dziewczyną.

- Jest, i koniec! - zaprotestowała Sylwia. - To znaczy była,

kiedy wyjeżdżała do szkoły, ale nie podjęłaby takiej decyzji bez porozmawiania o tym ze mną.

- Amen - zaśpiewała Marla. - Możesz sobie myśleć, co chcesz, a ja wiem swoje. Natomiast chłopak, Kenny, dlaczego mi nie powiedziałaś, że jest homoseksualistą?

- Homoseksualistą? Oszalałaś?! Nic podobnego! - oburzyła się Sylwia.

Marla uniosła brwi.

- Posłuchaj, przywiózł do domu czterech przyjaciół. Dwie pary. Razem jedzą, razem śpią... I co? Nic nie rozumiesz?

- Marla, to jego drużyna! - krzyknęła Sylwia. - On jest futbolistą. Od niepamiętnych czasów!

- Zwyczajny pretekst, żeby przebywać w zamkniętych pomieszczeniach z rozebranymi mężczyznami - wyjaśniła Marla, kiwając głową ze znajomością rzeczy. — W każdym razie on ma zielono-cytrynową aurę. To kolejny dowód.

Sylwia poczuła skurcz żołądka.

- Muszę ich zobaczyć. Muszę z nimi porozmawiać - urwała. - Muszę ich objąć.

- Czy nie uważasz, że przesadzasz? - zapytała Marla. - Otrzymałaś to, czego pragnęłaś, a ja miałam dostać Święto Dziękczynienia, męża i rodzinę, ale jeszcze niczego nie otrzymałam.

- Marla, proszę... — Całą siłę pragnienia Sylwia ulokowała w tych słowach.

Marla westchnęła.

- Okay. Wezmę prysznic, a ich przyślę tutaj pod jakimś pretekstem. Masz pół godziny. Potem znikasz. I schowaj włosy pod czapkę.

Sylwia skinęła głową i poprawiła włosy. To ładnie ze strony Marli, była jej wdzięczna - odpowiednie uczucie na święto. Kiedy czekała w pobliżu garażu, waliło jej serce. Ukryta za drzwiami, przyglądała się Reenie i Brianowi, którzy wyłonili się zza domu i podeszli do drewnutni. Wzięli po klocku drewna do kominka. Następnie zatrzymali się i pocałowali, potem Brian wyciągnął kolejny klocek, podczas gdy Reenie go obejmowała. Następnie znowu się całowali. Żeby uwolnić rękę, Brian odrzucił klocek i wziął Reenie w ramiona. Włożył rękę pod jej kurtkę. Głęboko pod kurtkę. Sylwia odwróciła głowę. Dobry Boże, modliła się, niech żaden chłopak nie zrani nigdy Reenie tak, jak ją zranił Bob.

Odczekała chwilę, po czym podeszła bliżej.

- Hej, wy, papużki nierozłączki - powiedziała. - Pora wracać do domu na filiżankę pysznego kakao!

- Mamciu! Przecież przed chwilą prosiłaś, żebyśmy przynieśli drewna! Teraz znowu mamy pić kakao? - spytała Reenie. Spojrzała zezem na matkę. Przez chwilę Sylwia myślała, że wpadła, zapomniała jednak o wrodzonym narcyzmie dzieci. - Szpiegujesz nas? -dodała córka.

- Ależ skąd! - odparła z nonszalancją Sylwia. - Poza tym chyba nie ma czego szpiegować, prawda?

Reenie i Brian popatrzyli na siebie nieco zmieszani, następnie roześmieli się. Był to porozumiewawczy śmiech.

Coraz bardziej zdenerwowana, Sylwia zbliżyła się do córki. Opiekuńczym gestem objęła ją. Robiła to często, teraz jednak miała ochotę nie wypuszczać jej z ramion.

- Stęskniłam się za tobą, mamciu - powiedziała Reenie.

- Kocham cię, Reenie.

- Ja także cię kocham - odparła córka, uwalniając się z objęć. -Chciałabym, żebyś pokochała również Briana.

- Oczywiście! - Zauważyła, że Brian błądzi gdzieś wzrokiem. -Postaram się, choć nie wiem, czy będzie to ten sam rodzaj miłości, jaką kocham ciebie, żrebaczku. - Zamyśliła się. Pragnęłaby wytłumaczyć swojej pięknej córce, jakie bywają konsekwencje zaufania nieodpowiedniemu mężczyźnie. - Miłość to poważne uczucie. Wymaga czasu i zaufania. Mam nadzieję, że przestrzegasz wartości, które ci przekazałam. - Odwróciła się i przesłała Brianowi promienny uśmiech.

- Do twoich wartości dorzuciliśmy z Brianem odrobinę naszych własnych - poinformowała Reenie.

- To znaczy...?

- Och, postanowiliśmy na przykład nie obarczać się odpowiedzialnością za nasze czyny - powiedział Brian, zabierając po raz pierwszy głos.

Wstrząs, jakiego doznała Sylwia, musiał się odbić na jej twarzy. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że chłopiec żartuje. Reenie zaśmiewała się histerycznie.

- Och, mamciu! Czy to nie cudowne? Oto masz próbkę tak zwanego poczucia humoru Briana.

- Cholernie zabawne - odparła Sylwia, doznając kolejnego

wstrząsu na dźwięk własnego głosu, przypominającego do złudzenia głos Mildred. - Brian, przepraszam cię na chwileczkę - powiedziała. Kiwnął głową, złapał trochę drewna i odszedł w stronę domu. Reenie patrzyła za nim tęsknym wzrokiem, dopóki Sylwia nie odciągnęła jej na bok. Weszły do garażu. Sylwia popatrzyła na piękną, ufną twarz córki. Od czego zacząć? - Dość żartów. Co ja ci stale wbijałam do głowy? - zapytała w końcu. - Że seks jest o wiele lepszy, gdy łączy się z miłością. Reenie spojrzała z politowaniem.

- Jasne! Przywiozłam Briana, żeby się przekonać, czy go Kocham! Nie martw się. Kiedy będziemy mieli stosunek, dowiesz się

o tym natychmiast. Wezmę razem z prezerwatywami telefon komórkowy i zadzwonię do ciebie z łóżka.

Przez chwilę Sylwia stała z otwartymi ustami, po czym wybuchnęły z Reenie gromkim śmiechem.

- Okay - powiedziała Sylwia. - Już nic nie mówię. - Ponownie objęła Reenie, która jednak wyrwała się i popędziła szukać Briana.

Kenny i pozostali chłopcy grali w nogę na trawniku za domem. Kiedy Sylwia wyszła z garażu, przyglądała się im przez chwilę. Pomyślała o spostrzeżeniu Marli na temat homoseksualnej orientacji syna, ale przecież Marla jest szalona. Zielonocytrynowa aura! Bzdury! Dla Sylwii wszyscy ci chłopcy byli po prostu okazem zdrowia i tężyzny fizycznej. Cóż z tego, że klepali się od czasu do czasu po tyłkach?!

- Kenny! Czy mogę cię prosić na chwilę?! - krzyknęła. Kenny odłączył się od paczki i podbiegł do matki. Był zdyszany

i zaróżowiony.

- Czy to ważne, mamciu? W przyszłym tygodniu gramy cholernie ważny mecz, musimy ostro poćwiczyć.

- Chciałam cię tylko uścisnąć. Bardzo za tobą tęsknię i bardzo cię Kocham. - Zrobiła krótką przerwę. - Powiedz mi, czy futbol jest uważany za sport kontaktowy.

Nie pojmując, o co chodzi, Kenny odpowiedział:

- Ja też się stęskniłem, mamciu. Nie martw się. Nic sobie nie zrobię. - Zamilkł, rozejrzał się, po czym ściszył głos: -

Nie mów nikomu, nawet papciowi, ale... - Sylwia wstrzymała oddech - ...bywa, że bardzo tęsknię za domem.

Uśmiechnęła się do syna, który górował nad nią wzrostem. Bardzo pragnęła dla niego szczęścia. Uznała, że to dobrze, iż nie

musi on ufać mężczyźnie. Życzy mu, żeby spotkał uwielbiającą go dziewczynę, a jeżeli zdradzi żonę, oberwie od Sylwii wałkiem po głowie.

- Nic miłszego nie mogłam usłyszeć - powiedziała i poklepała go po ramieniu. - Ale masz swoich... przyjaciół. Jesteście chyba bardzo sobie bliscy.

- Bardziej niż bliscy - odrzekł Kenny.

- Jako grupa, prawda?

- Taak.

Ulżyło jej. Nie potraktowała oczywiście serio gadania Marli, ale...

- Hugh i ja... jesteśmy sobie naprawdę bliscy - dodał Kenny. - A tak przy okazji, mamciu, świetnie wyglądasz. -

Przyjrzał się jej okiem znawcy. - Może moglibyśmy pojechać do centrum i kupić ci trochę fajnych ciuchów?

Propozycja zaintrygowała Sylwię, ale Kenny już pognął na boisko. Wzruszyła ramionami. Akceptuje go bez względu na wszystko. Powoli odeszła. Jej pół godziny dobiegło końca.

Marla wzięła prysznic, przebrała się i gorączkowo przetrząsała szafki. Kuchnia wyglądała jak pobojuwisko. Każdy jej skrawek zastawiony był wiaderkami, miskami, przyborami kuchennymi i rondlami. Minęła druga, a do obiadu wciąż daleko - pomyślała. Zrobiła już placki z dyni, obrała ziemniaki, przygotowała pochrzyn. Fasolka już się rozgotowała, a małe indyki nie zaczęły się jeszcze nawet piec. Nie mogła znaleźć trzepaczki do jajek ani miarki do cukru, tymczasem niezbędne jej było jedno i drugie. Dobijał ją ten pośpiech! Bolały ją nogi w śródstopiu, co wskazywało, że prawdopodobnie ma atak serca, o którym wiedzą na razie jedynie jej stopy! Zrozpaczona, złapała za słuchawkę i zadzwoniła do Sylwii.

Sylwia w parszywym nastroju oglądała zakończenie parady z okazji Święta Dziękczynienia. Zastanawiała się, czy nakryć już do obiadu, czy jeszcze nie. Kiedy zadzwonił telefon, poczuła ulgę. Nawet rozmowa z panem Brightmanem byłaby lepsza niż to dławiące uczucie pogrzebania żywcem. Przyłożyła słuchawkę do ucha. Rozległ się szept Marli:

- Gdzie to, do diabła, jest?
- Gdzie c o jest? - zapytała.
- Sos do indyka?! - mówiła wciąż szeptem Marla.
- Na Boga, nie wiem! Nie używam tego od lat. Kazałam ci przecież przyrządzić ten sos - przypomniała Sylwia.
- Zrobiłam na jednego ptaka. Nie sądzisz chyba, że zrobię na wszystkie! — podniosła głos Marla.
- W s z y s t k i e ? Jakie wszystkie? - zapytała Sylwia. - Ile masz tych indyków? Co się dzieje? Rankiem było w porządku -dodała, zerkając na ekran. Co mogło się stać między przemarszem monstrualnej wielkości balonu wyobrażającego komiksowego Popeye'a i nadejściem gigantycznego Herkulesa, zbliżającego się do Herald Square?
- Wszystko jest do chrzanu! Domownicy już się niecierpliwią. -Marla zapomniała o szepcie. - Przyjedź, proszę! Potrzebuję twojej pomocy.
- Teraz? I co? Będziemy we dwie w kuchni? Czyś ty oszalała? I tak miałyśmy dużo szczęścia dzisiaj rano. - Poczowała przyływ adrenaliny. Może nie będzie musiała spędzać samotnie tego okropnie pustego dnia? - Chcesz się wycofać? Możemy się zamienić miejscami w ciągu dziesięciu minut.
- Wybij to sobie z głowy! - warknęła Marla. - Oczekuję podziękowań i pochwał po tej harówce, którą odwaliłam. Potrzebna mi jest tylko mała pomoc.
- Pokusa była silna, ale...
- Marla, daj spokój! Nie możemy obie być w tym samym miejscu. Na kobiety w średnim wieku nikt nie zwraca uwagi, ale przecież nie wtedy, kiedy mnożą się na oczach wszystkich! Poproś moją matkę — radziła Sylwia. - Pomoże ci.
- Już to zrobiłam! Pomaga mi, ale ja potrzebuję c i e b i e . Nie dam sobie rady. Zjedli już w s z y s t k i e chipsy, selery nadziewane pastą serową i większość oliwek. Wiesz, ile tego było? Czy można przedawkować oliwki? - pytała Marla. Była naprawdę zrozpaczona. - Phil próbował właśnie wyjść środek dyni. Musimy zresztą odbyć rozmowę na jego temat. Nie jestem pewna, czy to w ogóle materiał na męża. A skoro jesteśmy przy mężczyznach, wcale mi nie pomaga to, że twój mąż stale dolewa wszystkim alkoholu.
- Dzisiaj on jest t w o i m mężem - przypomniała cierpko Sylwia.

- No owszem, ale wcale nie rwie się do pomocy - równie cierpko oznajmiła Marla. - Myślałam, że Święto Dziękczynienia to rodzinna uroczystość.

- Obudź się wreszcie! Wszystko robią żony. Tak już jest - powiedziała Sylwia. Nagle wyraźnie przypomniała sobie te wszystkie szalone przygotowania czynione przez tyle lat. Uśmiechnęła się. Może ta samotność nie jest taka zła...?

- Cóż, Bob zajęty jest tylko jednym: nalewa wciąż drinki On, Phil, John i Jim, to znaczy papcio, wciąż piją - skarżyła się Marla. - Myślę nawet, że już podwójnie widzą. Jeśli nas nie rozpoznali dotąd, tym bardziej nie rozpoznają teraz. Sylwia była w rozterce.

- Chciałabym przyjść. - Pomyślała o długich, pustych godzinach. - Szczerze mówiąc, nie jestem zadowolona z życia, które prowadzisz, Marla.

- Podobnie jak ja z twojego! - parsknęła tamta.

Sylwia zatrzymała samochód za rogiem ślepej uliczki. Uznała, że najlepszym sposobem dostania się do domu będzie przemknięcie się przez dziedziniec Beyermanów. Parkowanie na podjeździe dwóch identycznych kabrioletów BMW obok pozostałych samochodów bawarskiej produkcji byłoby ze wszech miar niewłaściwe.

Wyglądało na to, że Beyermanowie wyjechali na święto. Tak jej się przynajmniej wydawało, dopóki nie zbliżyła się do ściany rododendronów, oddzielających obie posesje. Wtedy wypadł skądś wredny czarny szpic i czekał zawzięcie, jak to zwykle czynił od rana do wieczora każdego dnia. Teraz jednak wbił zęby w kostkę Sylwii.

Zaskoczona, szarpiąc się i opędzając, dała nura w rododendrony. Łądując na ziemi, każde na własnym terytorium, wydali jednoczesny skowyt. Utykając, Sylwia okrążyła garaż, wdrapała się na schodki tylnego wejścia i po raz drugi tego dnia zapuściła żurawia przez kuchenne okno. Marla, nadal ubrana gustowniej niż Sylwia - w czarne legginsy i w czarny sweter - wypatrywała jej niecierpliwie. Natychmiast otworzyła drzwi. Skądś - Sylwia nie miała pojęcia skąd - wytrzasnęła fartuszek. Nie żaden praktyczny fartuch firmy Williams-Sonoma; ten był malutki, w rodzaju tych, jakie mogła nosić Betty Crocker w 1954

roku. Sylwia, kulejąc, weszła do kuchni. Gdyby nie fakt, że już i tak brakło jej tchu, zatkałoby ją ze zgrozy. W życiu nie widziała podobnego bałaganu.

— Cześć, kochanie — powiedziała Mildred. — Witamy u czubków. - W gąszczu garnków, naczyń, mis, łopatek, chochli i rondli Mildred znalazła akurat tyle miejsca, by oprzeć łokieć.

— Wchodź szybko! — szepnęła Marla. — Nie obejdzie się bez twojej pomocy. I musisz mi znaleźć innego męża, bo Phila nie chcę.

— Nie jesteś w tym odosobniona — stwierdziła oschle Mildred. Sylwia rozejrzała się wokół. Nie wiedziała, od czego zacząć.

Dochodziła trzecia, a w kuchni nie pachniało nawet piekącym się indykiem; panował w niej totalny chaos.

— Cztery trzepaczki? Nawet nie wiedziałam, że mam ich tyle! — Wzięła jedną do ręki. Spłynęła z niej jakaś nieokreślona substancja. — I wszystkie upaprałaś — dodała niechętnie. — Nie uczyła cię matka, że od razu należy zmywać?

— Matka nauczyła mnie jedynie wypuszczać dym nosem — warknęła Marla. - Ale odkąd rzuciłam palenie, nie mam z tego żadnego pożytku. — Wytarła ręce w idiotyczny fartuszek. — Może któraś z was ma marlboro?

— Nie sądzę — powiedziała Sylwia. Zerknęła na matkę, która najspokojniej w świecie wzruszyła ramionami. — No to do roboty. W jakim znajdujemy się punkcie?

— Gdzieś w okolicy Rwandy — odparła Mildred.

— W żadnym — odpowiedziała jednocześnie Marla. — Desery są gotowe, ale spaliłam ziemniaki i nie zrobiłam sałaty. Ponieważ nie mogłam uruchomić elektrycznego otwieracza do konserw, nie dokończyłam sosu żurawinowego. A poza tym, co zrobić z tą dynią?! Jak mam sobie poradzić z tymi wszystkimi białkami i skrobią? Wiesz przecież, co sądzę na temat łączenia ich! Po prostu nie mogę... — Marla cofnęła się od bufetu, zsunęła pantofle i pocierała stopę. — Chyba mam atak serca — oznajmiła, patrząc na swoje pięty.

Mildred spojrzała pytającym wzrokiem na Sylwię. Tymczasem Marla odwróciła się ku blasze kuchennej, na której wszystkie rondle zaczęły jednocześnie kipieć. Wpatrywała się w nie w takim skupieniu, jakby chciała je przesunąć siłą wzroku.

— Co ty robisz? — zapytała Mildred.

— Dopilnowana potrawa nigdy się nie psuje — odpowiedziała Marla, nie spuszczać oczu z rondli.

Sylwia pokiwała głową.

- Przecież jesteś tu nie od wczoraj. Co robiłaś przez cały ten czas? - spytała.

- Nakrywałam do stołu! - zachnęła się Marla.

- Bardzo ładnie nakryła - przyznała Mildred. - Wykaligrafowane karteczki z imionami mają prawdziwie osobisty charakter. Urocze też są serwetki w kształcie indyka. Szkoda tylko, że nie ma indyka.

- A gdzie są wszyscy? - zapytała szeptem Sylwia.

- Oglądają mecz - poinformowała Marla. - Poza dziećmi wszyscy są pijani. Nie ma to jak powrót na łono rodziny! - Odwróciła się w stronę okna, pokazała coś palcem i jęknęła. - Ojej! Benny i jego przyjaciele wrócili z parku i patrzą w tę stronę!

- K e n n y ! Nie Benny! - poprawiła ją Sylwia, kucając na podłodze i usuwając się z pola widzenia. Potarła zranioną kostkę. Zastanawiała się, czy nie przydałby się jej zastrzyk przeciwko tężcowi lub wścieklicznie. Rozkrzyczana grupa chłopców znajdowała się już na podjeździe. Jeżeli wpadną kuchennymi drzwiami, to wszystko przepadło!

Rzeczywiście, zbliżali się do tylnych drzwi.

- Marla, znikaj! I to szybko! - wykrztusiła szeptem.

- Gdzie mam się podziać? - szepnęła przerażona Marla. - Najlepiej, jeśli w ogóle stąd wyjdę. Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść - dodała, rozglądając się rozpaczliwie za kryjówką.

- Do pralni. Biegiem! - komenderowała Sylwia.

- Nie! - zaprotestowała Marla. - Boję się tych maszyn. One mnie nienawidzą. Ty idź! - Sylwia nie zdążyła jej udusić, bo zza garażu wyłonił się chłopcy. Podniosła się. - Mam wrażenie, że palą skręty - powiedziała Marla, spoglądając przez okno.

- Co?! - zawołała oburzona Sylwia. - Widziałas, żeby któreś z tych dzieci...

- Nic nie widziałam, ale mój brat zawsze palił za garażem. Ja też bym się chętnie sztachnęła!

- Nawet nie waż się o tym myśleć - ostrzegła ją Sylwia. Marla westchnęła.

- Kto by miał na to czas? Praca kobiety to nie żarty! Zanim Mildred i Sylwia zdążyły zareagować, z jadalni dobiegły głosy Rozalii i Phila.

- Jezus, popatrz tylko na ten stół! - mówił Phil, otwierając drzwi do kuchni. - Wygląda jak miniatura Epcot Center! Po co to przedstawienie?

Sylwia zdążyła się ukryć pod stołem.

— Twoja siostra zadała sobie dużo trudu, żeby to wszystko przygotować — warknęła Rozalia. — Nie myśl tylko o sobie. Chciała sprawić przyjemność dzieciom i nam wszystkim.

— Wielkie mi rzeczy! Gdzie są, do diabła, precle?! — Krążąc wokół stołu, Phil otwierał kolejne szafki. Wstrzymując oddech, Sylwia przywarowała przy podłodze.

— Dlaczego nigdy nie zamykasz drzwiczek? Sprawdź w szafce obok twojej prawej nogi — poradziła Rozalia.

— Skoro jesteśmy przy nogach, to co jest z tym twoim przyjacielem, do diabła?! Tym Melem. Powiada, że brak mu jakiegoś sprzętu.

— No i co? Nic na to nie poradzi — warknęła Rozalia. — Żaden z was nic na to nie poradzi. Tyle że tobie brakuje akurat nie palca u nogi...

— Tak. Wiem. Straciłem jaja, ale już je odzyskałem.

— Phil, proszę cię! — odezwała się Mildred. — Nie zapominaj, że jesteś w kuchni. — Równie dobrze mogłaby rzucić grochem o ścianę! Nie usłyszeli ani jednego jej słowa.

— Czyżby? Twój papcio mówi coś wręcz przeciwnego! — zawołała Rozalia. — Tak się zresztą składa, że w Melu interesuje mnie coś zupełnie innego niż jego palec u nogi.

— Oszczędź mi tego! — jęknął Phil i oboje jak weszli, tak opuścili kuchnię.

Sylwia doszła do wniosku, że tworzą idealną parę.

— Zawsze się dziwiłam, że oni mogą się awanturować nawet w najbardziej zatłoczonym miejscu, nie zważając na nikogo. Nikogo nie zauważając — rzekła Mildred, pomagając Sylwii podnieść się z podłogi.

— Trzeba wyjąć indyka! — krzyknęła Marla.

Otworzyła piekarnik i oczom pozostałych kobiet ukazały się rzędy miniaturowych kur czy czegoś w tym rodzaju.

— To nie indyk! — jęknęła Sylwia.

— To p r a w i e indyk. Wystarczy odrobina wyobraźni! — broniła się Marla. — Rzeźnik przysięgał, że można je nadziać — dodała.

— Jak? Pincetką? — dociekała Mildred.

— Marla, nie możesz tego podać! Dzieci tego paskudztwa nie przełkną! Zawsze mieliśmy indyka. W końcu obchodzimy dzisiaj Święto Dziękczynienia!

— To co mam według ciebie zrobić? — zakwiliła Marla. — Prawdziwy, najprawdziwszy indyk nie zmieścił się w piekarniku, choć próbowałam go wcisnąć. Naprawdę próbowałam. — Drżały jej ramiona, zaczęła szlochać, pociekło jej z nosa. — Po prostu nie nadaję się na żonę. Sama widzisz! Nie nadaję się. Nawet sobą nie potrafię się zająć. Nic dziwnego, że Bob mnie nie chce. Nikt mnie nie chce.

Mildred postąpiła do przodu i objęła dziewczynę.

— Tak ładnie nakryłaś do stołu — próbowała pocieszyć ją Sylwia.

— Dwa dni temu. Ale teraz zebrał się taki tłum... Już nie daję rady! — Znow wybuchnęła płaczem. — Trzeba dostawić dwa nakrycia.

— Zrobię to. Ty pokrój marchewkę. — Sylwia zerknęła na Mildred. — Mamciu, będziesz musiała kupić gotowego indyka.

— To będzie chyba kłopotliwe, a poza tym wszystko już zamknięte...

— Nie umrzesz od tego kłopotu. Pojedź do restauracji, jeśli będzie trzeba. Zamów z karty.

Teraz wszystko spadło na Sylwię. Biedna Marla! Tak jak Sylwia przypuszczała, dziewczyna pogubiła się w nadmiarze świątecznych zajęć. Zamiast się z tego cieszyć, Sylwia poczuła się winna. Było jej żal rywalki, mimo że przecież dała jej okazję przygotowania świątecznego posiłku, o czym tamta marzyła. Razem z wciąż protestującą matką Sylwia wsunęła się chyłkiem do jadalni. Kiedy ujrzała stół, zatkało ją z wrażenia. Wyglądał jak model kolejki elektrycznej — byli na nim miniaturowi pielgrzymi, dwa wigwamy i — z jakiegoś powodu znanego tylko Marli — nieduży mostek. Właśnie zaczęły przestawiać nakrycia, kiedy w jadalni pojawił się Bob. Mildred i Sylwia zamarły. Sylwii zaczęło bić mocniej serce, ale Bob podszedł wprost do barku.

— Czy mamy więcej scotcha? - zapytał, szperając wśród butelek. — Zdaje się, że go sobie upodobali. Twój ojciec i John już chichoczą, a Phil wydaje się jeszcze bardziej wściekły niż zwykle.

— Do jasnej cholery! — wrzasnęła z kuchni Marla.

— Podobnie jak Rozalia — wtrąciła pośpiesznie Sylwia, by ją zagłuszyć. Zawróciła do kuchni. — Pssst! — uciszyła dziewczynę. — Co się stało?

Marla uniosła krwawiącą rękę. Pewnie się skaleczyła, krojąc marchewkę.

- Wsadź rękę do zimnej wody - poradziła Sylwia.

Znowu otworzyły się drzwi. Tym razem Rozalia pojawiła się z narzeczoną. Sylwia nie zdążyła się schować w pralni, wcisnęła się więc za lodówkę, co, o dziwo, przyszło jej bez trudu. Naprawdę schudła!

- Sylwio, to jest Mel - powiedziała Rozalia do Marli. - Opowiadałam mu o tobie same dobre rzeczy.

Ale Marla zajęta była wyłącznie skaleczeniem.

— Auu! Taka twoja mać! Mogłam sobie odciąć palec. Oszpeciłabym się na całe życie — jęczała.

Rozalia rzuciła jej jadowne spojrzenie.

— Uważam, że liczba palców u rąk czy u nóg nie ma żadnego znaczenia! — powiedziała, obejmując narzeczonego.

— Żadnego! — Dumnym krokiem wypłynęła z kuchni, ciągnąc za sobą zaszępiętego Mela.

Kiedy Sylwia wydostawała się zza lodówki, nadszedł John. Niewiele brakowało, żeby ją zauważył. W ostatniej chwili wyskoczyła tylnymi drzwiami i stała teraz na chłodzie, obserwując wnętrze kuchni przez zaparowaną szybę. John wysłuchiwał skarg Marli z wielkim przejęciem, a nawet z przesadą. Sylwia zastanawiała się, czy nie zwrócić się do Johna w sprawie rany po ukąszeniu szpica, ale on właśnie wyjął rękę Marli spod kranu. Pochylił się nad nią i żeby wynagrodzić cierpienie, ucałował skaleczony palec. Sylwia nie wierzyła własnym oczom. John musi być pijany w sztok! Z jaką czułością opatruje palec Marli i obejmuje ją ramieniem! Po chwili oboje opuścili kuchnię. Zachowując ostrożność, Sylwia wślizgnęła się do środka. Drugimi drzwiami wrócił John. Zaskoczony, zamrugł oczami i podszedł do niej z niewyraźną miną.

- Po co ci ta czapka? - zapytał lekko bełkotliwym głosem. - Już ci lepiej? - Ujął jej zmarzniętą dłoń. Był zaskoczony jej chłodem. Spojrzał uważnie i nie widząc bandaży, zdumiał się. - Dobry Boże! A to co znowu?!

— Pocałowałaś i od razu zrobiło się lepiej - oznajmiła słodko Sylwia. Najchętniej wprawiłaby go w autentyczne zdumienie, zdejmując czapkę i pozwalając opaść swoim blond włosom. Ale niech sobie myśli, że jego pocałunek dokonał cudu!

John był oszołomiony. Bogu niech będą dzięki za alkohol! - pomyślała Sylwia.

Jim i Mildred siedzieli przy stoliku w restauracji „Pod Wygłodzonym Byczkiem”. Mildred dzielnie składała zamówienie.

- Tak. Właśnie tak. Indyk dla dwudziestu osób i dwie szklanki wody — poleciła kelnerowi.

- Mildred, to niepojęte! - stwierdził Jim. - Jak Sylwia mogła...

- Och, to długa historia - odpowiedziała i pochyliła się w kierunku męża. Odpięła dwa górne guziki bluzki i miała nadzieję, że Jim to zauważy. Choć dekolot upstrzony był brązowymi plamami, a skóra pomarszczona jak zmięty jedwab, to przecież dekolot pozostawał dekoltem. - Wiesz co, Jim... Masz dzisiaj bardzo błękitne oczy.

- Mildred...? — powiedział Jim niepewnym głosem.

- Naprawdę! - Zapatrzyła się w jego oczy. Oglądały ją przed laty jako młodą, atrakcyjną dziewczynę. - Jim, nie chciałabym spocząć w grobie, nie kochając się już nigdy z tobą — rzekła.

Jim przymrużył błękitne oczy. Mildred zdawało się, że dostrzega w nich zainteresowanie.

Wszyscy mężczyźni, poza Brianem, oglądali mecz futbolowy. Siedzieli stłoczeni i obserwowali ważną rozgrywkę. Szósta się skończyła, zostało jeszcze dziesięć albo coś w tym rodzaju. Marla nigdy nie pojęła reguł gry amerykańskiej piłki nożnej ani łączącego się z tą dyscypliną entuzjazmu. Barczyści faceci wyglądali fajnie i już, ale przecież wiedziała, że mają wywatowane ramiona. Podeszła do Phila.

- Dolać ci? — zapytała najbardziej uprzejmym głosem, na jaki było ją stać.

Czuła się już odrobinę lepiej. Gdy Sylwia przejęła pałeczkę w kuchni i' obiad był prawie gotowy, zamknęła się w łazience na górze, odświeżyła i uspokoiła. Może by dało się wejść do tej rodziny? — pomyślała. Wyglądają tak miło, siedząc obok siebie przed telewizorem jak jaskiniowcy przycupnięci wokół ogniska. Może mogłaby nawet polubić Phila? Może mogłaby mieć tego jaskiniowca na wyłączną własność?

Akurat zdobyto punkt za przyziemienie czy coś w tym rodzaju. Wszyscy, poza Philem, ryknęli. Marla aż podskoczyła. Phil przegapił tę akcję.

- Sylwia, zabierz stąd dupę, żeby człowiek mógł coś widzieć!

Postawiłem kupę pieniędzy na ten mecz! - warknął ten jaskiniowiec. Marla odsunęła się urażona. - Kobiety! - Phil podniósł wzrok. - Powiedz choć słówko na temat obiadu!

- Proszę bardzo: udław się! - Opuściła pokój. Dotknęta do żywego, udała się do kuchni. Sylwia uporowała się już z ziemniakami. Mildred wróciła z indykiem.

- Udało się! - powiedziała spoglądając na Marłę. - Jakoś wybrnęliśmy z tego!

Marla zignorowała jej słowa. Przypatrywała się uważnie obu kobietom.

- Sądziłam, że jesteście dobre - powiedziała. - A wy chcecie mnie wydać za nienawidzącego kobiet kretyna.

- Masz na myśli Phila? - upewniła się Mildred i westchnęła. - Naprawdę sądziłam, że uda ci się nim pokierować. Wiem, że gdzieś głęboko tkwi w nim uczucie. I wierz mi, uważam cię za przemiłą dziewczynę. - Zamilkła na chwilę, a Marla czuła, jak topnieje jej serce. Chciałaby należeć do tej rodziny. — Wiesz co? — ciągnęła Mildred. - Każdego mężczyznę można choć trochę ukształtować. - Nie zdążyła jeszcze zdjąć palta, miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy. Jak na starszą panią, wygląda całkiem nieźle - pomyślała Marla. Jakby kryła coś w tajemnicy.

Marla postarała się skoncentrować na słowach Mildred. — Ironia życia polega na tym, że kiedy para pobiera się, on ma nadzieję, że żona nigdy się nie zmieni, ona zaś nie może się doczekać, kiedy zacznie go zmieniać. Oczywiście, przy takim podejściu, oboje rozczarowują się. Kobieta przecież zawsze się zmienia, facet nigdy. Popatrz po prostu na Phila jak na kogoś kompletnie niereformowalnego. — Mildred uśmiechnęła się. - Moja praca nad Jimem wciąż trwa, ale zaczynam już dostrzegać korzystne zmiany. - Zdjęła płaszcz. - Podajmy do stołu. Chciałabym cię mieć w rodzinie

- powiedziała szczerze.

- Naprawdę? - Marla rzuciła się jej w ramiona. Sylwia dyskretnie opuściła dom.

Stała samotnie po drugiej stronie ulicy. Zapadał zmierzch. We wszystkich sąsiednich domach panowała ciemność: matka, ojciec i Rozalia znajdowali się w jej domu, a Brennanowie zawsze wyjeżdżali na święta do Arizony, do rodziców. Była sama. Zerwał się wiatr i choć nie było zimno, wilgotne powietrze przenikało ją na wylot. Nadal miała na sobie czarne legginsy i sweter, a dżinsowa kurtka nie chroniła przed wiatrem.

Gdy tylko wsiądzie do BMW, włączy ogrzewanie na pełny regulator. Na razie jednak musi zawrócić i przejść przez dziedziniec Beyermanów. Nie boi się szpica, chociaż kostka daje się nadal we znaki. Nie mogła oderwać wzroku od oświetlonego okna jadalni swojego domu. Tam, wewnątrz, widać było radosny, doskonały wprost rodzinny obrazek, jak z ilustracji Normana Rockwella. Równie amerykański jak placek z dynią. Kenny, Reenie, matka, brat, mąż i przyjaciele. Ona też tam jest. Nakłada właśnie puree ziemniaczane na talerz Johna. Wygląda na to, że wszyscy zajęci są podsuwaniem sobie jedzenia, obgryzaniem indyczych nóg i śmiechem. Trochę ta sytuacja skojarzyła się Sylwii z obecnością Hucka Finna na własnym pogrzebie. Nie! To inaczej, raczej jak gdyby w ogóle nie istniała. Pomyślała o filmie *It's a Wonderful Life*. Ale tam Jimmy Stewart przekonał się, że jest niezastąpiony, uświadomił sobie, jak wiele dla innych znaczy.

Stojąc w zapadających ciemnościach, czuła, że ją można z powodzeniem zastąpić. Mogłaby naprawdę nie istnieć.

Stół uprzątnięto przy udziale młodzieży, która zaraz potem gdzieś się ulotniła. Trochę to dziwne - pomyślała Marla. Nie było owacji na stojąco. Nie usłyszała ż a d n y c h oklasków. Jedynym podziękowaniem, jakie otrzymała, było uprzejme: „Dziękuję, pani Schiffer”, wypowiedziane przez jednego z przyjaciół Benny'ego, kiedy chłopcy wrzucali swoje talerze do zlewu. Bałagan w kuchni sięgnął szczytu. Marla spoglądała na resztki obiadu. Stwierdziła, że robienie zakupów i przygotowywanie posiłków jest potwornym zajęciem. Nie zdawała sobie z tego wcześniej sprawy. Nie mogła też uwierzyć w ogrom czekającej ją jeszcze pracy. A myśl o wszystkich tych wymieszanych białkach, skrobiach, o owocach jedzonych razem z jarzynami była wprost przytłaczająca.

- I wciąż w tej kuchni nie ma dobrej aury, chociaż tak bardzo się staram - mruknęła do siebie, czując, że zbiera się jej na płacz. Czy tak wygląda życie rodzinne? Czy też jest tak, ponieważ Bob uciął sobie z nią romans na boku? Nie wiedziała, kogo bardziej żałować - siebie czy Sylwii, i w końcu wybrała jednak siebie.

Nagle otworzyły się drzwi. Przez moment łudziła się, że to Bob chce ją uściskać i pogratulować wspaniałego obiadu, ale to nie był Bob. Ujrzała Johna, wyraźnie na bani, oraz Mildred wyciągającą do niego pomocną rękę, by ułatwić mu przestąpienie progu.

- Chryste, wypilem za dużo.

- Chryste, to prawda - powiedziała Mildred, patrząc na nieopisany bałagan. - Jedno jest pewne: Martha Stewart tutaj nie mieszka.

John powiódł mętnym wzrokiem po kuchni.

- Hej, może mógłbym pomóc?

- Wiem, co powinieneś zrobić, doktorku. Połóż się. To zalecenie doktor mamci - rzekła Mildred. - Zostanę i pomogę Sylwii.

- Nie. Dość się już napracowałam, mamciu. Liczę, że mąż mi pomoże — powiedziała Marla.

Właśnie do kuchni wszedł Bob. Może wszystko dobrze się skończy? Uśmiechnęła się. Teraz zostanie pochwalona, i to przy Johnie.

Ale Bob rzucił:

- Wychodzę na chwilę. Zostawiłem w firmie parę rzeczy. -Porwał kluczyki samochodowe, zabrzączał nimi, po czym odwrócił się, by wziąć płaszcz.

Marla zmrużyła oczy. Przecież on nie jedzie do żadnej firmy! Dobrze wiedziała, dokąd się udaje. Co za bezczelność! Za kogo on się uważa? A za kogo ją? Za sprzątaczkę? Za galernicę? Potoczyła wzrokiem po stercie tłustych naczyń, brudnych misek, poczerńiałych rondli. Po talerzach, czekających na zeszkobanie resztek. To całe małżeństwo nadaje się tylko na śmieci! — pomyślała i z premedytacją machnęła ręką, strącając talerze na podłogę. Bob odwrócił się. — Coś się rozbiło?

— Małżeństwo — poinformowała. Złapała tacę z resztkami kandyzowanego pochrzynu i tego cholernego prawoślazu. Cisnęła w niego. Chybiając, omal nie wyrznęła Johna.

Mildred wypchnęła doktora z kuchni.

— Nasza obecność jest tutaj zbędna - powiedziała.

Bob kucnął, następnie wstał i spojrzał na wbitą w drzwi tacę, a także na słodkie ziemniaki, które odbiwszy się od drzwi, wylądowały na jego sztruksowych spodniach.

— Sylwio! Przestań! Czyś ty oszalała?! — zawołał. — Co to ma znaczyć?!

— Nic, zupełnie nic. To tylko... to... Wszystko się zachwiało, ponieważ skrobia dotknęła białka... — bełkotała Marla. Chciała powiedzieć, kim jest naprawdę, a także kim jest on. Ale obiecała Sylwii! — To nie jest żadne małżeństwo! To znaczy, jesteś żonaty, ale... co tu dużo mówić! Nie tak powinno wyglądać małżeństwo — powiedziała. — Nie chcesz się ze mną kochać. Nie dbasz o mnie. Mam dom. Mam dzieci. Bomba! Mogę robić, co mi się podoba. — Sylwio, ja...

Ale Marla nie chciała słuchać wykretów. Była zmęczona i tak rozczarowana, iż czuła, że coś jej pęka w piersi.

— Zamknij się! Sądzisz, że łatwo być t w o j ą żoną? Przecież nie jestem tylko kucharką, sprzątaczką i portierką, obserwującą, jak wychodzisz z domu. — Zaczęła płakać, choć nie chciała, by widział jej łzy. Była zbyt wściekła i dumna, aby okazywać zawód. Przez Boba czuła się jak... wykastrowany pies czy coś w tym rodzaju, jak zwierzę pozbawione seksu. — Czy zdajesz sobie sprawę, ile się naharowałam przy tym posiłku? — zapytała. — Ile mnie kosztowało, żeby nie pomieszać nieodpowiednich owoców z jarzynami? Ile mi czasu zajęło zorganizowanie tego wszystkiego? A ty się nagle zabierasz i idziesz do jakiejś... — Powstrzy-

mała się od wykrzyczenia dalszych słów. Znowu pomyślała o Sylwii. Jeśli tak wygląda życie Sylwii, rozumie teraz, do czego potrzebne jej było to całe szachrajstwo. To Sylwia, zanim go wykastruje, powinna powiedzieć o zamianie. Obserwowała go, jak pochyla się i próbuje usunąć szczotką resztki jedzenia ze spodni, a potem odwraca się do niej.

- Przecież bardzo cię cenię - powiedział, podchodząc bliżej. Tego było już za wiele! Złapała miskę z farszem i cisnęła w niego, chybiając o ułamek centymetra. Farsz rozprysnął się na ścianie, tuż obok szafki z miotłami.

- Nie chcę, żebyś mnie cenił. Chcę być kochana, niekoniecznie przez ciebie! Dlaczego się po prostu nie wyniesiesz? Wynoś się i wal do swojej przyjaciółki!

- Co...?

- Słyszałeś! - Cisnęła następny talerz, i jeszcze następny. Bob był przerażony. Kucnął i niemal na czworakach zaczął się wycofywać z kuchni. Marla obiema rękami zgarnęła ze stołu pozostałe naczynia i cisnęła je na podłogę. Gdy dotarło do niej, jaki koniec spotkał tę śliczną zastawę, zawyla i wybiegła tylnymi drzwiami w ciemność.

Samotna i smutna po dziwnym Dniu Dziękczynienia, Sylwia nałożyła kolejną niewygodną seksowną koszulkę i chociaż dopiero minęła ósma, postanowiła się położyć. Kiedy w posepnym nastroju myła zęby, usłyszała dzwonek. Z pianą w ustach, ze szczoteczką w ręku podeszła do drzwi i przezornie zerknęła przez wizjer. Na widok Boba szybko wetknęła pastę do donicy ze sztucznym, jedwabnym fikusem i otworzyła.

- Bobbie? Nie przypominam sobie, żebyś mnie kiedykolwiek odwiedzał w święta. - Po chwili zreflektowała się. A może przychodził tu po każdej rodzinnej uroczystości? Stała tak, kochając go i zarazem nienawidząc. Chciała, żeby wszedł, żeby ją objął i pocieszył, żeby kochał się z nią, ale ter by nie było fair. Co z Marlą? Potrzebny jej teraz „mąż”.

- Powinieneś być w domu -powiedziała wbrew sobie.

- W domu? - powtórzył Bob. Na jego usprawiedliwienie trzeba przyznać, że wyglądał jak ofiara trzęsienia ziemi. Miał szklisty wzrok albo też po prostu był bliski łez. - Nie wiem, co się dzieje - rzekł. - Zaczynam myśleć o tobie... jak o domu. -Objął ją, a ona odwzajemniła uścisk. Zanurzył twarz w jej włosach. - Pachniesz indykiem - wymruczał. Zesztywniała na chwilę, ale co miała robić? Było jej przy nim tak dobrze. Jego ramiona, muskularne i długie, były ramionami i męża, i kochanka.

Problem w tym, iż Sylwia wiedziała, że on ją kocha, natomiast on nie wiedział, kogo obdarza miłością.

- Ilekroć stąd wychodzisz, boję się, że już cię nigdy nie zobaczę - wyznała i naprawdę pożałowała Marli.

Dotknął jej włosów.

- Nigdzie nie wychodzę - zapewnił.

Kiedy spał, oparta na łokciu Sylwia spoglądała na niego. Dzisiejsza miłość była jeszcze lepsza niż poprzednio - rzucili się na siebie jak wygłodzeni i dopóty się kochali, dopóki nie padli ze zmęczenia. Naciągnęła prześcieradło na gołe ramię Boba. Uwielbiała widok jego ciemnej skóry na tle poduszki.

Jakby czując na sobie jej wzrok, zamrugał powiekami i otworzył oczy.

- Podglądasz mnie podczas snu? - zapytał, wyciągając ramiona poza krawędź łóżka.

- Robię to od lat - oznajmiła.

- Poznaliśmy się w lipcu. Sylwia wróciła do swojej roli.

- Uua! Odnoszę wrażenie, że to już całe lata! - Próbowała naśladować chichot Marli. - Wiesz przecież, że mylą mi się miesiące.

Bob uśmiechnął się.

- Czuję się tak, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi. No, nie takimi starymi, jeśli chodzi o ciebie. - Sięgnął po jej rękę. Zajrzał jej głęboko w oczy. - Kocham cię. Naprawdę, Marlo. - Był prawie tak samo zdumiony własnymi słowami jak ona.

Sylwia poczuła się szczęśliwa i smutna zarazem. Wiedziała w głębi duszy, że jeśli ma zakończyć ten spektakl, by dopiąć swego, to musi to zrobić teraz. A zatem do dzieła, powiedziała sobie.

- Skoro tak, to powinienes się ze mną ożenić - oświadczyła, patrząc mu w oczy. Miała wrażenie, że mogłaby się w nich zatracić. Jak jednak można patrzeć komuś tak głęboko w oczy, a potem iść i okłamywać żonę? Nie może mu to ująć na sucho! Musi być pewna, że on popamięta nauczkę. Sprawiała, że pokochał ją - Sylwie! - a teraz, kiedy straci Marłę, zastanowi się, czy pozwoli mu wrócić.

Bob usiadł. Stracił rumieniec. Można powiedzieć, że był teraz blady.

- Wiedziałaś, co jest grane, Marlo. Uprzedziłem cię, że jestem żonaty, że nie zniósłbym rozbicia domu...

- Powiedziałeś przed chwilą, że tu jest twój dom - przypomniała Sylwia.

Bob wstał i wyjrzał przez okno na ciemną ulicę. Ciężko westchnął. Przez chwilę Sylwii było go żal, nie na tyle jednak, żeby oszczędzić mu dalszych tortur.

- Posłuchaj. Wygląda na to, że Sylwia zwariowała - wyznał. - I to przeze mnie. Unieszczęśliwiłem ją. Znaleźliśmy się w martwym punkcie. Nie możemy dać sobie nawzajem szczęścia, ale żadne z nas nie może się zdecydować na pierwszy krok w kierunku rozstania. - Odwrócił się, popatrzył na Sylwię i zagryzł wargi, jakby miał się rozplakać.

- Może ona nie stara się uatrakcyjnić waszego pożycia? - zapytała, poddając go próbie.

- Sylwia była... jest... uosobieniem romantyczki. Zlekceważyłem to. Jest przepełniona muzyką, podczas gdy ja straciłem wrażliwość na muzykę. - Usiadł ciężko na brzegu łóżka. — Święto okazało się niewypałem. Była zimna dla dzieci, zła na mnie i opętana na punkcie dekoracji stołu. Któregoś wieczoru podała mi krewetki, chociaż od dawna jestem uczulony na skorupiaki. Wyobrażasz sobie?! A dziś wieczorem urządziła scenę. Gdyby wiedziała o nas, nigdy by mi nie wybaczyła... I miałyby rację.

- Tak mi przykro, Bobbie - powiedziała Sylwia, próbując się nie rozczulać. - Rozumiem twoją lojalność i wiem, jak bardzo to musi być dla ciebie trudne, ale już podjęłam decyzję. Kocham cię, lecz nie potrafię spędzać samotnie świąt. Jeżeli mnie nie chcesz w pełnym wymiarze godzin, nie przychodź więcej.

Bob siedział sztywno na skraju łóżka. Sylwia wstrzymała oddech. W końcu odwrócił się ku niej.

- Wyjdź za mnie — poprosił.

Sylwia wybuchnęła płaczem. Wygrała! Osiągnęła to, co chciała. Jeszcze jednak nie wierzyła własnym uszom.

- Porzucisz żonę? - zapytała, wstrząśnięta do głębi. - Naprawdę?

- Tak. W ostatnim tygodniu uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem z tobą szczęśliwy. I... sam nie wiem. Może i Sylwii poszczęści się jeszcze w miłości. - Objął ją czule. - Kocham cię - powiedział.

Sylwia nie mogła powstrzymać szlochu. Objęła Boba, ściskając go tak mocno, że z trudem łapał oddech.

Drzwi otworzyły się powoli. Rozczarowana i smutna Marla weszła do sypialni. Myślała o spustoszeniu i o chaosie - nie tylko w kuchni, lecz w ogóle w jej życiu. Nic dziwnego, że nie ma prawdziwej rodziny. Nie dałaby sobie rady. Bobbie pognał teraz do Sylwii, dzieci wyszły, a ona - jak zawsze - została sama. Była zanadto zmęczona, by zająć się wieczorną toaletą. Ściągnęła więc tylko poplamione jedzeniem ubranie i naga wsunęła się do łóżka. Chciała jak najszybciej zasnąć i nie obudzić się więcej. Wyciągnęła się, przesunęła na środek ogromnego małżeńskiego łóża. Nagle natknęła się na coś ciepłego. Wyczuła nogami czyjeś ciało.

- Bob? - wyszeptała uszczęśliwiona.

Spod kołdry wychynęła głowa podchmielonego Johna.

- Sylwia? - zapytał. - Co ty tu robisz?

- Sama się czasem nad tym zastanawiam. Przytomniejąc powoli, John potoczył wokół zdumionym wzrokiem.

- Chryste, to nie mój dom! - Potrząsnął głową, jakby z niedowierzaniem. - To właśnie powód, dla którego zwykle nie piję. Ogromnie mi przykro.

- Nie musisz przeproszać - powiedziała Marla. - Zawaliłam wszystko! - Ukryła twarz w dłoniach. - Jak zwykle. Nic dziwnego, że nie mam nikogo i niczego. - Zaczęła szlochać.

- Nieprawda. Właśnie, że masz - powiedział John, kładąc jej na ramieniu rękę.

- Nieprawda! - upierała się Marla, pochylając głowę. - Nic nie rozumiesz. Och, John, zrobiłam straszną scenę. Potłukłam

chyba wszystkie naczynia. Sylwia będzie wściekła. - Zbyt późno się połapała, co mówi, ale John widać uznał, że wszystko w porządku.

- Sylwia już jest wściekła - sprostował, biorąc ją za rękę. - Nie zasłaniaj się rozszczepieniem jaźni. Nie mów o sobie w trzeciej osobie. Wyrzuć z siebie złość. Może Bob by cię nie wysłuchał, ale ja to zrobię - powiedział, po czym usiadł.

- Gdzie jest Bob? - zapytał. — Gdzie są wszyscy?

- Młodzież poszła do kina - odpowiedziała. - Po prostu nikt nie ma ochoty przebywać ze mną. Zwłaszcza Bob. Kiedy wróciłam, nie zastałam go. Nie muszę ci mówić, do kogo poszedł.

- Skurwiel.

Marla znowu zaczęła płakać.

- Nigdy nie przypuszczałam, że tak bardzo niewdzięczna może być rola żony. Tak mi przykro. Wstydzę się.

- Nie masz się czego wstydzić - pocieszał John. - To raczej Bobowi powinno być wstyd.

Marla popatrzyła na niego.

- Nic nie rozumiesz - powiedziała. - To moja wina.

John objął ją i pocałował w czubek głowy. Z jej ramion zsunęła się kołdra. John patrzył zdumiony.

- Sylwia! Na Boga! Jesteś... cała naga i różowa.

Marla pokiwała głową, wzruszyła ramionami i nadstawiła do pocałunku policzek. John tak miło pachniał - snem i wermutem. Bez zastanowienia pocałowała go w oczy, a wreszcie w usta. Jęknął. Opierał się przez chwilę. Czowała jego zaciśnięte wargi. Po chwili rozluźnił je. Wiedziała, że czekał na ten pocałunek od bardzo dawna, postara się więc, żeby był jak najlepszy. Dopiero kiedy oboje nie mogli już złapać tchu, John delikatnie odsunął ją od siebie.

- To nie w porządku - szepnął.

- Nie aż tak bardzo, jak sądzisz - zapewniła. Podniosła ku niemu twarz.

Nie mógł się oprzeć. Znowu się całowali. Ostrożnie, jakby podchodząc płochliwego jelenia, objęła go za szyję.

Delikatnym, bardzo delikatnym ruchem, muskała jego włosy. Jęknął.

- Sylwio... Och, Sylwio... - szeptał. - Proszę, przestań! Twoje małżeństwo... Och, Sylwio. - Czowała, że on ulega. Kiedy objął jej nagie plecy, poczuła, że drży. Oboje zniknęli pod kołdrą.

Bob wszedł do sypialni w ponurym nastroju. Uginał się pod ciężarem złych myśli. Także tutaj - jak w całym domu - panował nieład, łóżko było skotłowane, Sylwii zaś ani śladu. Przez całą drogę, na tak bliskiej mu obecnie trasie z Cleveland, rozważał wszystkie aspekty swojej decyzji. Należał do ludzi, którzy starają się przypodobać innym, był także człowiekiem lubiącym uporządkowane życie i potrzebującym go. W tej chwili jednak nie zadowalał nikogo, a jego życie stało się nie do zniesienia. Zamknęła się karta rodzinnego życia. Mógł otworzyć kolejną, dlaczego jednak czuje w gardle taką..., taką mazistą kulę? Może dlatego, że Sylwia była zawsze taka dobra, doskonała nawet. Usiadł ciężko na brzegu łóżka, powoli zdjął ubranie i nie czując się na siłach sięgnął po piżamę, wślizgnął się pod lekką puchową kołdrę. Dopiero wtedy zauważył wybrzuszenie pośrodku łóżka. Biedna Sylwia. Tak wiele musiał ją kosztować ten wybuch! Śpi teraz skulona jak embrion. Najdelikatniej, jak umiał, odwrócił się i czule poklepał wypukłość.

- Sylwio, musimy porozmawiać. Teraz. O naszym małżeństwie.

Marla poczuła przez sen, że ktoś ją klepie. Obudziła się. Przyciskając kołdrę do piersi, usiadła.

- Że co? - zapytała. Obok leżał Bob. Przez chwilę czuła się bardzo zakłopotana. Czyż to nie był John...? Oczywiście, że tak! Wsunęła rękę pod kołdrę i wymacała obok biodra miękkie włosy Johna. Teraz sobie wszystko przypomniała. To nie był sen. Kochała Johna, a on ją. Chyba że kochał tylko prawdziwą Sylwię, ale miała wrażenie, że nie. Nie po tym, czego doznali w łóżku. Niemniej teraz ma do czynienia z Bobem. - Że co? -powtórzyła.

- Posłuchaj, Sylwio, jest mi przykro, ogromnie, ale to ogromnie przykro. Musimy porozmawiać. Łączyło nas wiele, lecz...

John także usiadł.

- Koniec z więzami? — zapytał.

Marla obserwowała wyraz twarzy Boba, gdy dotarło do niego, że żona poszła do łóżka z kimś innym. No cóż, zaraz się przekona, jak to jest z tymi więzami. Musiała się nim dzielić przez pół roku, lecz prawdę mówiąc, Bob nie wydawał się skłonny do dzielenia się żoną. Odsunął się, ściągając kołdrę. John z kolei pociągnął ją

w swoją stronę. Cała trójka starała się okryć tą jedną kołdrą. Marla musiała uczciwie przyznać, że John ma więcej do ukrycia.

Bobowi opadła szczęka. Wodził wzrokiem od żony do Johna, jakby oglądał lot tenisowej piłki. Powoli, nie wierząc własnym oczom, zaczął pojmować sytuację.

- John? - zapytał. - Sylwia? - Na razie nieźle się trzyma, pomyślała Marla. - Jak mogłaś?! - zapytał. Dotarła do niego groza sytuacji i nawet w mroku Marla dostrzegła, że pobladł. - Na Boga, jak mogłaś mnie zdradzić?! - żądał wyjaśnień.

- Zdradzić ci e b i e ? - zapytała Marla. - Czy w ogóle można mówić o zdradzie, gdy mężczyzna od dawna sypia z inną kobietą?

Choć pytanie zdawało się rozsądne, Bob sprawiał wrażenie wstrząśniętego do głębi.

- Wiedziałaś o tym?.

- O taak.... - odparła. Bob zwrócił się do Johna.

- Powiedziałeś jej! - zawołał tak wściekły, jak tylko może być wściekły winny i goły mężczyzna.. - Sprzedałem ci BMW po kosztach własnych, a ty... ty...

- J a ? - zapytał John. - Nic nie powiedziałem. Dowiedziała się sama. Przyszła z tym do mnie. To ty zdradzałeś żonę.

- Zwrócił się do Marli. - Mojego najlepszego przyjaciela - dodał.

- J a jestem twoim najlepszym przyjacielem! - wykrzyknął Bob.

Marla nawet na niego nie spojrzała. Wpatrywała się w Johna, nie wierząc własnym uszom.

- Naprawdę jestem twoim najlepszym przyjacielem? - spytała. John objął ją ramieniem.

- Tak, Sylwio - zapewnił.

- Nie żartujesz? - dopytywała się nieśmiało.

- Mówię prawdę - odparł John.

Marla zaczerwieniła się, po czym czarująco się uśmiechnęła.

- Ty moim również.

- Odwołaj to! - ryczał Bob. - J a jestem twoim najlepszym przyjacielem.

- Nie sądzę - odparła Marla.

— Bob, nie musisz porzucać dla mnie żony, bo to ja jestem twoją żoną — powiedziała na głos Sylwia, szykując się na rozmowę z mężem. Skreśliła w lewo w Courtland i kontynuowała: — Wiem, że mnie kochasz, ale czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo kochasz żonę? — Zachichotała.

Czując, że odniosła pełne zwycięstwo, zajechała na podjazd swojego domu. Doszła do wniosku, że pora zakończyć tę maskaradę, oszczędzić Marli ciosu i upewnić się, że Bobbie — Bob! — dotrzyma słowa. Zaciągnęła hamulec, wyłączyła rozbrzmiewającą ze stereo symfonię Schuberta.

Przebiegła dróżką do frontowego wejścia. Wpadła do hallu, a potem po schodach na górę. Usłyszała Phila i Rozalię, toczących ze sobą boje podczas usuwania pobojuwiska w kuchni. Żadne z nich nie ustąpi! Na podeście ujrzała matkę, która siedziała na stopniu, podpierając rękami podbródek.

— Domyśliłam się, że wrócisz — powiedziała Mildred. — Wysłałam dzieci do kina, a ich kumpli do hotelu.

— Dzięki, mamciu! Gdzie jest Bob? — zapytała Sylwia. Mildred wskazała głową na pierwsze piętro. — Oświadczył mi się — oznajmiła Sylwia promiennie.

Mildred podniosła się ciężko. Westchnęła.

— Pozwól, że ujmę to jak najprościej: on opuszcza ciebie dla... ciebie?

— Zgadłś!

Mildred znowu usiadła.

— No cóż, moje gratulacje. Jesteś chyba pierwszą kobietą w historii, której udało się przeżyć romans i zyskać poczucie bezpieczeństwa. — Popatrzyła na córkę. — Ale ojciec nie zapłaci za drugie wesele — ostrzegła. — Poza tym na górze czeka cię niespodzianka. - Wskazała ruchem głowy sypialnię na piętrze.

Sylwia zachichotała i biegiem pokonała resztę schodów. Mildred podążała za nią. Sylwia czuła się wspaniale, lepiej, niż gdyby wygrała główny los na loterii. Ale kiedy wpadła do sypialni, pierwsze, co zobaczyła, to była goła Marla w łóżku z Bobem.

— O Boże! — Urwała. Najpierw przyjrzała się obojgu, a następnie rozejrzała się po pokoju. — Kto poprzestawiał moje meble?!

— Co ty tu robisz? — zapytał Bob.

— Przyszłam posłuchać, jak jej to powiesz — odpowiedziała.

— A co ma mi powiedzieć? — zapytała Marla.

— Nie mogę, Marlo, po prostu nie mogę — powiedział Bob, zwracając się do Sylwii.

— Czego nie możesz? - dopytywała się Marla.

Sylwia nie wierzyła własnym uszom. Więc on się wycofuje?! Mimo tego, co wspólnie przeżyli? A co on właściwie robi w łóżku z Marlą?!

— Czego?! — krzyknęła. Czuła, że za chwilę eksploduje; gdyby miała karabin maszynowy, z tych dwojga zostałyby tylko mokra plama. — Po dzisiejszej nocy? Po tym, co mi obiecałeś?! — Stając w nogach własnego łóżka, była tak zmieszana, tak bardzo zawiedziona, że miała ochotę wyć.

— Marlo... — odezwał się Bob. — Kiedy ujrzałem Sylwię w łóżku z kimś innym... No cóż, przejrzałem na oczy. Kocham ją. Kocham moją żonę — powiedział, patrząc na Sylwię, Odwrócił się do Marli. — Kocham cię, Sylwio — zapewnił ją. Odwrócił się do Sylwii i bezradnie wzruszył ramionami. — Kocham moją żonę.

- J a jestem twoją żoną, idioto! - wrzasnęła Sylwia. Podeszła bliżej i strzeliła Boba w twarz. Cofnęła się i zwróciła się do Marli: — A z kim ty polazłaś do łóżka, wywłoko?!

Do pokoju weszli Phil, Jim i Rozalia.

— Co tu się, do diabła, dzieje?! — zapytał Jim. — Dzieci są przerażone. Uważam, że powinnaś zejść na dół i powiedzieć im... — Urwał, zobaczywszy dwie Sylwie. — Hej, co to za przedstawienie?

— Nie bardzo się orientuję, ale na pewno lepsze niż w telewizji — orzekła Mildred.

Bob potarł zaczerwieniony policzek.

— Wiem, że na to zasłużyłem — rzekł.

— Nie podejrzewałam, że możecie mi wyciąć taki numer — powiedziała Sylwia do Marli i Boba, nie zwracając uwagi na innych.

— Ależ jest zupełnie inaczej, niż sądzisz! — zaprotestowała Marla. Bob spojrział na nią z oburzeniem.

— Dlaczego się przed nią tłumaczysz? — zapytał. Żadna z kobiet nie zwróciła na niego uwagi.

— Pięknie! Leżysz w łóżku z moim mężem i śmiesz twierdzić, że „jest inaczej”?! —

Poruszyła się kołdra. Spod niej ostrożnie wysunął głowę John. Zgorszony Jim odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Sylwia omal nie zemdląła. John spojrział na Sylwię, potem na Marłę.

— O Boże! Jestem jeszcze pijany. Widzę cię podwójnie! Co tu

się dzieje? - zapytał Marłę, po czym znów spojrzał na Sylwię. - Kim ty jesteś? - zapytał. Znowu popatrzył na kobietę obok siebie. — A kim jesteś ty?

Zaszokowana Sylwia odsunęła się od tego odrażającego trójkąta. Jak przed robactwem, które może ją zaraz obleźć, uskoczyła na otomanę. John leży w jej łóżku. John. On także wygląda na zdumionego, podlec jeden! John w oszołomieniu wytrzeszczał oczy na obie kobiety, a następnie spojrzał na Boba.

- Nie wspomniałeś, że twoja przyjaciółka jest skórą zdartą z Sylwii...

Boba nagle olśniło. Zaczął sobie uświadamiać, że coś... coś tutaj nie gra.

- Jak się... - Zwrócił się do Sylwii. - Marla...? - Odwrócił się szybko i spojrzał na leżącą obok siebie kobietę. - Sylwia...? - zapytał słabym głosem.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedziała lodowatym głosem Sylwia.

- O Boże! — wyszeptał John.

- Jak się... Wy obie... - jękał się Bob.

- Rozczarowanie! Kobiety to jedno wielkie rozczarowanie! - orzekł Phil.

- I to mówi facet, który proponuje wszystkim kobietom, by przetestowały z nim samochód na tylnym siedzeniu! - warknęła Rozalia.

- Nie ogłuchłem! - zawołał z hallu Jim. - Ładne rzeczy! Odtąd masz zakaz wstępu na plac!

- Świetnie. A co z naszym kochanym Bobem? - zapytał Phil. - Twój wspaniały zięć mizdrzy się tam niczym Marv Albert!

Bob przełknął ślinę.

- Ja... nie wiem... John, tego ci nie wybaczę, ponieważ brałeś Marłę za moją żonę i nie powstrzymałeś się - powiedział. Zwrócił się do Sylwii: - Wybaczam ci Sylwio. Sprawiałaś, że znowu się w tobie zakochałem.

Sylwia nie uwierzyła własnym uszom. Ten podlec uważa, że jest w ogóle coś do wybaczenia z jego strony? Chyba oszalał. Pozostałych dwoje pensjonariuszy tego wariatkowi zajęło się sobą. Marla wyciągnęła do Johna rękę.

- Cześć! Miło cię poznać!

Ujął jej dłoń. Zamiast nią potrząsnąć, po prostu ją trzymał. Sylwia żałowała, że nie żyje w jakimś arabskim kraju, gdzie

mężczyznom ucina się ręce za zdradę. John wpatrywał się w Marłę z najwyższym uwielbieniem.

— Marla? To twoje prawdziwe imię?

— Chwilowo. Poprzednio byłam Susan. Zmieniłam je, żeby było bardziej seksowne — wyznała dziewczyna.

— Masz na imię Susan? - warknęła Sylwia. — Czy zdarza ci się kiedykolwiek mówić prawdę?

— Tak. Odtąd zamierzam żyć uczciwie. Nie będę opowiadać żadnych półprawd, o ile nie będą absolutnie prawdziwe — odpowiedziała Marla.

— Mnie możesz mówić półprawdy — wtrącił czule John. — Zrozumiem cię.

— Tak mi przykro. Pragnęłam mieć... coś naprawdę, ale to naprawdę prawdziwego — oznajmiła Marla. — Czy to grzech?

— Na Boga! A jak byś to nazwała?! - krzyknęła Sylwia. Mildred nie mogła się powstrzymać od zrobienia stosownej uwagi. Wzruszyła ramionami i zwróciła się do Sylwii:

— Na pewno nie jest to twoje tradycyjne Święto Dziękczynienia.

— Nic nie rozumiesz! Jesteś ślepy czy głupi? — zapytał John Boba.

— A ty, John? Coś ty wart? Jak mogłeś? Jak mogłeś spać... ze mną? — spytała Sylwia.

— Zawsze cię kochałem, Sylwio — odparł John, po czym odwrócił się zakłopotany do Marli. - Hmm... Marlo? Sylwia skoncentrowała swą złość na tej zakłamanej, zdradzieckiej kurewce.

— Mało ci było, że sypiasz z moim mężem? Musiałaś się jeszcze przespać z moim najlepszym przyjacielem? — zapytała.

— On jest moim najlepszym przyjacielem! — krzyknął Bob ponad głową Marli.

— Już nie! — odkrzyknął John.

— Słuchajcie. To proste — powiedziała Marla, łasząc się do obu. Spojrzała na Sylwię. — Bobbie nie sypiał ze mną — wyjaśniła. — Musiałam coś zrobić.

Sylwia zwróciła się do Boba, który zbaraniał do reszty i siedział z rozdziawionymi ustami. Nienawidziła go. Zasługiwał na pogardę jako najniższa forma istnienia.

— Jesteś niegodziwcem. Pragnęłam cię, ale nie odwzajemniałeś

mojego uczucia. Kiedy dowiedziałam się... - Pokazała na Marłę -...nie przespałam się z Johnem. - Zwróciła się do Marli. - Ani też z resztą mężczyzn z Cleveland, Ohio - dodała.

- Okay. Zawsze wszystko robię źle - powiedziała Marla. Zaczęła płakać. - Zamierzam rzucić się z mostu. - Wstała z łóżka, ciągnąc za sobą kołdrę. Ogołoceni z puchowego nakrycia Bob i John chwycili poduszki, by okryć się nimi.

- Zaczekaj. Musimy porozmawiać! - powiedział John do Marli, wlokącej za sobą kołdrę niczym ciężki tren ślubnego welonu.

- Okay. A teraz róbcie, co wam każę - rzekła Sylwia, próbując opanować sytuację. - Marla, wynoś się! Wyrzucam cię nie za sypianie z moim mężem, ale za spanie z Johnem, moim przyjacielem, moim lekarzem i moim oparciem na wypadek, gdyby porzucił mnie Bob. - Złapała oddech. - Tylko nie rzucaj się z mostu! -Zwróciła się do Johna: - Ty także, zdrajco!

- Nie miałam zamiaru rzucać się z mostu - oznajmiła Marla.

- Może jednak warto, żebyś się nad tym zastanowiła! W każdym razie wyjdź stąd. - Odwróciła się szybkim ruchem, stając przed matką. - Przedstawienie skończone. Jak zwykle, miałaś rację. Teraz bądźcie uprzejmi wszyscy zejść na dół! - Zeskoczyła z otomany. Stała ze skrzyżowanymi ramionami.

Mildred uścisnęła ją, po czym wyszła z pokoju. Marla schwyciła swoje ubranie, przyciskając do piersi prześcieradło. Podeszła do Sylwii.

- Masz - powiedziała i zwróciła jej pierścionek od Cartie-ra. - Dziękuję, ale teraz będę miała własny od Johna - dodała potulnie.

John owinął się kołdrą i nie patrząc Sylwii w oczy, opuścił sypialnię. Pozostał Bob z głupią miną, schowany za poduszką.

- Sylwio? Co ze mną? Wiem, że źle postąpiłem, ale dzięki tobie ocknałem się. Zrozumiałem, że cię kocham. To była namiętność, to była miłość.

Podeszła do niego i wyrwała mu poduszkę.

- Inaczej to widzę - powiedziała. - Nie byłeś taki skromny przed godziną. Teraz jesteś nieobecny.

- Nieobecny? Nieobecny w tym domu?

- Nieobecny w moim życiu. Ulegałam ci, Bob... Całe moje życie z tobą polegało na uleganiu ci.

- A ja kochałem to. Kocham cię. Potem... zapomniałem.

- Tak nagle oprzytomniałeś? - Odwróciła się od niego.

Bob wbił się w robocze ubranie, wstał i podszedł do niej. Kiedy położył dłoń na jej ramieniu, uchyliła się.

- A więc z powodu tej przygody tracę wszystko, co jest mi najdroższe?

Pokiwała głową, nadal nie patrząc na niego.

- Tak ja to widzę.

- Ale obiecałeś, że wyjdiesz za mnie — przypomniał z rozpaczą w głosie.

- Byłam wtedy nią! - Odwróciła się. Spojrzała mu prosto w oczy. - No, nie przejmuj się. Ona prawdopodobnie wcale nie zmieniła zdania.

Twarz Boba stała się blada jak u widma, jego kilka piegów jaskrawo odbijało się od białego tła policzków. Nie istniał. Dopięła swego! Wyszedł na durnia, na pajaca, na kłamcę. Nie miał nic na swoje usprawiedliwienie.

Starła się być chłodna i opanowana, nie wykonała żadnego ruchu, nie odezwała się, przestała nawet oddychać, dopóki nie wyszedł z pokoju. Dopiero wtedy puściły jej nerwy. Padła półżywa na łóżko.

Kilka godzin później już cała rodzina była świadoma kryzysu. Goście, za namową Mildred, zaopatrzeni przez Jima w forszę na taksówkę i na motel, wynieśli się z domu. Bliźnięta i pozostali domownicy siedzieli zgarbieni przy świątecznym stole, który był równie zrujnowany jak oni. Po godzinie zaczęli jeść placek z dynią. Okazało się, że Marla napiekła ich bardzo wiele. Pałaszowali je już od pewnego czasu. Zebrała się tu cała rodzina oprócz Boba i Sylwii. Od dwóch godzin Sylwia nie podnosiła się z łóżka. Teraz jednak, słysząc jej kroki na schodach, zamarli z łyżeczkami w dłoniach. Kiedy weszła do jadalni, ocierała zapuchnięte od płaczu oczy.

- Zostało jeszcze trochę placka? - zapytała spokojnym tonem. Mildred bez słowa ukroiła wielki trójkątny kawałek, podczas

gdy Jim podsuwał jej swój talerzyk.

- Masz, kochanie - powiedział. - Dokończ moją porcję. Usiadła bez słowa i podniosła łyżeczkę. W końcu - pomyślała -co za różnica, jeśli połączyć tłuszcze z węglowodanami? Jej życie legło w gruzach. Oczy wszystkich skierowane były na nią. Najwyraźniej bliźniaki wiedziały, że coś się dzieje, ale dzięki Bogu oszczędzono im szczegółów.

- Dzięki, papciu - powiedziała i poklepała ojca po ręku.

- Mamusiu, czy ty i tatuś... - zaczęła Reenie, ale przerwał jej Kenny.

- Będą nas nadal kochali, pojawią się na wręczeniu dyplomów i na naszych weselach - wyrecytował sztucznym tonem ucznia z aktorskiego studium policealnego. - Tyle że przyjdą osobno.

- Och, dzieci... - zaczęła Sylwia pojednawczo, zanim dotarło do niej, że brak jej argumentów.

- Nie mogę sobie wyobrazić, gdzie podziewa się miłość, kiedy

odchodzi... - powiedziała Reenie. - Mam na myśli Briana, który mówił, że mnie kocha, ale... - Zamilkła. - Ja wczoraj go kochałam.

Zadzwoił telefon. Phil rzucił się, by go odebrać. Rozalia uwiesiła się jego ramienia. Zaczął coś szeptać do niej. Sylwia słyszała ich przybierające na sile szepty.

- Nie mów jej - nalegała Rozalia.

- Więc sama jej powiedz. Ale ona nie zechce z nim mówić. Jeśli to zrobi, będzie frajerką.

- Kto to? - odezwała się w końcu Mildred, ale Sylwia nie musiała pytać.

- Bob - pośpieszył z odpowiedzią Phil, obłudnie udając brak zainteresowania.

- Wyłącz tego sukinsyna! - warknął Jim.

Mildred uniosła w zdziwieniu brwi. Jim zamilkł. Powiódł wzrokiem po córce i wnukach, a następnie zwiesił głowę. Mildred popatrzyła spokojnie na córkę, a jej wzrok ostrzegał: „Uważaj!”. Kenny i Reenie nie spuszczała z matki oczu. Jaki wniosek wyciągną z tej lekcji? - zastanawiała się Sylwia.

Mildred wstała od stołu i wzięła ją za ramię. Wyszły na korytarz.

- Sylwio, to, że twój ojciec jest wściekły na Boba, nie znaczy wcale, że ty nie masz mu wybaczyć. Uważam, że nie mogłaś mu bardziej dopiec. Najważniejsze, czy wciąż go kochasz? - zapytała.

- Zawsze go kochałam - oświadczyła Sylwia. - Zaniedbywał mnie, ale go kochałam. Byłam na niego wściekła, ale go kochałam. Byłam przez niego zdradzana, ale go kochałam. - Spojrzała bez emocji na Mildred. - Nie o to chodzi.

Problem w tym, czy o n mnie kocha? Nie chcę go mieć z powrotem tylko po to, by mu matkować, karmić go, opierać i zajmować się jego pieprzonymi spinkami do mankietów! Chcę go z powrotem, dlatego że mnie kocha. I to jak!

- Hej. Znowu ten facet na linii! - krzyknął Phil. Mildred wzruszyła ramionami.

- Niech czeka - krzyknęła, po czym zwróciła się do córki: -Pamiętaj, Sylwio, że mężczyźni są inni od nas. Nie w pełni są ludźmi. Są... powiedzmy, że są tylko człekomopodobni.

- To nieprawda, mamciu - zawołała Sylwia.

- Sylwio...? - przypomniał Phil, pokazując telefon.

- To do ciebie - powiedziała Mildred. - Chcesz, żebym odebrała?

- Czuję się dobrze - zapewniła Sylwia. - Odbiorę w salonie muzycznym.

Bob siedział za kierownicą Ślicznego Maleństwa. Trzymał przy uchu słuchawkę, a ponieważ nagle się ochłodziło, wypuszczał nosem kłęby pary. Dygotał. Marzył już od dłuższego czasu, postanowił jednak nie ruszać się z miejsca. Aż do skutku. Chciał wszystko dokładnie przemyśleć.

Nie mógł nadziwić się własnej głupocie. Ależ z niego palant! Odreagował już nieco złość za figiel Sylwii, ale to nie wystarczyło. Pomyślał, że może powinien czuć się dumny. Może nie jest aż tak kompletnym i beznadziejnym palantem, skoro stać go na przyznanie się, że jest kompletnym i beznadziejnym palantem? Został przyłapany na kłamstwie, ale nie potrafił potępić Sylwii za zaaranżowanie oszustwa. Kiedy zaczął odtwarzać wydarzenia z kilku ubiegłych tygodni, oblał się potem.

Potrząsnął głową i przetarł zaparowaną słuchawkę. Jak mógł nie dostrzec tej mistyfikacji?! Nie połapać się! Był tak głupi i ślepy, że wystawił na próbę swoje małżeństwo i rodzinę w zamian za ostatnie podrygi młodości! Faktem jest, że ma czterdzieści trzy lata. Żadna kobieta tego nie zmieni - chyba że tylko w jego własnym żalonym mniemaniu. Nie jest już młodzieniaszkiem. Nadszedł wiek średni. Potem przyjdzie starość. A potem śmierć. Zwykła kolej rzeczy. Zaprzeczanie temu niczego nie zmieni.

Dygotał w ciemnym wnętrzu kabrioletu. Brezentowy dach nie chronił przed jesiennym chłodem. Dlaczego z taką troską dbał o ten samochód i dlaczego upierał się, żeby nim jeździć? To wszystko stanowiło część tego samego syndromu: wyglądam-wciąż-młodo-i--nie-cierpię-na-brak-potencji. Syndrom ten Philowi zrujnował życie.

Bob siedział w idiotycznym, maleńkim, przerażająco zimnym samochodzie i myślał o tym, jak bardzo kocha Sylwię i jak przestał nie wiadomo kiedy doceniać życie we dwoje. Teraz już wiedział, że to nie Sylwia się zestarzała, lecz on sam. Ona zachowała spontaniczność, kocha muzykę, rwie się do podróży i gotowa jest na szaleństwa. Nawet ten numer, który wycięła, świadczy, jak bardzo jest twórcza i pomysłowa. Samotny, w ciemnościach, w oczekiwaniu na połączenie, znowu spłonął rumieńcem. Pomyślał o skrywanych przed nią tajemnicach, które znała. Pomyślał o kochaniu się z nią jako Marlą i o tym, jak bardzo to było podniecające i jakim był durniem, że jej nie rozpoznał! Czyż w Biblii nie jest powiedziane: Abraham poznał Sarę - w miejscu, gdzie jest mowa o seksie? A on Sylwii nie poznał. Chyba nieodwracalnie już zrujnował swoje życie. Ponownie spojrzął na słuchawkę i zmówił pacierz.

Sylwia weszła do pokoju muzycznego i zamknęła za sobą drzwi. Nie śpieszyła się. W końcu niewiele miała do powiedzenia. Bob także nie naprawi słowami tego, co się stało. Zapaliła zewnętrzne światła. Widok za oknem zapierał dech w piersi. Oszroniony, skrzący się trawnik stanowił wspaniałą kontrast z atramentową czernią krzewów. Usiadła przy fortepianie, jak zawsze w chwilach radości albo rozpacz. Zaczęła grać nokturn. Po paru minutach wzięła głęboki oddech i podniosła słuchawkę.

- Czego ty właściwie chcesz? - zapytała.

- Sylwia? - W głosie Boba słyhać było zdziwienie, jak gdyby mimo wszystko nie spodziewał się jej. No cóż, miał prawo tak sądzić.

- Tak. To ja - powiedziała, trzymając słuchawkę między uchem i ramieniem, powracając do gry, zwalniając coraz bardziej rytm, coraz ciężej biorąc akordy. - Czego ty chcesz? - powtórzyła.

- Chcę ciebie - powiedział Bob. - Wiem, że to, co mówię, jest niegodziwe i prawdopodobnie niemożliwe, ale ponieważ zapytałaś, odpowiadam. - Głos męża wydał się jej ochrypli, tak jakby płakał. No cóż, ona też się napłakała. - Sylwio, teraz, kiedy cię tracę, wszystko stało się oczywiste.

- Sądzę, że tak bywa - odparła.

- Nie kocham jej, Sylwio. Nawet nie zdążyłem jej poznać.

- Z wyjątkiem jej ciała - przypomniała Sylwia. Palce zaczęły się plątać na klawiaturze. Słuchawka boleśnie wbijała się w szyję.

- Teraz wiem, że w osobie Marli pokochałem przeszłość, którą przeżyłem z tobą, kiedy byliśmy młodzi i kiedy było tak cudownie - mówił Bob. - Tego właśnie pragnąłem - powrotu, nie jej. - Zamilkł. - Sylwio, nawet nie zauważyłem podobieństwa. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale sądzę, że to była...

Dwa krótkie sygnały przerwały na chwilę rozmowę.

- Mógłbyś chwilę zaczekać? - zapytała i nie czekając na odpowiedź, wcisnęła mrugający guzik.

- Sylwia? Tu Marla. Chciałam powiedzieć: Susan.

- A czego ty chcesz? - zapytała Sylwia.

- Chcę ci podziękować. I chcę, żebyś pierwsza usłyszała nowinę: John i ja zaręczyliśmy się.

- Zaręczyliście się? A co z Norą?

- Jaką Norą?

- Nieważne. - Wszyscy powariowali, włącznie z nią. - Wszystkiego najlepszego - wydusiła z trudem. Więc John zeni się z tą dziewczyną? Został przez nią przyjęty z otwartymi ramionami.

Może matka ma rację? Mężczyźni są tylko człekopodobni. - Złóż mu moje gratulacje — powiedziała.

- Jesteś jedyną osobą na świecie, która dotrzymała danej mi obietnicy - dodała Marla czy raczej Susan.

- No cóż, miejmy nadzieję, że to dopiero początek - odrzekła Sylwia. - Muszę się już rozłączyć.

- Sylwia? Jesteś tam? - spytał Bob.

- Tak. - To było wszystko, co mogła powiedzieć. Pozwoli mu się wygadać.

- Sylwio, musisz mnie wysłuchać - ciągnął Bob. - Zawsze cię kochałem. Przyznaję, że zapomniałem o tym na krótko, ale kocham cię. Powinniśmy byli częściej razem grać. Na fortepianie, nie mówiąc o innych sprawach. Tworzyliśmy kiedyś niezły tandem, prawda?

Sylwia pokiwała głową, choć nie przyznała się do tego na głos. Przez chwilę oboje milczeli.

- Poświęciłaś się. Ja też mogę się poświęcić. Zrobię dla ciebie wszystko, Sylwio.

- Nie jestem tego pewna - powiedziała, pozwalając, by łza spłynęła po policzku. Już dość się napłakała, ale w tej jednej łzie skupiło się teraz całe jej cierpienie, cała gorycz. - Naprawdę mnie zraniłeś - powiedziała szeptem. - To nie było ładne z twojej strony.

- Wiem. Masz rację. Postąpiłaś słuszniej ode mnie - przyznał Bob. - Wybacz mi - powiedział.

To niewiarygodne! Wszyscy mężczyźni są jednakowi. Że też on nic nie rozumie!

- Posłuchaj - odezwała się Sylwia. - Zawiodłeś moje zaufanie.

- Ale ja...

Nie dopuściła go do słowa. Jeszcze nie teraz. Niech najpierw pozna jej ból.

- Kochałeś się ze swoją metresą. Zdradziłeś mnie w mojej obecności. Byłam n i a. Przypomnij sobie, jak zarzucałeś mi ręce na szyję, jak mnie obejmowałeś i całowałeś. - Załkała boleśnie, choć postanowiła nie płakać.

- Sylwio, nie wiedziałem, ja...

- Bob, jest jeszcze wiele spraw, o których nie wiedziałeś. Nie wiedziałeś, że Marla jest moim sobowtórem. Nie wiedziałeś, że jest żywą istotą i że ją ranisz, że ją oszukujesz i zdradzasz. Nie wiedziałeś, że nadal mnie kochasz. Nie wiedziałeś, jak bardzo cię pragnę. Podobnie jak nie wiedziałeś, że potrafię się aż tak

namiętnie kochać. To było doskonałe. Oboje byliśmy doskonali. Nie doceniałeś mnie od długiego czasu. Widziałeś we mnie eksperta od prania i geniusza od odkurzacza. Tymczasem ja nie byłam wyłącznie matką twoich dzieci i panią domu. - Znowu zbierało się jej na płacz, starała się jednak mówić dalej. - Mam wyobraźnię, lubię przygody i jestem namiętną kobietą, podczas gdy ty mnie traktowałeś jak coś stałego i przesądzonego. Ty... ty... och, Bob, jesteś idiotą!

- Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie - oznajmił. - Jestem bałwanem. Ale popełniłem też inne błędy, które mnie osobiście dotknęły. Zrezygnowałem z muzyki. Zacząłem ci chyba mieć to za złe. Zacząłem cię obwiniać, a także dzieci i Jima. Ale to był mój wybór, Sylwio. Rutyna dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Miałem sobie za złe porzucenie muzyki, ale czułem się bezpieczny. - Znowu szloch. Zastanowiła się, skąd dzwoni, ale nie zapytała. - Nigdy nie potrafiłem być taki otwarty ani taki uczciwy wobec siebie jak ty - ciągnął. - Nie znam swoich ograniczeń, nie znam także swoich możliwości.

Zapadło długie milczenie.

- Sylwia? Chciałbym ci to wynagrodzić. Czy dasz mi szansę? Sylwia podniosła się, odeszła od fortepianu, stając plecami do

pokoju. Co mogła mu odpowiedzieć? Patrzyła przez okno na pusty dziedziniec. Bob jest w rozpacz.

Prawdopodobnie nic innego nie jest w stanie powiedzieć. Ale czy to na długo wystarczy?

- Nie wiem. Może dotarło do ciebie, że wagina połączona jest z sercem? W przeciwieństwie do kutasa. - Zawiesiła głos. - Może już nigdy nie potrafię ci zaufać?

A jednak jej serce tęskniło za nim, za mężczyzną, który ją obejmował i kochał tak czule - w łóżku innej kobiety. Nie zamierzała ułatwiać mu sytuacji. Nie zamierzała okazać słabości. Obiecał już wiele, ale z czego miałby dla niej zrezygnować? Jak miałby jej to wynagrodzić? Czy jest w stanie się zmienić? Otworzyć się na nią, jak dawniej? Nie chciała żyć samotnie. Nie chciała rozbijać rodziny, ale nie zamierzała też kontynuować dotychczasowego życia.

- Zegnaj, Bob - powiedziała i rozłączyła się.

Stała w pograżonym w mroku pokoju muzycznym, z głuchą słuchawką w ręce. A więc koniec małżeństwa? Skoro tak, pozostanie sama, z miłością do niego aż do końca życia. Nie odważy się na kolejną próbę. A zatem rezygnuje ze swojego małżeństwa? Czy ma inny wybór? Postępek Boba był dojmująco bolesny

i jakże poniżający! Ale słyszała, co mówił, i wiedziała - wiedzona własną mądrością, a może naukami Mildred - że nie powinna tak osobiście brać sobie do serca jego zdrady. I nie dlatego, że jest uległa czy słaba, ani dlatego, że jest aż taka „miła”, by chcieć łaskawie zatrzymać męża albo tym bardziej że wypada mu wybaczyć. Ani nawet dlatego, że chciałyby, by powtórzyły się te pełne napiętności chwile, choć, prawdę mówiąc, bardzo tego pragnęła. Nie. Stwierdziła, że może była zdolna wybaczyć, ponieważ Bob, podobnie jak wielu innych mężczyzn, był tak mało świadomy tego, co robił, dopóki to robił. Wierzyła, że nie chcia jej zranić i że podrywając kogoś tak podobnego do niej powracał nieświadomie do przeszłości, którą chciał wskrzesić. Okay, to była tylko głupia, kretyńska mrzonka. Niemal zrujnowała im życie, a kto wie, czy nie pozostawi piętna na życiu ich dzieci, lecz on przecież nie chciał, żeby tak się stało.

Prawdę mówiąc, Bob nie był kombinatorem ani krętaczem. Jeśli już, to raczej uczuciowym ignorantem i dlatego, stwierdziła, mogłaby mu wybaczyć. Prawie każda kobieta orientuje się lepiej w swoich uczuciach niż jakikolwiek, nawet najbystrzejszy facet, lecz skoro chce żyć i spać z mężczyzną, musi zaakceptować jego wady. Bob zranił ją, okazał się nieodpowiedzialny, ale z pewnością już się to nie powtórzy. Może mogłaby mu więc wybaczyć? Nie traktować tego tak bardzo osobiście; podejść do sprawy ogólnie.

Wtedy właśnie jej uwagę przyciągnęło silne światło padające na ścianę. Czyżby to był reflektor? Czy też...

Odwróciła się gwałtownie, w obawie, że za balkonowymi drzwiami ujrzy Rozalię. Ale to nie mogła być ona. Była przecież w jadalni. Sylwia wyłączyła lampę, sądząc, że łatwiej będzie w ten sposób ustalić źródło światła. .

- O Boże! - krzyknęła. Blask reflektorów wycelowany był prosto w nią.

Otworzyły się drzwi. Wszyscy zebrani dotąd w jadalni wpadli do pokoju.

- Niewiarygodne! - powiedziała Reenie.

Sylwia i cała rodzina podeszli do balkonowych drzwi.

- O Boże! - wykrzyknęła Mildred.

- Ruszaj, papciu! - dopingował Kenny.

- Samochód! Samochód! - wołał oburzony Jim.

Sylwia stała nieruchomo. Przepelniała ją błoga radość. Wstrzymała oddech. Czy on to zrobi? Czy pójdzie dla niej na całość?

Mildred włączyła światła basenowe.

- A jednak istnieje Bóg - powiedziała. - I Ona jest dobra. Sylwia patrzyła, jak Śliczne Maleństwo podjeżdża do krawędzi

i nie zwalniając, bez chwili wahania, pokonuje ją i wpada do basenu. Bliźniaki podniosły wrzask. Jim jęknął.

Rodzina, jak jeden mąż, poderwała się, by wybiec na dwór. Powstrzymała ich rozsądna Mildred.

- Niech mama idzie sama - powiedziała do bliźniąt. Sylwia wyszła na dwór i zaczęła biec przez patio, następnie przez trawnik w stronę basenu. Kiedy dobiegła, Bob już się wynurzył i wdrapywał się po drabince. Dygotał z zimna.

- Zrobię dla ciebie wszystko - powiedział do żony, która stała niezdecydowana na brzegu. - Proszę cię, Sylwio - błagał. - Wybacz mi. Daj mi szansę. Zagrajmy jeszcze raz w duecie.

- Sama nie wiem. Trzeba będzie dużo czasu, nim znowu ci zaufam.

- Ofiaruję ci cały czas, jaki mi pozostał. Udamy się w podróż statkiem. Będziemy tańczyć w domu, przy radiu. - Był najwyraźniej zdesperowany. Szczekał zębami, posiniały mu z zimna wargi. Sylwia patrzyła na niego w milczeniu. - Powiedz coś - błagał. - Cokolwiek. Powiedz, że się zastanowisz. Powiedz, że istnieje cień szansy, że mi wybaczysz. Proszę, Sylwio. Powiedz, co mam zrobić.

Uśmiechnęła się chytrze do jedynego mężczyzny, którego kochała. Musiał się naprawdę ciężko ze sobą zmagać. I nawet jeśli... Przynajmniej przez jakiś czas będzie miała więcej tego fantastycznego seksu. Będzie uwielbiana, a kiedy on znów zacznie ją traktować jak coś oczywistego, stałego, wtedy...

- Proszę cię, Sylwio. Proszę. Powiedz coś. Daj mi jakąś wskazówkę.

- W czterech słowach, nie więcej: Zabierz mnie na Maui - powiedziała.

Kiedy ją obejmował, zabrakło jej tchu. Z tyłu rozległy się brawa. Klaskały nie tylko bliźniaki i Mildred, lecz nawet ojciec. Ale po chwili, gdy Bob przywarł zimnymi wargami do jej gorących ust, słyszała już tylko bicie dwóch serc.

Proszę, by moje serdeczne podziękowania przyjęły następujące osoby:

*Barbara Turner - za to, że nie przestaje być moją siostrą; Dipight dmie -ponieważ zawsze potrafi mnie rozśmieszyć; Paul Mahoń - za nieobecność, kiedy go najbardziej potrzebowałam; Rachel Dower - na pamiątkę naszego maratonu Clueless Goes to College; Diana Hellinger - za to, że pamięta, kim jestem, kiedy telefonuję po długiej przerwie; Larry Ashmead - za książki, śmiech i za cynie; Jerry Young, który potrafi wyrecytować z pamięci listę wszystkich adwokatów, dla których pracował - od najgorszego po najlepszego; Amy Fine Collins - za cierpliwość i za odwzajemnioną miłość i podziw; Pat Rhule - ponieważ zawsze odbiera moje telefony i zawsze wprawia mnie w dobry humor; Linda Gray - za niestrudzone życzliwe wsparcie; Bob Bookman - z nadzieją, że w tym sezonie złapie piłkę na Dodger Stadium; Kelly Lange - za nieskończoną gościnność. Ciągle mam Twoje klucze; Steve Rubin i Ed Town - za trzymanie dla mnie świecy w oknie; Jody Post - z przeprosinami za nieprzysłanie tej książki w brulionie; Nunz i Rose Nappi z podziękowaniami za wspaniałe przyjęcie z okazji Święta Dziękczynienia i za niezawodną przyjaźń; Amy Baer - za pozostawienie maleństwa i spotkanie się ze mną; Walter Mathews - za wspaniałe rozmowy i za wspólne oglądanie wystaw sklepowych w Hudson; Kathi Goldmark - za umożliwienie mi publicznego występu z *Book Tour Blues*; Melody Smith - za bezinteresowną troskę; Sherry Lansing - za uruchomienie wszystkiego; Ben Dower - z nadzieją, że ta książka przyniesie mu kolejny zestaw kijów golfowych; Geny Petievich, mój piszący brat z Zachodniego Wybrzeża; Neil Baldwin, którego praca w National Book Foundation ciągle mnie inspirowa; Richard Saperstein - za „wzięcie tego”, a następnie kupienie dla New Line Cinema; Ali Elivitz - za znoszenie mnie pomimo mojego chrapania; Beth Dozoretz - za to, że jest tak bardzo życzliwą przyjaciółką i moją inspiracją; Michael Kohlmann - za znoszenie wszystkich moich wariactw; Jim Robinson - za pomoc techniczną, bez której nie mogłaby się obyć żadna pisząca dziewczyna; Jennifer Perini, jedyna młoda, wysoka i szczupła blondynka, którą naprawdę lubię; Michael Elovitz - za oddanie mi swojego pokoju, gdy pisałam tę książkę; Andrej, Fisher za pokonanie przeszkód; Gail Parent - za nauczenie mnie jej nieśmiertelnej ody: *Och, Hollywood! Och, odzwajemnij moje uczucia*; Lorraine Krehling - za weekendy w Greenport, Lorri Sue; Jack Rapke - ponieważ oszalałam na jego punkcie, okay? Wszyscy przedsiębiorcy i dostawcy, którzy wreszcie wynieśli się z mojego domu; Howard Schwartz — za to, co tak dobrze robi; Anita Addison - za jej pełne zrozumienie dla roli kobiet w mediach; Anthea Disney - za śmiech z moich dowcipów; Ruth Nathan - najlepsza przyjaciółka, jaką może mieć pisząca dziewczyna; New York Society*

Library - za ich niezawodną pomoc; Cindy Adams - za porady dotyczące prania na sućcio; Paige Rense - za zrozumienie mojej miłości do mojego domu; Michael Wollaenger - za to, że nie skreślił żadnego z moich 3456 słów o miłości; Chris Robinson - za to, że zawsze jest moim boyfriendem (jak dotąd); Harold Wise - choć nawet nie pokazał mi swojego rękopisu; Bruce Vinokourow - za cierpliwość i tolerowanie mojej osoby; Marjorie Braman - za wspaniałą redakcję i upieranie się przy „Marjorie Moments”; Lynn Phillips - za jej wnikliwe przeglądanie i natchnione czytanie mojego brulionu; Dalia Rabinovich - za to, że słucha swojej mamy; Adam Schroeder i Scott Rudin - za wyrobienie mi opinii dobrej pani domu; Luise Schmidt - za niestrudzone angażowanie się w moje sprawy; Brenda Segel - za opowieści gangsterskie; Keith Gregory z Southern Methodist University - za inspirującą troskę o początkujących powieściopisarzy; Storyline Entertainment - za danie mi pracy; Jeffery McGraw - za niewyczerpany entuzjizm i równie niewyczerpaną cierpliwość; Chris Patusky - za niedotrzymanie mi towarzystwa; Anita Gates - za chwytność w mig moich dowcipów i przyzwolenie na publiczne wychwalanie pisarzy; Tyrone D'Brass - za zaproszenie mnie do urządzenia wnętrza jego pałacu w Radzastanie; Bert Fields - za wspaniałą prezentację; Ron Fired - za to, iż nadal uważa, że jestem ładna; Martine Rothblatt - za jej wszystkie wyborne rady; Nick Elkison - w podziękowaniu za bajeczne kolał'e; Chris Lee - za to, że naprawdę mnie słucha; Helen Breitwieser Katleman z najlepszymi życzeniami i gratulacjami dla pana Righta; Michael Chinich - za Polaroidy - och, Michael! Czy Morgan jest goły na zdjęciu?; Liz Ziemska - w pokornym lęku przed jej mądrością i znajomością zawodu, że nie wspomnę o nowej fryzurze; Bill, Ann, Kip i Steven -za cudowne opiekowanie się Matildą; Jacki Heppard - za jej krótki pobyt i za niezatarte wrażenie; Donna Langley - za jej sugestie, cierpliwość i poczucie humoru; Beaver Hall - za hołubienie i poganianie; Michael Barnathan - za najpiękniejsze bukiety - sprawiłeś mi tyle radości, Michael; Lucy Hood - za odważny krok w dziedzinie synergii; Susie i Joe z Mi-sakiya - za codzienne karmienie mnie; Phyllis Levy - za naszą wspólną miłość do kotów; Cathy Cavender - za wyznaczenie mi trudnego zadania i pomoc w wywiązaniu się z niego; Dan Melnick - za to, że jest moim starszym, błyskotliwszym bratem bliźniakiem; Hugh Wilson - za podtrzymywanie kontaktu; Gladys Sanchez - za opiekowanie się moim domem i biurem; Beth Arky - za dopuszczenie mnie do programu TV Guide; Akiko Wied - za jego cierpliwość i trud; Patricia Martin i Leif Zurmuhlen - za utrzymywanie mnie po „Dobrej Stronie Czterdziestki”; Kitty Kelley - za zawsze aktualne zaproszenie; Joe Kiener - za to, że jest zarazem taki wysoki i bystry; Leonida Karpik - za umiejętność sprzedawania moich książek; Jennifer Blum - za to, że była mózgiem całego przedsięwzięcia; i Nan Robinson - za okazany wreszcie entuzjizm.